

**Whitney Phyllis A.**

## **Śpiewające skały**

***Małżeństwo młodziutkiej Lynn McLeod ze zdolnym, dobrze prosperującym architektem Stephenem Asche trwało zaledwie rok, gdyż oczarowała go piękna, egzotyczna tancerka Oriana Devi. I oto po jedenastu latach od tamtych wydarzeń Lynn, obecnie psychoterapeutka zajmująca się ciężko chorymi dziećmi w nowojorskim szpitalu, otrzymuje dramatyczny list od rodziny byłego męża - od roku kaleki po wypadku na budowie - z prośbą ,aby pomogła Jilly, dziesięcioletniej córeczce Stephen'a i Oriany. Nikt nie może odgadnąć źródła tajemniczych koszmarów i obaw dręczących to dziecko, pozornie fizycznie zdrowe. Wbrew własnej woli,, w niezrozumiały dla siebie sposób, Lynn nie może oprzeć się temu wezwaniu. U stóp gór Wirginii, w domu, który kiedyś zaprojektowali ze Stephenem dla siebie, powracają dawne wspomnienia i uczucia.....***

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne, a jakiegokolwiek podobieństwo do rzeczywistych osób, żywych bądź zmarłych, jest całkowicie przypadkowe.

## ***Prolog***

Był październik, w następnym tygodniu miały się rozpocząć wykopy pod nasz nowy dom... chcieliśmy zdążyć przed nadejściem zimy. To będzie nasza ostatnia wizyta na tym cichym pustkowiu w sercu gór Wirginii, które teraz należało do nas - Stephena i Lynn Asche. Za kilka miesięcy, gdy już wyjadą wszyscy robotnicy, powróci spokój, a pustkę dokoła wypełni dom, jaki Stephen postawi na tym miejscu. Nie mogę się już doczekać, kiedy wreszcie powstanie to wszystko, co wymyśliliśmy i zaplanowaliśmy.

Dopiero rok temu zmieniłam nazwisko z Lynn McLeod na Lynn Asche, byłam więc młodziutką panną młodą... dziewiętnastoletnią, osiem lat młodszą od męża. Przez te wszystkie miesiące patrzyłam, jak dom rośnie na papierze. Od czasu kiedy Stephen zaproponował, żebyśmy oboje zajęli się planami, poświęcałam im się bez reszty, chociaż to on był architektem.

Wybrał wspaniałe miejsce. Nieco dalej na zachód w chmury wzbijały się szczyty Blue Ridge, wraz z pobliskimi podgórzami nadając krajobrazowi tę specyficzną różnorodność, typową dla Nelson County w Wirginii — w jednym z najmniej zaludnionych stanów i, tego byłam pewna, najpiękniejszych zakątków.

## 8 Phyllis A. Whitney

Dzisiaj Stephen przyniósł duży zwój planów, rozłożył je na trawie, a ja uklęknęłam obok. Bardziej jednak byłam pochłonięta nim, niż liniami, które narysował na papierze. Rude włosy, czasem tak wspaniale harmonizujące z jego nastrojami, opadły mu na czoło, kiedy tak pochylał się nad planami, a ja z trudem powstrzymywałam się od odsunięcia mu ich z oczu... zawsze zbyt chętna, by go dotknąć. Szerokim machnięciem ręki Stephen ogarnął zbocze przed nami.

— Widzisz, Lynn? Dom będzie opadał stąd w dół z bocza trzema poziomami. Parter wraz z podjazdem od drogi do głównych drzwi równo ze stokiem wzgórza, jakby weń wrósł. Salon, jadalnia i kuchnia na pierwszym piętrze, z sypialniami na każdym końcu.

Mogłam sobie doskonale to wyobrazić... dom rosnący stopniowo, każde piętro odrobinę mniejsze od poprzedniego. Na drugim piętrze pokój gościnny, biblioteka i pracownia Stephena, a na samej górze, z pięknym widokiem dokoła, nasze prywatne pokoje. Zostanie jeszcze wystarczająco dużo miejsca, które możemy poprzedzielać ściankami, jak tylko zechcemy. Stephen zaplanował nawet siłownię dla nas obojga. Często mi powtarzał, że doskonała kondycja fizyczna to najlepsza recepta na świeży i bystry umysł. Z radością zgadzałam się na wszystko, czego chciał. Mogą być i siłownie, jeśli sprawi to przyjemność mojemu nowemu mężowi.

Stephen nadal mówił o najwyższym piętrze, a ja się przysłuchiwałam.

— Tu, na górze, zbudujemy wielki kominek, w którym będziemy palić ogień w zimne noce. Położymy gruby dywan — z Peru, oczywiście, będziemy na nim leżeć i marzyć. I kochać się. Z dala od rzeczywistości.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

5

Do pracy potrzebował samotności, a od kiedy ja potrzebowałam Stephena, także tylko tego pragnęłam. Zawsze podobało mi się to, jak wyrzucał z siebie potok słów, kipiąc energią i entuzjazmem. Kochałam jego oczy, płonące swym własnym zielonym płomieniem. Było w nim więcej życia, niż w którymkolwiek z moich znajomych, porywał mnie różnorodnością swych zachowań. Czasami rozbrajał mnie do reszty figlarnym śmiechem. Albo chmurzył się w sposób wręcz przerażający, gdy coś go rozgniewało. Bywał też bardzo delikatny i dzielił się ze mną tymi marzeniami, które już w młodości uczyniły zeń wspaniałego architekta.

Był jednym z najpopularniejszych projektantów domów w Wirginii, do czego oczywiście zmierzał, lecz wiedziałam, że to nigdy nie zaspokoi jego chorobliwej ambicji. Zostanie jednym z największych specjalistów z tej dziedziny w kraju, może nawet na świecie. Byłam tego o wiele pewniejsza niż mojej własnej nieodgadnio-nej osobowości. Otwierała się przed nim wspaniała przyszłość, a ja byłam dumna i zaskoczona tym, że jestem jej częścią, mogąc rozwijać się wraz z mężem. Należałam do tego wspaniałego świata, lecz własne szczęście czasem mnie przerażało. Czyżby ostrzeżenie?

Kiedy ponad rok temu spotkaliśmy się na „polach”, jak na uniwersytecie nazywaliśmy *campus*, ja zaczynałam studiować psychologię dziecięcą, a Stephen kończył architekturę. To była naprawdę miłość od pierwszego wejrzenia dla nas obojga, choć nadal nie rozumiem, dlaczego Stephen wybrał właśnie mnie. Może dlatego, że byłam młoda i pełna uwielbienia, a jakaś jego część potrzebowała i szukała podziwu u innych. Oczywiście, kiedy chce się ze mną drażnić, mówi, że to moje „wspaniałe ciało” tak go zafascynowało i że wcale nie przeszkadzało mu to, że wyglądałam na szkocką pa-

Phyllis A. Whitney

nienkę, co szło w parze z moim nazwiskiem McLeod. Podobały mu się moje „niebieskie oczy, gęste ciemne włosy i mały zadarty nosek”. Nikt nigdy nie uważał, że jestem zachwycająca, więc to z kolei zachwyciło mnie. Był moim nauczycielem także jako kochanek i właśnie tego potrzebowałam.

Sprawił, że poczułam się kimś wyjątkowym, więc wszystkie moje głęboko ukrywane kompleksy stopniowo zanikały, gdyż Stephen mnie kochał.

Nie pochodziłam z Wirginii, jak on, ale mój ojciec, Donald McLeod, przyszedł na świat w jednej z pierwszych rodzin szkockich osiedlających się w tym stanie. Chociaż rodzina McLeodów mieszkała teraz w Nowym Jorku na Staten Island, mój ojciec chciał, bym studiowała na uniwersytecie w Wirginii, jak on przed laty.

Dziwna sprawa z tym przeznaczeniem! Lecz tego dnia, kiedy oboje z mężem przeglądaliśmy plany domu na wzgórzu, nie miałam jeszcze bladego pojęcia o przeznaczeniu.

Leżąc na trawie Stephen przewrócił się na plecy, by móc spojrzeć na niebo i przerwał mi w pół słowa.

— Powiedz mi, co tam widzisz, Lynn. Wszechświat... co do ciebie mówi?

Tego późnego popołudnia wszechświat nic do mnie nie mówił, zaczęłam więc trochę mniej poważnie:

— Niebo wygląda jak ogromny szafir. Ten sam głęboki błękit, choć teraz światło trochę blednie. Drogocenny kamień w oprawie otaczających nas gór.

— Nieźle. Dostyc kwiecisty styl, ale wiem, co masz na myśli, i zgadzam się z tobą.

Odwrócił się, podparł na łokciu i spojrzał w dół. Wszystkie sprawy dotyczące domu były dla Stephena jasne i to jeszcze na długo zanim naszkicował pierwszy plan. Dla mnie też wszystko było jasne, więc kiedy

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

11

mówił, mogłam sobie wyobrazić całość w najdrobniejszych szczegółach.

— Pokój dla taty, na pierwszym piętrze, będzie z tej strony pod nami. Bardzo mu brakuje mamy i trzeba go koniecznie zabrać z Charlottesville. Sprowadzimy go tu już wkrótce, więc będzie mógł zająć się czymś innym.

Polubiłam Larry'ego Asche od naszego pierwszego spotkania i on chyba też mnie polubił. Matka Stephena zmarła dwa lata temu, zanim jeszcze poznałam jej syna.

— Mama by cię pokochała — powiedział Stephen.

— Tak jak tata.

Raczej nie dałoby się tego powiedzieć o starszym bracie Stephena, Everecie. Był od niego dziesięć lat starszy i czułam, że mnie nie akceptuje: uważał, że jestem zbyt młoda i niedoświadczona, by zostać żoną poważnego architekta. Stephen oczekiwał, że jego brat zajmie się papierkową robotą w firmie, którą razem stworzyli. Stephen przejawiał ogromne zainteresowanie klientami, a gust i wymagania przyszłego właściciela domu starał się poznać do najdrobniejszych szczegółów, na równi z terenem, na którym miał stanąć budynek; w pracy musiał się jednak oderwać od wszelkich spraw związanych z firmą. Wyłączał się od wszystkiego z wyjątkiem wizji powstających w jego umyśle, które potem przenosił na papier, by w końcu mogły stać się zadowalającą wszystkich rzeczywistością.

Dużo lepiej układało mi się z Meryl Asche, żoną Everetta. Była trochę starsza ode mnie... mniej więcej w wieku Stephena. Meryl, wiecznie zajęta, energiczna kobieta, niezbyt ładna, ale za to o silnej, wzbudzającej szacunek osobowości. Przypuszczałam, że owinęła sobie wokół palca swego bardziej prozaicznego męża, a on nawet nie zdawał sobie z tego sprawy. Czasami miałam

Phyllis A. Whitney

nieprzyjemne uczucie, że Meryl jest mnie trochę żal i dlatego zaprzyjaźniła się ze mną.

Tylko raz Meryl wspomniała o Stephenie, a i to w formie pytania.

— Czy jesteś pewna, Lynn, że będziesz szczęśliwa z człowiekiem, który zawsze bez problemów zdobywa to, czego chce, i nigdy niczego sobie nie odmawia?

Oczywiście, że tak! Szczególnie wtedy, gdy tym, czego chciał Stephen, byłam ja.

Tak więc leżał teraz na szczycie wzgórza obok mnie i wylewał z siebie potok słów, a ja słuchałam z zadowoleniem.

— Będzie też mnóstwo miejsca dla dzieci, kiedy przyjdzie na to czas. Może w samym końcu na parterze, tam przynajmniej nie będą nam aż tak wchodzić na głowę. Znajdziemy dla nich dobrą niańkę, to nie będziemy musieli sami ciągle zajmować się nimi.

Nie zgadzałam się z tym, ale nie powiedziałam ani słowa. Pragnęłam dziecka i nie przejmowałam się obojętnym stosunkiem Stephena do potomstwa. Kiedy już zostanie ojcem, jego nastawienie zmieni się całkowicie. Sama chciałam się zajmować swoimi dziećmi, opiekunka będzie przychodzić jedynie od czasu do czasu, ale wiedziałam dobrze, że teraz lepiej się o to nie spierać. Cały czas trwał nasz miesiąc miodowy i mąż pragnął mieć mnie całą dla siebie, czym wprawiał mnie w nie-wysłowione szczęście. Słońce zniżało się już w kierunku gór, spojrzałam na zegarek i aż podskoczyłam, wyciągając rękę do Stephena.

— Jeśli mamy wieczorem zjeść kolację z Everettem i Meryl i jeszcze zdążyć do teatru, to powinniśmy już ruszać.



## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

13

Nadal mieszkaliśmy w małym apartamencie w Charlottesville, więc bardzo się cieszyłam, że spędzimy ten wieczór poza domem. W teatrze uniwersyteckim występowała miejscowa tancerka, która popularność zawdzięczała tylko sobie. Była tancerką w nowym stylu, a pseudonim, jaki sobie przybrała, brzmiał: Oriana Devi. Dla Stephena stanowiło to miłą rozrywkę, ale przede wszystkim dla mnie, bo nie byłam aż tak zabiegana jak mój mąż. Potem pójdziemy na przyjęcie na cześć tancerki; wiedziałam już doskonale, w co się ubiorę dla mojego mężczyzny — w niebieską sukienkę z tafty, 0 której mówił, że pasuje do moich oczu.

Ponieważ mój ojciec nie lubił kobiecej próżności

1 zawsze trzymał mnie krótko, wyrastałam nieświadoma swego wyglądu i dlatego tak bardzo zasmakowałam w komplementach Stephena. Któż nie lubi być nawet przeceniany? To przecież znacznie lepiej, niż być niedocenianym, co stanowiło filozofię mego ojca w postępowaniu z kobietami. Moja mama też cierpiała z tego powodu.

Pozbieraliśmy rzeczy i ruszyliśmy w dół do miejsca, gdzie Stephen zostawił samochód. Nie miałam żadnych złych przeczuc, gdy tak, trzymając się za ręce, biegliśmy do samochodu. Żadnego ostrzeżenia, że minie dwanaście lat, zanim znowu znajdę się na tym wzgórzu. Z uczuciem błogości usiadłam obok męża i ruszyliśmy do Charlottesville.

## 1

Rzadko czułam się aż tak wykończona, i to zarówno psychicznie, jak i fizycznie. Przesiadywanie godzinami przy łóżku umierającego dziecka zawsze było trudne, a jednak sama wybrałam tę pracę i mogłam ją wykonywać z uczuciem. To właśnie ona dawała mi w owym czasie najwięcej satysfakcji. Być może zrozumienie, jakie miałam dla tych dzieci — sympatia, która umacniała się we mnie zamiast osłabiać — pojawiła się dwanaście lat temu, gdy umarła jakaś częśćka mnie samej. Lata udreki minęły bezpowrotnie, może z wyjątkiem tych chwil, kiedy czułam się tak wycieńczona i słaba, jak teraz.

Wyjęłam pocztę ze skrzynki w holu i wdrapałam się po schodach na drugie piętro, marząc o windzie. Moje mieszkanie na Staten Island znajdowało się w starym budynku, ale miałam stąd blisko do portu, i panowała tu cisza i spokój. Uwielbiałam rozległy widok niewysokich wzgórz na wyspie, a także tych koło New Jersey, wyglądających zza Kill van Kuli. Znaczna część tych terenów była już uprzemysłowiona, ale rozświetlone pod wieczór nadal sprawiały magiczne wrażenie. W porównaniu z betonowoasfaltowym Manhattanem była to wieś.

Na górze opadłam na moje ulubione krzesło, zrzuci-

Phyllis A. Whitney

łam buty z nóg i zaczęłam otwierać listy. Ciągle jeszcze miałam w pamięci każdy szczegół dzisiejszego dnia. W kilku przypadkach to dorośli, a nie dzieci, stanowili największy problem, z jakim musiałam sobie radzić. Rodziców, pełnych obaw i współczucia, trzeba było czasem powstrzymać przed wyrządzeniem zła w dobrej wierze. Widziałam, jak obsypują prezentami chore dzieci, nie zauważając potrzeb ich zdrowego rodzeństwa. Dziewczynka czy chłopiec, nauczani manipulowania dorosłymi wokół siebie, często robili to samo z rodzicami. Bywało też tak, że podczas mojej wizyty w szpitalu jakaś zaborcza pielęgniarka z pediatrii stawiała się zazdrosna i traktowała mnie niczym intruza.

Dzisiaj właśnie zdarzył się taki wypadek, wymagający największej dyplomacji i powagi, na jaką tylko było mnie stać. Susan, moja mała pacjentka, okazała się wspaniała. Zawsze zdumiewała mnie odwaga i pogoda ducha tych dzieci, nawet gdy bardzo cierpiały. Ale dzisiaj nie szło mi najlepiej ani z pielęgniarką, ani z matką Susan. Zapomniałam, że to nie ja tu decyduję; miałam tylko pomóc — najdyskretniej, jak umiem. Do mojej niecierpliwości doszło jeszcze przekonanie, że potrzebuję odpoczynku... jeśli rzeczywiście mam pomóc moim małym pacjentom, czas zregenerować siły do walki, którą trzeba za każdym razem zaczynać od nowa. Wiedziałam, że mam wiele do ofiarowania — pod warunkiem jednak, że nie będę aż tak zmęczona, fizycznie i psychicznie. Najgorsza była świadomość, że tego dziecka, które zaczynałam kochać, może już tu nie być podczas mojej wizyty następnego dnia. Czasem jednak udawało mi się pomóc, i dzieciaki wracały całkowicie do zdrowia...

Wzięłam do ręki kopertę, nieprzyjemnie zaskoczona stemplem /. Wirginii. Przez te wszystkie lata Meryl

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

12

Asche pisywała czasem do mnie, chociaż ta korespondencja niezbyt mnie cieszyła. Nie był to jednak charakter pisma Meryl. Kopertę poprawnie zaadresowano do Lynn McLeod, gdyż po rozwodzie ze Stephenem powróciłam do swego panińskiego nazwiska. Nazwisko przy adresie zwrotnym brzmiało: Vivian Asche Forster. Oczywiście, to „Asche” zatrwożyło mnie, a i adres zwrotny był boleśnie znajomy.

Wiedziałam, że kiedy opuściłam Wirginię, Larry Asche, ojciec Stephena, ożenił się ponownie. Zmarł pięć lat temu, pozostawiając syna i jego owdowiałą macochę. Najwidoczniej ta kobieta... Vivian... po śmierci Larry'ego znowu wyszła za mąż, ale nadal mieszkała w domu Stephena.

Poczułam się zakłopotana listem od niej i niechętnie otworzyłam kopertę. Było to zaproszenie do Wirginii... do domu Stephena! Dwa tygodnie temu pojechałam do Chicago, by wystąpić w telewizji, w programie Oprah Winfrey; Vivian Forster obejrzała go i wysłuchała mojego opowiadania o pracy z obłożnie chorymi dziećmi. A teraz wpadła na absurdalny pomysł, że córka Stephena Asche... z inną kobietą!... potrzebuje mnie. Nie żeby to dziecko było umierające — wręcz przeciwnie — co sprawiło, że jej prośba brzmiała jeszcze dziwniej. Ponownie przeczytałam ten akapit listu.

*Jeśli Pani przyjedzie, a błagamy o to, zamieszka Pani z nami. Nie musi się Pani widzieć ze Stephenem, chyba że sama Pani tego zechce. On nawet nie musi wiedzieć, że Pani tu jest. Jak Pani zapewne słyszała, po zeszłorocznym wypadku Stephen może się poruszać tylko na wózku inwalidzkim. Jego pokoje są bardzo oddalone od tych, w których Pani się zatrzyma, a na zewnątrz wychodzi rzadko. Zajmie się Pani tylko dzieckiem — córeczką Stephena, Jilly.*

Phyllis A. Whitney

Prośba, oczywiście oprócz tego, że była głupia, była także zupełnie niestosowna. Żeby prosić właśnie mnie, o pomoc dziecku Stephenowi!

Kiedy już trochę odpoczęłam i przygotowałam sobie coś do jedzenia, natychmiast odpisałam, odmawiając tej kobiecie. Wy tłumaczyłam jej, że mam mnóstwo pracy i nie mogę rzucić wszystkiego, by pojechać do Wirginii. A poza tym, zajmuję się jedynie obłożnie chorymi, nie jestem więc odpowiednią osobą dla tego dziecka.

Nie było to tak zupełnie prawdą, że nie mam czasu, bo właśnie na miesiąc przerwałam praktykę, gdyż ogromnie potrzebowałam odpoczynku. Cała reszta się zgadzała.

Zaadresowałam, a potem zakleiłam kopertę i ciągle trzymając ją w ręce, wbrew swej woli pograżyłam się we wspomnieniach.

Jakaż byłam naiwna, gdy po południu, wiele lat temu, jechałam z mężem do Charlottesville.

Spotkaliśmy się z bratem Stephenem i jego żoną, poszliśmy razem na kolację, a potem na występ Oriany Devi. Tancerka utrzymywała wprawdzie, że jej babka pochodziła z Indii, ale wymyśliła sobie taki pseudonim, żeby ładnie się prezentował na plakatach. Tańczyła w sposób oryginalny, pełen fantazji i niepokojąco mistyczny, rzucając jakiś urok na całą widownię, a w szczególności na Stephenem. Oriana była jedną wielką tajemnicą, obiecywała cuda każdemu, kto tylko się jej przyglądał.

Po występie poszliśmy wszyscy na bankiet wydany na cześć Oriany i wtedy tancerka po raz pierwszy ujrzała mojego męża. Tak po prostu. Pamiętam, jak bardzo bezradna się czułam i z jakim niedowierzaniem patrzyłam na to, co się wydarzyło. Niemal w jednej chwili. Minał miesiąc albo coś koło tego, a budowa domu posuwała się bez żadnych opóźnień. Rozpoczęły się wyko-

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

19

py, Stephen zaś przyniósł mi piękny wielki odłamek kwarcu wykopany przez buldożery. To był skarb, który zamierzałam położyć na stoliku do kawy, kiedy się już wprowadzimy do naszego nowego domu. Kiedy miesiąc później wyjeżdżałam z Wirginii, zostawiłam tam kamień.

Sądzę, że tak naprawdę nigdy nie skorzystałam z okazji, aby przeciwstawić się czarom Oriany, Stephen także nie. Tancerka miała w sobie dojrzałość, jakiej mi brakowało, dzięki temu, że była o kilka lat starsza od mojego męża. On miał już pewne nawyki, którym zawsze ulegał i których istnienia nigdy nie negował. Był przybity tym, co się stało — tak przynajmniej utrzymywał. Nigdy nie chciał mnie skrzywdzić. Ale co mógł zrobić — wyrzuty sumienia nie powstrzymały go od sięgnięcia po to, czego wtedy najbardziej pragnął. Byłam zbyt młoda i przygnębiona, aby przeciwstawić się kobiecie w rodzaju Oriany, brutalnie godziło to także w moją godność własną. Tak więc pojechałam do domu na Staten Island, by leczyć rany i utwierdzić się w przekonaniu, że Stephen nie był wart moich cierpień. Moi rodzice jeszcze wtedy żyli; mama mnie kochała i wspierała, lecz czułam, że ojciec wini mnie za nasze zerwanie i za to, że nie umiałam zatrzymać męża przy sobie. Przynajmniej raz mu się sprzeciwiłam i wyprowadziłam się do własnego mieszkania. Zatrudniłam się na pół etatu i z pomocą mamy skończyłam studia. Kiedy uzyskałam tytuł doktora psychologii, rozpoczęłam pracę w szpitalu. Stopniowo odkrywałam w sobie specjalne uzdolnienia, a teraz otworzyłam już prywatną praktykę w dziedzinie, która nie była zbyt popularna.

Przez te wszystkie lata zmieniła się nawet i poszerzyła moja wiedza o śmierci. Powoli doszłam do przekonania, że po tym, co nazywamy śmiercią, musi istnieć

Phyllis A. Whitney

jakąś inną formą „życia”. W pewnym stopniu ta świadomość uspokajała mnie, gdy umierało jakieś dziecko, którym się zajmowałam. Prawdziwym cudem, do którego dążyłam, i który czasami się zdarzał, był całkowity powrót do zdrowia — i właśnie owa nadzieja stanowiła moją siłę. Wierzyłam w uzdrowienie, którego mogła dokonać nasza wola i nasza miłość. Tej właśnie wiary zabrakło mi w przypadku Susan. To moja wina. Mój umysł okazał się już za bardzo zmęczony, by walczyć, marzyłam jedynie o odpoczynku.

Następnego dnia wysłałam list do Vivian Forster i starałam się wymazać z pamięci cały incydent. Myślałam już tylko o urlopie.

Jednak po tygodniu pani Forster znowu się odezwała.

*Mój mąż jest zdania, że istnieją różne rodzaje śmiertelnych chorób. Jilly umiera na swój sposób. To dlatego uważamy, że jest Pani tu potrzebna. Julian sądzi także, że chyba właśnie znalazła się pani na rozdrożu. Może to właściwy czas, aby zająć się czymś innym — dla Pani własnego dobra i rozwoju. Nawet jeśli będzie się to wiązało z czymś niepewnym i ryzykownym. Nie mam pojęcia, skąd on zna się na tych sprawach, ale proszę mi wierzyć, że zna się doskonale.*

*Chcielibyśmy przynajmniej z Panią porozmawiać i może chociaż poznałaby Pani Jilly. Jej matka kręci właśnie film w Kalifornii, więc nie będzie Pani musiała spotkać się z żadnym z jej rodziców. Liczy się tylko to dziecko. Julian jest przekonany, że to właśnie Pani może ją uratować. Proszę nie odmawiać i nie postępować wbrew sobie.*

List był bardziej nagły niż poprzedni, ale nadal obrażała mnie jego treść. Dlaczego ci ludzie uparli

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

21

się właśnie na mnie? Pracowałam wprawdzie z dziećmi o chorych ciałach, ale dlaczego ja? Fakt, że to matka Jilly była kobietą, która zabrała mi Stephena, powinien już wystarczająco zniechęcić Forsterów. Więc co za nielogiczne rozumowanie zmusiło ich do napisania do mnie?

I chociaż niewiele sobie robiłam z listu pani Forster, słowa Juliana Forstera zaskoczyły mnie swą nieoczekiwaną spostrzegawczością. Skąd mógł wiedzieć, że znalazłam się na rozdrożu? Moje zdolności wymagały ciągłej praktyki i nowych doświadczeń, bym mogła się rozwijać zawodowo... ale tylko ja mogłam o tym wiedzieć. Co on mógł wyczuć, oglądając mnie jedynie w programie telewizyjnym? Ten mężczyzna zaczynał mnie intrygować.

Ostatnie wersy listu pani Forster odwoływały się do uczuć, o których myślałam, że już nigdy nie będę musiała ich wskrzeszać.

*Jilly ma dziesięć lat, jej matka zbyt często jest nieobecna, a ojca nie interesuje nawet to, co się dzieje z nim samym, ani co się dzieje z kimkolwiek innym. Julian wierzy, że PANI ma jakąś więź z tym dzieckiem... być może na poziomie metafizycznym... i że Pani przyjedzie.*

Jakiś metafizyczny poziom? Trochę to dziwne. Nawet na chwilę nie przystanę na to, że mogłabym mieć jakąś więź z tymi ludźmi w Wirginii. Widziałam, oczywiście, takie nieszczęśliwe, odrzucone dzieci, bo ich rodzice nie umieli sobie radzić z własnymi problemami i bólem. Czasem rodzice nazbyt się poświęcali, ale czasem po prostu uciekali przed tym, czemu nie mogli zaradzić, z czym bali się zmierzyć.

Jednak ta sytuacja z pewnością jest inna. To nie dziecko było chore, lecz ojciec. Z wielkim trudem



Phyllis A. Whitney

mogłam sobie wyobrazić Stephena Asche jako człowieka pozbawionego odwagi, który stracił swój nieposkromiony apetyt na życie. Czytałam w gazecie o owym wypadku rok temu. Wtedy Stephen był osobistością znaną na tyle, by poświęcić mu kilka linijek. Przeżył straszny wypadek na terenie budowy luksusowego osiedla mieszkaniowego. Miał złamany kręgosłup i przez kilka tygodni znajdował się w stanie śpiączki. Obudził się jako bezradny kaleka, a jego kariera i życie były zrujnowane. W oficjalnych informacjach znalazło się jeszcze coś, czego nie mogłam sobie przypomnieć... W tym samym czasie, kiedy miał miejsce ów wypadek, zginął jeszcze jakiś mężczyzna. Myślałam, że Meryl napisze mi o tym, co się wydarzyło, ale od tego czasu nie miałam od niej żadnej wiadomości i byłam jej za to naprawdę wdzięczna.

Oczywiście, było mi żal tamtego młodego Stephena, którego kochałam, ale zdałam sobie sprawę z tego, że on już nie istnieje, tak jak nie istniała już dziewczyna, która go poślubiła. A teraz ten człowiek, Julian Forster, który nic o mnie nie wie i nigdy mnie nie spotkał, w jakiś dziwny sposób starał się do mnie dotrzeć, ponieważ Jilly Asche i ja okazałyśmy się w pewnym sensie do siebie podobne. Obie zostałyśmy odrzucone, zdradzone — przez Stephena i Orianę. Ja jednak miałam czas, by przyjść do siebie, ale Jilly straciła ojca dopiero rok temu w tym wypadku.

Tydzień zwlekałam z podjęciem decyzji. W końcu uległam, bo nie mogłam już sobie poradzić z samą sobą. Napisałam do pani Forster, że przyjadę do nich, ale tylko na jeden dzień. Wystarczająco długo, by się przekonać, czy będę w stanie coś im doradzić. Tylko tyle mogłam obiecać. To miał być początek mojego urlopu, którego większość chciałam poświęcić sobie.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

18

Moja zwięzła odpowiedź została przyjęta przez Vivian Forster ze zbyt wielkim entuzjazmem, bym mogła się już wycofać. W ustalonym dniu wyjechałam wcześniej rano, wrzuciwszy do bagażnika walizkę spakowaną na wakacje i torbę podręczną. Droga była długa, zatrzymywałam się kilkakrotnie, tak że niezbyt zmęczona dotarłam na miejsce późnym popołudniem.

Każdy kilometr od Nelson County do Charlottesville wydawał mi się zbyt znajomy, a okolica wyglądała na niemal nie zmienioną. Pamiętam nieregularną bryłę niskich gór u podnóża Blue Ridge. „Postrzępione Góry” — napisał o nich kiedyś Edgar Allan Poe, kiedy studiował, krótko, na uniwersytecie w Wirginii. Znalazłam boczną żwirową drogę, którą jeździłam ze Stephenem, przebijającą się przez las ku górze wśród dębów, klonów, topoli i różnych innych wiecznie zielonych drzew. No i oczywiście przez las dereni. Dziwne, był początek listopada — niemal o tej samej porze roku znajdowałam się ostatnio na tej górze. Był ciepły, jesienny dzień, a jasnoczer-wone derenie łamały mi serce. Ich piękno stanowiło ogromną część marzeń, jakie snuliśmy ze Stephenem — zaczęłam sądzić, że to głupota przyjeżdżać tutaj. A jednak ciągnęła mnie jakaś siła i nie mogłam się jej przeciwstawić. Może to potrzeba otwarcia i oczyszczenia starych ran, które tak naprawdę nigdy się nie zagoiły...

Nagle zza zakrętu pnącej się ku górze drogi wyłonił się dom. Nie byłam na to przygotowana, minęłam więc podjazd i zaparkowałam samochód na trawiastym zboczu. Nie chciałam pojawiać się tam od razu. Najpierw musiałam zobaczyć, co mnie tu czeka, i przekonać się, że potrafię zapanować nad swoimi emocjami. Czułam

Phyllis A. Whitney

się taka naiwnie pewna, że już „wyzdrowiałam” i że potrafię sobie ze wszystkim poradzić.

Ścieżka na szczyt okazała się bardziej zarośnięta, niż ją zapamiętałam, a jednak mogłam nią iść pod górę z łatwością. Dróżka się skończyła, a ja wspierałam się na wierzchołek, wolny od otaczających go drzew i spojrzałam w dół na dom, który zawsze miałam przed oczami. Znałam doskonale każdy jego szczegół, chociaż wyjechałam z Wirginii na kilka miesięcy zanim został zbudowany.

Niemal wszystko wyglądało dokładnie tak, jak to Stephen wyrysował na pierwszych planach... jak go stworzył na papierze i ożywił dla mnie. Budynek pode mną przylegał do stoku wzgórza, szary i niski, zbudowany z cyprysów i górskich kamieni. Pasował do tej góry, tak jak chciał tego Stephen. Tarasowe dachy wyrastały stopniowymi segmentami z długiej, zaokrąglonej podstawy... rozpoznawałam każdy szczegół! Nawet baterie słoneczne na najwyższym poziomie wyglądały dokładnie tak, jak Stephen je zaplanował.

Była tylko jedna innowacja. W najdalszym końcu domu, na urwisku, wybudowano małą letnią altankę. Drewno, z którego ją wykonano, pasowało do całego budynku. Mieściła się nad krawędzią przepaści. Nie miała ścian, więc mogłam zobaczyć umieszczone w środku ławki; gniazdo orła, lecz Stephen nie mógł już wzbić się w powietrze.

Apartament Forsterów, jak się dowiedziałam z ostatniego listu Vivian, mieścił się właśnie z tej strony niższego piętra mieszkalnego, a pokoje Stephena znajdowały się w najdalszym końcu tej samej kondygnacji, w miejscu, gdzie wzgórze zakręcało. Piętra połączono zewnętrzną rampą... niewątpliwie udogodnienie dla

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

25

wózka, którego nigdy nie brano pod uwagę w oryginalnych planach.

Drugie piętro, mniejsze od dolnego, mieściło prawdopodobnie pokoje gościnne, bibliotekę i inne pomieszczenia, jakie zaplanował Stephen. A jednak to część położona najwyżej przyciągała moją uwagę i zasmuciła mnie. To miało być nasze królestwo.

Widziałam oszklone drzwi, w których kolorem cynobru odbijało się zachodzące słońce, rzucając wydłużone cienie. Po niebie przeleciał samolot, a w najniższej warstwie różowotruskawkowej wstęgi, jaką za sobą zostawiał, odbijały się promienie słoneczne. I tak, jak chciał Stephen, z tego miejsca można było sobie wszystko dokładnie obejrzeć. Widziało się stąd nie tylko wschód i zachód słońca, ale także księżyc.

W tym momencie ból ścisnął mi serce... za dużo pamiętałam. Kiedy po raz pierwszy trafiliśmy do tego miejsca, staliśmy tu wieczorem, przyglądając się sierpowi księżyca przepływającemu ponad górami. Księżyc, częściowo zakryty przez mgłę, zmienił kolor ze złotego na mglisto biały i przyszedł mi wtedy do głowy dziwny pomysł.

— Nazwijmy to miejsce Domem Białego Księżyca! — powiedziałam do Stephena.

Pocałował mnie, nie mając nic przeciwko temu sentymentalizmowi.

— Świetnie! Będzie to Dom Białego Księżyca. Zastanawiałam się, jak teraz nazywają to miejsce.

Próbowałam oderwać się od wspomnień i dalej

przyglądałam się budynkowi, który znałam tak doskonale, a którego nigdy wcześniej nie widziałam.

Szerokie gzymsy osłaniały pokoje przed słońcem i deszczem. Na najwyższym piętrze było miejsce na skrzynki z kwiatami, miniaturowymi drzewkami

Phyllis A. Whitney

i innymi roślinami — w sam raz na ogródek na dachu. Zdaje się, że od dłuższego czasu nikt nie troszczył się o te rośliny. Cała góra domu była ciemna i pusta, choć w oknach poniżej świeciły się światła.

Szok rzeczywistości okazał się znacznie gorszy, niż oczekiwałam. Myślałam, że jestem wystarczająco silna, by zmierzyć się z przeszłością, lecz nie byłam przygotowana na mieszaninę złości, oburzenia, zazdrości i zwykłego żalu, jakie mnie ogarnęły. Musiałam wziąć się w garść, i to szybko, żeby zejść na dół do frontowych drzwi i zawiadomić Forsterów o swoim przyjeździe.

Zaczęłam schodzić w dół ścieżką po wzgórzu, lecz nagle zatrzymałam się. Mała, może dziesięcioletnia dziewczynka siedziała ze skrzyżowanymi nogami na kamieniu niedaleko mnie. Jeszcze przed chwilą jej tam nie było; przyglądała mi się poważnymi, pozornie obojętnymi, szarzielonymi oczami. Była szczupła, delikatnej budowy, o lekko zaokrąglonym podbródku, i małym, zadartym nosku. Z oczu i ust przypominała łagodniejszą wersję Stephena. Kiedyś uwielbiałam te delikatne, podobne do półksiężyców dołeczki w kącikach jego ust, pojawiające się tuż przedtem, nim wybuchał śmiechem. Jilly miała usta mocno zaciśnięte, żadnego śladu wesołości... dołeczki były tylko wspomnieniem. Długie, czarne włosy, przewiązane na skroniach złotymi wstążkami, spływały jej na ramiona. Co do włosów, nie mogło być żadnej pomyłki — takie, jak Oriany. Dziecko było czarujące... lub może byłoby, gdyby jakikolwiek wyraz zagościł na jej twarzy. Przemówiłam do niej spokojnie.

— Cześć! Nazywam się Lynn McLeod. A ty z pewnością jesteś Jilly Asche.

Wstała bez zaciekawienia, bez żadnej reakcji; po prostu przyglądała się obiektowi, który się przed nią

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

22

pojawił. Miała dziwnie staromodną jak na dziecko sukienkę — jedwabną, w delikatne niebieskie kwiatki. Gdy Jilly wstała, sukienka opadła jej do kostek. Usztywniony biały kołnierz spinała kamea, co sprawiało jeszcze osobliwsze wrażenie. Długie rękawy z koronką przy mankietach sięgały do nadgarstków.

— Cześć — odpowiedziała z niechęcią i przez chwilę jakby nieoczekiwany strach zagościł w jej oczach, a kąciki ust zdrzębały, by natychmiast znowu zamienić się w stoicką obojętność.

Najwidoczniej to obcy miał się zaniepokoić. Zastanawiałam się, dlaczego.

Nie tracąc zimnej krwi przemówiłam ponownie:

— Przyjechałam zobaczyć się z panią Forster. Oczekuje mnie. Czy możesz mi powiedzieć, którądy będzie najbliższej do frontowych drzwi?

Inne dziecko pewnie by zapytało, po co najpierw wspięłam się na to wzgórze, lecz ona obojętnie wyciągnęła rękę, wskazując mi kierunek. Zobaczyłam zwyczajny mostek z drewnianą poręczą biegnący nad wąwozem i dochodzący do drugiego piętra domu.

— Dziękuję, Jilly — powiedziałam. — Zejdę tamtędy. Mam nadzieję, że jeszcze się zobaczymy.

Spojrzałam w dół na wąską kładkę, zastanawiając się, którądy do niej podejść, a kiedy odwróciłam się, kamień, na którym przedtem stała dziewczynka, okazał się pusty, a długiej niebieskiej sukienki nie było już nawet widać między drzewami. Dziecko uciekając nie narobiło wcale hałasu, mała po prostu zniknęła tak cicho, jakby stanowiła część otaczającej mnie mgły, która zaczynała pełzać po zboczu. Mój instynkt wysyłał sygnały alarmowe. Jilly Asche była przerażoną małą dziewczynką, a ja chciałam wiedzieć, dlaczego.

28 Phyllis A. Whitney

Kiedy wchodziłam na mostek, jakiś głos zawołał mnie z niższego piętra domu:

— Pani Lynn McLeod, prawda? Jestem Vivian Forster.

Głos był lekki, dźwięczny, a akcent należał do wykształconej osoby pochodzącej z Wirginii i brzmiał miło dla ucha.

Podniosłam wzrok z nasypu, na którym stałam, i zobaczyłam, że kobieta wyszła na taras na drugim piętrze. Pani Forster wyglądała młodziej, niż przypuszczałam... Mogła mieć niewiele ponad czterdzieści lat i była zaledwie o kilka lat starsza od Stephena, swojego pasierba. Larry Asche musiał poślubić młodą kobietę. Jasne, kręcone włosy miała związane z pozoru niedbale, lecz gustownie, jeden z loków opadał jej na policzek, a krótka grzywka zasłaniała czoło — wszystko wyglądało raczej sympatycznie i naturalnie. Miała na sobie białe, dobrze skrojone spodnie i zieloną wełnianą kamizelkę w różowe muszelki. Uśmiechała się ciepło i przyjaźnie, ale odczułam jakiś niepokój, spotęgowany jeszcze dodatkowo strachem dziecka.

— Proszę zejść na dół — zawołała. — Widziałam pani samochód na drodze, zaraz wniosą bagaże.

Umieściliśmy panią na drugim piętrze, właśnie sprawdzałam, czy wszystko jest w porządku.

Przeszłam przez mostek, a moje buty zastukały o deski. Vivian Forster wyciągnęła rękę. Miała ciepłą dłoń; mówiła, nie przerywając ani na chwilę, jakby potokiem słów chciała zamaskować to, co ją niepokoi. Czy ten przerażający dom z jakiegoś nie znanego powodu może mieć też na mnie wpływ?

Odezwała się do kogoś w ogrodzie poniżej:

— Sam, proszę, przynieś bagaże panny McLeod.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY 24

Najwyraźniej widziano mój przyjazd, ale nikt nie ingerował. Jeśli chciałam opóźnić pojawienie się w domu, zaakceptowano to — czyżby rozumiejąc, jak trudne mogło to dla mnie być?

— Dziękuję, że pani przyjechała — kontynuowała pani Forster, kiedy do niej podeszłam. — Mówmy sobie po imieniu, jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu. Nienawidzę oficjalnych form, a mam nadzieję, że się zaprzyjaźnimy.

Rozsunęła szklane drzwi i zaprosiła mnie do środka.

— To nasz apartament gościnny. Biblioteka, a właściwie gabinet mojego męża, jest obok, ale tu nikt ci nie będzie przeszkadzał. Przykro mi, że Juliana nie ma w domu, by cię powitać. Musiał coś załatwić w Charlottesville.

Sposób mówienia i zachowanie Vivian Forster wskazywały, że to ona zarządza domem, w którym przyszło jej mieszkać od samego początku, jeszcze ze swym pierwszym mężem Larrym Asche.

Najwyraźniej Stephen już się tu nie liczył, a nie umiałam powiedzieć, jaką pozycję zajmuje Oriana.

Pamiętałam ten apartament z planów Stephena, a teraz pokoje nabrały jeszcze trzeciego wymiaru.

Rzeczywistość znowu zaczęła mnie ranić. Musiałam pamiętać, że jestem tu obca i że ten dom odwiedzam po raz pierwszy. Nie mogłam sobie pozwolić nawet na najmniejszy niepokój.

Podłoga była wyłożona beżowymi dywanami. Dywan, sofa, krzesła i lampy w apartamencie gościnnym nie wyróżniały się niczym szczególnym. Raczej nie widać tu było surowych upodobań Stephena, jako że jego ojciec i macocha wprowadzili się wcześniej.

— Już za chwilę pozwolę ci odpocząć — powiedziała Vivian. — Miałaś długą podróż. Kolacja będzie



30 Phyllis A. Whitney

około siódmej, więc masz jeszcze trochę czasu. Jeśli to. tylko możliwe, obywamy się bez służby, więc ja gotuję. Lubię to robić. Jak będziesz gotowa, zjedź na dół, schody są pośrodku, tuż przed gabinetem Juliana.

— Wiem — odrzekłam, zapominając, że miałam się zachowywać jak ktoś z zewnątrz.

Vivian nie mówiła nic przez chwilę, może z zażenowania.

— Oczywiście. Przepraszam. Julian powiedział, że nie będzie ci łatwo. Muszę szczerze przyznać, że początkowo byłam przeciwna twojemu przyjazdowi. Nie rozumiałam, co możesz tu poradzić, ale Julian tak bardzo tego pragnął, że nie mogłam mu się sprzeciwić.

— Możemy usiąść na kilka minut? — zapytałam. — Chciałabym zadać ci kilka pytań, zanim wyjdiesz.

— Naturalnie.

Vivian usiadła lekko w jednym końcu sofy, zakładając nogę na nogę, a ja, trochę spięta, w drugim.

— Właśnie przed chwilą widziałam się z Jilly — powiedziałam. — Obserwowała mnie na wzgórzu, a potem pokazała mi, gdzie jest most. Nie wiem dlaczego, ale odniosłam wrażenie, że się mnie boi.

Vivian skinęła głową, a miękkie włosy opadły jej na czoło.

— Jilly obawia się wszystkiego. Ona rozpaczliwie potrzebuje pomocy, ale nie jestem pewna, czy może znaleźć ją tutaj.

— Ale dlaczego tak przestraszył ją mój widok?

— Obawiam się, że popełniłam błąd, mówiąc jej, że przyjeżdża ktoś, kto może będzie w stanie coś dla niej zrobić. Powinnam była wiedzieć, że przez to zamknie się jeszcze bardziej. To dziwne, ale nie chce od nikogo pomocy, choć przed wypadkiem ojca była najnormalniejszą w świecie, szczęśliwą dziewczynką.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY 26

— Czego ona się boi?

Wahanie Vivian sugerowało, że nie jest ze mną zupełnie szczerą.

— Nie jesteśmy pewni, ale cokolwiek to jest, ma to jakiś związek z wypadkiem Stephena. Nie mogliśmy wyjaśnić ci tego w liście, ale widok spadającego ojca musiał ją panicznie przestraszyć. Byli sami na miejscu budowy. Stephen wszystko zaprojektował i nadzorował prace budowlane. Którejś niedzieli zabrał ją ze sobą. — Vivian przerwała i wzdrygnęła się.

— To musiało być dla niej straszne — powiedziałam.

— Tak. Nie mogła nic zrobić, by go ratować. Znalazło ich dwóch uczniów myszkujących po terenie i sprowadzili pomoc. Od tego czasu Jilly miewała koszmary nocne. Była tak przybita, że musieliśmy zabrać ją ze szkoły i zatrudnić prywatnych nauczycieli w domu. Obawiam się, że nie na wiele się to zdało. — Głos Vivian powoli się podnosił i czułam, że wyraża coś więcej niż tylko troskę o Jilly.

Ujawniła to już w następnym zdaniu. — Wcale nie uważam, że ja i Julian powinniśmy nadal czuć się odpowiedzialni za dziecko, które ma ojca i matkę. Może lepiej by było posłać ją do szkoły specjalnej, dopóki nie odzyska równowagi psychicznej.

To wszystko mogło być prawdą — Stephen i Oriana zaczęli mnie irytować, jako że najwyraźniej zaniechali swoją córkę.

— A Everett i Meryl? — zapytałam. — Myślałam, że brat Stephena mógłby w czymś pomóc.

— To niemożliwe. Everett nie mógłby teraz pomóc nawet Stephenowi. Meryl robi, co może, ale nie jest to wiele.

— Czy Stephen przejawia jakiegokolwiek zainteresowanie swoją córką?

Phyllis A. Whitney

— On ma takie same problemy natury psychologicznej, jak i Jilly. Nie może nic zrobić dla małej, nie może pomóc nawet samemu sobie. Jego jedynym przyjacielem, jeżeli mogę go tak nazwać, jest Paul Woolf. To on opiekuje się Stephenem. Wiesz, że ten jest niemal bezradny. Paul pracował kiedyś w siłowni w Charlottesville, do której uczęszczał Stephen. Kiedy Stephen po wypadku wyszedł ze szpitala, Everett zatrudnił Paula na stałe. Stephen nie potrzebuje wprawdzie teraz pomocy medycznej, ale wymaga stałej opieki. Jest też młoda terapeutka Emory Dale, która zastępuje Paula, gdy ten ma wolne.

Muszę pamiętać, uprzytomniłam sobie, że nie znam już człowieka, o którym opowiada Vivian. Dwoje młodych ludzi, którzy pobrali się, kochali i wspólnie zaplanowali Dom Białego Księżyca, zniknęło gdzieś w ciągu tych lat, a to wszystko dokoła należało już do innych.

— Jak teraz nazywacie ten dom? — zapytałam. — Czy on ma jakąś nazwę?

Vivian spojrzała na mnie zaskoczona.

— Nazwę? Jeśli już w ogóle jakoś go nazywamy, to „Tarasy”. Uznaliśmy, że to do niego pasuje, i tak już zostało.

Cieszyłam się, że Stephen nie używał nazwy, którą chciałam nadać temu miejscu. Jednak naprawdę zaskoczyło mnie to, że w rozmowie nie wspominałyśmy Oriany.

— A co z Orianą? — spytałam wprost. Irytacja Vivian sięgnęła szczytu.

— Nie ma z niej żadnego pożytku. Nawet kiedy jest tutaj, nie troszczy się o Jilly. Oriana ma swoją karierę i zawsze ją stawiała na pierwszym miejscu. Przyjechała tu rok temu, kiedy Stephen miał wypadek, ale to

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

33

wszystko okazało się ponad jej siły, więc uciekła w pracę. Wpada, jak tylko pozwala jej na to rozkład zajęć, ale jest gorzej niż bezużyteczna. Wydaje się szczerze przywiązana do Jilly, jeśli tylko ma czas o niej pomyśleć. Julian wolałby jednak nie widzieć jej nigdzie w pobliżu.

Vivian Forster najwyraźniej liczyła się z większością decyzji męża i drętwiała na myśl o człowieku, którego miała poznać. Sprowadzono mnie tutaj na jego wyraźny rozkaz.

— Nadal nie rozumiem, dlaczego chciałaś, żebym przyjechała — zastanawiałam się głośno. —

Myślisz, że coś mogę zrobić? Nawet nie mam pojęcia, dlaczego cię posłuchałam.

Vivian odpowiedziała pewnym głosem, uśmiechając się lekko:

— Przyjechałaś, bo chciał tego Julian. Nie mogłaś mu się sprzeciwić. Taki już jest, gdy mu na czymś bardzo zależy.

— Nie rozumiem.

— Zrozumiesz, jak go poznasz. Jeśli nie chcesz tu zostać, lepiej wyjedź, zanim z nim się spotkasz. Nie czujesz, że nie mogłaś zaprzeczyć temu, co ci napisałam o rozdrożu? To nie ja pisałam ten list, chyba się zorientowałaś. Julian podyktował mi słowo po słowie. A ja nigdy nie odmawiam, jeśli Julianowi aż tak na czymś zależy. Jest dla mnie bardzo dobry i jestem pewna, że przeznaczono mi życie z nim po śmierci Larry'ego. To był dla mnie ciężki okres, a Julian praktycznie uratował mi życie.

Rozmawiała ze mną zupełnie szczerze. Miałam jeszcze setki pytań, ale nie mogłam ich zadać Vivian.

— Nie wyjadę, zanim nie spotkam się z twoim mężem — obiecałam.

34 Phyllis A. Whitney

— Wiedziałam o tym. Pójdę już przygotować kolację. Zejdź na dół, jak tylko będziesz miała na to ochotę.

Znowu chwila ciszy. I znowu miałam uczucie, że coś przede mną ukrywa — coś, czego jeszcze nie była gotowa mi zdradzić.

Wyszła, pstrykając palcami i pozostawiając mnie jeszcze bardziej niespokojną i niepewną, jednocześnie z mocnym przeczuciem, że coś ma się wydarzyć. Coś dziwnego działo się w tym domu, wyczuwałam to całą sobą... Jak gdyby jakaś siła z zewnątrz, której nie byłam w stanie się przeciwstawić, sprowadziła mnie tutaj z przyczyny dużo ważniejszej, niż mi się wydawało.

Wydawało się to głupie, przyznaję, i niezwykle dziwne, lecz na razie byłam gotowa płynąć tym nurtem, mając nadzieję, że nie ma tu żadnych przeciwpądów. Grunt, że nie muszę stanąć twarzą w twarz ze Stephenem Asche!

## 2

Weszłam do sypialni apartamentu gościnnego, stanęłam przy oszklonych drzwiach i spojrzałam na ciemniejącą linię gór piętrzących się coraz wyższymi rzędami na horyzoncie, by w końcu osiągnąć wysokość Blue Ridge. Stephen powiedział mi kiedyś, że to błąd nazywać je górami Blue Ridge. Tak naprawdę było to długie pasmo grzbietów górskich, ciągnące się wiele kilometrów przez kilka stanów. Na początku naszego małżeństwa jeździliśmy przez Blue Ridge, podziwiając potężne szczyty po obu stronach drogi. Byliśmy wtedy tak bardzo w sobie zakochani — tak przynajmniej mi się wydawało — a Stephen cieszył się, mogąc pokazać mi swoją Wirginię. Tu właśnie dorastał, stąd też pochodził mój ojciec, pokochałam więc Wirginię tak jak Stephen i uznałam ją za mój rodzinny stan. To wszystko zdarzyło się wieki temu i chciałabym móc wreszcie przestać myśleć o czymś, co nie ma już żadnego znaczenia.

Sam wniósł moje bagaże; przyjacielski i jasnowłosy, mówił dialektem tych gór, trudnym do zrozumienia dla kogoś, kto tak jak ja przyzwyczyił się do północnego akcentu. Tak samo było w przeszłości, zanim złapałam ten inny rytm wypowiedzianych słów. Zwracał się do

Phyllis A. Whitney

mnie „proszę pani”, z pełną szacunku uprzejmością, a ja podziękowałam mu serdecznie. W gruboskórnych miastach Północy zapomina się, jak miły może być szacunek i uprzejmość.

Wzięłam prysznic i zaczęłam się ubierać, myśląc cały czas o małej Jilly — to od Jillian? Wielkie, szarzielone oczy przypominały mi Stephena, choć jego były inne — jasnozielone. Skrzywiłam się. Kiedy to się wreszcie skończy? Powinnam się nauczyć panowania nad emocjami, które, jak mi się wydawało, miałam już dawno za sobą.

Ubrałam się, a potem krytycznym wzrokiem obejrzałam się w dużym lustrze w drzwiach łazienki. Jedwabna koszula powiewała przy każdym moim ruchu, narzucona na wierzch, a bluzka w kolorze koniaku współgrała ze spódnicą w kolorze złota. Nie nosiłam żadnej biżuterii z wyjątkiem kolczyków z granatami. Już dawno zrezygnowałam z pierścionków od Stephena, więc na rękach nie miałam nic, paznokci też nie malowałam. Pamiętam, jak ukrywałam dłonie w fałdach spódnicy, siedząc obok Oriany i przyglądając się pomalowanym na różowo paznokciom tancerki, których kształt przykuwał uwagę Stephena. Już przy pierwszym spotkaniu! Nawet później nie malowałam paznokci, z głupiej przekory.

Chyba przede wszystkim musiałam przebaczyć samej sobie. Wtedy czułam się taka młoda i niedoświadczona, nie miałam jeszcze własnego stylu... Próbowałam stać się taka, jaką chciał mnie widzieć Stephen. Teraz wiem, że było to głupie. I prawdopodobnie nudne. Nigdy nie myślałam o tym, co Stephen mógłby mi dać, więc nie mogło być mowy o żadnym partnerstwie.

Kobieta w lustrze również mi się przyglądała. Starłam się być obiektywna. Odbicie ukazywało osobę mło-

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

32

dą, raczej zgrabną, o ciemnobrązowych włosach; kobietę, która znała już swoją wartość, niezależnie od tego, co się działo. Moje włosy zawsze lekko falowały, lecz teraz upięłam je w puszysty kok, zamiast związać je nisko w kucyk, jak to robiłam dla Stephena.

Gdybyśmy się spotkali, pewnie nawet by mnie nie poznał. Wyglądałam teraz dużo poważniej niż ta dziewczyna, którą pamiętał. Jeśli pamiętał. Kiedyś często się śmiałam: Stephen Asche, tak inteligentny, umiał być też bardzo zabawny. Zawsze mnie rozbierał swoimi nieoczekiwanymi błazeństwami, zresztą wtedy uwielbiałam się śmiać. Teraz to już nie miało znaczenia, poza tym nie miałam wielu powodów do śmiechu.

Zeszłam na dół wąskimi, wyłożonymi dywanem schodami — wąskimi dlatego, że Stephen uznał, iż szerokie schody to już przeszłość, a poza tym nie chciał marnować miejsca. Vivian podeszła do mnie. Była jakby trochę nieobecna, jej uwagę odwracało coś, co się działo na dworze.

— Julian właśnie wrócił — powiedziała. — Słyszę jego samochód. Usiądź, Lynn.

Wskazała ręką fotele ustawione przed szklanymi drzwiami, przez które przenikało blednące światło popołudnia. Centralna część pokoju była jasno oświetlona, sofa i krzesła miały neutralny kolor, podkreślony satynowymi poduszkami w paski, ułożonymi na uroczym niebiesko-kremowo-karmelowym chińskim kilimku. Usiadłam przy niskim stole sporych rozmiarów, inkrustowanym orientalnym drewnem, i rozejrzałam się ciekawie. Mimo wcześniejszych postanowień chyba ciągle szukałam Stephena w domu, który przecież sam zbudował, ale jak dotąd nie udało mi się go znaleźć.

Długi pokój z szafką na książki w odległym końcu wyglądał dosyć elegancko, ale nie przypominał gustu



Phyllis A. Whitney

człowieka, którego znałam. Stephen nigdy nie dążył do elegancji, nie zależało mu na niej. Lubił dramatyczne kolory — podniecające, typowe dla jego natury. Pokoje są po to, by w nich mieszkać, powiedziałby porywczo, a nie po to, by im się przyglądać jak obrazom. Amerykanie to energiczni, bezceremonialni ludzie, a ich domy powinny odzwierciedlać te cechy, bez pretensjonalności czy naśladownictwa. Ten pokój był piękny, w starym stylu, w doskonałym guście, ale nie znalazłam w nim żadnego śladu osobowości Stephena Asche.

Vivian przebrała się w czarne spodnie z jedwabnej krepy i czarną tunikę wyszywaną na ukos w szkarłatno--brązowe jesienne liście, podkreślające jej jasne włosy i delikatny makijaż. Miała złote kolczyki w kształcie liści, w których przy każdym ruchu odbijało się światło. Macocha Stephena wyglądała równie dekoracyjnie jak cały pokój, jak czasy, które już minęły... Jak spokojne życie pasujące do tych ścian.

Z zainteresowaniem przyglądałam się Julianowi Fosterowi, gdy wchodził do pokoju i witał się z żoną. Nastąpiło między nimi coś w rodzaju porozumienia — chwila pytań i odpowiedzi, jeszcze zanim padło jakiegokolwiek słowo. Vivian nie była już cicha i spokojna jak przed chwilą.

— Jeszcze nic nie mówiłem Everettowi — powiedział do niej. — Wkrótce się spotkamy, więc to może poczekać.

— Ale policja... — zaczęła Vivian, ale mąż powstrzymał ją wzrokiem.

Obserwowałam ich nie przeoczywszy niczego. Wyczuwałam, że coś się stało, ale cokolwiek to było, nie zamierzali mnie o tym poinformować. Nic dziwnego, przecież byłam tu obca, ale to tylko zwiększało moją

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

34

ciekawość. Zwłaszcza że mogło to dotyczyć również Jilly.

Podeszli do miejsca, gdzie siedziałam. Vivian, przedstawiając mi męża, starała się nadać swojemu głosowi normalne brzmienie. Julian przywitał się ze mną ciepło i przyjaźnie, podając mi rękę. Podbił mnie zupełnie; zniknęła cała moja poprzednia niechęć do tego człowieka. Nastąpiło to chyba trochę szybciej, niż bym tego chciała. Był z pewnością dwadzieścia lat starszy od żony — wysoki, szczupły, o dosyć ascetycznym wyglądzie. Teoretyk bardziej niż praktyk? Gęste siwe włosy, zaczesane do tyłu, odsłaniały szerokie czoło; ciemne, głęboko osadzone oczy przyglądały mi się otwarcie, wydając się aprobować to, co zobaczyły.

— Dziękuję, że pani przyjechała, Lynn McLeod — powiedział, siadając na sofie obok mnie. — Zdajemy sobie sprawę, że musiało to być dla pani bardzo trudne, ale może po spotkaniu z Jilly wszystko pani zrozumie.

— Już się z nią widziała — wtrąciła Vivian i opowiedziała, w jaki sposób natknęłam się na Jilly.

— I co pani o tym myśli? — spytał mnie Julian.

— Jak mogę cokolwiek myśleć? Przede wszystkim nie rozumiem, dlaczego pan chciał, żebym tu przyjechała.

— A dlaczego pani tu przyjechała? — zapytał wprost.

To pytanie zbiło mnie z tropu. Nie umiałam udzielić jasnej odpowiedzi. Nie umiałam jej udzielić nawet samej sobie. W każdym bądź razie nie było to nic, do czego chciałam się przyznać.

— Nieważne — powiedział. — Coś panią tu przyciągnęło i to mi na razie wystarczy. Jak długo może pani zostać?

35 Phyllis A. Whitney

— Dzień, może dwa. Jedno spojrzenie na Jilly wystarczy, by dostrzec problemy, z którymi nie potrafię sobie poradzić. Nawet jeśli zrozumie, skąd one się biorą, mogą minąć całe miesiące, zanim uda się im zaradzić. A mam przecież inną pracę. Pan z pewnością wie lepiej ode mnie, czego ona się boi.

Odpowiedział cicho, dziwnym głosem:

— Proszę jej poświęcić cały ten czas. Co do minuty. Muszę postarać się nie poddawać presji, jaką Julian

Forster zaczynał na mnie wywierać. Zapytałam więc

**0** coś zupełnie innego:

— Czy Jilly wie, kim jestem? Chodzi mi o moje małżeństwo z jej ojcem.

— Och, nie! — Vivian powiedziała to tak szybko, że aż się przeraziłam. — Jilly wie, oczywiście, że jej ojciec miał przed Orianą jeszcze inną żonę, ale nigdy nie mówiliśmy dużo o tobie, nawet przed wypadkiem Stephena, i nigdy też nie wymienialiśmy twojego imienia. Chyba będzie rozsądniej teraz też nic jej nie mówić.

To było logiczne, więc dlaczego poczułam się dotknięta? Już dawno znalazłam się poza tym wszystkim

i teraz czułam się tu zupełnie nie na miejscu.

— Kto się zajmuje Jilly? — spytałam. Vivian znowu pośpieszyła z wyjaśnieniami:

— Pewna kobieta przebywa tu od kilku miesięcy. Nikt, kto tu przyjeżdża, nie zostaje długo. Jilly jest zamknięta w sobie i nie reaguje na próby nawiązania z nią kontaktu. Nie przejmuje się dyscypliną i ignoruje wszelkie wysiłki zmierzające do nauczenia jej czegokolwiek. Uwielbia czytać, ale tylko to, co sama sobie wybierze, bo jak można wpłynąć na dziecko, które patrzy ślepo przed siebie, a potem wstaje i odchodzi do swoich spraw? Wiemy, że mała chce być blisko ojca, ale to go

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

41

irytuje, więc Paul Woolf stara się trzymać ją z dala od Stephena.

W głosie Vivian wyczułam coś więcej, niż tylko to, co mówiła.

— Opowiedz mi o kobiecie, z którą jest teraz Jilly. Julian i Vivian spojrzeli na siebie, tym razem odezwał się Julian.

— Nazywa się Carla Raines. To chyba jakaś striptizerka, „egzotyczny ptaszek”. Ale ponieważ Oriana ją tu ściągnęła, nic nie mogliśmy zrobić.

— Nie lubi jej pan?

Nie odpowiedział mi bezpośrednio na to pytanie.

— Może pani sama zobaczy i oceni tę kobietę, a potem podzieli się z nami swoimi spostrzeżeniami? Bylibyśmy wdzięczni.

— Raczej nie będę miała na to czasu — powtórzyłam, a Vivian podniosła się nagle, jakby ta rozmowa zaczynała ją denerwować.

— Wybaczcie mi, kolacja jest już prawie gotowa. Szybkim krokiem ruszyła w stronę kuchni. Julian smutno potrząsnął głową.

— Vivian bardzo to wszystko przeżywa. Trudno cierpliwie czekać, aż problem sam się rozwiąże.

— Jak Jilly odnosiła się do swoich rodziców przed wypadkiem?

— Ona i Stephen byli sobie bardzo bliscy. Wiele razem przebywali. Myślę, że próbował zrekompensować jej ciągłą nieobecność Oriany. To dlatego tamtej niedzieli zabrał małą na teren osiedla. Chciał jej pokazać, co zbudują w tym niezwykłym miejscu. To było coś, co stworzyła jego wyobraźnia. Stephen właściwie woli... wołał... projektować pojedyncze domy, ale Everett przekonał go do tego zamówienia ze względu na duże pieniądze. Stephen miał wolną rękę, mógł stworzyć coś

Phyllis A. Whitney

zupełnie innego niż dotychczas znane budynki tego typu, dlatego się zgodził. Ale były pewne ograniczenia, których nie przewidział, więc nie czuł się całkiem zadowolony z tego projektu. Przez chwilę Julian nie odzywał się ani słowem, ja także nie. W jakiś straszny sposób w tym właśnie czasie „przeznaczenie” ściągnęło Stephena w to właśnie miejsce. Może gdyby udał się tam innego dnia, nie zdarzyłby się ten wypadek. Chyba najbardziej przerażającym aspektem naszego życia są zbiegi okoliczności. Można by ich łatwo uniknąć, gdyby tylko wiedziało się o nich wcześniej.

— Nie ma żadnych zbiegów okoliczności — powiedział cicho Julian, przerażając mnie tym stwierdzeniem. — W każdym bądź razie, kiedy Stephen wrócił ze szpitala do domu, wszystko się zmieniło. Nienawidził swojej bezradności, nie chciał się z nikim widywać, nawet z Jilly. Ale chyba nie można go za to winić, bo to jego życie legło w gruzach. Obawiam się jednak, że mam o to do niego żal; chciałbym, żeby wreszcie się pozbierał. Jilly go potrzebuje, ale dla niej ojca tu nie ma. W spojrzeniu Juliana wyczułam coś w rodzaju wyrachowania; zastanawiałam się, czy miał w zanadrzu jakiś plan wobec Stephena. Na to bym się nie zgodziła. Jeśli okaże się to prawdą, wyjadę natychmiast.

— Może pani nie wierzyć — powiedział łagodnie — ale coś mnie zmusiło do ściągnięcia pani tutaj. Nie miałam pojęcia, o czym on mówi, i coraz mniej rozumiałam tę dziwną sytuację.

— Pańska żona mówiła mi o możliwości wysłania Jilly do szkoły specjalnej — wspomniałam. Przyjrzał mi się uważnie sprawiając, że poczułam, iż jeśli zbyt długo będę patrzeć mu w oczy, wyrzeknę się swoich własnych poglądów.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY 43

— Odesłanie Jilly z domu to ostateczność — oświadczył. — Musimy wypróbować każdą istniejącą możliwość nawiązania z nią kontaktu i odnalezienia tego dziecka, jakim była dotychczas. Kiedy zobaczyliśmy panią w telewizji, opowiadającą o swojej pracy, wiedziałem, że to właśnie pani jest nam potrzebna. Miałbym takie samo uczucie, nawet gdyby nie była pani kiedyś związana z ojcem Jilly.

— Ale to jest przeszkoda, a nie związek, panie Forster.

— Proszę mi mówić po imieniu. Przecież jeszcze nie wiemy, czy okaże się to przeszkodą, czy nie.

— Ja wiem. Łagodnie ciągnął dalej:

— Wiem, co czujesz, ale wiem także, że masz dar pomagania dzieciom, którym nie pozostała już żadna nadzieja w życiu. W takiej samej sytuacji jest teraz Jilly. A to może być dla niej samozagładą. Nie miałam oczywiście ochoty zwracać się do niego po imieniu, odpowiedziałam więc oficjalnie:

— Przyjechałam tu, chociaż wiem, że nie jest to dla mnie najlepsze rozwiązanie. Raczej nie będę mogła pomóc temu dziecku. Nawet gdyby mi się udało jakoś do niej dotrzeć, nie będę mogła nic dla niej zrobić. Popęłnił pan błąd, panie Forster, oboje popełniliśmy błąd.

— Moi przewodnicy rzadko się myślą. Ile czasu może nam pani poświęcić?

Ten człowiek najwyraźniej nigdy się nie poddawał — zastanawiałam się, co go do tego zmusza. Nie podobało mi się też to, co mówił o „przewodnikach”. Psychiczni przewodnicy? Medium?

Starłam się mówić spokojnie.

— Niewiele będę mogła zrobić. Powinna wyjechać, uwolnić się od ciągłych telefonów i odpowiedział

Phyllis A. Whitney

ności. Uwolnić od wycieńczającego zaangażowania. To jest mój urlop i potrzebuję tego czasu dla siebie.

— Dwa tygodnie? Nikt cię tu nie znajdzie, a jedyną twoją troską będzie Jilly.

Wydawał się odprężony, a mnie dręczyło jakieś nieokreślone przeczucie. Jilly Asche nie jest moim problemem; nie podoba mi się nic, co wiąże się z tym miejscem i z tym człowiekiem. Wszystko to wydaje się groźne z powodu presji, jaką odczuwałam. Nie mogę mu pozwolić przedrzeć się przez moją obronę.

Julian ciągnął nieubłaganie:

— Jedynym sposobem, aby uwolnić się od starych emocji, jest skonfrontowanie ich z teraźniejszością, Lynn. Nie jesteś ani trochę ciekawa sytuacji, która aż tak dziwnie wygląda?

— Nie mogę sobie pozwolić na ciekawość, a wszystkie stare emocje mam dawno za sobą. Koniec z tym.

Nawet kiedy wypowiedziałam te słowa, wiedziałam, że nie są one tak prawdziwe, jak bym tego chciała, ale nigdy nie przyznam się do tego przed Julianem Forsterem.

Kontynuował, jakbym wcale się nie odzywała:

— Mała podziwia swoją matkę i chce być taka jak ona. Nawet jeśli dla Oriany przede wszystkim liczy się taniec, tak mało czasu pozostaje jej dla Jilly.

Wbrew postanowieniu, by trzymać się od tego z dala, oburzyłam się.

— Czy matka dziewczynki nie troszczy się o to, co się tutaj dzieje? O swojego męża? O córkę?

— Oriana nie czuje się silna w stawianiu czoła trudnościom. Uważa, że bezpieczniej jest od nich uciec. Po wypadku Stephena była zdruzgotana, ona także wiele straciła. Jedyną ucieczką od bólu stał się dla niej taniec... wszyscy szukamy zapomnienia w pracy. Tak naprawdę, ona i Jilly znajdują wspólny język jedynie po-

## SPIEWAJACE SKAŁY

45

przez taniec. Jedyłą rzeczą, jakiej pragnie Jilly, jest zostać tancerką... i to się nie zmieniło. Oriana przerobiła całe górne piętro domu na swoje studio, by mieć gdzie ćwiczyć, gdy jest w domu. Tam też tańczy Jilly. A więc do tego używano górnego piętra?

— Taniec powinien być dobrą terapią dla Jilly. Mam nadzieję, że wy wszyscy ją do tego zachęcacie.

— Stephen nie znosi, kiedy ona tańczy. Może dlatego, że sam nie jest w stanie chodzić.

Coraz bardziej irytował mnie Stephen.

— On myśli wyłącznie o sobie, tak jak i Oriana! A Jilly jest zdana jedynie na własne siły!

— Dobrze! — Julian pokiwał głową z aprobatą, której nie chciałam. — Świetnie, że cię to oburza.

Złość może być pożyteczna.

— Ale również działa destrukcyjnie. Co dobrego może wyniknąć z mojej złości?

Nie odpowiedział.

— Oriana, oczywiście, zachęca Jilly do tańca i uczy ją, kiedy tylko jest w domu. Jilly bardzo ciężko pracuje, by móc pokazać matce, jak wielkie robi postępy. Pewnie dlatego Oriana pomyślała, że dobrze będzie sprowadzić tu Carlę Raines, żeby przez jakiś czas zajęła się Jilly. To znaczy, do momentu, kiedy Jilly wróci do szkoły. Carla też jest tancerką, albo raczej była, dopóki kontuzja kolana nie zmusiła jej do przerwania pracy zawodowej. Nadal może uczyć, a jako protegowana Oriany uczyła tańca w Charlottesville i na te lekcje chodziła też Jilly. Chociaż... czasami... nie jestem pewien, czy Jilly ją lubi.

— Dlaczego? Coś nie tak?

Vivian przez grube rękawiczki trzymała naczynie żaroodporne. Postawiła lasagnę na stole i odpowiedziała na moje pytanie:



Phyllis A. Whitney

— Wszystko! Nie znoszę tej kobiety! Nie jest guwernantką, chociaż się stara. Lekcje Jilly to pomyłka. A poza tym...

— Niech Lynn sama zdecyduje — powiedział łagodnie Julian. — Musimy się przygotować, aby umieć przekonać Orianę, że Carla nie jest tutaj najodpowiedniejszą osobą. A Lynn może nam w tym pomóc, jeśli sama wyrobi sobie zdanie na jej temat.

Nie miałyby sensu protestowanie i tłumaczenie, że wyjeżdżam stąd najszybciej, jak się da, i że nie będę miała czasu na wyrabianie sobie opinii o Carli, ani o kimkolwiek innym.

Podniosłam się, by pomóc Vivian porozstawiać na stole sałatki i bochenek ciepłego chleba z roztopionym masłem.

Jadalnię urządzono trochę bardziej w guście Stephena. Abstrakcyjne obrazy na ścianach wydawały się dramatyczne w swych kolorach i technice. Skandynawski stół i krzesła były proste i oszczędne w formie, a jednocześnie stanowcze i piękne. Ciemnozielone serwetki i plecione podstawki współgrały z jasnym drewnem.

Kiedy jednak już usiadłam, stwierdziłam, że właściwie nie mam pojęcia o obecnym guście Stephena. Przez te dwanaście lat zmieniliśmy się oboje, powinnam więc pamiętać, że jestem tu obca i darować sobie wszelkie porównania.

Julian zaczął opowiadać o nowej książce, którą kupił w księgarni „Quest” w Charlottesville, na temat emanacji, które go najwyraźniej fascynowały.

— Wydaje mi się, że Jilly je czasami widzi — powiedział. — Odkryłem to przez przypadek: ona uważa, że każdy postrzega innych ludzi otoczonych świetlną aureolą. Powiedziała mi kiedyś, że zastanawia się, dla

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

47

czego moja, dotychczas jasnozłota, zaczyna ciemnieć. Oczywiście, każdy z nas wytwarza wokół siebie pole energetyczne i niektórzy mogą je dostrzec. A ponieważ ja tego nie potrafię, postanowiłem dowiedzieć się o tym trochę więcej.

— Ty nie musisz widzieć żadnej aury — uśmiechnęła się Vivian. — Ty przecież widzisz, co się dzieje wewnątrz człowieka, Julianie, a to jest czasami przerażające. Nic się przed tobą nie da ukryć.

— Nie masz się czym przejmować. Pole, które wytwarzasz, jest według Jilly jasne, wyraźne i szczęśliwe.

— To wszystko dzięki tobie, Julianie — powiedziała ciepło jego żona, a ja zdałam sobie sprawę z tego, jak wielkie uczucie ich łączy.

Dobre jedzenie i wino z doliny Shenandoah trochę mnie ożywiły; starałam się cieszyć tą chwilą, nie myśląc o tym, co będzie jutro. Nadal miałam szczerzy zamiar wyjechać.

Skończyliśmy lasagne, pomogłam przynieść owoce

i ser, a Vivian podała kawę. Wieczór był chłodny, więc gorący napój dobrze nam zrobił.

Kiedy sprzątałismy ze stołu, cicho gawędząc o niezbyt ważnych sprawach, usłyszałam, że ktoś biegnie po głównym tarasie. Za oszklonymi drzwiami pojawił się jakiś mężczyzna, a kiedy Julian je otworzył, wpadł do środka, niespokojnie rozglądając się dokoła. Był wysoki, ubrany w zielony kombinezon, który falował z impetem; spod ciasnej czapki wystawały brązowe kręcone włosy.

Wyglądał jak przystojny gwiazdor filmowy, chociaż miał trochę zbyt ostre rysy twarzy. Był najwyraźniej czymś bardzo poruszony.

— To Stephen! — krzyknął. — Znalazłem go przed chwilą na podłodze w łazience obok wózka. Obok leżała potłuczona butelka i rozsypane pigułki nasenne. Nie

Phyllis A. Whitney

wiem, ile ich połknął. Położyłem go do łóżka, ale lepiej wezwijcie karetkę i zabierzcie go do szpitala. — Zaraz tam pójde, Paul — powiedział Julian, po czym zwrócił się do nas: — Zostańcie tutaj. Ja się tym zajmę.

Wyszedł z Paulem Woolfem, a ja opadłam na najbliższe krzesło. Vivian usiadła obok mnie.

— Nic ci nie jest, Lynn?

Przede mną stała szklanka z wodą. Podniosłam ją do ust, próbując się uspokoić. Nigdy bym nie przypuszczała, że kiedykolwiek będę aż tak wstrząśnięta.

— Wszystko w porządku — odrzekłam łamiącym się głosem.

Vivian dotknęła mojej dłoni.

— Ciągłe ci na nim zależy, prawda? Tak mi przykro.

— Oczywiście, że nie. — Cofnęłam rękę, nie chciałam współczucia. Moje słowa zabrzmiały fałszywie i nienawidziłam się za oszukiwanie samej siebie. — Naprawdę nie myślałam o nim przez te lata. Po prostu Stephen, którego kiedyś znałam, nigdy by czegoś takiego nie zrobił.

— To już raczej nie jest ten sam mężczyzna, jakiego pamiętasz.

— Jestem tego pewna. — Przy Vivian nie musiałam aż tak panować nad sobą, jak przy jej mężu. — Nie powinnam była tu przyjeżdżać. Wyjadę jutro rano. Pomogę ci pozmywać naczynia, a potem pójde do siebie na górę.

Lecz wcale nie miałam zamiaru odchodzić, dopóki nie dowiem się, co ze Stephenem.

— Oczywiście... musisz być bardzo zmęczona — powiedziała Vivian.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

49

Nawet nie próbowała rezygnować z mojej pomocy. Razem wstawiliśmy naczynia do zmywarki; Vivian zachowywała się wobec mnie uprzejmie, ale i ostrożnie.

Julian wrócił szybko.

— Wszystko w porządku. Stephen mówi, że nie wziął ani jednej pigułki, a Paul policzył je dla pewności. Będzie musiał bardziej uważać na niego. Zdaje się, że największymi wrogami Stephena są teraz apatia i nuda. On uważa, że nie ma po co żyć.

— To, co wydarzyło się zeszłej nocy, chyba jeszcze pogorszyło sprawę... — zaczęła Vivian, ale Julian powstrzymał ją wzrokiem.

Gdyby to mogło mieć jakiegokolwiek znaczenie, zapytałabym wprost, co się wydarzyło zeszłej nocy. I o to, dlaczego Vivian wspomniała wcześniej o policji. Ale tak naprawdę wcale nie chciałam wiedzieć. Jeżeli miałam stąd jutro uciec, musiałam odciąć się od wszystkiego, co się działo pod tym dachem. Muszę wrócić do swojego życia.

— Właśnie zamierzałam się położyć — powiedziałam do Juliana.

Przez chwilę przyglądał mi się w zamyśleniu, potem najwidoczniej doszedł do jakichś wniosków.

— Dobranoc, Lynn. Zobaczymy się jutro. Teraz, zechciej mi wybaczyć...

Odszedł szybko w stronę schodów, jakby nie chciał nic słyszeć o moim wyjeździe.

Rozpaczliwie potrząsnęłam głową.

— Proszę, wytłumacz swojemu mężowi, że od jutra pragnę mieć wakacje.

— On ci nie pozwoli odjechać — powiedziała Vivian.

— Co masz na myśli? Jak może mnie tu zatrzymać?

50 Phyllis A. Whitney

— Nie wiem. Coś się wydarzy. Ma bogów po swojej stronie.

— Dlaczego tak się upiera, że to ja mam pomóc Jilly?

Vivian odstawiła ostatnie naczynie i włączyła zmywarkę.

— Czemu sama go o to nie zapytasz? — spytała niemal bezgłośnie.

— Nie ma takiej potrzeby. — Przeszliśmy w stronę schodów. — Raczej już go więcej nie zobaczę.

Chcę wyjechać jutro raniutko, jeszcze zanim wstaniecie.

Vivian znowu skryła się za parawanem dekoracyjnego, cichego życia, które chwilami umiała sobie stworzyć, wolnego od wszelkich emocji — własnych i cudzych. Czyżby ochronny pancerz zakładany od czasu do czasu?

Wbiegłam po schodach na górę, pragnąc natychmiast znaleźć się w sypialni i zamknąć za sobą drzwi.

Coś mnie jednak zatrzymało. Zanim dotarłam do pokoju, usłyszałam jakieś dźwięki dochodzące z ostatniego piętra. Ktoś tam był i słuchał orientalnej muzyki. Dźwięczne brzmienie, coś jakby instrumenty perkusyjne z wyspy Bali. W pierwszym odruchu chciałam uciec od tej muzyki, odgrodzić się od niej zamkniętymi drzwiami.

Zamiast tego po cichutku weszłam po schodach na najwyższe piętro, pozwalając, by nie harmonizujące ze sobą dźwięki opanowały mnie, stale się nasilając i przyciągając mnie do swego źródła.

### 3

Chociaż muzyka prawdopodobnie zagłuszyłaby odgłos kroków, poruszałam się cicho, wiedząc, co za chwilę zobaczę. Weszłam po schodach i znalazłam się w ciemnościach, w niczym nie oświetlonej przestrzeni. Plany domu, które pamiętałam, dotyczące tego piętra, zostały zmienione.

Po mojej lewej stronie znajdowały się otwarte drzwi do sypialni, gdzie Oriana mogła wypocząć po tańcu. I otwarte drzwi sąsiadującej z nią łazienki oraz kabiny z prysznicem. Przeszłam obok nich i stanęłam w cieniu, skąd mogłam rozejrzeć się po długim, szerokim pokoju przeznaczonym tylko i wyłącznie dla Oriany. Tutaj wszystkie światła były włączone i rozjaśniały całe pomieszczenie jak scenę.

Przed lustrami pokrywającymi ściany umieszczono drążek do ćwiczeń. Rząd okien powyżej miał wpuszczać do środka światło dzienne, teraz jednak przez czarne szyby zaglądała jedynie noc. W końcu pokoju mała scena przechodziła w proscenium nad miejscem, gdzie mogli siedzieć widzowie, oddzielonym szarymi kurtynami. Obok stało małe eleganckie pianino, lecz nie siedział przy nim żaden akompaniator. Na czarnym instrumencie stał magnetofon kasetowy podłączony do gniazdka na ścianie. To on był źródłem egzotycznych dźwięków.

Phyllis A. Whitney

Ogarnęłam to wszystko jednym spojrzeniem, a potem całą uwagę skupiłam na małej postaci w czarnym trykocie bez rękawów, poruszającej się wzdłuż pokoju. Włosy opadały Jilly na plecy, połyskując w świetle jak ciemny aksamit i kołysząc się przy każdym jej ruchu. Jej kroki były wolne i miarowe, tak jak muzyka. Najwyraźniej był to jakiś taniec rytualny. W podniesionych rękach odwróconych wnętrzem dłoni do góry Jilly trzymała lampę, którą mógł kiedyś pocierać Aladyn... prawdopodobnie jakiś stary rekwizyt Oriany. Taniec był najwyraźniej hołdem składanym bogom. Kiedyś na występie widziałam matkę Jilly tańczącą tak, jak teraz dziewczynka.

Córka Oriany jednak poruszała się niemal ze strachem, przyglądając się sobie w lustrach z koncentracją i niezadowoleniem w oczach. Po kilku krokach zezłościła się i z furią cisnęła już i tak poobijaną lampą przez cały pokój. Zupełnie, jakby wiedziała, że nigdy nie będzie tańczyć tak pięknie, jak jej matka... Jakby rzucając lampą bezlitośnie odrzucała całą swą niedoskonałość.

Stałam jak skamieniała, patrząc jak Jilly zmienia się w małą, dziką, niemożliwą do opanowania istotę. Nie przykładając już żadnej wagi do stylizowanych dźwięków, ignorując lustro, wirowała niczym derwisz w beznadziejnym i rozpaczliwym tańcu. Każdy jej ruch wyrażał coś innego... pustkę, paniczny strach... i smutek. Wszystko, czego Jilly nigdy nie wypowiedziała słowami, zostało wyrażone w jej dzikim tańcu.

W tym samym momencie jakaś magiczna siła zmusiła ją do wykonywania wściekłych skoków i piruetów. Słowo „demoniczny” byłoby chyba lepszym określeniem tańca tego dziecka. Jej zadziwiający występ — wybuch! — skończył się równie niespodziewanie, jak się zaczął. Po kolejnym podskoku Jilly upadła na podłogę

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

48

z takim impetem, że jej małe ciało jeszcze przez chwilę ślizgało się po posadzce, aż wreszcie wytraciło prędkość. Dziewczynka leżała wyciągnięta na podłodze bez ruchu. Magnetofon wyłączył się i muzyka, dotychczas rozbrzmiewająca w tle, urwała się gwałtownie. Jilly leżała twarzą do podłogi, ramiona miała wyciągnięte szeroko, długie czarne włosy rozsypały się na ramiona i nad głową, rozkładając się wachlarzem na podłodze. Leżała zanosząc się szlochem i trzęsąc w nieutulonym smutku.

Przede wszystkim poczułam się przerażona. Jeszcze nigdy w życiu nie widziałam równie gwałtownych emocji i nigdy nie przyszło mi walczyć z czymś takim. Umierające dzieci często godziły się z losem nie rozpaczając, zbyt zaabsorbowane swoimi cierpieniami i walką z nimi, licząc dni na ukłucia igły, lecz ciesząc się tą resztką życia, jaka im jeszcze pozostała. Uczucia Jilly były o wiele bardziej destrukcyjne, a ja nie mogłam pozwolić, by moja obecność tutaj została odkryta, ani też, jako ktoś obcy, nie mogłam ofiarować dziewczynce ukojenia. Ona potrzebowała teraz jedynie pomocy kochających rodziców, lecz tacy nie istnieli. Po raz pierwszy pomyślałam o Stephenie bez osobistego żalu, byłam tylko zła na niego za obojętność wobec tej małej dziewczynki.

Mógłby jej pomóc nawet kochający przyjaciel, ale czy w tym domu był ktoś taki? Ani Julian, ani Vivian z pewnością się nie nadawali, niezależnie od tego, jak bardzo chcieliby jej pomóc. Żadne z Forsterów nie wyrażało się też z entuzjazmem o Carli Raines.

Mogłam stać jedynie w cieniu i czekać, aż burza sama ucichnie. Kiedy dziecko stąd wyjdzie, zejdem na dół i zaalarmuję Juliana.



Phyllis A. Whitney

Dotarły do mnie jakieś odgłosy w pobliżu i ujrzałam kobietę wchodzącą po schodach. Nie mogło być żadnych wątpliwości co do tego, kim jest. Julian nazwał Carle „egzotycznym ptakiem”. Wyglądała raczej szokująco niż pięknie, z długimi, gęstymi, brązowymi włosami, kręcącymi się i opadającymi luźno spod okrągłej spinki. Miała duże, ciemne oczy i trochę za mocno pomalowane na zielono powieki. Ubrana była w długą sukienkę, skrojoną prawdopodobnie z sari, z wyszywanymi motywami szmaragdowo-purpurowych liści i kwiatów. Weszła po schodach na górę i stanęła przyglądając się szlochającej na podłodze Jilly.

Pozostałam w cieniu, nie zauważona, i patrzyłam, jak kobieta podchodzi do dziewczynki z gracją typową dla tancerki. Jej skórzane sandały ciężko uderzały o podłogę; miała długie palce u nóg i pomalowane na różowo paznokcie. Zbliżała się bez słowa, aż wreszcie zatrzymała się nad Jilly.

— Przestań i podnieś się — powiedziała zimno. — Wstawaj natychmiast!

Delikatność ruchów Carli nie pokrywała się z jej szorstkim głosem.

Ramiona Jilly nagle przestały drżeć, odwróciła głowę i spojrzała na stojącą nad sobą kobietę. Zanim Carla zdążyła ponownie przemówić, Jilly podniosła się i zaczęła biec po pokoju w moją stronę. W jasnym świetle jej twarz miała zupełnie biały kolor i cała była zalana łzami. Carla Raines podążyła za nią. Dogoniła małą, złapała ją za ramię i odwróciła ku sobie.

— Wiesz dobrze, Jilly, że nie masz prawa opuszczać pokoju, nie powiedziawszy mi o tym!

— Ja... musiałam — odrzekła dziewczynka przerażonym głosem.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

50

Wyszłam z ukrycia, stając z nimi twarzą w twarz, i przemówiłam do Jilly, lekceważąc zupełnie Carlę. — Patrzyłam, jak tańczysz — powiedziałam. — Kiedy zatrzymałaś się naśladować matkę, byłaś wspaniała. Jesteś cudowną tancerką i masz swój własny styl, sędzę, że wiesz o tym.

Jilly przez chwilę przyglądała mi się zaskoczona, ale jej uwagę przykuwała przede wszystkim Carla. — Kim pani jest? — spytała kobieta przewyciężywszy zaskoczenie, a potem dodała: — Nieważne... wiem.

Po raz pierwszy spojrzałam jej w oczy. Przy tak oszłamiającej twarzy powinny płonąć równie żarliwie, jednak były ciemne, lodowate i pozbawione wszelkich uczuć. Ta kobieta nawet nie lubiła Jilly.

— Jestem ciekawskim gościem — odpowiedziałam jej, spoglądając ponownie na dziecko. Szarozielone oczy... oczy Stephena... przez chwilę patrzyły na mnie błagalnie. Z tej bezradności przebijał cichy krzyk. Potem Jilly minęła nas obie i zbiegła po schodach. Carla, nie interesując się już mną, poszła za swoją podopieczną.

Kiedy schodziłam za nimi, Julian pojawił się w drzwiach gabinetu, obserwując Jilly uciekającą do swojego pokoju na tym samym piętrze i Carlę Raines podążającą tuż za nią. Żadna nie zwróciła na niego uwagi. Gdy się pojawiłam, przywołał mnie do siebie i zapytał:

— Chodź, Lynn, i powiedz mi, proszę, o co poszło. Zatrzymałam się na progu, nie wchodząc do środka,

i tak szybko, jak tylko mogłam, wyjaśniłam, co się stało.

— Teraz to ma już znaczenie — zakończyłam. — Jilly musi czuć się bezpieczna i kochana przez kogoś, komu może zaufać. Ta kobieta jej nie pomoże.

Phyllis A. Whitney

— Kiedyś Jilly lubiła, jak się ją przytulało — powiedział smutno Julian. — Nie jestem pewien, czy teraz pozwoliłaby się komukolwiek dotknąć. Ale jeśli uważasz, że powinienem, spróbuję.

— Ktoś powinien... a kto jeszcze może to zrobić? Vivian raczej nie mogła pomóc dziewczynce, gdyż cała jej uwaga była skierowana na męża. Patrzyłam, jak poszedł do pokoju Jilly, a ja powróciłam znużona do swojej pustki... wewnętrznej i zewnętrznej.

Kiedy zamknęłam za sobą drzwi sypialni, potworne zmęczenie fizyczne i psychiczne wzięło nade mną górę. Dziś w nocy więcej już bym nie zniosła. A jednak ciągle miałam przed oczami Jilly wirującą w tańcu rozpaczy i serce mi się krajało na ten widok. Nie dlatego, że była dzieckiem Stephena, lecz dlatego że była samotna i opuszczona, a współczucie, jakie czułam wobec dzieci, o które się troszczyłam, wypełniło mnie i teraz. Powinnam jednak przestać o niej myśleć i spróbować zasnąć. Przede wszystkim jednak nie mogę myśleć o Stephenie próbującym z rozpaczy przedawkować leki. To był dom, w którym nic nie mogłam zdziałać, gdzie tylko powracały wspomnienia i żal. Nawet jeśli przybyłam tu z czyjegoś polecenia, jak to utrzymywał Julian, nie miałam pojęcia, co to, ani jaki pożytek mógł tu być ze mnie.

Zabrałam ze sobą mały magnetofon i kilka moich ulubionych kaset. Włączyłam Brahmsa, który kiedyś mnie uspokajał. Dziś jednak nawet on nie mógł mi pomóc. Powróciło zbyt wiele emocji, o których myślałam, że już dawno mam je za sobą, irytując mnie na nowo. Tym razem jednak byłam bardziej zła z powodu Jilly niż tamtej tak bardzo zranionej młodej kobiety.

Stephen jest ojcem Jilly i ona go bardzo kocha. To furka do uratowania dziewczynki, ale kto mógł ją otworzyć? Z pewnością nie Carla.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

52

Ciągle nie mogłam zasnąć. Może gdy przejdę się trochę po tarasie, uda mi się jakoś uspokoić myśli? Założyłam płaszcz na sukienkę i zarzuciłam szal na głowę.

Kiedy rozsunęłam szklane drzwi i wyszłam na świeże powietrze, powiał zimny wiatr, rozrzucając po deskach suche liście. Szłam przed siebie, poddając się wiatrowi i zapominając o zmęczeniu.

W pobliżu nie było nikogo i nawet pomimo wąskiego światła padającego z okna pode mną na krzewy, tu, na górze, nikt mnie nie mógł niepokoić. Piętro nade mną, z dala od miejsca, po którym spacerowałam, było ciemne i opuszczone, czułam się więc, jakbym podróżowała po wszechświecie w jakimś statku kosmicznym, mając obok siebie jedynie ciemne niebo i gwiazdy. To głupie, ale chciałam, by Stephen mógł teraz przechadzać się tu ze mną... tamten młody Stephen, którego straciłam wiele lat temu.

Przez kilka minut szłam żwawo, oddychając przeraźliwie zimnym górskim powietrzem, czując świeży zapach sosen i wilgotnej ziemi. Kiedy tak spacerowałam, zdałam sobie sprawę, że słyszę nie tylko odgłos wiatru gwizdającego w drzewach i pobliskich wzgórzach — było jeszcze coś delikatnego i dalekiego, niczym odzywające się w nocnej ciszy struny harfy. Dźwięki rosły i powtarzały się niespokojnie. To nie ludzka ręka grała na tej harfie.

Przypomniała mi się legenda o syrenach i uśmiechnęłam się. Ten dźwięk wzmagił mój niepokój, weszłam więc do pokoju i schroniłam się w łóżku, dokąd już nie docierał. Nadal jednak brzmiał mi w uszach, jakby było jasne, że dziwny „śpiew” może rozbrzmiewać nawet wtedy, gdy nikt go nie słyszy. Był jak skierowane do mnie wezwanie.

58 Phyllis A. Whitney

Po raz kolejny zamknęłam oczy, tym razem uciekając myślami do pewnego spokojnego miejsca, do którego zawsze się udawałam, gdy byłam bardzo zmartwiona i gdy musiałam się pozbierać. Tam jakaś część mnie, mądrzejsza niż moja kiepska świadomość, mogła się uspokoić i zregenerować. Kiedyś, po ciężkim dniu pracy, umiałam się wsłuchać w tę wewnętrzną ciszę. Ostatnio jednak zapomniałam, jak to się robi.

Nagle coś we mnie zaczęło drgać, usłyszałam jakiś wewnętrzny szept i poczułam podniecenie oznaczające, że niedługo coś się wydarzy. Teraz już mogłam się uspokoić i przygotować na to, co miało nadejść. To nie musiało być nic wstrząsającego; wystarczy drobiazg, który wskazałby mi kierunek działania — coś, co mogłabym zrobić przed opuszczeniem Wirginii. Potem będę mogła już spokojnie wyjechać.

Byłam przekonana, że Vivian i Julian ukrywają coś nawet przed sobą... a może właśnie, gdyby to wyszło na jaw, Jilly przestałaby cierpieć.

Tak więc muszę zostać jeszcze jeden dzień. Miałabym wtedy wystarczająco dużo czasu, by przyspieszyć to, co moim zdaniem musiało się stać. Z tym postanowieniem zasnęłam, lecz całą noc dręczyły mnie koszmary.

Tuż po północy obudził mnie jakiś dziwny dźwięk związany z niezbyt przyjemnym snem, którego nie mogłam sobie przypomnieć. Drzwi do mojego salonu były otwarte i świeciło się tam światło, chociaż pamiętałam, że przed pójściem spać wszystko powylączyłam.

— Jest tam kto? — zawołałam z bijącym sercem.

Nie miałam już żadnych wątpliwości, że coś dziwnego dzieje się w tym domu, nie wiedziałam jednak, co może mnie tu spotkać.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

54

Nie usłyszałam odpowiedzi, lecz ktoś przecież włączył światło. Cicho podniosłam się z łóżka i założyłam szlafrok. Na bosaka podeszłam do drzwi i rozejrzałam się dokoła.

Na środku pokoju stała kobieta w staromodnej, jedwabnej koszuli w kwiaty lawendy. Długie, ciemne włosy miała splecione w warkocz. W jej dziwnych oczach malował się wyraz koncentracji. Tą kobietą była Carla Raines i wcale nie podobała mi się jej nocna wizyta w moim pokoju.

— Czego pani chce? — zapytałam, pojawiając się na oświetlonej przestrzeni.

Może to właśnie jej koncentracja wyrwała mnie ze snu.

— Muszę panią ostrzec. — Mówiła tak cicho, że ledwo ją słyszałam. — Wiem, że przyjechała tu pani z powodu dziecka... ale Jilly jest już zgubiona. Nic już nie można dla niej zrobić, a pani nie wolno tu zostać, w przeciwnym razie pani także będzie zgubiona.

Nikt nie chciał opuścić tego domu bardziej ode mnie, ale niewiele sobie robiłam z tego typu tajemniczych ostrzeżeń, udzielanych mi przez kobietę, której nie lubiłam od pierwszego spotkania.

— Dlaczego nie wolno mi zostać?

W jej głosie pojawiła się nuta hysterii.

— Bo to jest dom śmierci. Jeśli pani tu zostanie, i panią wciągną te straszne wydarzenia.

— Nie wierzę — odpowiedziałam, chociaż byłam niemal gotowa uwierzyć tej wyroczni losu w skromnej koszuli nocnej, o wiele mniej egzotycznej niż dzienny ubiór Carli.

Płynnym ruchem uniosła ręce do góry w błagalnym geście.

Phyllis A. Whitney

— Musi mi pani uwierzyć. Ktoś tu zginął... tu miało miejsce morderstwo. Niech się pani ratuje, póki jeszcze na to czas. Dla nas jest już za późno, machina poszła w ruch i nie da się jej zatrzymać.

Tego było już za wiele. Kobieta wydała mi się niezrównowazona i jak tylko wstanie dzień, będę musiała opowiedzieć o wszystkim Julianowi.

— W porządku — odrzekłam tak łagodnie, jak tylko mi się udało. — Ostrzegła mnie pani... dziękuję. Odwróciła się opuszczając ręce.

— Nie wierzy pani w to, co mówię. Ale jeśli pani tu zostanie, w straszny sposób przekona się pani, co miałam na myśli. Niech pani nie pozwoli, by Julian Forster także panią opętał. Proszę mieć się na baczności.

Miała na nogach czarne baletki, co dostrzegłam, kiedy znikwała w ciemnościach korytarza. Wróciłam do łóżka, ale nie mogłam zasnąć. Carla Raines zasiała we mnie ziarno niepokoju; bardziej niż kiedykolwiek byłam przekonana, że ktoś powinien pomóc Jilly wyrwać się z miejsca, które nie miało na nią zdrowego wpływu. Jeśli Carla nie jest całkiem zrównowazona psychicznie i jeśli jakieś niebezpieczeństwo czai się pod tym dachem, grozi ono z pewnością Jilly, i kto wie, czy przypadkiem nie ze strony tej kobiety.

Nadszedł ranek, a ja jeszcze leżałam w łóżku, spoglądając na szczyty drzew za oknem, przybierające jesienne barwy. Za dzień lub dwa będą już miały ognisty kolor. W świetle dnia liście brzoź połyskiwały różowo na tle błękitnego nieba, a ich delikatne srebrne gałązki kołysały się łagodnie jak w tańcu. Gdy się poruszyły, między drzewami dostrzegłam płonące szczyty gór. Wirginia była zawsze taka piękna... lecz te wspomnienia okazały się dla mnie bardzo bolesne. Teraz nie miałam już nikogo, z kim mogłabym cieszyć się jej pięknem.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

56

Dzięki Carli Raines wiedziałam, że jest coś ważniejszego, czemu muszę stawić czoło; muszę zrobić wszystko, co tylko będzie w mojej mocy.

Założyłam koszulę w kolorze khaki i samodziałowe spodnie, zeszłam na dół i zastałam Vivian sprzątającą ze stołu po śniadaniu. Tego ranka miała na sobie domową sukienkę w małe różowe kwiatki, które nadawały różowy ton także jej policzkom. Uśmiechnęła się na mój widok.

— Więc jednak nie wyjeżdżasz?

— Chyba zostanę jeszcze jeden dzień — wyjaśniłam. — Czy Julian powiedział ci, co się stało poprzedniej nocy?

— Tak. Co postanowiłaś?

Nalała mi kawy i włożyła chleb do tosterka. Usiadłam, zastanawiając się, co powinnam teraz zrobić. Nie chciałam opowiadać Vivian o Carli Raines.

— Jeszcze nic nie postanowiłam. To znaczy, nie podjęłam żadnej decyzji, która dotyczyłaby Jilly. Ale chciałabym znać odpowiedź na kilka pytań.

— Mianowicie?

— Co się naprawdę stało w dniu wypadku Stephena? Powiedziałaś, że Jilly zmieniła się właśnie od tamtego dnia. Czy ona coś ukrywa? Coś, co ją przeraża?

Vivian dołała sobie kawy i usiadła przy stole naprzeciwko mnie.

— Nie jestem pewna, czy ona rzeczywiście wie, co się wydarzyło.

— To było coś więcej niż tylko upadek Stephena, prawda? Przypomniałam sobie z gazet, że ktoś jeszcze został wtedy ranny.

— Nie ranny... zabity.

— Możesz mi o tym opowiedzieć? — spytałam zaskoczona.



62 Phyllis A. Whitney

Vivian wyglądała na zakłopotaną.

— Może raczej powinnaś zapytać o to Juliana. To było straszne, a my czuliśmy się bezradni. Nie chcę już o tym myśleć... nie chcę drażnić tego od nowa.

— Jak to: zabity? — nagle przypomniałam sobie słowa Carli.

— Zabity w wypadku znacznie gorszym niż ten, któremu uległ Stephen. Nie wiemy jednak, jak to się stało. Nie wiemy nawet, dlaczego Luther Kersten, który zorganizował budowę osiedla, był na górze tamtej niedzieli. Poślizgnął się, spadł z klifu i zabił się. Policja chciała przesłuchać Stephena, ale on się zupełnie do tego nie nadawał. Od czasu, kiedy odzyskał przytomność, minęły miesiące, zanim mógł składnie mówić, lecz nawet wtedy pamięć go zawodziła. Teraz też nie bardzo może sobie przypomnieć, co mu się przydarzyło, a co dopiero Lutherowi Kerstenowi. — Vivian dzieliła się ze mną swymi skromnymi wiadomościami, choć niechętnie wracała pamięcią do tych wydarzeń.

— A Jilly? Jeśli była przy tym...

— Kiedy ci chłopcy ich znaleźli, była ogłuszona uderzeniem w głowę. Albo sama się o coś uderzyła i straciła przytomność... albo ktoś ją mocno uderzył. A ponieważ Stephen nigdy by tego nie zrobił, musiał to być Luther.

— Czy ona naprawdę nie pamięta, co się wtedy wydarzyło?

Vivian smutno pokręciła głową.

— Gdy ktoś próbował ją o to pytać, albo dostawała ataku hysterii, albo się zupełnie zamykała. Uznaliśmy więc, że lepiej nie zadawać jej żadnych pytań. Julianowi udało się uchronić ją przed zbytnią natarczywością policji, nie umiemy jednak uchronić jej przed wspomnie-

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY 58

niami. To jedna z przyczyn, dla których uznał, że jesteś tu potrzebna, gdy zobaczył cię w telewizji. — Ale ja tu jestem obca, Vivian. Nie ma szans na to, żeby mi się udało szybko do niej dotrzeć. Jeśli w ogóle mi się to uda. Ona jest zdrową, pełną życia dziewczynką, zupełnie inną niż dzieci, z którymi pracuję. Tamte zazwyczaj chcą, aby im pomóc, a Jilly nie. — Usiadłam, mieszając zawartość filiżanki, tak jakby smugi śmietanki mogły się do mnie odezwać. — Zdaję sobie sprawę, że policja miała własne problemy; jeden człowiek zginął, a dwoje innych było nieprzytomnych. Dosyć dziwne. Kto kogo zaatakował... i w jaki sposób? Ktoś musi znać odpowiedź na te pytania.

— Jeśli skończyłaś śniadanie, lepiej idź porozmawiać z Julianem — powtórzyła Vivian. — Zazwyczaj rano mu nie przeszkadzam, bo pracuje nad swoją książką. Ale prosił, abym cię do niego zaprowadziła, gdy tylko będziesz gotowa.

I znowu Julian przejrzał mnie na wylot — był pewny, że rano nie wyjadę. Następnym krokiem powinna więc być rozmowa z nim, jako że musiałam mu powiedzieć o pojawieniu się Carli w moim pokoju ostatniej nocy. Choć to pewnie bezcelowe, mogłabym również porozmawiać z Carłą Raines. Była chyba najbardziej zagadkową osobą w tym domu, a poza tym, jako nauczycielka tańca, pozostawała wystarczająco blisko Jilly, by móc odkryć coś, czego dziewczynka sama by jej nie powiedziała.

— Jaką książkę pisze twój mąż? — zapytałam.

— Niezbyt lubi mówić o swojej pracy, ale tobie chyba o niej opowie.

— Dlaczego tak uważasz? Vivian wzruszyła ramionami.

Phyllis A. Whitney

— Nie uważa mnie za dobrego krytyka. Nie, żeby potrzebował krytyki, ale wie, że zawsze go podziwiam.

Pamiętam, jak to było, gdy z młodzieńczą ufnością pochwalałam wszystko, co robił Stephen. Pewnie szybko go to znudziło.

— Nie mam nic przeciwko temu — powiedziała spokojnie Vivian. — Dobrze nam razem, jesteśmy ze sobą szczęśliwi. Nie przeszkadza mi to, że w wielu dziedzinach Julian znajduje się daleko przede mną. Potrzebuje amortyzatora oddzielającego go od tych... wibracji, które go stale otaczają. Stanowią coś w rodzaju takiego zderzaka.

— Nie rozumiem. Wibracje? Znowu wzruszenie ramion.

— Sama lepiej to zrozumiesz. Ja nawet nie próbuję. Po prostu wiem, że czuje coś więcej niż większość ludzi... ma większą wrażliwość. Z pewnością już to zauważyłaś. Chodźmy na górę, sama go o wszystko zapytasz.

Weszłam za nią na drugie piętro. Zza zamkniętych drzwi gabinetu dochodziły odgłosy maszyny do pisania, lecz kiedy Vivian zapukała, Julian poprosił, żebyśmy weszły.

Gospodyni odsunęła się z przejścia.

— Wejdz, Lynn. Będę na dole, gdybyś czegoś potrzebowała. Powinnaś zostać z nim sam na sam. Nagle poczułam się nieswojo... jak ryba wyciągnięta z wody? Przeszłam przez drzwi, które otworzyła przede mną Vivian. Gabinet Juliana był wyłożony ciemnoczerwonym adamaszkiem, nadającym pokojowi ciepły, wiktoriański charakter. To ja zaproponowałam ten kolor do pomieszczenia, które miało być naszą biblioteką. Dywan był trochę jaśniejszy, rubinowy, a meble z włoskiego orzecha rzucały ciemnobrązowe cienie. Dokład-

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

60

nie tak, jak sobie to kiedyś wyobrażałam... Kiedy tak stałam rozglądając się dokoła, nie mogłam się oprzeć dziwnemu uczuciu *deja vu*.

Jednak szybko mężczyzna przyciągnął moją uwagę. Podniósł się z za stołu i podszedł do mnie, wyciągając rękę w powitaniu równie ciepłym jak wczoraj.

— Wyglądasz na wypoczętą — powiedział. — Chyba się trochę odprężyłaś. To dlatego, że podjęłaś właściwą decyzję. Zostaniesz dłużej i spróbujesz pomóc Jilly.

Siwiejące włosy dodawały mu powagi, głęboko osadzone oczy przyglądały mi się spokojnie.

Stwierdzał fakty, a nie zadawał pytania i mówił bardzo szybko, zbyt wiele rzeczy biorąc za pewnik.

Julian Forster był na swój sposób trochę przytłaczający. Lecz tym razem się pomylił: wcale nie wypoczęłam... czułam się też znacznie bardziej spięta.

— Jeszcze nie podjęłam decyzji — zaprzeczyłam, on zaś wskazał mi obite adamaszkiem krzesło przy oszklonych drzwiach prowadzących na taras. Usiadłam i spojrzałam na piętrzące się na horyzoncie góry, grań nad granią. Srebrne poranne mgły przepływały między górskimi grzbietami wzdłuż jakichś niewidzialnych linii.

— W każdym bądź razie nadal jesteś tutaj — powiedział Julian. — Nie wyjechałaś od razu, jak miałaś zamiar. To też jest jakaś decyzja.

Ponownie usiadł w fotelu za stołem. Zachowywał się w bardzo wyważony sposób, choć z pewnością nie zawsze był taki.

Powstrzymałam się od opowiedzenia mu o Carli.

— Mogę tylko zadawać pytania. Ktoś przecież musi wiedzieć, co niepokoi Jilly, co ją przeraża.

— Możliwe, że czuje się odpowiedzialna za to, co przydarzyło się jej ojcu.

Phyllis A. Whitney

— Poważnie? A jest za to odpowiedzialna?

— Nie wiemy.

— Czy twój szósty zmysł nic ci nie podpowiada w przypadku Jilly?

Odpowiedział z całą powagą, chociaż moje pytanie musiało go zaskoczyć.

— Nawet nie próbuję klasyfikować swoich umiejętności, lecz cokolwiek to jest, nie przychodzi na rozkaz. Po prostu zjawia się albo nie.

Miałam teraz więcej czasu, by w świetle dziennym przyjrzeć się twarzy Forstera. Miał delikatne rysy... był niemal wychudzony... Orli nos, delikatne usta i równie delikatny podbródek. Szczeka ostro skręcała ku płatkom uszu, zaprzeczając na pozór łagodnemu wyrazowi twarzy.

Z plecionego koszyczka na stole Julian wyjął kilka kolorowych kamieni i trzymając je w ręce przemówił:

— Czy możesz przynajmniej podzielić się ze mną swoimi uwagami na temat Jilly, Lynn? Wiesz przecież, że nie umiem czytać w myślach, chociaż Vivian tak twierdzi. Może dostrzegam sygnały dawane przez innych, ale to wszystko.

Jest trochę zbyt skromny, pomyślałam. Albo chciał za takiego uchodzić.

— Jest kilka spraw, o które zdaniem Vivian powinnam cię zapytać.

— Śmiało.

— Najważniejsze jest chyba to, co naprawdę wydarzyło się w dniu wypadku Stephena. Vivian twierdzi, że tego nikt nie wie, ale przecież muszą być jakieś hipotezy.

— Jilly jako jedyna mogłaby coś na ten temat wiedzieć, ale obawiam się, że cokolwiek się wydarzyło, będzie starała się to ukryć. — Julian przełożył kamienie

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY 62

z jednej ręki do drugiej. — Wydaje mi się, że przeraża ją myśl, iż mogłoby to wyjść na jaw. Próbowałem z nią porozmawiać, wyjaśnić, że to, co się stało, to tylko wypadek, i nikt nie może jej za nic winić. A przede wszystkim, ona nie może się za to winić.

— I co mała na to?

— Nic. Kiedy naciskamy, zaczyna się trząść, a czasem krzyczeć. Wprawdzie nie aż tak, jak to miało miejsce ostatniej nocy. Dźwiga jakieś ciężkie brzemie, którym nie chce się z nikim podzielić.

— Nie ma żadnego powodu, dla którego miałaby rozmawiać ze mną.

Julian potrząsnął głową z wyrzutem.

— Przecież sama dobrze wiesz, Lynn, że ktoś obcy może często zrobić coś, czego nie uda się osiągnąć nawet najbliższemu osobie cierpiącej. Psychologicznie, emocjonalnie... ty wiesz, jak dotrzeć do Jilly. Odszukałem cię nie bez przyczyny. Masz niezwykły dar, dlaczego nie użyjesz go teraz, by nam pomóc?

Nie podnosząc głosu, nie zmieniając ani przez chwilę miłego wrażenia, jakie robił, Julian Forster mógł zniszczyć każdą moją linię obrony. Było wprost niemożliwe, aby przekonać o swoich racjach kogoś, kto czuł się tak mocno przeświadczony, że obrona przezeń droga jest słuszna. Julian mógł mnie zwyciężyć metodą, która wcale mi się nie podobała, a tego bynajmniej nie pragnęłam. Odgłos kamieni uderzających o siebie w jego dłoniach zaczynał mnie rozpraszać.

— Opowiedz mi o człowieku, który zginął — powiedziałam nagle.

— Luther Kersten? Raczej nieprzyjemny typ. Zlecił firmie Stephena wykonanie projektu swojego osiedla. To łajdak... tak przynajmniej uważam. Znałem go trochę, bo był protegowanym Larry'ego Asche. Miał

Phyllis A. Whitney

opinię kobieciarza, był chciwy, aż do nieuczciwości... jeśli już o to chodzi. Z tego, co Stephen czasem napomknął, mogłem się domyślić, że zmuszał kontrahentów do zastosowania kiepskich materiałów i proponował cięcia finansowe, które nie byłyby widoczne dla klientów. Budowniczy, uczciwy człowiek, przyszedł z tym do Stephena. Nie chciał, żeby potencjalni właściciele mieszkań na Białym Księżycu czuli się oszukani. Na dźwięk tej nazwy wstrzymałam oddech.

— Na Białym Księżycu?

— Stephen chciał tak nazwać to miejsce. Ale po śmierci Kerstena i wypadku Stephena wszystko się zmieniło. Trwa jeszcze sprawa sądowa dotycząca spadku po Kerstenie.

Nie zwracałam już na niego uwagi. „Biały Księżyc"! Chciałabym móc zapomnieć o dniu, w którym wybrałam „Biały Księżyc" jako nazwę dla naszego domu. To nie miało nic wspólnego z tym, co się działo teraz.

— Ale przecież masz jakieś przypuszczenia co do ewentualnego rozwoju wypadków — powiedziałam bardziej szorstko, niż tego chciałam. Julian spojrział na mnie zamyślony.

— Oczywiście, masz rację. Jest kilka teorii. Wszyscy wiedzieli, że Luther Kersten i Stephen się nie lubili, a policja jest zdania, że tego dnia na budowie wywiązała się między nimi bójka. Stephen miał podbite oko i sińce na twarzy, które, zdaniem doktora, nie powstały w wyniku upadku. Jeśli walczyli blisko krawędzi rusztowania, gdzie nie było żadnych bocznych ścianek, Stephen mógł zepchnąć stamtąd Kerstena. Albo Kersten mógł się sam poślizgnąć i spaść. W najgorszym przypadku mogło tam mieć miejsce morderstwo. Jednak najprawdopodobniej był to wypadek. Cokolwiek się wydarzyło, Stephen musiał stanąć na desce leżącej

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

64

w poprzek zejścia na schody, które nie powinno pozostać nie zabezpieczone. Deska złamała się, a on spadł dwa piętra w dół.

Mogłam niemal wyobrazić sobie to, co się stało i poczułam, jak skręca mi się żołądek.

— Więc Jilly to wszystko widziała?

— Tego nie wiemy. Ona nie ma pojęcia, jak straciła świadomość. Może faktycznie ukrywa większość tego, co wie. Jednego jesteśmy pewni: Stephen nie poszedł tam spotkać się z Kerstenem. Gdyby przeczuwał kłopoty, nigdy nie zabrałby Jilly ze sobą.

Nagle zdałam sobie sprawę, że wsłuchuję się w hipnotyzujące grzechotanie kamieni, które Julian przerzucał z jednej ręki do drugiej. Zauważył, czemu się przyglądam, i uśmiechnął się.

— To takie moje perełki na zmartwienia. — Otworzył dłoń, pokazując mi kolorowe kamyki. — Każdy ma własną energię, a ja pozwalam, aby mi pomagały.

Poranne słońce przebiło się przez szyby i dojrzałam brązowo-złoty blask tygrysiego oka.

Rozpoznałam blad różowy kwarc, kawałek czarnego obsydianu i jaskrawożółty nie oszlifowany topaz.

— Co one ci mówią, Julianie?

Dziwne, jak łatwo przyszło mi teraz zwracanie się do niego po imieniu.

— Nic mi nie mówią, ale czasami myśli stają się jaśniejsze, kiedy to ja do nich przemawiam. Zdarza się, że te kamyki umożliwiają mi odprężenie.

To ja potrzebowałam relaksu, a nie Julian. Sięgnął do koszyka za sobą i wyjął z niego niebieski kamień.

— To turkus z Kolorado. Zatrzymaj go i niech ci pomoże, Lynn. Chińczycy wierzą, że turkusy chronią przed złem.



Phyllis A. Whitney

— Dlaczego miałabym potrzebować ochrony przed złem?

— A czyż wszyscy jej nie potrzebujemy? — Pokazał mi srebrny pierścień z maleńkim turkusem na najmniejszym palcu lewej ręki. — Zawsze go noszę. Ale może coś działać tylko wtedy, gdy został podarowany przez kochającego przyjaciela... tak jak mój pierścień. Mam nadzieję, że będę dla ciebie takim przyjacielem, Lynn. Czasem turkus uśmierza niepokój. Ma wspaniałe działanie łagodzące. Zwróć uwagę na jego kolor. Jeżeli stanie się zielony, możesz mieć kłopoty. To jedyny kamień szlachetny, który zmienia kolor, by nas ostrzec.

Wzięłam do ręki maleńki, błękitny kamyk ogrzany ciepłem palców Juliana. Wszystko, co mi powiedział, mogło być prawdą... gdybym tylko uwierzyła.

— Zapomnij o pytaniach, na które nie ma odpowiedzi — powiedział. — Skoncentruj się na małej. Pamiętaj, że to dla niej tu jesteś.

— Ciągłe to powtarzasz, ale ja nie wiem, jak jej pomóc. — Usłyszałam smutek w swoim głosie. — Serce mi się ścisnęło, gdy patrzyłam na jej taniec zeszłej nocy. Jestem pewna, że chce w ten sposób dorównać matce. Jeszcze tego nie potrafi i własna niedoskonałość ją przytłacza. Kiedy tak poddała się nie kontrolowanym ruchom wypływającym z niej samej, była pełna wewnętrznej siły, która wręcz przeraża u kogoś tak młodego. Może wyrosnąć na tancerkę jeszcze większą niż jej matka.

— Jeśli wyrośnie — zauważył Julian.

— Co masz na myśli? Jest zdrowa, silna i...

— Jilly umiera. To dlatego chciałem, żebyś tu przyjechała.

Wrzucił kryształki do plecionki, jakby w tej chwili nic już więcej nie mogły dla niego zrobić.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

71

Jego słowa zaskoczyły mnie.

— Naprawdę jest chora?

— Nie fizycznie. Jeszcze nie. Ludzie umierają, gdy w ich życiu nie ma już nadziei. Stephen umrze... jakoś... z własnej ręki albo i nie. Dla niego już za późno. A Jilly, choć mogłaby mieć wspaniałe, bogate, twórcze życie, umrze młodo, bo brak jej nadziei i miłości tych, których najbardziej kocha. Niektóre dzieci są silne. Przetrwają niezależnie od okoliczności. Jilly nie jest silna, chociaż na taką wygląda. Poza tym ona coś ukrywa, nosi w sobie jakiś ciężar. Być może będzie dla ciebie trudniejszym przypadkiem, niż umierające dzieci, którymi się dotychczas opiekowałaś. Ale nawet wtedy leczyłaś ich dusze, prawda?

Zacisnęłam palce na błękitnym kamieniu, chociaż wątpiłam, czy rzeczywiście jest w stanie mi pomóc.

— Ciągłe jeszcze masz czas — rzekł Julian, przyglądając mi się. — Nie musisz podejmować decyzji już teraz.

— Podjęłam decyzję nieomal tuż po przyjeździe. Nadal nie jestem pewna, dlaczego zgodziłam się przyjechać.

— Nie wierzysz w przeznaczenie?

Gdybym wierzyła, myślałabym zapewne, że moim przeznaczeniem było poślubić Stephena i zostać z nim do końca życia. Jak mogłabym wierzyć teraz, że moje przeznaczenie ma cokolwiek wspólnego z Jilly?

Nie odpowiadałam. Julian podniósł ze stołu oprawioną w ramki fotografię i odwrócił ją do mnie, tak że mogłam zobaczyć twarz ślicznej dziewczynki, ciemnowłosej jak Jilly.

— Moja córka — rzekł. — Miała zaledwie pięć lat, gdy zmarła, razem ze swoją matką... wiele lat temu.

Phyllis A. Whitney

Wzięłam zdjęcie z jego ręki i przyjrzałam się roześmianej twarzyczce spoglądającej na mnie z fotografii. Więc to dlatego tak bardzo zależało mu na Jilly — zajęła miejsce ukochanego dziecka, które stracił? To by tłumaczyło jego niepokój. Poczułam, że rodzi się we mnie uczucie sympatii do Juliana Forstera.

— Tak mi przykro — powiedziałam, oddając mu zdjęcie. — To strata, po której rodzice nigdy nie dochodzą do siebie.

— Ja doszedłem — stwierdził spokojnie, odkładając fotografię na właściwe miejsce.

Dziwne — jakby odrzucał dawno zmarłą córeczkę, choć zachował jej podobiznę, na którą mógł spoglądać każdego dnia. W drugiej ramce zauważyłam kolorową, widać niedawno zrobioną fotografię Vivian: wielkie oczy, akceptujące i kochające, i aureola złotych włosów dokoła twarzy.

— Sam zrobiłem Vivian to zdjęcie — powiedział Julian. — Niemożliwe jest oczywiście, żeby kiedykolwiek wyszła źle na fotografii. Czy wiesz, że zanim poślubiła Larry'ego, była modelką? Nietrudno było w to uwierzyć.

— Jak ją poznałeś? — spytałam.

— Larry Asche i ja byliśmy przyjaciółmi, jeszcze za życia jego pierwszej żony. Wyjechałem na kilka lat, a kiedy wróciłem, już nie żyła, a on ożenił się z Vivian. Tak więc oboje zostali moimi przyjaciółmi. Po śmierci Larry'ego Vivian i ja zostaliśmy sami... dwoje ludzi, którzy go kochali. Potrzebowaliśmy siebie nawzajem.

Mówił to w sposób prosty i otwarty; moja sympatia do tego mężczyzny ciągle wzrastała. Nadchodził jednak czas, by powiedzieć mu, z czym właściwie przyszedłam.

— Jest coś, o czym chciałam z tobą porozmawiać, Julianie. Carla Raines nie nadaje się do Jilly. Jestem

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

68

pewna, że sam o tym wiesz, lecz po prostu przystałeś na wszystko, czego chciała Oriana. Ale czy ktoś inny nie mógłby się zająć małą? To bardzo ważne. Julian nie był zbyt zadowolony.

— Carla jest przyjaciółką Oriany, a Oriana ma nadal decydujące słowo w sprawach dotyczących Jilly. Nie mogłam się na to zgodzić.

— Zeszłej nocy Carla przyszła do mojego pokoju. Wyglądała jak... obłąkana... powiedziała, że to jest dom śmierci. Mówiła o jakimś morderstwie. Najwyraźniej ostrzegała mnie i utrzymywała, że muszę wyjechać. Powiedziała nawet, że dla was wszystkich jest już za późno. Czy wiesz, o co mogło jej chodzić?

Na chwilę zamknął oczy.

— Chciałbym umieć pomóc Carli. Czasami jest możliwe cofnięcie człowieka do jego poprzedniego wcielenia. Gdyby mi na to pozwoliła, mogłaby zrozumieć, co z niego wlecze ciągle ze sobą. Wtedy wreszcie pozbyłaby się tego ciężaru...

Nie o takie rozwiązanie mi chodziło.

— Uważam, że z Carlą trzeba coś natychmiast zrobić. Ona z pewnością nie jest osobą, której potrzebuje Jilly.

— A może to właśnie ciebie potrzebuje Jilly? Gdybyś tylko przestała hamować swoje najlepsze odczucia. Ciebie, nawet bardziej niż Carlę, chciałbym cofnąć do poprzedniego życia, by zobaczyć, czego mogłabyś się z niego dowiedzieć, to pomogłoby nam wszystkim. Hipnoza, którą stosuję, jest zupełnie nieszkodliwa, wiesz przecież.

Sama myśl o oddaniu się w jego ręce przyprawiła mnie o dreszcze. Przypomniały mi się słowa Carli

— nie mogę pozwolić, by Julian mnie omotał.

— Nie, dziękuję — odrzekłam. — To nie dla mnie.

69 Phyllis A. Whitney

Ale co powiesz na temat morderstwa, o którym mówiła Carla? Z pewnością nie miała na myśli poprzednich wcieleń.

— Obawiam się, że ta kobieta oszukuje samą siebie. Nie powinnaś się tym przejmować.

Łatwo powiedzieć. Mocno zacisnęłam turkus w dłoni, poszukując czegoś w rodzaju wewnętrznego spokoju.

— Ostatniej nocy — ciągnęłam dalej — nie mogłam zasnąć i wyszłam na taras. Tu jest cudowne powietrze... Nie dlatego, że wolne od zanieczyszczeń, lecz dlatego, że orzeźwia... podtrzymuje na duchu.

— To szczególny zakątek. W tych górach znajdują się ogromne pokłady kwarcu, emitującego dobrą energię. Kwarcu i kryształów używa się wszędzie ze względu na ich specyficzne właściwości... na przykład ten kwarcowy zegarek na twojej ręce. Gdy znajdujemy w ziemi tak wielkie złoża kwarcu, mogą i na nas oddziaływać ich wibracje.

Przypomniał mi się kawałek kwarcu, który Stephen dał mi po pierwszym dniu prac na budowie.

Zastanawiałam się, co się z tym kamieniem stało.

— Kiedy wyszłam na zewnątrz — powiedziałam — usłyszałam dziwny dźwięk przynoszony przez wiatr. Dochodził z oddali... jak gdyby muzyka. Coś w rodzaju brzęczenia, bardzo wyraźnego i czystego, jakby ktoś wprawiał w drganie struny harfy.

Julian wydawał się nagle poruszony.

— Cudownie, Lynn, to znaczy, że i ty je słyszysz! Nie jestem pewien, co to oznacza, ale ludzie, którzy słyszą te dźwięki, mają pewien specjalny dar. Musisz koniecznie powiedzieć Jilly, że je usłyszałaś.

— Je?

— Śpiewające Skały.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY 75

Powiedział to w bardzo dziwny sposób, jakby znajdował się w świątyni.

Julian Forster zaciągnął mnie na teren, gdzie nie czułam się dobrze, ale zanim udało mi się wyciągnąć z niego coś więcej, doszły do nas głosy z dołu — lekki, śpiewny głos Vivian i drugi, który doskonale pamiętałam. Mocniejszy, bardziej wibrujący, mógł należeć tylko do Meryl Asche, żony Everetta i bratowej Stephen.

Obie kobiety pojawiły się w wejściu, a ja zeszywniałam na myśl o mnóstwie kolejnych pytań, na które nie będę umiała odpowiedzieć. Meryl zawsze była wręcz chorobliwie ciekawska, więc przypuszczałam, że nie daruje sobie i tym razem.

## 4

**Zona** Everetta niewiele się zmieniła w ciągu tych dwunastu lat, jakie minęły od naszego ostatniego spotkania. Na pierwszy rzut oka, w przeciwieństwie do delikatnej urody Vivian, wyglądała bardzo nieatrakcyjnie — dosyć niska i trochę klockowata. Miała okrągłą, niezbyt ładną twarz, zadarty nos i zbyt szeroko rozstawione oczy. Ale w każdym jej ruchu widać było tę samą co niegdyś wi-talność. Meryl Asche miała w sobie zawsze ogromną siłę, której brakowało Julianowi i Vivian. Pamiętałam, że z łatwością manipulowała swym potężnym i poryw-czym mężem. Meryl nie można było nie doceniać. Zawsze przesadnie i dramatycznie gestykulowała; teraz rozłożyła szeroko ramiona i zbliżyła się, aby mnie objąć.

— Vivian dzwoniła, żeby mi powiedzieć, że zostaniesz tylko na krótko, więc przyjechałam najszybciej, jak tylko mogłam. Zabieram cię na lunch, Lynn. Mamy wiele lat do obgadania. Ciebie, Vivian, też zabieram, jeśli możesz jechać z nami.

Nie przyjechałam tutaj, by bawić się w składanie wizyt i wcale nie miałam ochoty na wielogodzinne plotki z byłą szwagierką.

— Miło cię widzieć, Meryl — zaczęłam — ale nie sądzę...

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY 77

Julian mi przerwał:

— Ależ to wspaniały pomysł. Jedź z nią na lunch, Lynn. To ci pomoże spojrzeć na wszystko z trochę innej perspektywy. A może byście tak zabrały ze sobą Jilly?

— Pojedzie? — spytała powątpiewającym tonem Meryl.

— Zapytaj, to się dowiesz. Lynn będzie miała okazję zobaczyć Jilly w większym towarzystwie.

To, co powiedział mi o Jilly, rozbroiło mnie zupełnie. Po raz pierwszy zadałam sobie pytanie, czy rzeczywiście nie mogłabym czegoś zrobić dla tego dziecka, dla córeczki Stephena. W każdym bądź razie mogę, jak to zasugerował Julian, przyjrzeć jej się w innej sytuacji.

— W porządku — zgodziłam się. — Dziękuję, Meryl.

Skinęła głową.

— Ty też jedziesz, Vivian?

— Innym razem. Lepiej, jeśli nie będzie z wami zbyt wielu dorosłych. Powiedziałam ci, Meryl, dlaczego Lynn przyjechała, ale ona jeszcze nie jest pewna, czy może w czymkolwiek pomóc, jeśli chodzi o Jilly.

Julian uśmiechnął się i przemówił do żony:

— Idź teraz z Meryl, nawet jeżeli nie jedziesz z nią na lunch, i spróbujcie namówić Jilly na przejażdżkę do Charlottesville. To nie powinno być trudne. Ona potrzebuje jakiejś odmiany.

Kiedy obie kobiety wyszły, zaczęłam się przechadzać po gabinecie Juliana, przyglądając się książkom na półce.

— Jesteś zadowolony z siebie, prawda? — powiedziałam, nie odwracając się do niego.

Zaśmiał się łagodnie.

— Jestem zadowolony z ciebie.



Phyllis A. Whitney

Przemilczałam to. Moją uwagę przykuły tytuły książek stojących obok siebie, nazwiska kilku autorów przeczytałam na głos:

— Ouspensky, Eileen Garrett, Edgar Cayce? Interesujesz się okultyzmem?

— Nazwijmy to parapsychologią. Pewne dziedziny ludzkiej psychiki. Vivian już ci pewnie powiedziała, że piszę książkę. A przynajmniej badam, notuję, próbuję znaleźć własną drogę.

Interesuje mnie jasnowidzenie, odbieranie bodźców bez udziału zmysłów, ponadmysłowe sposoby porozumiewania się, doświadczenia z pogranicza śmierci, reinkarnacja — wszystko, co podpada pod określenia zaczynające się od psy-, bo takim terminem przyjęło się określać wszystko z tej dziedziny.

Nie interesuje mnie pisanie o historii, dość już się tym zajmowano. Stare przepowiednie

Nostradamusa fascynują mnie, ale tylko w takim zakresie, w jakim odnoszą się do nas teraz. Koniec wieku może przynieść ogromne zmiany na Ziemi. Obawiam się jednak, że wszystko, co dotychczas udało mi się wymyślić do mojej książki, to tytuł: *Piasek, skała, ogień i lód*.

— Podoba mi się. Co to oznacza?

— W tym celu właśnie piszę tę książkę... chcę się tego dowiedzieć.

Doszłam do bardziej współczesnych książek na półce — Robert Monroe *Podróże poza ciałem*.

— Masz już jakieś doświadczenia w tej dziedzinie?

— Możliwe. Kto wie, dokąd wędrujemy w naszych snach? Albo dlaczego niektórzy widzą to, co wydarzy się w przyszłości, czytają w myślach albo pamiętają swoje poprzednie wcielenia? Chyba wszyscy mamy jakieś ukryte zdolności. Mam kilka pomysłów, które pragnąłbym rozwinąć.

To wszystko było dla mnie zbyt dziwne, choć lubi-

## ŚPIEWAJACE SKAŁY

74

łam myśleć o sobie jak o kimś otwartym na wszystko, co nowe i nieznane.

Zanim mogliśmy kontynuować naszą rozmowę, Meryl i Vivian wróciły, a Jilly razem z nimi.

Dziewczynka przebrała się z długiej, staromodnej sukienki w coś bardziej szkolno dziewczęcego: spódnicę w szkocką kratę, białą bluzkę i granatowy żakiecik. Na nogach miała granatowe podkolanówki. Ładne, czarne półbu-ciki, dokładnie wypolerowane, zastąpiły tenisówki. A jednak, mimo tych zmian, wewnątrz pozostała taka, jak przedtem — wyczułam, że przyszła do nas niechętnie. Było to nasze pierwsze oficjalne spotkanie, pomijając oczywiście te dwa przypadkowe. Julian przedstawił nas sobie, lecz Jilly unikała mojego spojrzenia.

Julian mówił dalej bezpośrednio do dziewczynki:

— Mam coś dla ciebie, Jilly. Coś, co zachowałem na specjalną okazję. To chyba najlepszy moment, żeby ci to dać.

Natychmiast podeszła i stanęła przed nim; czuła się pewniej z Julianem Forsterem niż z kimkolwiek innym i najwyraźniej była zaintrygowana. Patrzyła, jak otworzył najniższą szufladę w biurku i wyjął z niej małe, drewniane pudełko.

— To dla ciebie — powiedział ciepło.

Jilly wzięła podarunek z wyrazem zaciekawienia, bardziej ożywiona, bardziej przypominająca małą tancerkę, którą widziałam zeszłej nocy. Cień zawsze przesłaniający jej twarz zniknął, gdy otwierała pudełko i odwijiała bibułkę. Zobaczywszy, co w niej jest, uśmiechnęła się uroczo.

— Ale przecież one miały być dla twojej dziewczynki? — zauważyła z wahaniem w głosie, wyjmując bursztynowe korale.

Phyllis A. Whitney

— Bursztyny dla bursztynów. Miały należeć do niej, gdy dorośnie. Teraz są twoje. Myślę, że to by się jej podobało. Wiesz, co oznaczają, prawda?

Poważnie skinęła głową, przełożyła naszyjnik przez głowę, podnosząc włosy, i ułożyła go pod kołnierzykiem bluzki. Słońce przebijające przez szyby rozjarzyło wnętrza wszystkich paciorków, a Jilly dotknęła ich, jakby czerpiąc z koralu odwagę i siłę.

— Co oznaczają? — spytała Meryl.

— Może Jilly ci to kiedyś powie — odparł Julian. — Ale tylko pod warunkiem, że sama będzie chciała. Jilly, dałem Lynn turkus z mojego koszyka, bo ona także potrzebuje pomocy. Będiesz na nią uważać? Jilly obrzuciła mnie przelotnym spojrzeniem, jakby te słowa oddalały ode mnie jakąś tajemniczą groźbę. Ponownie skinęła głową, choć nadal była nieśmiała, gotowa w każdej chwili zamknąć się w sobie. — Dobrze... spróbuję — odrzekła.

— Dziękuję, Jilly.

Miałam nadzieję, że mój uśmiech wypadł naturalnie. Znowu musiałam uważać, lecz nie bardzo wiedziałam, co się dzieje. Julian miał swoje sposoby postępowania z tym dzieckiem, więc do czego byłam mu potrzebna?

— Chodźmy już — ponagliła nas niecierpliwie Meryl, a kiedy opuszczaliśmy dom, Julian, najwyraźniej zadowolony, podszedł do drzwi swojego gabinetu.

Vivian i Jilly ruszyły przodem w kierunku samochodu Meryl. Ta zaś położyła rękę na moim ramieniu. Zwolniłam.

— Cieszę się, że to widziałaś, Lynn. Nie podobają mi się te wszystkie mistyczne bzdury, które Julian wbija dziecku do głowy. Nic dziwnego, że zamknęła się w sobie. „Bursztyny dla bursztynów"! Co to w ogóle znaczy? I w jaki sposób turkus ma na ciebie oddziaływać?

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

76

— Ma mnie chronić przed złem — powiedziałam, a Meryl parsknęła pogardliwym śmiechem.

— W coś ty się wpakowała! — perswadowała dalej. — Vivian powiedziała mi, że masz pomóc Jilly. Ale co ty, do diabła, możesz zrobić, jeśli jej rodzony ojciec w niczym jej nie chce pomóc, a matka wiecznie jest na jakimś tournee?

Ku swemu wielkiemu zaskoczeniu, przemówiłam z pewnością, o jaką sama się nie podejrzewałam:

— Po pierwsze, trzeba się wyzbyć przekonania, że nic się nie da zrobić.

— O, Boże... Życzę ci powodzenia!

Meryl pośpieszyła przodem, doganiając Vivian i Jilly, a ja szłam za nią powoli, ciągle zaciskając w dłoni maleńki turkusik. Nie umiałam, tak jak Meryl, lekceważyć tego, co interesowało Juliana.

Doświadczyłam już kilku „uzdrowień” u dzieci, które nie rokowały żadnych nadziei. Mogłam przynajmniej zaakceptować fakt, że istniała taka dziedzina, o której mało wiedziałam.

Kiedy dotarłam do parkingu, od strony pokojów Stephena wybiegł do nas Paul Woolf. Nadal miał na sobie to koszarne „umundurowanie” — zielony kombinezon ukazujący jego muskularną budowę.

Gęste loki opadły mu na czoło, a ostre rysy twarzy wskazywały na niezbyt dobry humor. Zastanawiało mnie, jak Stephen, który zawsze miał wspaniałe poczucie humoru, mógł wytrzymać z takim opiekunem. Może wystarczyło, że Paul zajmował się wyłącznie zdrowiem fizycznym pacjenta.

— Pani Asche — odezwał się do Meryl — Stephen chciałby z panią porozmawiać przez chwilę, zanim pani odjedzie.

Meryl nie była tym zachwycona.

— Teraz?

82 Phyllis A. Whitney

— Jeśliby pani mogła. — Głos męczyzny nie dopuszczał sprzeciwu.

— No dobrze. Zaczekajcie na mnie — poprosiła nas, Vivian i mnie, Meryl. — Zaraz wracam.

Poszła z Paulem wzdłuż tarasu.

— Wezmę torebkę — powiedziałam do Vivian. — I schowam to. — Otworzyłam dłoń, pokazując jej turkus.

Jilly zaprotestowała natychmiast.

— Nie zostawiaj go... powinnaś nosić go zawsze przy sobie.

Vivian uśmiechnęła się.

— Chyba nie mam aż tak silnej wiary w zło, jak Julian... ale on jest bardzo mądry, lepiej go słuchaj.

Pobiegłam na górę do pokoju i wrzuciłam turkus do wewnętrznej kieszeni torby. Może zbiór kamieni Juliana, jeśli aż tak interesowały one Jilly, pomoże mi nawiązać z nią kontakt.

Zanim dołączyłam do pozostałych, wyszłam na taras, gdzie mogłam podziwiać piękny widok i wdychać orzeźwiające powietrze... wdychać odwagę i siłę. Wśród zieleni przeblyskiwały już i inne kolory, zapowiadając piękną jesień, mającą się rozpocząć lada dzień, a ja po raz kolejny rozkoszowałam się widokiem piętrzących się warstwowo gór.

Stałam tak, gdy wtem doszedł mnie odgłos z przeciwległego końca tarasu. Julian wyszedł ze swego gabinetu i oparł się o poręcz. Nadarzała się sposobność, którą powinnam wykorzystać, ruszyłam więc w jego stronę. Obejrzał się zaskoczony.

— O co ci chodziło, kiedy dawałeś Jilly te korale z bursztynu? Czy jest to coś, co mogłoby mi pomóc? Przyglądał się szczytom w oddali, a jego głos zabrzmiał melancholijnie, smutno.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

78

— Kupiłem te bursztyny wiele lat temu w Grecji. Chciałem dać je mojej córeczce, kiedy dorośnie. To naprawdę piękny bursztyn i bardzo cenny. Wtedy była jeszcze za mała, aby je nosić. Nazywała się Amber i Jilly rozumie, co miałem na myśli. Będzie je cenić.

— Cały czas obserwuję i słucham — powiedziałam. — To ty pomagasz Jilly. Wcale nie jestem ci potrzebna.

Spojrzał na mnie, a jego ciemne oczy przesłonił jeszcze większy smutek.

— Chciałbym, żeby to była prawda. Czasem nawet udaje mi się nawiązać z nią kontakt i zaczynam myśleć, że jesteśmy przyjaciółmi. A potem Jilly ucieka. Boi się przyjaźni, uczuć. Może dlatego, że zbyt wiele osób ją zawiodło.

Miałam odczucie, że nadal nie mówi mi wszystkiego. Zeszłam szybko na dół po schodach, czując się przytłoczona murem, którym mnie otaczał nawet wtedy, gdy proszono mnie o pomoc.

Vivian czekała na mnie, siedząc na niskim kamiennym murku przy zakręcie. Meryl jeszcze nie wróciła, a Jilly zajęta była obserwowaniem żółwia, który nieufnie schował się w swojej skorupie. Być może czuła, że mają ze sobą coś wspólnego.

Usiadłam obok Vivian, a ta natychmiast zadała mi pytanie:

— Ten turkus... czy Julian powiedział, że on ma cię chronić przed złem?

— Tak. Czy to ma jakieś znaczenie? Vivian uśmiechnęła się czule.

— Julian chyba uważa, że jeśli wystarczająco długo będziemy wierzyć w takie rzeczy, wydarzy się coś magicznego, co da mu uzdrawiającą moc, którą będzie mógł wykorzystać w przypadku Jilly.

— A ty w to nie wierzysz?

Phyllis A. Whitney

— Ależ wierzę! Tylko że on mnie czasem przeraża, bo posuwa się za daleko. Chyba lepiej nie zmieniać tego, o czym niewiele się wie. Zresztą nieważne... wraca Meryl. Zdaje się, że jest wściekła. Rzeczywiście, coś chyba popsło jej humor. Szła w naszą stronę, jak zwykle energicznym krokiem. Zeskoczyła z tarasu nie dochodząc do schodów, a potem zaczęła biec.

— Ciekawe, co się stało — szepnęła Vivian. — Jak będziesz mogła, to spróbuj się dowiedzieć, Lynn. Mnie raczej tego nie powie.

Wcale mnie to nie interesowało.

— Ja nie jestem stąd, zapomniałaś? To nie moja sprawa.

Vivian potrząsnęła głową.

— Zawsze będziesz stąd. To dlatego Julian chciał, żebyś przyjechała. Niezależnie od tego, czy ci się podoba czy nie, to wszystko jest również twoją sprawą. Ze względu na Stephena.

Nie miałam czasu, by zaprzeczyć. Meryl dotarła do nas rozwścieczona.

— Stephen wcale nie chciał ze mną rozmawiać! Paul to wszystko zorganizował. Chce upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu... ale mniejsza z tym. Stephen nadal nie wie, że tu jesteś i tak ma pozostać! Vivian zegnała się z Jilly, a Meryl i ja ruszyliśmy do samochodu zaparkowanego kawałek dalej, gdy na frontowych schodach pojawiła się Carla Raines. Miała na sobie długie sari w kolorze szafranu i egzotyczne żółte kolczyki w uszach zwisające jej niemal do ramion.

— Alleluja! — mruknęła pod nosem Meryl. Carla skinęła nam głową i podeszła do Jilly, która klęczała na ziemi rozmawiając z żółwiem. Dziewczynka podniosła wzrok i zobaczyła przed sobą opiekunkę. Nie mogłam

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY 85

dosłyszeć ich rozmowy, ale doskonale widziałam, że Jilly wcale nie jest zadowolona. Wyrwała się Carli i uciekła w stronę samochodu Meryl. Usiadła z tyłu i zapięła pas, pozostawiając przednie siedzenie dla Meryl i dla mnie. Kiedy obejrzałam się, zaciskała palce na bursztynowych koralikach, jakby czerpała z nich pociechę.

Ruszyłyśmy. Widziałam, że Carla spogląda za nami z oburzeniem.

— Czego ona chciała, Jilly? — spytała Meryl.

— Robiła mi wymówki, jak zwykle. Nie cierpi, kiedy dobrze się bawię.

Zapatrzyła się na drogę biegnącą między górami do Charlottesville.

Przemówiłam łagodnie do Meryl:

— Dlaczego to robisz? Dlaczego tak nalegałaś na mój wyjazd do Charlottesville?

Odpowiedziała szczerze:

— Bo uważam, że potrzebujesz jakiejś zmiany. Jak możesz wytrzymać ze Stephenem pod jednym dachem, po tym, co ci zrobił?

— Nie przyjechałam tu ze względu na Stephena i wcale nie zamierzam się z nim widzieć.

— Na pewno?

W jej głosie dosłyszałam powątpiewanie, więc podobnie jak Jilly skupiłam uwagę na krajobrazie za oknem.

Autostrada wiła się wśród wzgórz. Droga była równie piękna, jak ją zapamiętałam. Każdy zakręt ukazywał następne szczyty gór i tak jak kiedyś migały przede mną niewielkie skupiska domów — białych, zielonych albo jasnożółtych — które z trudem można było nazwać miejscowościami. Znikały szybko w miarę naszego przemieszczania się na autostradzie.



Phyllis A. Whitney

Meryl była dobrym kierowcą, chociaż jechała dosyć szybko; czułam, że w ten sposób wyrzuca z siebie złość. Właśnie teraz miałam ochotę zapytać ją o spotkanie ze Stephenem. Przede wszystkim chciałam się dowiedzieć, co skłoniło go do tego desperackiego kroku zeszłego wieczoru. Ale żadne z tych pytań nie mogło być zadane mimochodem, poza tym Jilly mogła nas usłyszeć z tyłu.

— Opowiedz mi o sobie, Meryl — poprosiłam.

— O sobie? No cóż, całkiem nieźle mi się powodzi. Mam sklep odzieżowy w Charlottesville, zarządza nim jedna z moich pracownic, więc samo prowadzenie interesu nie zabiera mi wiele czasu. Nie lubię czuć się uwiązana. Tak nawiasem mówiąc, to Everett zabiera nas dzisiaj na lunch. Już to wcześniej zaplanowaliśmy, choć ty i Jilly będziecie dla niego niespodzianką.

Niezbyt przyjemną, jak przypuszczałam. Zastanawiałam się, co planuje Meryl.

— Everett nie wie, że tu jesteśmy? — spytałam.

— Uwielbiam robić mu niespodzianki. — Zaśmiała się. — Ciekawe, jak zareaguje.

Jej złośliwe zamiary stały się dla mnie jasne i zaczęłam żałować, że pojechałam z Meryl Asche.

Drogowskazy na autostradzie zaczęły wskazywać kolejne zjazdy do Charlottesville. Większość ulic biegła prosto, dosyć skomplikowany ruch na nich regulowany był światłami, a drogi dojazdowe prowadziły do poszczególnych rejonów miasteczka, co chwila zakręcając i wprowadzając w błąd kierowców. Zawsze uważałam, że Charlottesville to fascynująca miejscowość, ale obcy mieli trudności z poruszaniem się tutaj.

Tak naprawdę nie znalazłoby się tu wysokich budynków — było to niskie miasteczko, położone na niewysokich wzgórzach i otoczone górami, które jednak znajdowały się poza nim. Zielone miasto drzew, wiosną

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

82

pełne kwiatów. Teraz większość otwartych przestrzeni zajmowała świeża ziemia — żółte wykopy pod budowane właśnie nowe biurowce. Oczywiście Charlottesville było pełnym życia i doskonale prosperującym miastem z uniwersytetem imienia Thomasa Jeffersona w samym centrum. I chociaż samochody poruszały się tu szybciej niż w Nowym Jorku, to tempo życia wydawało się wolniejsze; większe względy okazywano też turystom.

Zawsze fascynowało mnie to przemieszanie domów prywatnych i biurowców. Dzielnica handlowa była zabudowana wielkimi ośrodkami handlowymi, bankami, supermarketami, restauracjami i stacjami benzynowymi, a zaledwie kilka ulic dalej, wokół krętej górskiej drogi, znajdował się obszar porośnięty drzewami, pełen domów z ogródkami, w których bawią się dzieci, oraz szkoły — z dala od miejskiego zgiełku. Tereny te wydawały się odizolowane niczym odległe podmiejskie osiedla. Starą dzielnicę miasta nazywano „centrum”, chociaż wcale już nim nie była od czasu, gdy wielkie centra handlowe mieściły się wszędzie: Barracks Road, Fashion Square, Seminole Square, Downtown Shopping Mall (tylko dla pieszych) i wiele innych. Większość z nich wybudowano po tym, jak skończyłam studia.

— Zabierzemy Everetta z biura — powiedziała Meryl. — Mieści się ono cały czas w tym samym miejscu, chociaż teraz „Asche i Baker” zajmują cały budynek.

— „Asche i Baker”? — zdziwiłam się.

— Tak brzmi obecna nazwa firmy. Od czasu kiedy Stephen nie może pracować, Everett ma innego wspólnika i kilku nowych młodych architektów. Szybko dokonał tego, co trzeba było zrobić. Nowe budowy

Phyllis A. Whitney

w Wirginii to dobry interes i firma Everetta ma sporą konkurencję.

Firma Everetta. Nienawidziłam tego określenia. Lecz nawet wtedy, gdy byłam żoną Stephena, Everett zarządzał interesem, aby Stephen mógł się całkowicie poświęcić pracy twórczej, na której tak mu zależało.

— Czy Stephen już wcale nie pracuje? — zapytałam. — Nawet jeśli jeździ na wózku, mógłby przecież...

— Nie widziałś go — ucięła Meryl, a ja już nie poruszałam tego tematu. Nie chciałam tego słuchać. Droga, którą jechałyśmy, była mi znajoma. Znajdowałyśmy się w dzielnicy imienia Thomasa Jeffersona. Główna ulica zwężała się: po jednej stronie znajdowały się małe, raczej nędzne sklepiki, a po drugiej — brama uniwersytecka z kutego żelaza. W całym Charlottesville można było dostrzec kopie klasycznego stylu architektonicznego Jeffersona, eleganckie fasady z cegły z białymi kolumnami i portykami. To tutaj, za ogrodzeniem, kryło się coś wspaniałego: rotunda, której kształt Jefferson zapożyczył od starożytnych Rzymian.

Chciałabym zapomnieć, że kiedyś tu studiowałam i że wtedy włączyliśmy się po parku ze Stephenem, trzymając się za ręce. Ale czy tego chciałam czy nie, te wspomnienia okazały się równie żywe jak ja, jak wszystko, co się wokół mnie działo — nawet jeśli tak długo do nich nie wracałam. Małe sklepiki i jadłodajnie wyglądały w większości tak samo, jak wtedy, gdy jako jedna ze studentek sama do nich chodziłam. Wszystko, co widziałam, wiązało się z przeszłością... nie było to miłe.

Meryl znalazła miejsce do zaparkowania w pobliżu starego biurowca z cegły, z wielkimi łukowymi oknami, które tak lubił Stephen i które doskonale pasowały do ich firmy. Budynek ten przeżył wielu ludzi i ich liche

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

89

emocje, lecz ten fakt nie mógł powstrzymać moich odczuć, które nagle stawały się zaskakująco realne.

— Chcesz wejść do środka? — spytała Meryl, a jej zatroskany głos wprowadził mnie w zakłopotanie.

Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że podążanie starymi szlakami jest dla mnie bolesne. Zanim zdążyłam odmówić, Jilly poruszyła się na tylnym siedzeniu.

— Pokażę ci, gdzie pracował mój tatuś — zaproponowała, wyskakując z samochodu.

Po raz pierwszy dziewczynka sama wystąpiła z jakąś inicjatywą, wysiadłam więc i podążyłam za Meryl i Jilly do głównego wejścia.

## 5

**Przestronne**, pooddzielane od siebie stanowiska, na których kilku architektów pracowało przy deskach, biegły wzdłuż długiego, wysokiego pokoju. Szerokie, strome schody prowadziły do pokoi na górze, gdzie mieściły się biura wspólników i gdzie kiedyś był gabinet Stephena. Jilly nie mogła wiedzieć, jak doskonale znam to miejsce, choć teraz, gdy Stephen już tutaj nie pracował, czułam się tu obco i nieprzyjemnie.

Meryl, nie zapowiadając nas, minęła recepcjonistkę przy wejściu do budynku. Na górze poprowadziła nas ku otwartym drzwiom do biura Everetta. Właśnie skończył rozmawiać przez telefon, podniósł wzrok i dostrzegł nas przy wejściu. Kiedy wzrok mężczyzny przez chwilę spoczął na mnie, cień niedowierzania zagościł na jego twarzy. Potem wstał od stołu, podszedł do nas i przywitał się niezbyt serdecznie.

— Cześć, kochanie! — powiedziała Meryl i wspięła się na palce, by pocałować męża w policzek. — Niespodzianka! Zobacz, kto przyjechał do Forsterów!

Everett nawet nie udawał, że się cieszy ze spotkania ze mną.

— Co ty tu robisz? — spytał.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie. Nie podobało mi się to, co zobaczyłam, zresztą tak jak nie podobało mi

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

91

się w przeszłości. Everett Asche miał despotyczny sposób bycia. Kiedyś służył w armii i w każdym jego ruchu znać było oficera. Był przeciwieństwem tego, co podobało mi się w Stephenie. Ale mój mąż zawsze bardzo liczył się z bratem i był posłuszny jego decyzjom.

Ponieważ szwagier zaczynał mnie już denerwować, wyciągnęłam do niego rękę w geście powitania. — To długa historia, Everecie. A co u ciebie? Dobrze wyglądasz.

Uścisnął moją dłoń, nie bardzo mi dowierzając, i szybko ją puścił. I chociaż nigdy mnie nie lubił, jego reakcja na moją obecność tutaj była niezwykła.

Meryl dotknęła ramienia męża.

— Opowiem ci wszystko innym razem, kochanie. Teraz zabierz nas na lunch. Powinieneś się cieszyć z tak wspaniałego damskiego towarzystwa.

Everett spojrział na nią ponuro, lecz wiedział, że znalazł się w pułapce.

— Dokąd chcecie iść? — spytał szorstko.

Meryl najwyraźniej doskonale się bawiła, pamiętam, że zawsze lubiła wybuchowe i pogmatwane sytuacje. — Chodźmy do „Book Gallery” — zaproponowała z ożywieniem. — Jilly tam się spodoba. Jilly nie wyglądała na dziecko, któremu cokolwiek by się spodobało. Wpatrywała się w Everetta pełna coraz większych obaw.

— Chcę zobaczyć miejsce mojego taty — oznajmiła nagle.

— On już nie ma tutaj swojego biura — odparł Everett. — Wiesz o tym dobrze.

— Gdzie są jego rzeczy?

— Jakie... rzeczy?

Jilly uparcie nacierała na Everetta.

— Czasem przychodziłam tu do taty. Miał na ścianie korkową tablicę, do której przypinał zdjęcia i wy-

92 Phyllis A. Whitney

ciniki z gazet. Na półce trzymał kilka ozdób. Może mogłabym zabrać teraz to wszystko. Gdzie schowałeś rzeczy z biurka mojego taty?

— Posłuchaj... — Upór Jilly wytrącał Everetta z równowagi. — Nie mam pojęcia, gdzie...

Meryl szybko mu przerwała.

— Zdaje się, że schowaliśmy to wszystko w kartonowym pudle do jakiejś szafki, gdy nowy pracownik zajmował biurko Stephena. Zobaczmy, co uda nam się znaleźć, Jilly.

Jilly poszła za ciotką korytarzem, a Everett niechętnie wskazał mi krzesło.

— Moja żona nadal uwielbia efekty dramatyczne. Przyznaję, że zaskoczyłaś mnie swoją wizytą, Lynn. Po co przyjechałaś?

— Julian Forster mnie o to poprosił. Sądził, że może będę w stanie jakoś pomóc Jilly ze względu na moją dotychczasową pracę z dziećmi.

— Pomóc jej? Coś z nią nie tak?

Everett właściwie nigdy nie przejmował się innymi i prawdopodobnie nigdy nie zrozumiałby, czego potrzebują dzieci. Czasami zastanawiało mnie, jak Meryl znosi jego gruboskórność. Pomijając oczywiście fakt, że umożliwił jej taki poziom życia, jaki jej odpowiadał, a także wysoką pozycję społeczną. Ojciec Meryl był mechanikiem samochodowym, matka zaś kelnerką, co raczej nie miałoby znaczenia, gdyby nie to, że Meryl opuściła rodziców i uciekła od tego wszystkiego, co ją z nimi łączyło. Rodzina Everetta i Stephena należała do „starej Wirginii”. Jednak chociaż Meryl marzyła o wyższym statusie społecznym, jej niezależna natura z trudem poddawała się jakimkolwiek konwenansom. Kiedyś mi o tym wszystkim opowiedziała, wściekła z powodu jakiegoś wydarzenia.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY 88

Próbowałam spokojnie odpowiedzieć Everettowi, chociaż zaczynał działać mi już na nerwy.

— Pan Forster uważa, że Jilly nie jest szczęśliwa i potrzebuje pomocy kogoś, kto nią pokieruje. Lecz chyba przede wszystkim mała potrzebuje ojca, który by się o nią troszczył, i matki częściej przebywającej w domu. Z tego, co zauważyłam po przyjeździe, nie da się osiągnąć ani jednego, ani drugiego.

— To nie ma sensu — stwierdził Everett. — Mam na myśli twój przyjazd. I przecież to nie twoje zmartwienie.

— Zgadzam się z tobą całkowicie i zamierzam wyjechać stąd jak najszybciej.

— Widziałaś się ze Stephenem?

— Nie i nie zamierzam.

— Bardzo rozsądnie. On też nie chce się z tobą spotkać.

Na szczęście wróciły Meryl i Jilly; dziewczynka trzymała kartonowe pudełko, na które Everett spojrzał podejrzliwie.

— Co w nim jest?

— Nic ważnego — uspokoiła go Meryl. — Tylko kilka zdjęć rodzinnych, które Stephen trzymał w biurze. Nie widzę powodu, dla którego Jilly nie mogłaby ich zatrzymać, jeśli ma na to ochotę.

Mój były szwagier nie zadawał więcej pytań.

— Więc chodźmy już na lunch.

Jak przypuszczałam, największym marzeniem Everetta było mieć już za sobą najbliższą godzinę. Zeszliśmy za nim na dół do jego mercedesa, lecz tym razem szybko usiadłam z tyłu razem z Jilly, trzymającą na kolanach drocenne pudełko.

— Pokażesz mi kiedyś te zdjęcia? — spytałam, gdy włączaliśmy się do ruchu.



Phyllis A. Whitney

Chciałam jakoś zacząć rozmowę, ale Jilly zdjęła przykrywkę, spod której spojrzała na mnie piękna twarz Oriany. Natychmiast pożałowałam tego pytania.

— To moja mama — powiedziała czule Jilly i podała mi fotografię, której wcale nie pragnęłam oglądać.

Potem spojrzałam na następne zdjęcie w pudełku... Oriana, Stephen i malutka Jilly stali opierając się o poręcz na tarasie domu, który miał być mój. Nie byłam w stanie już na to patrzeć.

— Pokażesz mi je innym razem — zaproponowałam. — Zdaje się, że już dojeżdżamy.

Barracks Road Shopping Center — jeden z najpopularniejszych domów handlowych — nie znajdował się zbyt daleko. W tym mieście właściwie wszędzie było blisko. „Book Gallery” mieściła się na rogu budynku; schody, osłonięte niebieską markizą, prowadziły do księgarni. W długim oknie restauracji, po lewej stronie, wystawiono najnowsze tytuły, zapraszając do jedzenia i czytania.

Próbowałam wymazać z pamięci obrazy z fotografii, przyglądając się temu, co mnie otaczało.

Błękitna na zewnątrz „Book Gallery” wyglądała bardzo atrakcyjnie z powystawianymi białymi stolikami i krzesłami, a także z białym parasolem nad jednym ze stołów. Ściany wewnątrz restauracji też miały błękitny odcień, a na podłodze leżał elegancki ciemnoniebieski dywan. Niebieskie serwetki kontrastowały z białymi obrusami — wszystko to było miłe dla oka i bardzo eleganckie w nie narzucający się sposób. Miejscowi artyści wystawiali tu swoje obrazy — większość z tych, które wisały na ścianach teraz, przedstawiała wieś. Atmosfera w restauracji miała umożliwić gościom relaks... gdybym tylko mogła się odprężyć!

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

90

Meryl usiadła obok Jilly, cały czas ją obserwując, ale dziewczynka wiedziała, jak się zachowywać wśród dorosłych. Wszystkie jej ruchy były pełne chwytającej za serce godności. Tylko gdy spoglądała na wujka, co nie zdarzało się często, z trudem hamowała wewnętrzną złość. Czułam wtedy ogromny niepokój.

Byliśmy z pewnością źle dobranym towarzystwem i Meryl musiała wiedzieć, że tak będzie. Zastanawiałam się, co za nieustający brak własnej satysfakcji kazał jej cieszyć się ze skrepowania innych. Everettowi chyba to nie przeszkadzało, jeśli w ogóle zwracał na to uwagę, jakby był przyzwyczajony do złośliwości żony i nie brał ich poważnie.

Na szczęście Meryl umiała przynajmniej podtrzymać coś w rodzaju ogólnej rozmowy.

— Opowiedz nam o swojej pracy, Lynn — poprosiła. — Vivian mówi, że pracujesz z bardzo chorymi dziećmi. Czy to nie jest przygnębiające?

Dostrzegając nagle zainteresowanie Jilly, odpowiedziałam ostrożnie:

— To nie jest przygnębiające, gdy można coś zrobić. A czasem naprawdę udaje mi się pomóc.

— Pomóc dziecku umierającemu na raka albo jakąś inną nieuleczalną chorobę? — spytała Meryl.

— Nie jestem pewna, czy jakakolwiek choroba jest nieuleczalna — odparłam. — To niektórych ludzi faktycznie nie można wyleczyć. Dzieci są wspaniałe, gdy używają wyobraźni, by pomóc samym sobie. Wizualizacja przychodzi im łatwo, kiedy już zrozumieją, jak ją zastosować. Czasami najtrudniej jest powstrzymać dorosłych od przenoszenia na małych pacjentów własnych obaw i negatywnych postaw.

Świadoma ciągłego zainteresowania Jilly przemówiłam bezpośrednio do niej:

Phyllis A. Whitney

— Własne myśli przekazują nam informacje o tym, czy jesteśmy szczęśliwi czy smutni. Niektóre dzieci, jakie spotykam, bardzo długo dostawały złe informacje, dlatego pozostaje bardzo dużo do przezwyciężenia.

Jilly przyglądała mi się w zamyśleniu.

— Czy można nakazać sobie być szczęśliwym, kiedy się jest smutnym?

*Touche*, pomyślałam.

— Czasami — zaczęłam łagodnie — dzieci pomagają mnie, podczas gdy ja próbuję pomóc im.

Everett, najwyraźniej znudzony, wziął do ręki menu i przez chwilę wszyscy w cichym skupieniu przeglądaliśmy karty dań. Niektóre nazwy miały śmieszny, literacki charakter: „Bestseller”,

„Opowiadania”, „Moje dni sałatkowe”. Zamówiłam „Rubaiyat” — zupełną sałatkę, chleb i wino, a Jilly wybrała dla siebie sałatkę „Miniona sława żurawia”.

Kiedy już wszyscy zamówiliśmy jedzenie, Meryl odsunęła swoje krzesło.

— Chciałabym kupić pewną książkę, więc zajrzę do księgarni i zobaczę, czy ją mają. Chodź ze mną, Lynn, rozejrzysz się po sklepie. Przepraszamy na chwilę.

Nie zaproponowała Jilly pójścia z nami, a kiedy zobaczyłam ponure spojrzenie, jakim dziewczynka obrzuciła Everetta, nie miałam ochoty zostawiać ich samych. Jednak Meryl zrobiła to celowo, poszłam więc za nią po stromych schodkach do pięknego pomieszczenia z półkami pełnymi książek w kolorowych okładkach. Cudowne miejsce na wertowanie książek, ale nie tym razem. Zaciągnęła mnie między półki, które oddzielały nas od innych klientów, i położyła dłoń na moim ramieniu.

— Musiałam z tobą przez chwilę porozmawiać na osobności — powiedziała. — Jest coś, co możesz zro-

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY 97

bić, przebywając w tym domu, Lynn. Proszę, obserwuj Carłę. Może uda ci się złapać ją na czymś, z powodu czego Everett mógłby ją zwolnić.

— Everett? Myślałam, że to Julian mógłby kazać jej wyjechać, a już na pewno Oriana...

— Julian! — Meryl skrzywiła się pogardliwie. — To, czego chce Julian, nie ma żadnego znaczenia. Julian i Vivian są tylko gośćmi w tym domu. Wszystko było w porządku, dopóki Stephen czuł się dobrze i kiedy on wydawał polecenia. Ale to Everett został wyznaczony przez sąd do zajmowania się sprawami Stephena, więc gdyby tak postanowił, mógłby wyrzucić z domu tych dwoje w ciągu minuty. Tak samo jak Carłę. On jest zdania, że Jilly potrzebuje Carli. Ja nie. Dlatego chcę pokierować Everettem.

Miałam już własne powody, by się uprzedzić do tamtej kobiety, ale jakoś nie chciałam mówić Meryl o nocnej wizycie Carli u mnie. Nie podobała mi się intryga, jaką proponowała, ciekawiły mnie jednak jej motywy. W jakim stopniu naprawdę interesowało ją dobro Jilly?

— Nie wiem... — zaczęłam z wahaniem. Powstrzymał mnie uśmiech Meryl.

— Nieważne. Gdy zachowanie Carli kiedyś doprowadzi cię do wściekłości, po prostu mi o tym powiedz. Może będę mogła coś na to poradzić. I jeszcze jedno, Lynn. Jilly przeszła już wystarczająco dużo. Nie jest świnką doświadczalną, na której Julian mógłby wypróbować swoje szalone pomysły. Ani obiektem twoich eksperymentów.

— Cieszę się, że tak bardzo ci na niej zależy — powiedziałam. — Byłabym ostatnią osobą, która chciałaby zranić Jilly.

93 Phyllis A. Whitney

— Nawet jeśli jest ona dzieckiem Stephena i innej kobiety?

Miałam nadzieję, że nie wyglądam na tak podłą, nie musiałam się więc bronić. Coraz bardziej niepokoiła mnie Jilly, a nie jej rodzice, oczywiście poza ich obojętnością.

— W porządku — odrzekła Meryl, gdy nie odpowiedziałam na jej pytanie. — To był tani chwyt. Ale ktoś musi troszczyć się o Jilly.

— Wydaje mi się, że Julian bardzo się nią interesuje.

— On! — Jej głos znowu zabrzmiał szyderczo. — To nie o Jilly mu chodzi. Zadaj mu kiedyś kilka pytań, a zobaczysz, jak mało go to wszystko obchodzi. Poczekaj, zapłacę za książkę i wrócimy do stolika, zanim coś się wydarzy między Jilly a Everettem. Cieszę się, że nie mamy dzieci, mój mąż byłby strasznym ojcem.

Kiedy Meryl regulowała rachunek przy kasie, zauważyłam książkę na wystawie — zbiór esejów o słynnych tancerzach. Oriany nie wymieniono w indeksie, prawdopodobnie nie była aż tak znaczącą postacią. Jednak ta książka mogła spodobać się Jilly, kupiłam ją więc, aby dać dziewczynce przy najbliższej okazji.

Między Jilly i Everettem chyba nie zaszło nic strasznego. On nadal miał znudzoną minę, a Jilly zamknęła się w sobie, uciekając od wszystkiego, co ją otaczało. Nawet jeśli nie rozmawiali ze sobą, to przynajmniej też się nie kłócili. Dopiero kiedy kelnerka przyniosła nasze sałatki i zaczęliśmy jeść, Jilly nagle ożywiła się, zaskakując nas wszystkich.

— Zeszłej nocy mój tata próbował popełnić samobójstwo — powiedziała spokojnie, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

99

Nagle zapadła cisza; Everett i Meryl przyglądali się dziewczynce w milczeniu. Długie włosy Jilly otaczały jej twarzyczkę, wyglądała niemal jak anioł, lecz unosiła się nad nią aura niepokojących myśli. Uderzył mnie ten swoisty mroczny rodzaj niewinności. Dziewczynka wyglądała jak bujający w obłokach aniołek i wydawało się, że opowiada o czymś, co wydarzyło się już dawno i co nie miało z nią nic wspólnego. Może odziedziczyła po Orianie zdolności aktorskie i dzięki temu umiała doskonale odegrać swoją rolę. A może nawet w duchu cieszyła się z naszej reakcji na tę szokującą wiadomość. Najwyraźniej nikt nie powiedział ani Meryl, ani Everet-towi, co się stało. To było dziwne — w końcu Everett był bratem Stephena i to od niego wszystko zależało.

Meryl odezwała się pierwsza:

— Co ty mówisz, Jilly? Skąd o tym wiesz?

— Paul powiedział Carli, a ona mi powtórzyła. Carla twierdzi, że to prawdopodobnie moja wina.

— Mój Boże! — Meryl ze złością odwróciła się do męża. — Musisz się pozbyć tej kobiety!

Cała uwaga Everetta skupiła się na dziecku; był coraz bardziej zaintrygowany.

— Co jeszcze wiesz na ten temat? Co konkretnie twój tata próbował zrobić?

Jilly bawiła się łyżką, teraz już zdenerwowana.

— Chyba chciał zażyć jakieś proszki. Tylko że spadł w łazience ze swojego wózka i narobił mnóstwo hałasu, więc Paul go usłyszał. Nie połknął żadnej pigułki, tak twierdzi Paul. W każdym bądź razie tyle powiedziała mi Carla.

— Cokolwiek się wydarzyło, to nie była twoja wina — zapewniłam ją szybko.

Spojrzała na mnie z powątpiewaniem.

— Skąd możesz to wiedzieć?

Phyllis A. Whitney

— Dlaczego miałyby zrobić coś tak głupiego? — zastanawiał się głośno Everett.

— Dlaczego miałyby to zrobić? — spytała ironicznie Meryl. — A po co miałyby żyć?

Meryl wcale nie traktuje Jilly lepiej niż ktokolwiek inny, pomyślałam, zła na nią i na jej męża. Żadne z nich nie myślało już o uczuciach małej. Palce dziewczynki zacisnęły się na łyżce, którą się bawiła, a kiedy ponownie przemówiła, usłyszałam napięcie w jej głosie.

— Carla mówi, że mój tata zrobił to z powodu tego, co się stało przedwczoraj w nocy. Ktoś włamał się do domu, podczas gdy mój tata i Paul spali. Paul twierdzi, że nic nie zginęło, ale ten ktoś pociął poduszki na wózku tatusia i zostawił jakiś list na siedzeniu.

— To straszne! — wykrzyknęła Meryl. — Co w nim było?

— Nie wiem. Carla mi tego nie powiedziała. — Jilly mówiła coraz głośniej. — Może ona też nie wiedziała, bo koperta była zaklejona, a Paul zaniósł ją natychmiast wujkowi Julianowi. Specjalnie go obudził, więc wszyscy byli na nogach. Tylko przespałam to, co się stało.

Więc to było przyczyną napięcia, jakie wyczułam tuż po przyjeździe. Bo zaszło coś, o czym ani Julian, ani Vivian nie chcieli ze mną rozmawiać.

— Cieszę się, że nam o tym powiedziałaś, Jilly — odezwała się spokojnie Meryl. — Wujek Everett powinien o tym wiedzieć. — Spojrzała na rozzłoszczonego męża. — Nie mam pojęcia, dlaczego nikt go o tym nie poinformował.

Jilly otworzyła szeroko swe szarozielone oczy.

— Dlaczego powinien? Wujka mój tata wcale nie obchodzi. Zabrał i schował wszystkie rzeczy z jego biurka!

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

101

Kelnerka podała nam lunch, uniemożliwiając tym samym natychmiastową odpowiedź, chociaż Everett chodził cały. Właściwie nigdy się nie denerwował, lecz tym razem Jilly udało się wyprowadzić go z równowagi. Wydawało się, że w Meryl i w Everecie tkwi coś chorego, co zdawało się zarażać także Jilly. W przeciwieństwie do Juliana i Vivian, których uważałam za zdrowych... przynajmniej darzyli Jilly miłością i współczuciem.

Lecz nadal pozostawała uwaga Jilly, na którą trzeba było zareagować — nawet jeśli niewiele robiła sobie z tego, co mówię. Był chyba najlepszy moment, by kontynuować naszą rozmowę, bo emocje ciągle jeszcze nie opadły.

— Jilly, dlaczego Carla sądzi, że to, co zrobił twój tata, mogło być twoją winą? Jestem pewna, że ona się myli, ale po co miałyby to powiedzieć?

Jilly wyglądała na przerażoną.

— Ona nie miała na myśli tego, co się właśnie wydarzyło. Ona...

Przerwała nagle i zaczęła jeść, jakby sałatka, którą miała na talerzu, była jedyną rzeczą godną uwagi.

— Nieważne — wtrąciłam szybko. — Jestem pewna, że to nieprawda, a Carla nie powinna była mówić takich rzeczy.

— Zgadza się — dodała Meryl. — Będę musiała z nią porozmawiać.

Jilly spojrzała na ciotkę.

— A jeśli nie? A jeśli to jest moja wina?

— Oczywiście, że nie, Jilly, kochanie. — Meryl wzięła ją za rękę. — Nie możesz wyobrażać sobie czegoś, co tak dalece mija się z prawdą.

Everett nie wtrącał się i zastanawiałam się, czy w ogóle nas słucha.



97 Phyllis A. Whitney

Niepokój Jilly trochę zmalął pod łagodnym dotknięciem Meryl, ale po tym wszystkim dziewczynka nie była już w stanie jeść. Obojętność, którą dostrzegłam wczoraj na jej twarzy, powróciła.

Do końca posiłku nawet Meryl nie próbowała zaczynać żadnej rozmowy. Gdy Everett burknął, że nie chce deseru ani kawy, my też nic nie zamówiliśmy. Tuż przed odejściem od stolika przemówił do mnie w taki sposób, jakbym to ja była przyczyną jego złego humoru.

— Nie wiem, co cię tu sprowadziło, Lynn, ale wobec takiego obrotu spraw lepiej, żebyś tu nie została. Stephena najwyraźniej coś gnębi i jeśli dowie się, że tu jesteś... nie wiem, co wtedy może się wydarzyć.

— Wydaje mi się, że dla niego nie miałyby to żadnego znaczenia.

Everett cały płonął.

— Jesteś jak beczka prochu czekająca na iskrę. Najgorszy rodzaj kłopotów!

Na to nie mogłam się zgodzić.

— Dlaczego nasze ewentualne spotkanie miałyby go przygnębić? Wszystko się skończyło dawno temu. To ja mam powody do przygnębienia, dlatego postaram się z nim nie spotykać. Tak czy inaczej, długo już tu nie zabawię... Obiecuję.

Everett nic nie odpowiedział, ale widać było, że kipi z wściekłości. Zaczęłam obserwować Jilly.

Wymiana zdań między nami najwyraźniej zbiła ją z tropu. Podjęłam decyzję. Jeśli tu dłużej zostanę, choćby na kilka dni, powiem jej, że Lynn McLeod była kiedyś żoną jej ojca. Głupotą jest ukrywanie tego przed nią, a im dłużej to trwa, tym bardziej wszystko może się skomplikować. Muszę poczekać na odpowiedni moment i powiedzieć jej prawdę, niezależnie od tego, co inni mi doradzali.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

103

Kiedy przyjechaliśmy do biura po samochód Meryl, Everett postanowił nie wracać do pracy. Zdecydował, że pojedzie za nami swoim autem. Chciał się natychmiast zobaczyć z Julianem. Miałyśmy ruszyć przodem, a on musiał jeszcze wejść do biura, żeby poprosić sekretarkę o odwołanie wszystkich popołudniowych spotkań.

Meryl wcale się to nie podobało.

— Dlaczego właśnie teraz, Everecie? Twoja złość zaszkodzi Stephenowi.

— To nie ze Stephenem chcę porozmawiać. Zatajono przede mną kilka spraw, o których powinno się niezwłocznie mnie poinformować. Muszę się dowiedzieć, dlaczego tak się stało... natychmiast.

Wszedł do budynku, a my wróciłyśmy do samochodu Meryl. Specjalnie usiadłam z tyłu obok Jilly.

— Mogę jechać z tobą? — spytałam.

— Jest mi to obojętne. — Dziewczynka miała się teraz na baczności.

Meryl nie była z tego zadowolona i widziałam, że całą drogę do Nelson County obserwowała nas uważnie w lusterku wstecznym.

Po kilku kilometrach milczenia, gdy zbocze gór zaczęły się coraz bardziej zbliżać do autostrady, zadałam Jilly pytanie:

— Lubisz muzykę, prawda?

Bez słowa skinęła głową, naśladując żółwia. Od dłuższego czasu kiełkował we mnie pewien pomysł.

— Mam ze sobą magnetofon i kasety, których może chciałabyś posłuchać.

Jej milczenie nie zachęcało do dalszej rozmowy.

— Wiem, co mogłybyśmy zrobić — zaproponowałam. — Jak wrócimy do domu, wezmę magnetofon

Phyllis A. Whitney

i kilka kaset, które mi się podobają, i posłuchamy ich na górze, gdzie zawsze tańczysz. To są piosenki, ale może chciałabyś do nich zatańczyć.

Po raz pierwszy Jilly coś choć trochę zainteresowało.

— Mogę spróbować. Ale lepiej posłuchajmy ich w twoim pokoju, to może Carla się nie dowie.

— Świetny pomysł — zgodziłam się, a Carla Raines otrzymała u mnie kolejny wielki minus.

6

**N**a nieszczęście to właśnie Carla czekała na nas przy podjeździe do domu. Widziałam, że stała na tarasie drugiego piętra, patrząc, jak Meryl wypuszcza nas z samochodu. Cienką szafranową sukienkę rozwiewał wiatr, nadając kobiecie złowrogi wygląd. Meryl chciała wyjechać przed przyjazdem Everetta, więc nawet nie dostrzegła Carli.

— Nie mam ochoty sterczeć tu i przyglądać się widowisku, jakie Everett chce urządzić — powiedziała do mnie. — Mam tylko nadzieję, że Julian da sobie radę. Czasami odnoszę wrażenie, że Julian i Vivian zapominają, iż są jedynie gośćmi w domu Stephena. Dziękuję, Lynn, za wspólny lunch. Spojrzała na stojącą z boku Jilly, nie zauważając złowieszczej postaci na tarasie.

— Mam nadzieję, że chociaż przez chwilę dobrze się bawiłaś, Jilly — dodała z powątpiewaniem. — Wkrótce znowu gdzieś się razem wybierzemy, kochanie. Resztę dnia spędzę na farmie. Gdyby Everett pytał, Lynn, powiedz mu, gdzie będę.

Pamiętałam Oleandrową Farmę leżącą niedaleko stąd, gdzie Everett hodował medalowe konie, a najlepsze z nich wynajmował.

Meryl wyjechała pośpiesznie, a ja cieszyłam się

Phyllis A. Whitney

z tego. Jilly, ciągle zamknięta w swoim pancerzu, stała bez ruchu — ucieleśnienie oporu.

— Przyjdź natychmiast na górę — krzyknęła do niej Carla. — Opuściłaś dzisiejszą lekcję, twoja mama nie byłaby z tego zadowolona.

— Nie chcę iść z tym potworem — szepnęła do mnie Jilly.

Wspaniałe określenie. Podeszłam bliżej, do miejsca, skąd mogłam rozmawiać z Carłą nie podnosząc głosu.

- To chyba nie będzie miało żadnego znaczenia, jeśli Jilly pobędzie trochę ze mną. Dopóki tu jestem, mogłaby mieć trochę czasu dla siebie.

Carla, niezadowolona i oschła, stała na wietrze. Wokół jej stóp słychać było upadające zeschnięte liście. Przemówiła bezpośrednio do mnie:

— Ty już dawno powinnaś była wyjechać. Udałam, że nie słyszę.

— Chodź, Jilly, weźmiemy kasety, których miałyśmy posłuchać.

W drzwiach na niższym piętrze pojawiła się Vivian. Odezwałam się do niej szybko:

— Cześć, Vivian. Lepiej powiedz Julianowi, że Everett zaraz tu będzie. Zdaje się, że jest zły, bo nikt mu nie dał znać o tym, co się przydarzyło Stephenowi.

Vivian szybko wyszła do nas.

— O, Boże! Obawiałam się, że to może rozwścieczyć Everetta, ale Julian robi wszystko po swojemu i nie mogę się wtrącać.

Pobiegła do gabinetu męża, a Carla, dając za wygraną, weszła do domu.

W saloniku apartamentu gościnnego, który już dawno zamierzałam opuścić, Jilly usiadła sztywno na drewnianym krześle. Wsunęłam kasetę do urządzenia stojącego na stole.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

102

— Ten zespół nazywa się „Heartsong”, Jilly, i uważam, że ich *Białe Światło* jest piękne. Posłuchaj. Skończyła się część instrumentalna i z kasety popłynęły słowa piosenki.

*Wokół nas jest białe światło, możemy go użyć w każdej chwili...*

Podobała mi się treść tej piosenki, może Jilly znajdzie w niej coś dla siebie... jeśli tylko zdamy sobie sprawę z tego, że to światło istnieje, będziemy je mogli wykorzystać: *Dajesz mi siłę istnienia... wyzwalasz mnie...* Łagodna muzyka o mocnym rytmie, która brzmiąc słodko, nie była jednocześnie zbyt sentymentalna.

Nie byłam pewna, czy Jilly słyszała słowa, ale muzyka z pewnością na nią podziałała. Buzia dziewczynki rozjaśniła się i ponownie zobaczyłam, jaka mogłaby być śliczna, gdyby tylko zrzuciła z siebie ten mroczny ciężar. „Białe Światło” muzyki dosięgło Jilly, a ona odpowiedziała na nie. Oczy małej lśniły blaskiem, ramiona uniosła ku górze, poruszając się w rytm pulsującej kusząco muzyki.

— Chyba będę umiała do tego zatańczyć, Lynn. Możemy zabrać kasetę na górę?

— Oczywiście.

Wyłączyłam magnetofon i poszłyśmy na górę do długiego, pustego pokoju, do którego przez wielkie okna wpadało popołudniowe słońce, kładąc się na podłodze jasnymi smugami. Postawiłam magnetofon na fortepianie, włączyłam go i usiadłam na ławeczce z tyłu za instrumentem. Wiedziałam, że nie mogę rzucać się w oczy, by mogła zadziałać magia. Nic między mną a Jilly była bardzo słaba... wszystko mogło ją zerwać.

Phyllis A. Whitney

Dziewczynka zrzuciła buty i zsunęła skarpetki. A potem na bosaka zaczęła lekko tańczyć w takt porywającej muzyki. Początkowo jej ruchy były wolne, wczuwała się w rytm, wychwytyjąc najlżejsze nawet uderzenie. Kroki wykonywała proste, głównie pozwalała się prowadzić muzyce z dziecięcym wdziękiem, ja zaś przyglądałam się jej ze ściśniętym gardłem. Ta dziewczynka w spódniczce w szkocką kratę, w zwyczajnej bluzce, bosa, wirująca coraz szybciej, była tancerką. Wszystkie ruchy były jej własne, nie naśladowała rytualnych gestów matki. Jilly wydawała się w tańcu bardziej wyzwolona, bardziej dynamiczna. Muzyka stanowiła część jej samej; teraz słyszała również słowa... Wyciągnęła ramiona do „białego światła” otaczającego ją jasnym strumieniem, który niemal mogłam zobaczyć.

Głos Carli, wołający dziewczynkę z drugiego końca pokoju, przeraził mnie.

— Przestań, Jilly! Nad takim tańcem nie można zapanować, on tylko rozwija złe nawyki.

Jilly nawet nie zgubiła rytmu. Jak gdyby była aż tak zasłuchana w muzykę i ruch, że rozkazy Carli nie mogły przedrzeć się przez pancierz białego światła wokół dziewczynki. Słowa Carli dotknęły i mnie, chociaż wiedziałam, że jakaś wewnętrzna siła drzemiąca w tej kobiecie chciała zranić i ukarać tylko małą podopieczną.

Zanim zdążyłam wyjść zza fortepianu, Carla przemówiła do kogoś, kto znajdował się poza zasięgiem mojego wzroku.

— Czy pan to widzi, panie Asche? Jeśli mam zajmować się pańską córką, jak chciała tego Oriana, dziewczynka musi być posłuszna tylko mnie. Takie rzeczy nie mogą się powtórzyć. To dlatego poprosiłam Paula, by pana tu sprowadził.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

104

Zastygłam w miejscu. Przez chwilę myślałam, że to „panie Asche” odnosi się do Everetta, chwilę później wiedziałam już, iż nie mam dokąd uciec. Ukryta w cieniu, widziałam koniec pokoju, do którego z zewnętrznego tarasu wszedł Paul Woolf, pchając wózek inwalidzki. Stephen siedział wyprostowany i przyglądał się córce. Pamiętałam te rude włosy, teraz krótko obcięte — ani jeden kosmyk nie opadał na czoło. Oczy miał zmrużone i nie mogłam w nich dostrzec zielonych ogników, które tak kochałam. Wyraziste kości twarzy i głowy nie zmieniły się, chociaż przeraźliwie schudł. Jego ręce... już nie te silne, opalone ręce, które kiedyś przytulały mnie z miłością i pożądaniem... leżały bezwładnie na kocu na kolanach. Nawet jego głos, gdy rozmawiał z Carłą, był inny... bezdźwięczny i obojętny.

— Och, niech tańczy. Jakie to ma znaczenie?

Ale minęło już całe oczarowanie Jilly. Gdy pierzchnął gdzieś wibrujący w niej żar, opuściła ciężko ramiona i stała się na powrót niezdarnym, nieatrakcyjnym dzieckiem. Wiedziałam, że znów się ukryła, odgrodziła od wszystkiego, co mogłoby ją zranić. Na kasecie piosenkarz ciągnął dalej *Białe Światło*. *Dajesz mi siłę istnienia... wyzwalasz mnie...*

Wstałam i wyłączyłam magnetofon.

— O! Zobacz, kto tu jest — odezwał się ironicznie Paul Woolf.

Po jego głosie poznałam, że ktoś mu powiedział, kim jestem, lecz najwyraźniej Carla nic nie wiedziała i nie miała pojęcia o znaczeniu tego nagłego spotkania. Znowu zaczęła protestować przeciwko tańcom Jilly, ale Stephen powstrzymał ją wzrokiem.

On nie wiedział, że jestem w tym domu. Szybko jednak ukrył zaskoczenie, a jego twarz przybrała nie- miły, uparty wyraz. Ruszyłam wzdłuż pokoju w stronę



Phyllis A. Whitney

wózka, chociaż nie miałam pojęcia, co powinnam powiedzieć, jaką podać przyczynę mojej obecności. Prawda stała się nagle nielogiczna, głupia i niewytłumaczalna. Wiedziałam tylko, że muszę się odezwać do Stephena i w jakiś sposób przedrzeć przez tę niechęć wobec mnie.

Nie było szans. Spojrzał na mnie tylko raz, zanim odezwał się do Paula. To spojrzenie wyrażało dezaprobatę.

— Zabierz mnie stąd!

Paula najwyraźniej to wszystko bawiło, ponownie spojrzął na mnie szyderczo i zabrał Stephena z pokoju.

Carla nic nie zrozumiała z tego, co się tu wydarzyło; powiedziała do Jilly:

— Chodź ze mną na dół... natychmiast!

Jilly, oczywiście, też nic z tego nie pojmowała. Spojrzenie, jakie mi rzuciła — pełne przerażenia błaganie o pomoc — pozostało bez odpowiedzi. Nie było sposobu, abym mogła stać się teraz dla niej oparciem. Sama czułam się zbyt zdruzgotana. Widocznie dostrzegła, że nic nie mogę dla niej zrobić, wyszła więc za Carlą, opuściwszy ramiona, przytłoczona ciężarem, którego nigdy nie powinna była dźwigać.

Ogarnęła mnie wściekłość na to wszystko, co robiliśmy Jilly. Na siebie byłam równie zła, jak na nich. Zawiedliśmy ją, wstydziłam się swojej bezradności.

Trzęsąc się z zimna odwróciłam się do kominka w drugim końcu studia tańca Oriany, jakbym miała nadzieję, że znajdę odrobinę ciepła w wygasłym palenisku. Tylko ta część pomieszczenia odpowiadała planom, które robiłam ze Stephenem. Cała reszta należała do Oriany. Ale to miejsce miało być nasze. Moje i Stephena, którego tak rozpaczliwie kochałam i którego straciłam na tak długo. W gorzkich marze-

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

106

niach o czymś, co się nigdy nie wydarzyło, widziałam siebie leżącą na wyimaginowanym dywaniku z Peru w objęciach męża, chroniącego mnie przed chłodem, jaki nas teraz otaczał.

Prawda, której nigdy do siebie nie dopuszczałam, stanęła przede mną w całej swej przerażającej jasności. Nigdy nie przestałam kochać Stephena. Nadal darzyłam go uczuciem, nienawidziłam go i współczułam mu równocześnie. Lata udawania minęły, jakby ich w ogóle nie było. Nic więcej się dla mnie nie liczyło. Ani praca, przynosząca mi satysfakcję i w owych czasach bardzo dobrze płatna, ani dotychczasowe przekonanie, że Stephen i ja jesteśmy dwojgiem ludzi, którzy nie rozpoznaliby się na ulicy. Została tylko prawda. Ja przecież poznałam Stephena i zdałam sobie sprawę z tego, jak mocno go kocham... nieważne, że oboje bardzo się zmieniliśmy.

Muszę uciec z Wirginii. Spakuję rzeczy i wyjadę... powinnam zrobić to już dawno. Jeśli zostanę w tym domu choć chwilę dłużej, nie wiem, do czego będę zdolna. Nadal byłam zła z powodu Jilly, ale teraz pojawiło się coś, z czym nie umiałam sobie poradzić — teraz znałam prawdę o sobie.

Trzęsącymi się rękoma podniosłam magnetofon i niepewnie przeszłam wzdłuż pokoju. Byłam jak ślepa i nie bardzo wiedziałam, gdzie stawiam stopy. Nie czułam się tak nawet wówczas, gdy uciekałam po naszym zerwaniu. Wtedy byłam odważniejsza: chciałam zacząć lepsze życie, zakochać się w kimś, odnaleźć szczęście, które, byłam pewna, umiałabym sobie stworzyć. A przed kilkoma minutami spojrzałam na Stephena na wózku inwalidzkim... i wszystko inne stało się złudzeniem.

Dopiero gdy dotarłam do drzwi studia, dostrzegłam

Phyllis A. Whitney

Juliana stojącego w cieniu i przyglądającego mi się uważnie. Minęłabym go bez słowa, gdyż był dla mnie tylko cieniem, a nie rzeczywistym człowiekiem. Wszystko wydawało się nierzeczywiste, z wyjątkiem bezradnego Stephena na wózku. Lecz Julian wyciągnął rękę, zatrzymał mnie i objął ramieniem, jakbym była dzieckiem. Przytrzymał mnie delikatnie, dopóki nie opuściła mnie dzika wściekłość i nie załamalam się zupełnie, wewnątrz i zewnątrz, wybuchając płaczem na jego ramieniu.

— Tak mi przykro, Lynn — powiedział. — To moja wina... ale nigdy nie przypuszczałem, że to będzie tak wyglądało, ani że ty tak to odbierzesz.

Podbiła mnie wrażliwość Juliana na to, co czułam, zesłam więc z nim po schodach do gabinetu bez słowa protestu. Wiedziałam, że nic nie muszę wyjaśniać. Musiał być tam od początku i wszystko widział.

Na małym elektrycznym piecyku stał czajnik z gorącą wodą. Julian zrobił mi herbatę — mocną, z plasterkiem cytryny i bez cukru. Piłam ją z wdzięcznością małymi łykami, jakby całe moje życie zamykało się teraz w tej filiżance napoju i jakbym nie była w stanie zająć się niczym innym. Po chwili przemówił do mnie łagodnie:

— Jesteś gotowa stąd wyjechać. Nie, nic nie mów. Oczywiście, to pierwsza myśl, jaka ci przyszła do głowy... odwrócić się od wszystkiego, co boli. Uciec.

— Nigdy nie przypuszczałam, że tak to odczuję — odmruknęłam; ciepła herbata powoli mnie rozgrzewała.

Smutno potrząsnął głową... głową podobną do lwiej, ze względu na grzywę siwych włosów, chociaż sam wcale nie przypominał lwa.

— To i tak moja wina. Myślałem tylko o Jilly, za mało zajmowałem się tobą.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

108

Nie mogłam go słuchać. Nie mogłam dać mu się przekonać.

— Nie mogę zostać, Julianie. Proszę, zrozum mnie. Ktoś musi coś zrobić dla Jilly, ale to nie będę ja. Dlaczego Carla aż tak jej nie lubi? I dlaczego Oriana sprowadziła tu kogoś, kto nienawidzi jej córki? Choć przez chwilę moje myśli zajęte były czymś innym niż wycieńczona, bezradna istota na wózku inwalidzkim.

— Oriana nie myśli o niczym z wyjątkiem swojego tańca. Jeśli teraz wyjedziesz, nie będzie tu nikogo, kto mógłby pomóc Jilly. Ty jesteś katalizatorem, jesteś siłą, która może wszystko zmienić. Siłą, która już zaczęła działać, chociaż ty nie chcesz się z tym pogodzić.

— To głupie — odparłam niepewnie. — Nie mam broni, by z czymkolwiek walczyć.

— Masz najlepszą broń, Lynn. Choć może „broń” nie jest odpowiednim słowem. Masz coś lepszego... miłość. Nie nienawiść czy złość. U ciebie te uczucia mijają. Są uzasadnione, ale nietrwałe.

Wyrzucając je z siebie, możesz się od nich uwolnić i spróbować lepszego sposobu. To dlatego, że kochasz Stephena i Jilly, możesz zwyciężyć w tej walce.

— Nie mam sił, by walczyć. Tylko ty, Julianie, możesz naprawdę pomóc Jilly. Stephen temu nie podoła, tak mi się wydaje.

Potrząsnął głową.

— Ja już niedługo pozostanę w tym domu, Lynn. Everett oświadczył, że mamy się z Vivian wyprowadzić, jak tylko uda nam się wszystko zorganizować. Wścieka się, bo nie powiedziałem mu od razu, że ktoś włamał się do pokoju Stephena, ani o tym, że Stephen chciał zażyć te pigułki.

Phyllis A. Whitney

Jego słowa zaszokowały mnie. Jak Everett mógł zrobić coś takiego?

— Dlaczego mu o tym nie powiedziałaś, Julianie?

— To trudno wyjaśnić, ale jestem ci winien coś w rodzaju odpowiedzi. Wydaje mi się, że wiem, kto włamał się do Stephena i pociął poduszki na jego wózku... nożem z naszej własnej kuchni. I zostawił list. Ale gdybym powiedział Everettowi o moich podejrzeniach, a są to tylko podejrzenia, byłoby to jak wpakowanie kija w mrowisko i wszystkim mogłoby zaszkodzić. Jestem pewien, że próba samobójstwa, jeśli faktycznie takowa była, została spowodowana tym listem. Nie chciałem wszystkiego opowiadać Everettowi, więc nie zrobiłem tego. Nie pytaj, kto to był, bo mogę się mylić.

— Co było w tym liście?

— Oskarżenie Stephena o morderstwo.

Przez chwilę nie mogłam w to uwierzyć. Nie Stephen.

— Chodzi ci o tego człowieka, który zginął... Luthera Kerstena? Ale nawet jeśli Stephen ma sobie coś do zarzucenia, to z pewnością nie morderstwo. Nigdy nikogo nie zabiłby z premedytacją. Ja to wiem.

— Twoje serce to wie. Mam nadzieję, że był to wypadek. Naturalnie wiem, że powinienem był o wszystkim poinformować Everetta, Lynn, ale odłożyłem to na później. Czasem nie jestem zbyt dobry w radzeniu sobie z nieprzyjemnościami.

Powoli zaczynało do mnie docierać realne znaczenie jego słów.

— Jeśli ty i Vivian wyjedziecie... Och, biedna Jilly! Nie będzie miała do kogo się zwrócić. Właśnie znowu ją się odrzuca. Widziałaś jej taniec, Julianie?

— Tak. Już wcześniej widziałem, jak tańczy. Ale nie masz racji, że nie będzie miał kto pomóc Jilly. Jest jeszcze jedna osoba.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

110

— Kto?

Miałam nadzieję, że nie o mnie myśli. Odpowiedział miękkim głosem, przedzierając się przez moje ewentualne protesty.

— Stephen, oczywiście. Jest jedyną osobą, która może uratować Jilly i wszystko zmienić.

Pomyślałam o mężczyźnie na wózku, karykaturze człowieka, którego pamiętałam.

— On nie kiwnie nawet palcem.

— Tak było dotychczas. Ale ty mogłabyś to zmienić. Może tak naprawdę po to tu przyjechałaś. To jest... przeznaczenie.

— Karma? — spytałam oschle. — Coś, co mam wypełnić za życia?

— Lepiej zrób to teraz i miej już poza sobą.

Uśmiechnął się smutno, sięgnął do koszyka za krzesłem, wyjął swoje kamyki i zaczął obracać je w palcach. Denerwowało mnie ich grzechotanie, gdy uderzały o siebie.

— Więc dlatego chciałeś, żebym przyjechała! — krzyknęłam. — Mogłeś znaleźć kogokolwiek, kto by pomógł Jilly. Ale ty chciałeś mnie, ze względu na Stephena! Nie widzisz, jakie to beznadziejne i głupie?

— Mylisz się, chodziło mi o Jilly. Ale zawsze wiedziałem, że można do niej dotrzeć i ewentualnie pomóc jej, najlepiej poprzez Stephena. Teraz, kiedy cię poznałem, widzę, jaka jesteś silna. Możesz być silna, ponieważ nadal jesteś zdolna do miłości. To jedyne uczucie, które daje nam prawdziwą odwagę. Wszystkie inne są niczym w porównaniu z miłością. Każdy wielki przywódca religijny to wiedział. Ale zwykli ludzie nie poczynili zbytnich postępów w nauce miłości.

Ja byłam bardzo zwykłym człowiekiem.

Phyllis A. Whitney

— Stephen nie jest wart miłości. Tak łatwo poświęcił wszystko, co mieliśmy, gdy pojawiła się Oriana.

— Może oboje okazaliście się zbyt młodzi i niedoświadczeni. A co by było, gdybyś przeczekwała?

— Jakżebym mogła? Nie umiałabym sterczeć gdzieś w pobliżu i błagać!

— Tak, nie umiałabyś. Ale czasami cierpliwość jest lepsza niż duma. Jemu na tobie zależało.

— Nie był tego wart! — powtórzyłam, głównie po to, aby przekonać samą siebie.

— Może masz rację. Może oboje dopiero zaczynaliście poznawać życie. Teraz Stephen z pewnością nie jest wiele wart.

Zanim zdążyłam zaprotestować, weszła Vivian. Miała rozmazany makijaż i oczy pełne łez. Julian wstał i wyciągnął ręce, by mogła podejść i wypłakać się na jego ramieniu. Dzień pocieszania szlochających kobiet, pomyślałam kwaśno. Ani łzy Vivian, ani moje w niczym nie pomogą.

— To mój dom! — zawołała. — Larry mnie tu przywiózł, a Stephen powiedział, że mogę tu zawsze mieszkać, nawet po śmierci jego ojca. Stephen cię lubi, Julianie, i nigdy by nas nie wypędził. Więc jak Everett może...?

— Obawiam się, że może.

Julian wrzucił wypolerowane kamienie z powrotem do koszyka i przytulił żonę ze smutkiem.

— A Meryl? — spytałam. — Czy ona nie może wpłynąć na Everetta?

Julian spojrzał na mnie nad głową Vivian.

— Co masz na myśli, Lynn?

Tak naprawdę nic nie miałam na myśli. Sama w środku płakałam. Nie z powodu mnie czy Stephena, ale z powodu Jilly. Te wszystkie dni, gdy siedziałam

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

112

przy łóżku chorego dziecka, te wszystkie momenty, gdy napływały nowe siły, kiedy tylko ich potrzebowałam, nie były jedynie wspomnieniem. Może naprawdę mam jakiś instynktowny talent... gdyby udało się go teraz wydobyć.

— A Oriana? — zapytałam. — Matka Jilly na pewno...

Vivian odezwała się smutno:

— Oriana nie jest w stanie widywać się ze Stephenem takim, jaki jest teraz. To jedna ze spraw, które go przybijają.

— Próbowala — powiedział łagodnie Julian.

— Próbowala! — powtórzyła Vivian. — Ona boi się wszystkiego, co uzna za brzydkie, może wtedy pęknąć jak bańka mydlana. Stephen widział jej reakcję. Widział odbicie tego, kim się stał w oczach Oriany, więc odciął się od wszystkiego, co mogłoby go jeszcze bardziej zranić. Nie może także znieść towarzystwa Jilly, bo zbyt wiele od niego wymaga.

— Jest jeszcze Meryl — przekonywałam. — Powiedziała, że jedzie na farmę, więc pewnie tam jest. Może byśmy do niej pojechały, Vivian? Może obie porozmawiamy z nią o tym, co wyprawia Everett.

— Nie wiem... — zaczęła z wahaniem, ale Julian uwolnił ją delikatnie z objęć.

— Jedź z Lynn, kochanie. Nie będziesz musiała nic robić, wystarczy, że tam będziesz i pokażesz Meryl, jaka jesteś smutna. Lynn z nią porozmawia. I kto wie, może to w czymś pomoże.

— To może nam wcale nie wyjść na dobre — ostrzegłam Juliana.

— Z pewnością nie wyjdzie z tego nic dobrego, jeśli i ty w to nie wierzysz.

Sama już nie wiedziałam, w co wierzę, nie miałam



Phyllis A. Whitney

specjalnego zaufania do pozytywnego myślenia Juliana — filozofii, którą zawsze wychwalali ludzie spokojni i szczęśliwi. A może to dzięki niej trwali spokojni i szczęśliwi? Jajko czy kura?

— Chyba już czas, Lynn — powiedział Julian. — Czas, by zastosować to, czego się sama nauczyłaś, opiekując się chorymi.

— Nie jestem pewna, czy czegokolwiek się nauczyłam — odrzekłam, zesłam na dół i zatrzymałam się przy samochodzie Vivian. Ta pobiegła po kluczyki.

Dom spoglądał na mnie przez każde okno i rozsuwane szklane drzwi... tajemniczy, nieprzyjazny dom pozamykany w oddzielnych sektorach, w których nie zamieszkiwała połączona serdeczną więzią rodzina. Żadnego ruchu za szkłem odbijającym niebo i jesienne drzewa. Pokoje Stephena znajdowały się za rogiem, w odległym końcu piętra, poza zasięgiem wzroku. Okna apartamentu Jilly nic mi nie powiedziały. Jaką karę Carla nałożyła na dziewczynkę? Jakie doświadczenia mogłam wykorzystać, by pomóc córce Stephena?

Vivian uśmiechnęła się do mnie drżąco, zeszła po schodach i usiadła za kierownicą.

— Julian sądzi, że wszystko się ułoży — powiedziała, gdy siadałam obok niej.

— Wiem — skrzywiłam się. — Co będzie, to będzie. I prawdopodobnie i tak będzie to najlepsze, co mogło nas spotkać.

Spojrzała na mnie przelotnie i wiedziałam, że mimo słów Juliana lada moment wpadnie w histerię. To chyba nie był dobry pomysł zabierać Vivian na tę wyprawę.

— Lepiej coś zrobić, niż nic nie zrobić, więc spróbujemy — powiedziałam. Takie frazesy przychodziły nam dzisiaj z łatwością.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

119

Kilka kilometrów jechałyśmy w milczeniu, dopóki Vivian znów się nie odezwała:

— Problem z Meryl polega na tym, że w jej życiu jest kilka spraw, o których, przypuszczam, nie chciałaby, żeby Everett się dowiedział. Musi być bardzo ostrożna, jeśli ma wyjść z tego obronną ręką.

— Tak? — zapytałam. — Jakie na przykład? Przynajmniej Vivian przewyciężyła łzy.

— To tylko przypuszczenia. On jest zimny i bez serca, jak skała. Ale oczywiście wyszła za niego dla pieniędzy i pozycji społecznej, którą jej zapewnił. To naturalne, że będzie szukać gdzie indziej tego, czego nie otrzymała od męża. Jestem pewna, że w jej życiu byli inni mężczyźni. Może ona nawet lubi niebezpieczeństwa, w które się pakuje. Bo jeśli Everett kiedykolwiek dowie się prawdy, odruchowo złapie za broń i będzie się mścił. Czasami bywa staroświecki, jest wtedy z niego niezły *macho*.

Trudno mi było wyobrazić sobie Meryl w tym świetle, ale moje oceny chyba zawsze były powierzchowne. Jest w niej coś... jakiś wewnętrzny, wybuchający płomień. A może nie zawsze wybuchający? A może to właśnie pociąga mężczyzn bardziej, niż uświadamiają to sobie inne kobiety. Dokąd zaprowadziła nas chęć przekonania Everetta, żeby pozwolił Forsterom pozostać w domu, do którego należą? Zdaje się, że szłam z zawiązanymi oczami po krętej ścieżce. Jeśli nie będę ostrożna, mogę stoczyć się z jakiegoś urwiska.

7

Oleandrowa Farma znajdowała się jakieś pół godziny drogi od domu Stephena. W linii prostej, przez góry, byłoby jeszcze szybciej. Stephen zabrał mnie tam raz czy dwa, kiedy jeszcze byliśmy małżeństwem. Jego dziadek przeniósł się tutaj ze stanu Nowy Jork, a Stephen jako dziecko mieszkał jeszcze na farmie. Gdy dziadek zmarł, rodzina Asche'ow przeniosła się do Charlottesville, chociaż farma nadal do nich należała.

Droga prowadziła do autostrady i wijąc się wokół góry biegła w dół, do doliny. Kolory jesieni coraz bardziej przybierały na sile, a różnobarwne drzewa ozdabiały szczyty wokół nas. Okolica była równie piękna jak dwanaście lat temu, gdy jeździłam po tych drogach razem z mężem. Tylko ludzie się zmienili i nawet ta sama pora roku nie przywróci już dawnych radości. Ja zresztą nie miałam się z czego cieszyć.

Podjechałyśmy do terenów farmy i ujrzałyśmy biały domek, w którym mieszkali stróż i stajenny. W pobliżu znajdowały się stajnie, wielkie ogrodzone wybiegi i pastwiska.

Na pustym wybiegu zaparkowała furgonetka z przyczepą, a jej właściciel zajęty był czerwono-żółto-niebiesko-zielonymi zwałami materiału leżącego dokoła na ziemi.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

121

— Och, spójrz! — krzyknęła Vivian. — Balon! Roscoe'owie, sąsiedzi Everetta, urządzają sobie wycieczki nad Blue Ridge. Loty Fantazji, tak je nazywają. Zabrali kiedyś mnie i Juliana, a Jilly bardzo żałuje, że nigdy z nami nie poleciała. Everett uważa, że to niebezpieczne. Wsiądźmy i popatrzmy. Miałam wrażenie, że Vivian cieszy się, mogąc odwlec nasze spotkanie z Meryl. Kiedy już zaparkowała, wspięliśmy się na niski kamienny murek i usiadliśmy na nim, obserwując balon.

— Everett będzie wściekły, bo wylądowali na jego polu.

Kiedy z wielkiego tęczowego balonu spuszczone powietrze, ludzie z obsługi naziemnej zaczęli go ostrożnie i bardzo starannie związać, aby był gotów do następnego pompowania. Kiedy już prawie skończyli, Vivian zsunęła się z murku.

— Może lepiej chodźmy zobaczyć, czy Meryl jest w domu.

Jeszcze nigdy nie byłam w tym domu, nawet gdy Stephen zabierał mnie na farmę. Żwirowa droga ciągnęła się jeszcze prawie kilometr doliną, a potem zakrecała wokół grupy ciemnych sosen.

— Nigdy nie lubiłam tego miejsca — powiedziała Vivian. — Przyprawia mnie o dreszcze. Dziadek Stephena przybył tu znad rzeki Hudson w Nowym Jorku i chyba próbował przenieść tu jej klimat. Gdy tak jechałyśmy wijącą się drogą, zniknęły gdzieś jasne kolory wzgórz. Już od wielu lat rosły tu sosny, świerki i tsugi, więc ziemia wokół nich miała brunatny kolor i cała była zasłana igłami.

— Kiedy razem z Julianem wybraliśmy się na wycieczkę balonem, przelecieliśmy dokładnie nad tym miejscem — odezwała się Vivian. — Nie masz pojęcia,

Phyllis A. Whitney

jak bardzo jest odosobnione. Lasy otaczają dom, który znajduje się w małej dolince pośród gór. Gdyby dokoła było morze, w tym zagłębieniu powstałaby zatoka, zamknięta prawie z każdej strony.

Podjazd był jeszcze węższy niż żwirowa droga, która wiodła obok niego. Skręciłyśmy w stronę osłoniętej, pokrytej bujną trawą przestrzeni. Nikt jadący główną drogą nie domyśliłby się nawet, że w tym tajemniczym miejscu kryje się dom.

— Dziwne, że dom wybudowano właśnie tutaj — powiedziałam. — W tamtych czasach musiało być strasznie trudno tu się dostać.

— Zgadza się! Zawsze się zastanawiałam, czy stary pułkownik Asche nie ukrywał się przed czymś. W każdym bądź razie chciał być niezależny. Na farmie znajdowało się prawie wszystko, czego potrzebował, była też mniej odosobniona niż dom. Kiedy tylko Larry miał na to ochotę, świat przychodził do niego. Wydaje mi się, że Everett jest do niego podobny. Jesteśmy na miejscu. Wsiadłam z samochodu i spojrzałam na góry, wzbijające się w niebo skalną ścianą, Vivian zrobiła to samo.

— Te skały w górze oddzielają nas od domu Stephena. W linii prostej wcale nie jest tak daleko. Dom stał z dala od otaczających go ciemnych sosen. Na wzgórze Wirginii przeniesiono gotycki styl zabudowy. Spadziste dachy, spiczaste szczyty i szeroka weranda — wszystko wykończone było zawiłymi i zupełnie zbędnymi ornamentami, a ja zastanawiałam się, kto tutaj, na południu, stworzył te wszystkie fantazyjne ozdoby. Bardziej podobały mi się kolumny w stylu Jeffersona, a już na pewno wolałam biel ścian od tej ponurej szarości.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

118

— Meryl uwielbia ten dom — powiedziała Vivian. — Uważa, że do niej pasuje, chociaż Everett go nie znosi. O, on nie ma w sobie ani krzty sentymentalizmu. Nienawidził jego oddalenia, gdy mieszkał tu jako dziecko. Ale Stephen jest jego współwłaścicielem i czuje jakąś więź z tymi, którzy kiedyś tu mieszkali, więc nie pozwoli Everettowi go się pozbyć.

— Na podjeździe jest jakiś samochód — zauważyłam — więc Meryl musi być w środku.

— Tylko że to nie jest jej samochód, Lynn — dostrzegła nagle Vivian.

— Jeśli Meryl tam nie ma... — zaczęłam.

— Myślę, że jest — powiedziała miękko Vivian. — Przekonajmy się.

Zwlekałam przez chwilę, przyglądając się scenie przede mną. Szary dom wydawał się zupełnie opuszczony, większość okiennic była zamknięta w obawie przed silnymi wiatrami, które w górach mogły przyjść w każdej chwili. Drzwi wejściowe pozostawały otwarte.

— Co jej powiesz, Lynn? — zapytała Vivian, kiedy szłyśmy ścieżką z pokruszonej cegły.

Potrząsnęłam tylko głową.

— Wymyślę coś na miejscu.

— Wydaje mi się, że jest trochę zła na Everetta, więc może będzie nam łatwiej — szepnęła Vivian.

Zaczęła się nagle zachowywać konspiracyjnie, przestraszyłam się więc, gdy wróciła do samochodu i nacisnęła klakson. Dźwięk wdarł się w ciszę.

Meryl natychmiast pojawiła się na werandzie, patrząc, jak wchodzimy po schodach.

— Co jest? — zawołała. — Coś się stało? Vivian szła z tyłu, więc ja musiałam odpowiedzieć.

— Nic ważnego. Chciałyśmy po prostu z tobą porozmawiać. Bez Everetta.

Phyllis A. Whitney

— To nic nie pomoże — nachmurzyła się Meryl. — Jeśli chodzi o Everetta, to nic nie mogę zrobić, ale jak chcecie porozmawiać, to słucham. Usiadźmy tutaj, na słońcu. W środku jest zimno.

Wiklinowe meble, podobnie jak cały dom pomalowane na szaro, przykryte były brezentem. Meryl odkryła sofę i dwa krzesła. Usiadłyśmy z dala od siebie, każda z nas zachowywała się bardziej niż ostrożnie. Meryl była zdenerwowana, niezbyt szczęśliwa z powodu naszej obecności i najwyraźniej nie zamierzała mówić nic o samochodzie na podjeździe.

Szukałam właściwych słów, lecz Vivian znowu mnie zaskoczyła.

— Everett kazał mnie i Julianowi opuścić dom Stephena — wyrzuciła z siebie i rozplakała się ponownie.

Kiedy Meryl odezwała się, w jej głosie wyczułam pogardę dla łez i słabości.

— Nie dziwi mnie to. Miałam przeczucie, że do tego dojdzie... tylko nie tak szybko. Nic mi nie powiedział, co nie jest niczym niezwykłym. Tak czy inaczej, Vivian, nie uważam, żebyśmy mogły tu w czymś pomóc.

— Czy nie ma sposobu, żebyś mogła przekonać Everetta, by zmienił zdanie? — spytałam. — To będzie straszne... zwłaszcza dla Jilly.

Meryl potrząsnęła głową.

— Kiedy Everett coś postanowi, będzie się tego trzymał, choćby nie wiem co. Gdyby postąpił inaczej, okazałby swoją słabość, będzie się więc bał zaryzykować. Jeżeli podjął taką decyzję, nie widzę możliwości, aby mógł ją zmienić.

Chyba już wszystko zostało powiedziane. Przekazałyśmy sobie najnowsze wiadomości, wyrok zapadł i chociaż byłam prawie gotowa się poddać, spróbowałam jeszcze raz:

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

120

— Przez wzgląd na Jilly, Meryl, mogłabyś z nim przynajmniej porozmawiać. Julian i Vivian byli w tym domu jej przyjaciółmi. Stephen jest przecież zupełnie bezradny, a Carla Raines ma na to dziecko fatalny wpływ. Widziałam, jak traktuje małą... żadnej czułości ani współczucia.

— Everett uważa, że Jilly potrzebuje dyscypliny. — Meryl była już znudzona tematem rozmowy i chciała się nas jak najszybciej pozbyć. — Wszystko, co mogę zrobić, to widywać się regularnie z Jilly i zabierać ją, gdy tylko będę mogła. Może napiszcie do Oriany. Chociaż to też nic nie da.

W przeciwieństwie do oczekiwań gospodyni, Vivian nie zamierzała jeszcze wyjeżdżać. Otarła łzy i odezwała się do Meryl:

— Przynajmniej pokaż Lynn ten stary dom. Jestem pewna, że chce go obejrzeć.

Meryl nie miała innego wyjścia, zaprosiła mnie więc do środka. Vivian nie weszła z nami, siedziała wygodnie na werandzie i przyglądała się samochodowi. Odnosiłam wrażenie, że doskonale wie, do kogo on należy.

Długi, słabo oświetlony hol prowadził od wejścia aż na drugi koniec domu, a po lewej stronie znajdowały się wąskie, wiodące na górę schody. Na prawo były otwarte drzwi do saloniku w stylu wiktoriańskim i Meryl wprowadziła mnie do środka. Pokój z welwetową sofą, czymś w rodzaju stołu i ciężkimi draperiami sprawiał bardzo posępne wrażenie. Żyrandol pod sufitem — niestety jedyny — dawał słabiutkie światło, które rzucało dodatkowe cienie. Nikogo więcej tu chyba nie było.

— Kto się tym wszystkim zajmuje? — zapytałam. Meryl wyjaśniła:

— Ciągle mamy tego samego stróża. Staruszek jest tu od ładnych paru lat. Zupełnie ogłuchł, ale cieszy się,



Phyllis A. Whitney

że ma własne mieszkanie z tyłu i może wszystkiego doglądać. Dba o to, by las się tu nie wdierał i sprząta po burzach. Nie musi się martwić o żadne akty wandalizmu. Nie ma tu też żadnych sąsiadów poza ludźmi na farmie.

Przeszłam się leniwie po pokoju. Oczyszczono go z wszelkich przedmiotów należących do poprzednich właścicieli. Kilka ozdób, ale jedna rzecz miała dominować nad wszystkim — okrągły stół przykryty czerwoną welwetową serwetą ze zwisającymi frędzlami. Stałam zaskoczona. Piękny kawałek białego kwarcu, wysoki na piętnaście centymetrów, ozdabiał blat. Kamień był podobny do miniaturowej góry o płaskiej podstawie, która kiedyś przylegała do ziemi. Każda ze ścianek tworzyła ostre, samotne szczyty. Kwarc świecił w świetle cie-mnosrebrnymi nitkami i nadal miał plamy czerwonej ziemi, z której go wydobyto. Wzięłam go do ręki; każdy gram jego ciężaru był mi doskonale znajomy.

To była skała podarowana mi przez Stephena, gdy rozpoczęła się budowa naszego domu. Pamiętam, jak powiedziałam mu, że kiedy już się wprowadzimy, postawię ją w salonie na stoliku do kawy. A teraz, w jakiś dziwny sposób, znalazła się w tym odosobnionym miejscu, gdzie kiedyś dziadek Stephena zbudował swój dom.

Zawładnęła mną głupia żądza posiadania.

— Stephen dał mi ten kwarc, gdy rozpoczęto budowę naszego domu — powiedziałam do Meryl. — To była nasza ziemia.

— Weź go, jeśli chcesz — odparła Meryl. — Wiesz, zawsze zadawałam sobie pytanie, dlaczego uciekłaś. Byłaś młoda, wrażliwa i zbyt dumna. Czasem zastanawiałam się, co by się stało, gdybyś została i po prostu

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

122

przeczekala to głupie zaślepienie Stephena? Gdybyś sprawiła, żeby poczuł się o ciebie zazdrosny...

— Nie mogłam chcieć człowieka, który zrobił mi coś takiego! — krzyknęłam, a w moim głosie ujawniła się dawna wściekłość. — Stephen mógł ją mieć, jeśli tego chciał! Ale nie mógł mieć równocześnie nas obu. Wtedy naiwnie sądziłam, że miłość powinna być czymś wiecznym. Wiele się od tego czasu nauczyłam.

— Cenna lekcja! — Z głosu kobiety przebijało całe jej zgorzknienie. — Co więc zamierzasz teraz zrobić, skoro już odkryłaś te mądrości?

Mocna skała, którą trzymałam w rękach, dodała mi nowej odwagi i determinacji. Nie chodziło o mnie, lecz o Jilly. Jak to Julian powiedział, Stephen był jedyną osobą, która mogła sprzeciwić się Everettowi.

— Porozmawiam ze Stephenem — odparłam stanowczo.

Meryl uśmiechnęła się pogardliwie.

— Życzę ci powodzenia.

Wyszła do holu i zatrzymała się zaskoczona. Poszłam za nią i zobaczyłam, że Vivian weszła do środka i rozgląda się w poszukiwaniu czegoś.

— Gdzie jest Paul? — zapytała. — To jego samochód stoi na podjeździe, prawda? Co on tu robi?

Meryl była wyraźnie zirytowana.

— Nie muszę się przed nikim tłumaczyć.

— Oczywiście, że nie musisz. — Vivian powiedziała to łagodnie, ale i z nutą zadowolenia w głosie.

Paul musiał nam się przysłuchiwać, bo wyszedł z pokoju w przeciwległym końcu domu pewny siebie.

— Cześć wszystkim — przywitał się.

— Chyba lepiej już pojedziemy — oznajmiła Vivian.

Phyllis A. Whitney

Odwróciła się od niego z pogardą i wyszła głównymi drzwiami. Spojrzałam na Meryl i ruszyłam za Vivian.

Skierowałyśmy się w stronę samochodu, a Meryl natychmiast zbiegła po schodach za nami.

— Posłuchaj, Vivian, to nie jest tak, jak myślisz... — zaczęła.

— Ja nic nie myślę — odrzekła słodko tamta. — To, co robisz, to twoja sprawa. Mam tylko nadzieję, że będziesz mogła jakoś zmienić decyzję Everetta.

Mały szantaż? — pomyślałam.

Meryl spojrzała na nas ponuro i wróciła do domu. Przez chwilę Vivian stała z ręką opartą na drzwiach samochodu i pochyloną głową, jakby wsłuchiwała się w dźwięk docierający z daleka. Zrobiłam to samo i też usłyszałam ten odgłos. Z górskich skał widocznych nad czubkami drzew wiatr niósł smutną muzykę harfy.

Vivian zadrzała.

— Nienawidzę tego dźwięku! Tę część gór Julian nazywa Śpiewającymi Skałami.

— Wiem. Słyszałam to z domu Stephena. Co to jest?

Nie odpowiedziała wprost.

— To muzyka śmierci — odparła i szybko wsiadła do samochodu.

To wszystko było zbyt dziwne. Julian odnosił się do tych gór niemal z szacunkiem, za to Vivian najwyraźniej traktowała je zupełnie inaczej. A jednak to nie dziwne skały zaprzętały moje myśli w czasie drogi powrotnej, lecz obecność Paula i Meryl w tym odludnym miejscu. To wszystko wydawało mi się jakieś prostackie, nie miałam pojęcia, co Meryl widziała w Paulu Woolfie. Gdyby Everett się dowiedział... ale on nawet się tym nie interesował. Vivian chyba znalazła doskonały sposób wywarcia nacisku na tamtą. Ale to też było

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

124

kiepskie... chociaż nie mogłam winić tej zdesperowanej kobiety.

Gdy dotarliśmy do domu, powiedziałam jej to samo, co wcześniej Meryl:

— Zamierzam porozmawiać ze Stephenem. Nie wiem, czy to w czymkolwiek pomoże, ale muszę spróbować.

Zabrałam ze sobą odłamek kwarcu i ścisnęłam go mocno w dłoniach, jakby należał do tych lepszych czasów, które miałam już dawno za sobą. Może to on właśnie doda mi odwagi, tak potrzebnej, by spotkać się ze Stephenem.

Przez prawie całą drogę powrotną Vivian była pochłonięta myślami, lecz teraz, gdy zbliżyliśmy się już do domu, przystała na mój plan.

— Może to właśnie odpowiednia chwila, by spotkać się ze Stephenem, kiedy nie ma Paula. Woolf, oczywiście, jest posłuszny Everettowi, od którego dostaje pensję, i ustanowił siebie stróżem oddzielającym Stephena od wszystkiego, co go otacza. Nawet od Juliana i mnie. Emory Dale zastępuje teraz Paula, możesz ją więc spokojnie odesłać i porozmawiać ze Stephenem sam na sam. Jeżeli ktokolwiek może go pobudzić do życia, to właśnie ty.

— Dobrze, spróbuję.

Spojrzała na kawałek skały spoczywającej na moich kolanach.

— A to po co?

— Chcę to pokazać Stephenowi — odparłam, nie starając się nic wyjaśniać, nawet samej sobie.

Jak tylko dotarliśmy do domu i Vivian zaparkowała samochód, wysiadłam i ruszyłam w kierunku pokoju mojego byłego męża. Przez cały czas miałam przy sobie

Phyllis A. Whitney

odłamek skały i czułam się tak, jakbym niosła w rękach własne serce.

Nie było potrzeby wchodzić do środka, ani rozmawiać z Emory. W miejscu, gdzie taras zakręcał, ukazując piękny widok gór i doliny, twarzą do barierki na swym wózku inwalidzkim siedział Stephen. Był odwrócony tyłem, więc nie mógł mnie wcześniej zobaczyć i odjechać. Znajdowaliśmy się po zachodniej stronie domu, teraz skąpanej w słońcu, lecz było wietrznie i Stephen miał nogi przykryte kocem. Zaokrąglone plecy pod wełnianą kamizelką wydawały się pozbawione wszelkiej siły, podkreślając daremność wszelkich poczynań wobec niego. Krótko obcięte włosy miał porządnie uczesane, co bardzo raziło, gdyż nigdy nie był ostrożny i opanowany, wręcz przeciwnie — zawsze gotów wziąć kolejną przeszkodę, jak koń wyścigowy. Wątpię, czy dostrzegął cokolwiek z piękna rozpościerającego się przed nim.

Przez chwilę stałam cicho, słuchając wiatru. Ale nie doszedł mnie żaden odgłos „śpiewu”, zaczęłam się zastanawiać, dlaczego czasami słyszę tę niepokojącą muzykę, a innym razem nie.

Utwierdzając się w swoim postanowieniu, obeszlłam wózek i usiadłam na ławeczce obok balustrady. Tylko oczy Stephena się poruszyły. Spojrzał na mnie, a potem znowu zapatrzył się w przestrzeń. W tych oczach nie było już życia, ani płomiennego, zielonego blasku. Na ławce obok siebie położyłam kawałek kwarcu.

Znowu spojrział przelotnie i odwrócił wzrok. Tym razem jednak odezwał się do mnie:

— Po co przyjechałaś do Wirginii?

Tylko ten głęboki ton przypominał brzmienie, które kiedyś napawało mnie dreszczem.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

126

Odpowiedziałam mu, usiłując zapanować nad swoim głosem, co nie było takie proste:

— Przyjechałam, bo poprosił mnie o to Julian Forster. Pracuję z dziećmi, więc kiedy zobaczył mnie w telewizji, pomyślał, że mogłabym pomóc Jilly.

— Dlaczego moja córka potrzebuje pomocy? Nie wytrzymałam.

— Czy wszyscy wokół Jilly są tak ślepi, że nie widzą, iż coś jest nie tak?

Nawet się nie pofatygował, żeby odpowiedzieć, więc nacierałam dalej.

— Jak dotąd przynajmniej Julian i Vivian troszczyli się o Jilly. Nikt więcej się nią nie zajmował. Carla Raines nie ma pojęcia, czego to dziecko potrzebuje. A teraz Everett kazał Forsterom wynieść się z domu. Pewnie zamierza zatrudnić tu jakichś ludzi, którzy zajęliby się gospodarstwem. Ale jeśli Forsterowie wyjadą, kto będzie się opiekował Jilly?

Moje słowa były na tyle ostre, na ile wystarczyło mi na to odwagi, ale on znowu nie odpowiedział. Tak jakby stał się więźniem całkowitej obojętności, zainteresowanym jedynie sobą. Teraz, gdy cała moja uwaga skupiała się na Jilly, nie było mi go wcale żal, moje słowa zabrzmiały więc bardzo zgryźliwie:

— Najwyraźniej Jilly nie może oczekiwać żadnego zainteresowania ze strony twojej lub Oriany... a co dopiero miłości!

To zmusiło go do odezwania się.

— A co ty o tym wszystkim wiesz? Czy wiesz cokolwiek o tym domu?

— Nie muszę dużo wiedzieć. Wystarczą mi własne oczy. Czy przyglądałeś się ostatnio Jilly, widziałeś, co się z nią dzieje? Używałeś swoich oczu?

To też nie zrobiło na nim żadnego wrażenia.

Phyllis A. Whitney

— Co Julian zrobił, że Everett kazał mu się wynosić?

— Nie poinformował go, że ktoś się włamał do twojego pokoju i że następnego dnia próbowałeś popełnić samobójstwo.

To było wystarczająco szczere, by twarz Stephena nabrała kolorów, gdy zacisnął w grymasie usta. Pamiętałam te usta czułe, ciepłe, kochające...

Szybko mówiłam dalej:

— Vivian była żoną twojego ojca, a ty zawsze ją lubiłeś. Tak przynajmniej ona twierdzi. Więc jak możesz pozwolić, by wyrzucono ją z domu, w którym Larry chciał, by została?

— Pozwolić? — przemówił gorzko. — Jak myślisz, czy mam jakąś możliwość działania, przykuty do tego wózka?

— Taką, jaką sobie wybierzesz! — Wiedziałałam, że zabrzmiało to bardzo ostro.

Jego twarz straciła całe ożywienie i kolory i ponownie przybrała obojętny wyraz.

— Everett wie, co jest dla nas najlepsze. Ja mu ufam.

— W takim razie jesteś głupcem!

Nie panowałam już nad swoimi uczuciami. Wiedziałałam, że tylko wszystko pogarszam, ale nie mogłam nic na to poradzić. Czułam się głęboko dotknięta i chciałam zranić także jego, nie miałam już zamiaru grać fair.

Zanim zdążył odpowiedzieć, jeśli w ogóle miał taki zamiar, podniosłam odłamek kwarcu i podałam mu go.

— Przyniosłam ci coś. Kiedyś mi go dałeś... Teraz chcę ci go oddać. Pochodzi z ziemi, na której stoi ten dom... do niego należy. Już go nie chcę.

Nie wziął kamienia, więc położyłam mu go na kolanach — nie zwracał nań uwagi.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

133

Powiedziałam sobie, że muszę czegoś spróbować, znaleźć jakiś sposób wyciągnięcia Stephena z letargu i obojętności, chociaż równocześnie obawiałam się o kierujące mną motywy. Ucieszę się, jeśli będzie na mnie wściekły.

Przynajmniej starałam się mówić trochę delikatniej.

— Widziałeś, jak Jilly tańczy? Ta dziewczynka ma ogromny talent, ale niszczy go kobieta, która ma się nią zajmować.

— Nie chcę, żeby Jilly została tancerką. — Ledwo dosłyszałam jego słowa.

— Dlaczego nie? Ona chce tańczyć, równie mocno, jak ty chciałeś być architektem. Jeżeli wyrzekniemy się zdolności, które zostały nam dane, cóż nam więcej pozostanie w życiu?

Sięgnął rękoma do kół i odwrócił wózek. Przynajmniej miał jeszcze siłę w ramionach, nie poszedł na łatwiznę i nie korzystał z elektrycznego.

— Jeżeli czegoś chcesz, Lynn, porozmawiaj z Eve-rette. Nie ze mną.

Poddałam się.

— Oczywiście — powiedziałam. — Nie powinnam była o nic prosić. Poszukam Emory i powiem jej, że jest ci potrzebna.

Kiedy się oddaliłam, zamachnął się z wściekłością

i zrzucił z kolan na podłogę kawałek kwarcu, wyszczerbiając jedną z desek.

Stałam i obejrzałam się na niego. Cieszyłam się, że wreszcie udało mi się rozzłościć Stephena, ale też z tej samej przyczyny byłam na siebie zła.

— Czy naprawdę jesteś tak bezradny, jak wszyscy sądzą? — zapytałam.

Jego oczy nagle zapłonęły wściekle, a ja, w bardzo dziwny sposób, poczułam się odprężona.

Przynajmniej



Phyllis A. Whitney

umiał się jeszcze zdobyć na złość, a nie tylko trwał w zupełnej obojętności.

— Nie będę cię więcej niepokoić — powiedziałam i ruszyłam w stronę drzwi.

Niezależnie od tego, jak bardzo byłam na niego wściekła, czułam się rozbita i wstydziłam się tego wszystkiego, co mu powiedziałam.

Wrócił Paul i zanim dotarłam do drzwi, przeszedł przez nie i ruszył w kierunku Stephena. Minał mnie, przyglądając się nam uważnie i podejrzliwie.

— Przepraszam, jeśli cię niepokoiła, Stephenie. Emory powinna była ją powstrzymać.

A jednak była jeszcze jedna osoba, o której nikt z nas nie pomyślał, a miała dla Stephena ogromne znaczenie. Zanim weszłam do środka, zza odległego rogu tarasu ukazała się Jilly i podbiegła prosto do ojca.

— Tatusiu, wujek Julian ma się wyprowadzić! Nie chcę, żeby wyjeżdżał. On jest moim przyjacielem. Proszę, nie pozwól na to!

Stephen skrył się w sobie. Zamknął oczy, jakby chciał uciec od wszystkiego i nawet nie trudził się, by udzielić córce odpowiedzi. Paul odwiózł go, a Jilly przyglądała mu się ponuro.

— Jego to nie obchodzi! Jego nawet ja nie obchodzę!

Posadziłam ją na ławce i usiadłam obok.

— Myślę, że jego to naprawdę bardzo obchodzi. Ale czuje, że nic nie może zrobić, Jilly. Uważam, że nie możemy jeszcze się poddawać. Pamiętam mojego dawnego nauczyciela, który ciągle powtarzał, że zawsze jest jakieś wyjście. Jeszcze go nie znalazłyśmy. Może nadal jest jeszcze coś, co powinniśmy zrobić.

Pod ręką czułam jej napięte ciało, dalekie od uspokojenia się i wiary w moje słowa.

- Ty także wyjeżdżasz, więc jak możesz cokolwiek zrobić?

- Nie wyjeżdżam natychmiast. Nadal mamy trochę czasu, by obmyślić jakiś plan.

Kiedy rozejrzałam się po tarasie, dostrzegłam Stephena siedzącego na wozku za szybą i patrzącego na nas. Powodowana nagłym impulsem podniosłam odłamek skały z podłogi i uniosłam do góry, by mógł go zobaczyć. Zabierając z powrotem kawałek ziemi, która miała do mnie należeć, pokazywałam mu, że się nie poddaje.  
Jeszcze nie.

## 8

Jilly, czy możemy chwilę porozmawiać? — spytałam. — Przyjdiesz do mnie na górę?

— Jeśli Carla mnie nie złapie.

Weszła ze mną do salonu, a kiedy położyłam na stole odłamek kwarcu, natychmiast go podniosła.

— Gdzie go znalazłaś, Lynn? Mój tata dał mi ten kamień, kiedy byłam mała, ale potem on gdzieś zniknął.

— Był w domu twojego pradziadka na Oleandrowej Farmie, a Meryl powiedziała, że mogę go zabrać. Nie wiedziałam, że należy do ciebie.

Usiadła, przyglądając się gmatwaninie małych szczytów i srebrnych bruzd.

— Kiedy byłam mała, wyobrażałam sobie, że wspinam się po górach, a to jest szczyt, na który chcę wejść. Zobacz, ta strona trochę się rozmyła, są w niej występy, w które mogłabym wbić czekan. I po których nie ślizgałyby mi się raki. Czyż to nie piękna góra? Szczególnie te maleńkie punkty na szczycie, świecące w słońcu.

Nadszedł czas, by jej to powiedzieć.

— Rozumiem, o co ci chodzi, Jilly... wspinanie się na tę górę... ona jest naprawdę piękna. Ale jest coś, o czym nie wiesz. Wiele lat temu ktoś podarował mi tę skałę.

Jej oczy zwęziły się podejrzliwie.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

137

— Jak to możliwe?

— Wiesz chyba, że twój ojciec, zanim ożenił się z twoją mamą, miał jeszcze inną żonę?

— Tak, ale bardzo krótko. Ona okazała się niedobra, uciekła i zostawiła go. Wtedy ożenił się z moją mamą i to było wspaniałe małżeństwo.

Więc tak to miało wyglądać?

— Kto ci to powiedział, Jilly?

— Moja mama. Jego małżeństwo z tamtą kobietą było straszną pomyłką, ale to się zdarzyło dawno temu i już się nie liczy.

Jej słowa powstrzymały mnie, zanim jeszcze zaczęłam. Moje małżeństwo ze Stephenem nagle stało się zbyt trudne do wyjaśnienia jego córce. Gdybym próbowała, musiałabym się bronić przed tym, co jej naopowiadano. I wtedy mogłabym już zupełnie stracić jej zaufanie... bo komu prędzej uwierzy, Orianie czy mnie?

Jilly nadal nie dawała za wygraną.

— Jak ktoś mógł dać ci tę skałę, jeśli jeszcze nigdy tu nie byłaś?

Musiałam odpowiedzieć, ale nie musiałam mówić jej wszystkiego.

— Byłam tu, Jilly. Nie w tym domu, oczywiście. Kiedy mieszkałam w Charlottesville, jeszcze nie był wybudowany. Studiowałam na uniwersytecie i znałam twojego tatę, gdy oboje byliśmy bardzo młodzi. To on dał mi tę skałę. Ale oddałam mu ją, jak wracałam na północ.

Spojrzała na mnie oczami równie jasnymi, co kiedyś oczy Stephena, choć nie tak zielonymi.

Przynajmniej będzie miała o czym myśleć, nad czym się zastanawiać... I tak będzie lepiej, bez żadnych wyjaśnień.

— Chyba już pójdę — powiedziała. — Carla będzie mnie szukać. Mogę to zatrzymać? — Nadal trzymała w rękach odłamek skały.

Phyllis A. Whitney

— Oczywiście, Jilly. Przecież jest twój. I nie przejmuj się niczym. Porozmawiam z Julianem i może coś wymyślimy.

— Dobrze. Jeśli chcesz go znaleźć, to widziałam go w altance.

Wykonywała bardzo szybkie ruchy, chciała stąd uciec... Może przed czymś, co bała się zrozumieć. Kiedy wyszła, udałam się na najwyższe piętro i ruszyłam w kierunku odległego końca, gdzie znajdowało się studio Oriany. Dobrze chociaż, że to Oriana, a nie Stephen, naopowiadała dziecku o mnie.

Z najwyższego tarasu do ścieżki wiodącej do altany prowadziło kilka schodków. Ruszyłam ścieżką nad skalną krawędzią i dotarłam do otwartych drzwi. Zobaczyłam Juliana stojącego przy balustradzie, skąd mógł się przyglądać gór, które różnorodnością kolorów przypominały perkalową kołdrę.

— Mogę się przyłączyć? — zawołałam do niego. Odwrócił się do mnie, smutny i zrezygnowany.

— Oczywiście, Lynn — powiedział, więc weszłam przez okratowane drzwi o łukowym sklepieniu, które wiosną musiały być porośnięte wistarią.

Z cypla skalnego roztaczał się o wiele piękniejszy widok ziemi i nieba niż z domu. W oddali widać było zarysy dalszych gór. Ich szczyty porośnięte były starymi, wysokimi drzewami, przeplatane odcieniem zieleni i złota.

Julian wskazał mi ławkę i sam usiadł koło mnie. Od razu było widać, że się poddał — spokojnie, bez sprzeciwu. Musiałam go jakoś wyciągnąć z tego stanu rezygnacji.

— Trzeba ułożyć jakiś plan — powiedziałam. — Musimy coś wymyślić, aby powstrzymać Everetta.

— Obawiam się, że już nic więcej nie można zrobić.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

134

Siedział z rękami spoczywającymi spokojnie na kolanach, a szlachetne kamienie nie postukiwały w jego palcach.

Zaczął mnie denerwować tak samo jak Stephen.

— To ty mnie tu ściągnąłeś — przypomniałam. — Nie możesz zostawić Jilly.

— Pogodziłem się z tym, co ma być — odparł cicho. — Innym razem wszystko się ułoży.

— Nie, jeśli Everett każe ci się wynieść. Nie możesz pomóc Jilly, nie mieszkając z nią pod jednym dachem.

— Widziałaś się ze Stephenem?

— Tak, ale to bez sensu. Jilly też go błagała, lecz on za bardzo pograżył się w swoim cierpieniu, aby chciał pomóc komuś innemu. Powiedziałam mu kilka ostrych słów, których nie powinnam była mówić.

— To nie twoja wina. — Julian, jak zwykle, był uprzejmy. — To spotkanie musiało być trudne dla was obojga.

— Wydaje mi się, że Stephena zupełnie nic nie obchodzi. Udało mi się go rozzłościć, ale nie mam pojęcia, jaki to może mieć pożytek dla niego... albo dla mnie.

— Musisz sobie wybaczyć, Lynn. Nawet jeśli nie jesteś jeszcze gotowa, by wybaczyć Stephenowi. Tego nie umiałam zrobić.

— Co miałaś na myśli mówiąc, że innym razem wszystko się ułoży?

— Obawiam się, że nie w tym życiu. Wiem, że teraz to się nie uda. Ale kiedyś znowu ją spotkam. Jilly jest moją córką.

Popatrzyłam na niego obojętnie. Uśmiechał się blado i bardzo smutno — ten uśmiech nie był skierowany do mnie.

— Była moją córką przez wieki... już wiele razy. W tym życiu też się spotkaliśmy... dałem jej na imię

Phyllis A. Whitney

Amber. Ale odeszła. Kiedy narodziła się w ciele Jilly, dostałem wiele znaków, że znowu na krótko jesteśmy razem. Ale to już koniec.

Bursztyny dla bursztynów. Wiedziałam, co miał na myśli, lecz czułam się tak zagubiona, jak w górskiej mgle. Z danych statystycznych wiedziałam, że reinkarnację uznaje większość ludzi na świecie, ale mój „zachodni” świat był inny... Może ignorancki w swoim braku akceptacji?

Julian rozumiał moją dezorientację.

— Wiem, jak trudno się z tym pogodzić ludziom, którzy nie mają o tym pojęcia. Zawsze uważałem, że ta idea nadaje życiu większe znaczenie niż jakakolwiek inna.

Nie byłam gotowa, aby zajmować się innym światem czy innym życiem.

— Julianie, niezależnie od tego, w co wierzymy, Jilly nie może być ofiarą w t y m życiu. To zbyt łatwe: cofnąć się i zaszyć w bezpieczne miejsce, zamiast zmierzyć się z Everettem i walczyć o dobro Jilly. Teraz.

Tym razem uśmiechnął się do mnie.

— Długą drogę przeszłaś, prawda? Ale co właściwie, twoim zdaniem, jeszcze można zrobić?

— Możesz powiedzieć Everettowi, że ty i Vivian nie zamierzacie wyjeżdżać. Vivian ma prawo tu zostać, bo Larry Asche jej to zagwarantował wiele lat temu. Przypuszczam, że Everett sprawuje prawną pieczę nad wszystkim i mógłby was stąd wyrzucić, ale nie byłoby to dobrze widziane. Zajmuje dosyć wysoką pozycję i wątpię, czy posunąłby się aż tak daleko. Więc dlaczego nie zostanieie? Nie zwracaj uwagi na to, co on mówi.

Julian potrząsnął głową.

— Wtedy zaczęłyby się zachowywać niezbyt miło. Poza tym, on naprawdę niewiele sobie robi z tego, co

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

141

mówią inni. W przeciwieństwie do Meryl. A przez Eve-retta zarówno ja, jak i Vivian, moglibyśmy czuć się niezręcznie.

— A może to ty sprawiłbyś, że Everett poczułby się niezręcznie? Co się stanie, jeśli ściągniesz tu Oriane? Wyjaśnij jej, co tu się dzieje i spraw, żeby się tym zainteresowała. Ona nadal ma pewne prawa jako żona Stephen. Wiesz, jak się z nią skontaktować?

— Mam jej numer w Kalifornii, ale nie mam pojęcia, co ona mogłaby zrobić. Zawsze ma jakieś zawodowe zobowiązania i musi wszystko zaplanować dużo wcześniej.

— Zobowiązania wobec życia też są ważne. Możesz jej powiedzieć, że tu jestem. Powiedz jej, że zaprzyjaźniłam się z jej córką i zbliżyłam ze Stephenem.

Julian zastanawiał się nad czymś przez chwilę.

— Ciekawa możliwość. Ale co z tobą, Lynn? Co, jeśli Oriana wróci do domu? Jak sobie z tym poradzisz?

— Wcale. Jeżeli ona tu wróci, ja wyjadę i powrócę do swojego życia.

— Tak po prostu? I nie będziesz znowu czuła się zraniona?

— Te rany powstały jeszcze zanim tu przyjechałam, Julianie. Nie może być gorzej... i prawdopodobnie nie będzie też lepiej, dopóki nie wyjadę.

Julian objął mnie ramieniem.

— Tak mi przykro, Lynn. Chęć pomocy Jilly to już obsesja... sprawiła, że zapomniałem o tym, jak bardzo ciebie może to wszystko dotknąć. Myślałem, że wszystko będzie w porządku, bo już jakoś ułożyłaś sobie życie, a Stephen należy do przeszłości, która już się dla ciebie nie liczy.

— Też tak myślałam. Wróciłam z szeroko otwartymi oczami i myślałam, że wszystko w porządku. Ale



Phyllis A. Whitney

teraz muszę skończyć to, po co mnie tu sprowadziłeś. Przecież dostałeś wskazówki, że muszę tu przyjechać.

Nie zwrócił uwagi na mój nikły uśmiech.

— Porozmawiajmy z Vivian, Lynn. Może jak jej powiemy, że staramy się coś wymyślić, podtrzymamy ją trochę na duchu. Ona tego potrzebuje, biedactwo.

Ruszył w stronę domu, zostałam z tyłu.

— Jeszcze jedno. Próbowałam powiedzieć Jilly, że byłam pierwszą żoną jej ojca. Nie wiem, czy mogę to przed nią ukrywać. Ale powstrzymała mnie twierdząc, że pierwsza żona jej taty uciekła i zostawiła go, i że nie była dobrym człowiekiem. Nie wiedziałam, jak na to zareagować, i dałam za wygraną.

— Kto to Jilly powiedział?

— Prawdopodobnie Oriana. Westchnął.

— Będzie, co ma być.

— Nie bądź fatalistą — poprosiłam. — Ściągając mnie tutaj sprawiłeś, iż coś zaczęło się dziać. Vivian jest przekonana, że posiadasz szczególną moc, której nikt nie może się przeciwstawić.

— Kochana Vivian. Wierzy we wszystko, w co chce wierzyć. Nigdy nie miałem jej tego za złe. Ale sama widzisz, jak wielką władzę mam nad Everettem.

— Wolę cię jako czarnoksiężnika — powiedziałam śmiejąc się raczej smutno, gdy szliśmy już w kierunku domu.

Gdy dotarliśmy do gabinetu Juliana, wyszły ku nam Vivian i Carla, obie czymś bardzo poruszone. Vivian była zapłakana, a Carla wściekła. Przebrała się w długą, czerwoną suknię, udrapowaną na ramionach jak rozłożone skrzydła... ognista czerwień...

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

143

— Nie jestem strażnikiem tego dzieciaka! — mówiła do Vivian. — Nie mogę jej ciągle pilnować. Tego już za wiele... Trzeba coś zrobić!

Julian odezwał się spokojnie:

— Carlo, wyjaśnij nam, co się stało. Vivian odpowiedziała zamiast niej:

— Jilly to taki mały psotnik. Carla zaprzeczyła oburzona:

— Jest znacznie gorzej! Niech pan przyjdzie i zobaczy, co ona narobiła, panie Forster. Tego już nie można tolerować.

Odwróciła się, rozpościerając czerwone skrzydła, i jak burza pobiegła w stronę pokojów, które dzieliła z Jilly. Ruszyliśmy za nią powoli.

Po raz pierwszy znalazłam się w tej części domu. Salon był pogodny, z jasnymi zdjęciami i obrazkami na ścianach — obrazkami, które na pewno wybrała Jilly, gdy była jeszcze mała. Kilka z nich przedstawiało wesołych kłownów, a jeden wielki plakat — dziewczynkę na koniu. Część ściany pokrywały kolorowe zdjęcia tańczącej Oriany. Dziewczynka na koniu przypominała malutką Jilly. Nikt nie zaprzętał sobie głowy dostosowaniem pokoju do obecnego wieku Jilly... a może to jej właśnie odpowiadało. Bezpiecznie i swojsko.

Carłę jednak interesował tylko jej własny pokój, więc zaprowadziła nas do sąsiednich drzwi. Sypialnia była zadbana, lecz bezosobowa, jakby zamieszkiwał ją cały szereg guwernantek, z których każda odciskała piętno swojej osobowości na kilku przedmiotach, co jednak niczego nie zmieniało.

Wszystko, co należało do Carli, było poprzestawiane.

Niczego nie porzucano ani nie zniszczono, po prostu ułożono w niewłaściwy sposób. To, co powinno leżeć na toalecie, przeniesiono na środek łóżka, a po-

Phyllis A. Whitney

duszki z łóżka znalazły się pod lustrem. Buty, wyciągnięte z szafki, stały pod oknem. Ubrania z wieszakami znalazły się pod prysznicem w łazience. Fotel był przewrócony i oparty o ścianę, tyłem do pokoju, obok niego zaś, na podłodze, leżała pusta walizka.

Julian stał rozglądając się po pokoju, a ja podeszłam do fotela i odwróciłam go. Wszystko, co Carla miała w walizce, było ułożone na krześle. Na samej górze znajdowało się zdjęcie mężczyzny. Carla najwyraźniej nie zwróciła uwagi na to, co znajdowało się na krześle, idąc ze skargą do Vivian. Teraz podbiegła do fotografii, podniosła ją i odłożyła twarzą do dołu na poduszkę spoczywającą na toalecie. Więc w życiu Carli jest jakiś mężczyzna? Zdażyłam się dobrze przyjrzeć zdjęciu, zanim je schowała. Tło było ciemne, a mężczyzna miał na sobie czarny sweter, więc w jasnym świetle wybijała się jedynie twarz, dramatyczna i silna. Mężczyzna miał długie, jasnobrązowe włosy i brązowe oczy, osadzone trochę za blisko siebie. Usta rozchylone w delikatnym uśmiechu: Wyglądał jednocześnie na bardzo delikatnego i na *macho*. W sumie dosyć tajemnicza twarz. Zwróciłam uwagę na niego tylko dlatego, że kimkolwiek był ten człowiek, bardzo wiele znaczył dla Carli. Julian i Vivian spojrzeli po sobie zaskoczeni, chociaż kobieta zdażyła już schować zdjęcie.

— Teraz widzicie, co muszę znieść! — krzyknęła.

Vivian zaczęła ją przeproszać, obiecując, że porozmawia z Jilly, lecz Julian wszedł jej w słowo w typowy dla siebie, spokojny sposób.

— Oczywiście, możesz sobie wyjechać — powiedział do Carli. — Inne to zrobiły. Jilly jest trudnym dzieckiem, ale chociaż jedna osoba musi ją rozumieć i kochać.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

145

— Ależ ona nie chce być kochana! — odparła oburzona Carla. — Będę musiała porozmawiać o tym z Orianą.

— Pozwól, że ja to zrobię — ciągnął spokojnie Julian. — Miałem do niej zadzwonić dziś po południu, więc powiem jej, co się dzieje. Powiem też, że chcesz wyjechać. Zrobisz to?

Kobieta trochę spuściła z tonu.

— Nie wyjeżdżam tak od razu. Mam dług wobec Oriany, poza tym nie znajdziecie tak szybko nikogo, kto by mógł mieć z Jilly lekcje tańca.

— Och, to nie ma znaczenia! — Vivian ruszyła w stronę drzwi. — Julian i ja niedługo stąd wyjeżdżamy, więc Jilly nie będzie już naszym zmartwieniem.

Julian nie zaprzeczał; Carla spojrzała na niego w osłupieniu.

— Wyjeżdżacie?

— To może być konieczne — przyznał Julian uspokajająco. — Brat Stephena uważa, że to by było wskazane, więc może lepiej z nim rozmawiaj.

To chyba nie spodobało się Carli. Nie patrząc na nas, zaczęła doprowadzać pokój do porządku.

— Gdzie jest teraz Jilly? — zapytał Julian.

— Nie wiem — odparła nie odwracając się. — Jak zobaczyłam, co zrobiła z moim pokojem, próbowałam ją odnaleźć, ale nigdzie na nią nie natrafiłam. Pewnie, jak zwykle, poszła do lasu i wróci, kiedy będzie miała na to ochotę.

Nie odzywałam się; czułam się niepewnie i miałam wrażenie, że przeszkadzam. Pokój to chyba sprawka Jilly, ale niektóre sprawy należało wyjaśnić, zanim będzie za późno.

— Nie podoba mi się to, Julianie — odezwałam się. — Jilly musiała być bardzo zdenerwowana, skoro to

Phyllis A. Whitney

zrobiła... — Ruchem ręki ogarnęłam pokój. — Czy nie uważasz, że trzeba by jej poszukać? — Oczywiście, zrobię to — zgodził się Julian. — Carlo, może zostaniesz tutaj, a my z Lynn pójdziemy poszukać Jilly?

Rozdzieliliśmy się przeszukując dom, ale nie znaleźliśmy nic, co by nam powiedziało, dokąd dziewczynka się udała.

Julian nie był tym specjalnie zaniepokojony.

— To już się zdarzyło kilka razy, ale nigdy nie trwało długo. Ma takie specjalne miejsce, parę kroków stąd. Tu, w pobliżu, nic jej się nie może przytrafić. Może nawet poszła do Śpiewających Skał, choć to daleko. Wróci do domu, jak zgłodnieje.

Vivian przyłączyła się do nas, kiedy wróciliśmy do gabinetu Juliana, i popsuła mu dobry humor. Była na dole, gdzie Sam sprzątał liście, i miała nam coś do zakomunikowania.

— Przed chwilą Sam widział Jilly wsiadającą do jakiegoś samochodu na drodze. Nie dostrzegł, kto prowadzi i nie zwrócił na nią szczególnej uwagi. To prawdopodobnie ktoś z sąsiadów.

To stawiało w zupełnie innym świetle ostatnie wydarzenia, ale Julian nadal nie uważał, że powinniśmy wezwać policję. Powiedział, że Jilly nigdy nie wsiadłaby do samochodu z kimś obcym, więc wcześniej czy później dostaniemy wiadomość od kogoś, kto ją podwiózł.

Zadzwoił na Oleandrową Farmę, w razie gdyby Jilly skierowała się w tamtą stronę. Meryl powiedziała mu, że zostaje jeszcze jeden dzień i oczywiście da nam znać, gdyby pojawiła się u niej Jilly. Nie wyglądało na to, by się specjalnie przejęła całym wydarzeniem.

Tylko ja się tym przejmowałam. Jilly była bardzo przygnębiona, kiedy wychodziła ode mnie, i do tej pory

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

147

prawdopodobnie zrozumiała już, kim jestem. A to mogło dla niej oznaczać, że została oszukana przez przyjaciółkę, której zaczynała ufać.

Vivian zaproponowała kolejną możliwość.

— Widzieliście zdjęcie, które Carla schowała, gdy Lynn odwróciła krzesło? Jilly musiała je tam położyć i Bóg jeden wie, jakie wrażenie wywarło na niej to odkrycie. Myślę, że Carla Raines coś przed nami ukrywa. Zastanawiam się, czy Oriana o tym wie.

Niewiele z tego rozumiałam.

— Widziałam zdjęcie tego mężczyzny. Wiecie, kto to?

Znowu dostrzegłam wymianę spojrzeń między Vivian i Julianem.

Odpowiedział spokojnie:

— To było zdjęcie Luthera Kerstena. Tego, który zginął na Białym Księżycu, gdy Stephen miał wypadek. Dziwne, że ta kobieta przechowywała jego fotografię.

Bardziej niż dziwne, pomyślałam. A ponieważ Stephena podejrzewano o spowodowanie śmierci Luthera, nabierało to bardzo złowrogiego charakteru. Nic nie mogłam zrobić, z wyjątkiem zamartwiania się. Zbyt wiele spraw związanych było z wypadkiem Stephena, mnożyły się też pytania, na które nie znałam odpowiedzi.

## 9

Dopiero późnym popołudniem Meryl zadzwoniła do Juliana. Jilly dotarła na farmę głodna i zapłakana. Nie chciała rozmawiać o tym, co się stało, ale widać było, że ma zamiar przenocować i zgodzi się, by Meryl odwiozła ją rano do domu.

Julian próbował skontaktować się z Orianą, ale bez skutku, trzeba więc było odłożyć tę rozmowę na później.

Wybrałam się sama na długi spacer daleko od domu, próbując cieszyć się rozkwitającymi kolorami gór. Jednak nie udało mi się odzyskać uczucia beztroski i spokoju.

Najgorsze było to, że nie mogłam przestać myśleć o Stephenie. Przeszła mi już cała złość na niego, czułam się wyczerpana, miałam przed oczami jedynie człowieka na wózku inwalidzkim... człowieka, którego nie znałam

i któremu mogłam jedynie współczuć.

Kolacja z Julianem i Vivian minęła w niezbyt miłym nastroju, nic bowiem nie można było postanowić przed rozmową z Orianą. Słabą miał nadzieję, że matka dziewczynki zechce pomóc, ale to było wszystko, na co mógł się zdobyć.

Zaraz po posiłku przeprosiłam wszystkich i poszłam do swojego pokoju. Położyłam się na łóżku, chcąc

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

149

zdrzemnąć się na chwilę. Zasnęłam jednak twardo i obudziłam się kilka godzin później, zeszywniała i zmarznięta. Rozgrzałyby mnie ciepła herbata, pomyślałam więc o kominku, który widziałam w studiu, w którym tańczy Oriana. To lepsze niż ryzykowne wyprawy do kuchni, gdzie mogłabym się natknąć na kogoś, z kim trzeba by było rozmawiać. Byłam zaspana i jeszcze bardziej bezradna niż kiedykolwiek.

Weszłam na piętro, ale ktoś znalazł się już tam przede mną. W kominku w odległym końcu sali palił się ogień, a przed nim stał wózek Stephena. On sam siedział opatulony w koc, wpatrując się w płomień, a Paul Woolf przycupnął na stołku obok. Przez chwilę nie mogłam się poruszyć. Teraz wiedziałam, dlaczego czułam się tak niespokojna. Martwiłam się o Stephena tak samo jak o Jilly. Wbrew sobie zaczęłam iść przez pokój, a gdy moje kroki odbiły się echem na gołej podłodze, Paul się obejrzał. Kiedy mnie dostrzegł, ruszył szybko w moją stronę. Żółty golf, który miał na sobie, był równie charakterystyczny dla niego jak dres. Kolor, który przykuwał uwagę, a może dzięki temu dawał mężczyźnie poczucie władzy. O ucieczce mogłam jedynie marzyć, gdyż tamten nacierał na mnie, blokując mi drogę odwrotu.

— Już wystarczająco dużo złego wyrządziłaś — oświadczył bez ogródek. — Zostaw Stephena w spokoju.

Zdawałam sobie sprawę, że właśnie rozpoczęłam z nim walkę.

— Jeszcze i tak za mało zrobiłam — odparłam i szybko go minęłam, zanim zdążył mnie zatrzymać.

— Pozwól jej przejść, Paul — odezwał się Stephen z końca pokoju.



Phyllis A. Whitney

Ruszyłam w tamtą stronę, a Paul powoli szedł za mną.

— Przyszłam cię przeprosić — powiedziałam do okutanej w koc postaci. — Nie powinnam była mówić ci tego wszystkiego. Naprawdę mi przykro.

Spojrzał na mnie; w jego krótko obciętych, rudych włosach odbił się płomień, a oczy załśniły. Patrzył na mnie niewzruszony, jakby czekał na to, co jeszcze chciałam powiedzieć.

— Mogę usiąść? — Wskazałam ręką stołek.

Paul wydał z siebie jakieś nieartykułowane dźwięki, lecz Stephen przemówił do niego szorstko:

— Proszę, przynieś nam dzbanek kawy i coś do niej, co uda ci się znaleźć. Przez jakiś czas nie będziesz mi potrzebny. Chcę porozmawiać z Lynn na osobności.

Kiedy Paul wyszedł, ociągając się zresztą, usiadłam na stołku i wpatrywałam się w płomyki ognia w kominku.

— Coś mówiłaś?

Naśmiewał się ze mnie i przez to nie bardzo wiedziałam, jak zacząć.

— Chcę pomóc Jilly, ale nie mam prawa odzywać się do ciebie w ten sposób.

— Prawa? A co mnie obchodzą jakieś prawa? Nic nie wiesz o sytuacji tutaj, pakujesz się w to wszystko i tylko się denerwujesz.

Zdawałam sobie sprawę, jak bardzo musiał być wrażliwy na wszelkie ciosy i w jakim stanie miał nerwy z powodu fizycznej nieporadności, której tak nienawidził. Ale mnie także łatwo było zranić.

— Wiem — zgodziłam się. — Jednak także mam prawo być na ciebie zła. Przynajmniej dwanaście lat temu miałam takie prawo. Wyrzekłam się go, choć nie powinnam była. Odrzuciłam wszelkie uczucia i posta-

## ŚPIEWAJACE SKAŁY

146

nowiłam wypełnić życie sprawami, które dla mnie były ważne. Może byłoby lepiej... dla mnie... gdybym cię pobiła już na samym początku. Wtedy mogłabym się na ciebie wściekać, a moje rany nie jątrzyłyby się przez ten cały czas. Dzisiaj, gdy tylko chciałam pomóc Jilly, podniosłam wieczko i wszystko wypłynęło. Chyba nadal jestem zła, ale teraz z innego powodu... nie z powodu czegoś, co już się dawno skończyło. Może spróbujesz to zrozumieć.

Wątpię, by chciał, nawet się nie odezwał. Siedzieliśmy przez chwilę, wsłuchując się w odgłosy trzaskającego ognia, a noc cisnęła się za otaczającymi nas oknami. Pogoda nagle się zmieniła, jak to często bywa w tych stronach, i zaczęło padać. Słyszeliśmy odgłosy deszczu, potem wiatru, a potem także lasu. Strużki wody hipnotyzującym ruchem ciekły po szybach, odbijając światło.

Stephen podjechał do oszklonych drzwi i wyrzwał w ciemność. W jasną noc blask otoczyłby wzgórze i dolinę, a szczyt góry Afton także byłby bardziej oświetlony. Dalej zaczynała się dolina Shenandoah. Ale teraz za oknem nie było widać nic, poza odgradzającymi nas od świata chmurami.

Stephen odezwał się, jakby do siebie:

— Zawsze lubiłem ten pokój w czasie burzy. Czuję się tak, jakbym znalazł się w samym centrum żywiołu, jednocześnie będąc od niego bezpiecznym. Na przykład, piorun może uderzyć w ten dom i wszystko stanie w płomieniach. To jak iluminacja albo życie przed ciemnością.

Ciemność, z którą już się chciał zjednoczyć?

— Ciekawe, co tam teraz jest — powiedziałam. — Zastanawiam się, co tam jest naprawdę. To była gra, w którą kiedyś się bawiliśmy, pożałowałam więc natychmiast swoich słów.

Phyllis A. Whitney

— Jak myślisz, co? — spytał ponuro.

— Tylko drzewa szepczące do siebie. Może rozmawiają o tym, jakimi głupcami są ludzie. One są bliżej siły, która je stworzyła. Wiedzą, jak przetrzymać burze. Może te skały w oddali śpiewają na wietrze. Słyszałam je dzisiaj, kiedy byłam na farmie.

Spojrzał na mnie z zaciekawieniem i zbliżył się do kominka.

— Często tu przesiadujesz? — spytałam.

— Czasami. To jakaś odmiana po moim zamknięciu.

Prawdopodobnie sam zezwolił, by tamte pokoje stały się jego więzieniem. Zniknęła cała moja dawna złość; próbowałam ofiarować mu choć kilka ciepłych słów.

— Dom jest piękny, Stephenie. Zaplanowałeś każdy szczegół i doprowadziłeś całość do perfekcji. Staralam się, by mój głos zabrzmiał obojętnie, jakby ten dom nie miał dla mnie żadnego znaczenia — co, w końcu, było prawdą.

Stephen nie odpowiedział i wydawało się aż dziwne, że przed chwilą mogliśmy ze sobą rozmawiać... jeśli to w ogóle można było nazwać rozmową.

Zesłam ze stołka i zbliżyłam się do płaskich kamieni kominka, chcąc być bliżej ognia. Kilka z nich zebraliśmy razem w czasie naszych wędrówek i przynieśliśmy je do domu właśnie w tym celu. Cisza między nami, pełna zadawnionych emocji, stawała się nie do wytrzymania, postanowiłam więc zmienić temat.

— Meryl twierdzi, że Everett jest teraz zainteresowany głównie budowaniem hoteli i osiedli, wyłącznie większymi projektami. Już nie zajmuje się domami?

Przez chwilę myślałam, że Stephen nie odpowie. Przemówił w końcu, powodowany jakimś wewnętrznym

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

148

gniewem. Więc jednak nie był na wszystko zupełnie obojętny!

— Domy to zbyt wielki kłopot dla Everetta, za mało też za nie dostaje. Dom ma odzwierciedlać ludzi, którzy w nim będą mieszkać, a taki projekt zabiera bardzo dużo czasu. Wymaga też trochę pomysłowości.

Ten pokój był naprawdę przeznaczony na salę prób dla Oriany... Jak gdyby został specjalnie dla niej zaplanowany.

— Dlaczego Everett nie pozwoli ci projektować domów, skoro zajmuje się całą resztą? — zapytałam. Stephen spojrzał na mnie, jakby litując się nad moją głupotą, ale nic nie powiedział.

— Przede wszystkim — ciągnęłam, zapuszczając się na niebezpieczne tereny — domy tworzy się w umyśle. To stamtąd czerpiesz swoje pomysły. — Dostrzegłam błysk w jego oczach i starałam się nie dać tego po sobie poznać. Jednak odezwałam się ponownie drżącym głosem. — Twój umysł nie jest przywiązany do tego wózka... może dotrzeć wszędzie.

Tym razem Stephen nie odwrócił wzroku.

— Mój umysł — powiedział martwym głosem — był zajęty innymi sprawami.

Powstrzymałam się od dalszych uwag na ten temat. Chciałam przecież porozmawiać o Jilly.

— Czy wiesz, że kobieta, która zajmuje się twoją córką, przechowuje w pokoju zdjęcie Luthera Kerstena?

Przez chwilę wydawał się niemal przerażony... Jakby spadł na niego jakiś ciężar, którego nie był w stanie udźwignąć. Nie odezwałam się więcej ani słowem, wycofując się z bagna, w które nieświadomie wdepnęłam.

Pojawienie się Paula na schodach sprawiło mi ulgę. Niósł tacę z trzema kubkami, dzbankiem kawy i kilkoma kanapkami na talerzu. Postawił to wszystko przy

Phyllis A. Whitney

kominku, przysunął Stephenowi składany stolik, a następnie obok niego umieścił dwa krzesła, dla siebie i dla mnie.

Stephen pił kawę czarną, jak zawsze. Ja też, a Paul swoją osłodził i dodał śmietanki. Wszystko to robiliśmy w milczeniu, jakby Paul jedynie wykonał swoje obowiązki, a teraz zamierzał uniemożliwić nam dalszą rozmowę. Zastanawiałam się, czy zachowywał się tak niemiło, bo to leżało w jego naturze, czy też za jego czujnością krył się Everett.

Kawa przynajmniej trochę złagodziła mój wewnętrzny chłód, który był znacznie większy niż ten na dworze. Kiedy się wreszcie tego nauczę? I właściwie czego musiałam się nauczyć, oprócz powstrzymywania się, aby nie powiedzieć zbyt wiele przy Stephenie?

— Zabiorę cię na dół. — Paul przerwał milczenie, gdy Stephen skończył kawę. — Przestało padać i na tarasie nie będzie za mokro.

Stephen wzruszył ramionami, znowu pochylił plecy, najwyraźniej mało go to wszystko obchodziło. Tego nienawidziłam w nim najbardziej — poddania się aż do niebytu. Nadal chciałam przedrzeć się przez tę maskę obojętności.

— Czy ktoś już ci powiedział, że Jilly uciekła dziś po południu? — zapytałam.

Przynajmniej to przykuło jego uwagę.

— Uciekła?

— Wyszła z domu, nie mówiąc nic nikomu, i ruszyła autostopem. Kilka godzin później Meryl zadzwoniła z farmy z wiadomością, że Jilly dotarła do niej. To dziecko jest czymś strasznie przygnębione.

— Nic nie mogę na to poradzić — odparł smutno Stephen.

Nie mogłam tego tak zostawić.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

155

— Gdy Julian i Vivian odejdą, nie będzie komu nią się zajmować. Carli to wszystko wcale nie obchodzi.

Ale ten temat już przerabialiśmy, więc nawet się nie odezwał. Uniosłam kubek, prosząc o jeszcze trochę kawy, której wcale nie chciałam, tylko po to, by powstrzymać Paula od zabrania stąd Stephena. Odstawiłam kubek na chwilę, żeby ostygła, i wsłuchałam się w odgłosy z zewnątrz. Jak powiedział Paul, deszcz ustał i nawet wiatr był bardzo słaby. Nagle wychwyciłam jakiś dźwięk. Spojrzałam na szklane drzwi i przez chwilę widziałam twarz przyklejoną do szyby.

— Ktoś jest na zewnątrz — odezwałam się do Paula. — Lepiej sprawdź, kto to.

Poruszał się dużo szybciej, niż mogłam się spodziewać po człowieku takich rozmiarów. Natychmiast rozsunął drzwi, usłyszałam jego krzyk, a potem pobiegł za kimś po tarasie. Wrócił szybko ze swoją zdobyczą — Carlą Raines w poncho i z rozpuszczonymi włosami. Paul wciągnął ją do środka bez żadnych ceregieli. Nie stawiała oporu, nie próbowała się tłumaczyć, po prostu zrzuciła poncho i usiadła na kamieniu przy kominku, wyciągając zmarznięte dłonie w stronę gasnących płomieni.

— Po co się tu płaczesz? — zapytał Paul. Nawet na niego nie spojrzała.

— Szukałam Jilly. Lubi włóczyć się po lesie, kiedy jest ciemno i pada. Pomyślałam, że może już wróciła i siedzi tu z wami.

— Czy to znaczy, że nie wiesz, że Jilly się odnalazła? — spytałam. — Meryl Asche dzwoniła do Juliana, że dziewczynka jest na farmie. Myślałam, że ktoś ci już o tym powiedział.

— Nie było mnie tu — odparła. — Miałam kilka spraw do załatwienia i niedawno wróciłam do domu. Gdy nie było Jilly, mogłam wreszcie zająć się sobą.

Phyllis A. Whitney

Stephen odezwał się do niej ponuro:

— Słyszałem, że trzymasz w pokoju zdjęcie Luthera Kerstena. Dobrze go znałaś?

Carla zarumieniła się. Krew napłynęła jej do twarzy, nadając policzkom nieatrakcyjny, ciemny odcień.

— Nie pańska sprawa.

Gdy Stephen ciągnął dalej, zauważyłam, że Paul nagle zaczyna mieć się na baczności.

— Może wszystko, co dotyczy Luthera, nadal dotyczy także mnie. Jak dobrze go znałaś?

Przez chwilę wydawało mi się, że Carla ucieknie na dwór i skryje się w ciemnościach, ale uspokoiła się, zacisnęła ręce na kolanach, jakby chcąc opanować ich drżenie.

— No dobrze... powiem wam. Mieliśmy się pobrać. Paul parsknął śmiechem.

Carla odwróciła się do niego.

— Co chciałaś przez to powiedzieć?

— Tylko tyle, że wszyscy doskonale znali Luthera. On się po prostu bawił. Nie zamierzał z nikim się żenić.

Podskoczyła wściekła.

— Nie masz o tym bladego pojęcia! Nikt go nie znał tak dobrze jak ja!

Spojrzałam na Stephena. Przyglądał się uważnie kobiecie, nie było po nim widać ani śladu poprzedniej obojętności.

— Dlaczego chciałaś tu pracować? — zapytał.

— Bo Oriana potrzebowała kogoś do opieki nad swoją córeczką. Bo Jilly już i tak uczęszczała do mnie na lekcje tańca. — A czy nie dlatego, że chciałaś na własną rękę dowiedzieć się czegoś o śmierci Luthera? — zapytał Stephen.

W tym momencie Paul wtrącił się do rozmowy.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

157

— Więc może to ty! Może to ty włamałaś się do nas, pocięłaś poduszki na wózku Stephena i zostawiłaś list?

— Nie wiem, kto to zrobił — odparła posępnie Carla.

Nie umiałam orzec, czy kłamie czy też mówi prawdę.

Podniosła poncho i ruszyła w stronę przeciwnego końca pokoju. W połowie drogi do drzwi odwróciła się i przemówiła do Stephena:

— Sądzę, że to nie pan zabił Luthera — powiedziała i wybiegła na schody.

— O co w tym wszystkim chodziło? — zapytał Paul.

— Zabierz mnie z powrotem do mojego pokoju — polecił mu Stephen. W jego głosie nie było już życia.

Do mnie też już się nie odezwał, a Paul powiózł go przez mokry taras. Dostyc już miałam emocji, jak na jeden dzień. Ogień prawie wygasł, odłożyłam więc na miejsce parawanik sprzed kominka. Potem, pogasiwszy światła, wyszłam za Carlą na schody. Ale ona nie zeszła na dół. Siedziała na najwyższym schodku, czekając na mnie.

— Możemy chwilę porozmawiać? — zagadnęła. Schody były równie zaciszne jak każde inne miejsce, usiadłam więc obok niej i czekałam.

Poncho nie uchroniło jej przed zmoknięciem. Kiedy rozmawiałyśmy, wykręcała wilgotną czerwoną spódnicę.

— To prawda, że Oriana chciała, żebym tu przyjechała. Ale to ja podsunęłam jej ten pomysł ze względu na śmierć Luthera. Zamierzaliśmy się pobrać, lecz po tej tragedii wszystko się pokreśliło. Powiedziałam ci, że to dom śmierci. Może morderstwa. Jilly i Stephen zostali ranni, a policja nigdy nie odkryła, co się



Phyllis A. Whitney

naprawdę wydarzyło. Postanowiłam dowiedzieć się czegoś więcej, jeśli tylko zdołam. Nie wierzę, że to był wypadek. Pomyślałam, że pracując tutaj odkryję coś nowego.

— I co? Odkryłaś coś?

— Niewiele. Z pewnością między Lutherem i Stephenem wywiązała się bójka... chyba dlatego, że Stephen oskarżył Luthera o te cięcia w kosztorysie. Prawdopodobnie miał rację. Nigdy nie miałam złudzeń co do zasad etycznych Luthera. Myślę, że Luther ogłuszył Stephena, a gdy ten się podniósł, poszedł za nim i stanął na desce. Jilly twierdzi, że pamięta, jak chciała pomóc ojcu, ale niechętnie o tym mówi i natychmiast popada w melancholię. Za każdym razem, kiedy próbuję cokolwiek z niej wydobyć, odnoszę wrażenie, że ona wie coś, czego nie chce wyjawić. Może tobie uda się to odkryć. Ona mi nie ufa.

Nieufność Jilly wobec Carli nie była niczym zaskakującym.

— W takiej sytuacji nie powinnaś tu pracować — powiedziałam. — Nie przyniesie to Jilly nic dobrego.

Przestała wykręcać spódnicę, zajmując się zamiast tego wykręcaniem sobie palców.

— Nie wyrządziłam jej żadnej krzywdy, choć nie jest to sympatyczne dziecko. Z wyjątkiem chwil, gdy tańczy. Tym się więc zajmowałam.

— Dlaczego mi to teraz mówisz?

— Nie udało mi się dowiedzieć niczego, co naprawdę by się liczyło. Ty jesteś znacznie bliżej tego. Możliwe, że właśnie ty odkryjesz prawdę i pomożesz Jilly.

— Czy ktoś ci powiedział, kim jestem? — Patrzyła na mnie obojętnie, mówiłam więc dalej: — Dwanaście lat temu byłam żoną Stephena Asche. Dostrzegłam jej zaskoczenie.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

159

— Więc to ty... Ależ to szaleństwo! Chodzi mi o to, że Julian cię tu ściągnął. Oczywiście nigdy nie znałam imienia pierwszej pani Asche, dlatego nie połapałam się od razu. To wszystko zmienia.

Wszystko jest takie dziwne... Wszystkie nici się łączą...

— Co masz na myśli?

— Czy wiesz, że Luther był protegowanym Larry'e-go Asche? On, Julian i Larry przyjaźnili się, kiedy Luther był jeszcze młody. Ale chyba Larry dowiedział się czegoś o Lutherze i zerwali znajomość. Luther chciał się z nim pogodzić, lecz Larry zmarł. Everett, oczywiście, nigdy nie przejmował się zasadami.

Carla powiedziała wszystko, co zamierzała, podniosła się z gracją i zaczęła schodzić po schodach.

Gdy była już na dole, spojrzała na mnie.

— Jilly coś ukrywa. Panicznie boi się czegoś, ale nie chce powiedzieć, czego. Czasem przeraża mnie jej strach. Może lepiej ty też miej się na baczności.

Pobiegła w stronę pokojów, które dzieliła z Jilly, a ja zostałam sama na ciemnych schodach. Jak zauważyła Carla, strach jest zaraźliwy, więc teraz ja przebiegłam pustym korytarzem, unikając cieni, i dokładnie zamknęłam za sobą drzwi.

Następnego ranka obudziłam się wcześniej, niezbyt wypoczęta, ale byłam zbyt podniecona, aby wylegiwać się w łóżku. Po burzy dzień był nieoczekiwanie spokojny. Babie lato. Zeszłam na dół i ujrzałam Vivian nakrywającą do stołu na tarasie. Uśmiechnęła się.

— Dzień dobry, Lynn. Przysiądziesz się? Zawsze uwielbiałam jeść śniadanie na dworze w tak piękne poranki. To może być nasz ostatni raz przed zimą.

Siliła się na wesołość, ale zdawała sobie sprawę z tego, że ani ona, ani Julian mogą nie pozostać tu długo.

Burza rozrzuciła liście po całym tarasie, wzięłam więc szczotkę i zamiotłam wilgotną brązową podłogę.

Julian, jak mnie poinformowała Vivian, robił w kuchni specjalne placki z jogurtem. Gdy wszystko było już gotowe, usiedliśmy we trójkę do placków, syropu klonowego i półmiska chrupiącego bekonu. Teraz mogłam im powiedzieć, co się wydarzyło zeszłej nocy, ale kiedy zaczęłam, Vivian powstrzymała mnie.

— Proszę, Lynn, nie teraz. To wszystko już nas nie dotyczy, mamy przecież wyjechać, a w ten sposób tylko nas unieszczęśliwiasz.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

161

Zastanawiałam się, czy porzuciła już nadzieję, że Meryl może namówić Everetta do zmiany decyzji. Julian skinął głową w moim kierunku.

— Chciałbym tego wysłuchać, ale później. Vivian ma rację... nie przejmujemy się tym na razie.

Cieszymy się czasem, który jeszcze nam pozostał.

Znowu mówił jak fatalista, nie cierpiałam tego tonu. Ja się jeszcze nie poddałam, chociaż nie miałam pojęcia, jaki będzie mój następny ruch.

Ponieważ każde piętro było trochę mniej wysunięte od tego pod nim, mogliśmy siedzieć w ciepłym słońcu ogrzewającym nasz taras. Szeroka dolina pod nami nadal znajdowała się w cieniu; wschodzące słońce oświetlało jedynie wysokie szczyty, jakby nad nimi jaśniał reflektor. Słońce będzie stopniowo schodzić w dół zbocza, ale na razie oświetlało granie cynamonowym blaskiem, tworząc urocze widowisko.

Pomimo chęci odłożenia nieprzyjemności na później, Julian wdał się w dyskusję na najbliższy mu temat, chociaż nie aż tak fatalistyczny.

— Próbowałem dodzwonić się do Oriany, ale dotychczas nie udało mi się jej złapać. Masz rację, Lynn, ona powinna wiedzieć, co tu się dzieje, chociaż nie bardzo wierzę, że mogłaby coś zdziałać.

— Może zająłbyś się dzisiaj Stephenem? — zaproponowałam, dodając ponuro: — Chyba już go wystarczająco przygnębiłam, więc może będzie gotów cię wysłuchać.

Julian zgodził się mechanicznie, ale czułam, że pokładał w Stephenie odrobinę nadziei.

Dopiero jednak Meryl zakłóciła nasz spokój, wjeżdżając na żwirowy podjazd i parkując pod nami. Vivian zaprosiła ją, by weszła na taras i po chwili przyszła do nas. Wyglądała nieporządnie, jakby zakładała spodnie

Phyllis A. Whitney

i sweter nie przejmując się wcale swoim wyglądem, miała też nie uczesane włosy.

— Jilly znowu zwiąła! — krzyknęła, podchodząc do nas. — Zeszłej nocy była bardzo spokojna i nie drażyłam już całej tej sprawy myśląc, że i tak nie zechce powiedzieć mi, dlaczego uciekła. W każdym bądź razie sprawiała wrażenie, że pragnie zostać na noc, a rano pozwoli mi się zawieźć z powrotem do domu. Ale kiedy wstałam dziś wcześniej i weszłam do pokoju, już jej nie było. Zostawiła mi kartkę... oto ona.

Podawała Julianowi arkusik i opadła na krzesło, które jej podał. Vivian nalała kawy, którą Meryl piła, obserwując bacznie Juliana.

Zaczął czytać na głos:

— „Kochana ciociu Meryl: nie mogę zostać. Jest coś, co muszę zrobić. Coś, co muszę sobie przypomnieć. Nic mi nie będzie, nie martw się, Jilly.”

— Oczywiście, że się martwię — odezwała się Meryl. — Kto wie, do jakiego tym razem wsiadła samochodu? Miała szczęście, że wczoraj podrzuciła ją sąsiadka, która powiedziała mi, że Jilly wcale nie chciała zaraz jechać na farmę, więc przez jakiś czas jeździły razem, a ta kobieta załatwiała własne sprawy. Jilly zamierzała odwiedzić jakieś inne miejsce, ale nie chciała powiedzieć, gdzie to jest.

— Chyba czas zadzwonić na policję — stwierdził Julian i poszedł do telefonu.

To było oczywiście rozwiązanie, ale przyszła mi do głowy jeszcze jedna możliwość, tylko nie chciałam jej zdradzać nikomu, na wypadek, gdyby mi się nie udało.

Kiedy już mogłam się oddalić, ruszyłam niższym tarasem do pokoju Stephena i zapukałam w szybę. Paul podszedł do drzwi i spojrzał na mnie chłodno, nie zapraszając do środka. Przypuszczałam, że jego niechęć

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

158

była spowodowana instrukcjami Everetta, który nie chciał mnie tutaj. Powiedziałam mu, że chcę rozmawiać ze Stephenem, ale tylko potrząsnął głową.

— Już wystarczająco go przygnębiłaś... ty i Carla. Jeszcze śpi, a ty nie będziesz mu przeszkadzać.

Dlaczego nie powiesz, czego od niego chcesz?

Blokował sobą drzwi i przypuszczałam, że nie zawaha się użyć siły, gdybym próbowała mimo wszystko dostać się do środka.

— Przyjdę później — powiedziałam i odeszłam w przeciwną stronę domu.

Wiedziałam, że tu wszędzie są wyjścia awaryjne, więc z łatwością dostałam się na przeciwległy taras i odnalazłam drogę do sypialni Stephena. Nie chciałam pukaniem ściągać znowu na siebie uwagi Paula, więc weszłam do pokoju i kiedy Stephen mnie zobaczył, położyłam palec na ustach.

— Proszę! — szepnęłam.

Nie wydawał się zaskoczony i obserwował mnie z tą samą obojętnością, jaką widziałam już wcześniej. Zeszłej nocy udało mi się przez nią przedrzeć, to może uda mi się i teraz. Usiadłam na krawędzi krzesła przy jego łóżku. Nie chciałam patrzeć na niego i pamiętać... ale nie śmiałam odwrócić wzroku. Nie, jeśli miałam go błagać o coś, co powinno go obchodzić. Na nieszczęście to, co zobaczyłam, co tak doskonale pamiętałam, to rude włosy na białej poduszce. Gdybym wyciągnęła rękę, moje palce rozpoznałyby je; moja głowa rozpoznałaby miejsce na jego ramieniu. Byłam zła na siebie za takie myśli.

— Jilly znowu uciekła — powiedziałam sucho. Spojrzał w górę i nie odezwał się. Chciałam nim wstrząsnąć, wzbudzić jakieś uczucie, które dotyczyłoby czegoś poza nim samym.

Phyllis A. Whitney

— Jilly zostawiła Meryl kartkę — ciągnęłam. — Było na niej napisane, że musi coś zrobić... coś sobie przypomnieć.

— Więc?

To słowo nie zawierało nic poza odmową.

— Jesteś jej ojcem! Ty możesz wiedzieć, dokąd poszła!

Zamknął oczy i nie sposób było stwierdzić, czy moje słowa wywarły na nim jakiegokolwiek wrażenie.

Może w ten sposób chciał mnie już odprawić. Paul wszedł do pokoju i wściekł się, gdy mnie tam zastał. W jednej chwili ściągnie mnie z krzesła i bezceremonialnie wywali za drzwi. W rzeczy samej, wyciągał już rękę, gdy przeszkodził mu Stephen.

— Nie dotykaj jej — powiedział.

W jego słowach było tyle stanowczości, że tamten zatrzymał się zaskoczony. Przypuszczałam, że przyzwyczał się już, iż to on tu rządzi, ale w tej chwili nie miał żadnej władzy i fakt ten chyba był dla niego szokiem.

— Czy wiesz, dokąd Jilly mogła pójść? — powtórzyłam pytanie. — Jeśli masz przynajmniej jakieś przypuszczenia, powiedz mi, a ja jej poszukam.

Stephen odezwał się nagle do Paula:

— Przynieś ubranie i pomóż mi się ubrać. Poczekaj na zewnątrz, Lynn.

Weszłam do salonu... jego więzienia. Na jednej ze ścian znajdowało się ogromnych rozmiarów zdjęcie Oriany w jednym z orientalnych tańców. Szybko odwróciłam wzrok. Niemal cały pokój był dostosowany do potrzeb Stephena. Duży stół z rozkładanym blatem służył zapewne do masażu i ćwiczeń. Magnetofon i telewizor pomagały zabić czas spędzany tutaj. Na stole piętrzyły się książki, jeszcze więcej ich stało na półkach pod ścianą. Na podłodze nie było żadnych dywanów,

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

165

a w kącie pokoju zobaczyłam dwie kule. Więc od czasu do czasu Paul musiał pomagać Stephenowi chodzić o własnych siłach.

Mimo sprzeciwów Paula Stephen ubrał się, a kilka minut później wyjechał na wózku z sypialni. W porannym świetle dostrzegłam cienie pod jego oczami, zapadnięte policzki i nieruchomy wyraz twarzy. Nie był już tym mężczyzną, jakiego zapamiętałam, jego widok łamał mi serce.

Paul wyszedł również, nadal urażony i gotów nam przeszkodzić, lecz Stephen nie zwracał na niego żadnej uwagi.

— Masz samochód? — zwrócił się do mnie.

— Tak, zaparkowałam przy podjeździe.

— Paul, sprowadź mnie na dół, na przednie siedzenie jej samochodu. Nie będę mógł używać wózka, więc połóż z tyłu kule. Lynn, idź i załóż kurtkę. Tam, dokąd jedziemy, może być zimno i wietrznie. To był dawny Stephen, sprawujący nad wszystkim władzę i wprawiający wszystko w ruch.

Pośpieszyłam na górę po torbę i krótki płaszcz. Włożyłam nawet do kieszeni turkusik, który dostałam od Juliana, i zeszłam na dół. Stephen siedział w moim samochodzie, na miejscu dla pasażera i rozmawiał z Paulem.

Ten po raz ostatni próbował się sprzeciwić.

— Posłuchaj, Stephenie, może lepiej zadzwonię do Everetta, zanim...

— Nie — powiedział Stephen. — Żadnych komplikacji. Lynn zawiezie mnie tam, dokąd chcę jechać, i zobaczymy, czy znajdziemy Jilly. To wszystko.

— Ale będziesz mnie potrzebował, jak już dotrzecie na miejsce — zaprotestował Paul. — Ona nie jest wystarczająco silna, by cię zapakować do samochodu, a potem z niego wyciągnąć.



Phyllis A. Whitney

— Damy sobie radę — odparł nieubłaganie Stephen. — Możesz powiedzieć Julianowi, że pojechaliśmy szukać Jilly. Nieważne, dokąd. I nie zwracaj głowy Everettowi. W porządku, Lynn... jedziemy.

Wyjechaliśmy, a Paul został, patrząc na nas bezradnie, i gdyby nie cel naszej misji, odczuwałabym głęboki triumf. Zdaje się, że Woolf będzie musiał wytłumaczyć się z wielu rzeczy.

Stephen dawał mi wskazówki, a ja wypełniałam je w milczeniu. Dopiero kiedy przejechaliśmy kilka kilometrów, spojrzałam na niego. Skórę wokół ust miał białą... może z bólu. Na to nic nie mogłam poradzić, patrzyłam więc na drogę i trzymałam uczucia na wodzy.

Po kilku kolejnych kilometrach milczenia odważyłam się zadać pytanie.

— Dokąd jedziemy?

— Na budowę — odpowiedział tak cicho, że ledwo go usłyszałam. — To miejsce nazywa się Biały Księżyc.

W sposobie, w jaki wypowiedział tę nazwę, czaiło się ostrzeżenie i wiedziałam, że nie wolno mi nic komentować.

— Jedziemy na miejsce twojego wypadku?

— Tak. Jeśli Jilly próbuje coś sobie przypomnieć, to właśnie tam mogła pójść.

— Byłeś tam od czasu wypadku?

Jedyną odpowiedź stanowiło przeczące potrząśnięcie głową. Zastanawiałam się, czy jest coś, co on mógłby sobie przypomnieć na tym miejscu.

Na znak Stephena zjechałam z głównej drogi i skręciłam w stronę zalesionej góry. Inni też budowali się na tych wzgórzach, mineliśmy dwa albo trzy luksusowe domy, lecz żaden z nich nie był tak piękny i pomysłowy jak dom, który Stephen postawił dla siebie. I dla Oriany. Nie wolno mi o tym zapominać.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

167

— Myślałam, że nie lubisz osiedli — powiedziałam, gdy ostrymi zakrętami jechaliśmy w stronę szczytu, ciągle jeszcze bardzo od nas oddalonego.

— Everett mnie do tego namówił — odezwał się. — Chciałem budować dla ludzi, którzy woleli mieszkać w oryginalnych domach. I wydaje mi się, że całkiem dobrze mi to szło. Góra, jaką wybrał wykonawca, Luther Kersten, była piękna. Więc zgodziłem się, aż kiedyś odkryłem jego prawdziwe zamiary.

— Czy on był początkowo protegowanym twojego ojca?

— Tak. To jedna z przyczyn, dla których się tego podjąłem. Nie wiedziałem, że tata się z nim pokłócił. Przerwał nagle, jak gdyby powiedział więcej, niż zamierzał.

Wzdłuż drogi rosły dęby, a ich liście błyszczały w słońcu. Kiedy zbliżaliśmy się do samego szczytu, przybrały karłowaty, groteskowo powyginany wiatrem kształt.

— Możemy podjechać dosyć blisko — odezwał się Stephen. — Ta droga została zbudowana do przewożenia materiałów. W prawo.

Była nierówna jak tarka, zakurzona, podskakiwaliśmy na nierównościach porośniętych pnączami i chwastami. Tu i ówdzie posypano ją żwirem zapobiegającym powstawaniu błota, ale większość zmył nocny deszcz. Samochód cały czas piał się pod górę, aż wreszcie dotarliśmy do końca drogi. Zatrzymałam się w miejscu, skąd mogłam zobaczyć smutne resztki budowli, między drogą a najdalszym końcem klifu.

Przez chwilę Stephen siedział bez słowa, rozglądając się dokoła. Wątpię, czy myślał w tym czasie o Jilly; milczałam, czekając na dalsze polecenia. Nie było jej nigdzie widać, ale miejsce to doskonale nadawało się na

Phyllis A. Whitney

kryjówkę, więc mogła gdzieś się zaszyć, gdy usłyszała nadjeżdżający samochód. Wszystko wyglądało raczej na stare ruiny, niż na nie dokończoną budowę. Natura przejęła we władanie cały teren — porastały go chwasty i kwitnąca latem winorośl. Czerwony trujący bluszcz piał się pięknie po pniach drzew.

— Wykończyliśmy tylko pokoje na parterze — powiedział Stephen. — Te na górze dopiero zaczynaliśmy. Chcesz się rozejrzeć?

— Oczywiście — odpowiedziałam i wysiadłam z samochodu.

Odeszłam kawałek, ale powstrzymał mnie.

— Zaczekaj. Nadal znam to miejsce lepiej niż ty. Podaj mi kule.

Chciałam zaprotestować, prosić, by był ostrożny, ale stanowczość w głosie mężczyzny nie pozwalała na jakikolwiek sprzeciw. Sięgnęłam na tylne siedzenie i wyciągnęłam parę metalowych kul z uchwytami w połowie długości. Stephen otworzył drzwi, wysunął stopy z samochodu i postawił je na ziemi. Chwilę siedział w zamyśleniu.

Nie miałam pojęcia, jak najlepiej mu pomóc. Jeżeli upadnie, to będzie tragedia, nie dam rady zaciągnąć go z powrotem do samochodu. Sam musiał doskonale zdawać sobie z tego sprawę — dłuższy czas siedział z grymasem na twarzy, zastanawiając się, co ma zrobić. Ale przynajmniej wystąpił z jakąś propozycją, a nawet taka tragedia wydawała się lepsza niż letarg, w jakim dotychczas był pogrążony.

— Pomóż mi wstać — poprosił. — Nie obawiaj się... Nie jestem tylko bezwładną masą.

Wsparł się na kuli i objął mnie wolnym ramieniem. I chociaż wyteżyłam wszystkie siły, aż się zaryłam piętami w ziemię, stawiając Stephena na nogi. Kiedy poda-

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

169

łam mu drugą kulę, stanął już o własnych siłach i zrobił kilka kroków naprzód, powłócząc jedną nogą. Pot wystąpił mu na czole, wysiłek był tak wielki, że aż mnie to przeraziło. Ale nie śmiałam mu przeszkodzić. Wiedziałam, że ostatnia rzecz, jakiej by pragnął Stephen Asche to okazanie własnej bezsilności. Odczuwałam na sobie wszystkie rany zadane mu przez innych... i przez niego samego. Z silnego, pewnego siebie, czasem wręcz aroganckiego mężczyzny, otaczanego podziwem i szacunkiem, stał się niczym! Kaleką wymagającą opieki! Ale nigdy nie przypuszczałabym, że całkiem się podda, jak to chyba zrobił. Przypomniały mi się słowa Meryl, że kiedy wszystko przychodzi nam zbyt łatwo, może po prostu brak nam siły, by stawić czoło niepowodzeniom.

Jeżeli jednak Stephen mógł stać oparty na kulach, to czyż nie jest możliwe jeszcze więcej.

Pomyślałam znowu o Paulu Woolfie i o tym, w jakim stopniu naprawdę pomaga Stephenowi.

Nie mogłam się nad tym teraz zastanawiać. Obecnie liczyło się jedynie, czy poradzę sobie z tym, co miało się wydarzyć.

— Jeśli powiesz mi, gdzie, Stephenie, to pójdę jej poszukać. Nie ma sensu wołanie jej... Gdyby tu była i chciała, byśmy o tym wiedzieli, już by do nas przyszła.

Nie odpowiedział, lecz ruszył przodem po nierównej powierzchni pokrytej deskami i innymi materiałami budowlanymi. W miejscach nie porośniętych trawą i chwastami widziałam czerwoną glinę, a cały teren pełen był zdradzieckich pułapek. Stephen ostrożnie stawiał kule opierając cały ciężar ciała na zdrowej nodze i powłócząc drugą. Dobrze chociaż, że nie był sparaliżowany. Szłam obok, gotowa pomóc, gdyby coś poszło nie tak.

Phyllis A. Whitney

Po naszej lewej stronie deski przykrywały coś, co mogło być dziurą w dachu, więc Stephen obszedł to miejsce ostrożnie. Nie musiałam zadawać żadnych pytań, by wiedzieć, że to właśnie tam spadł.

Powodowana jakąś straszną fascynacją, podeszłam do desek. Jedna z nich była odsunięta, ukazując nie kończący się ciemny dół. Nagle poczułam zawrót głowy, jak gdybym to ja spadała, tak jak to się przydarzyło Stephenowi.

— Ostrożnie — odezwał się za moimi plecami i wyprostowałam się odruchowo. Teraz dostrzegłam drabinę, sięgającą z piętra poniżej aż do miejsca, gdzie stałam.

— Mogła zejść na dół po tej drabinie — powiedziałam.

— Odejdź stamtąd! — rozkazał Stephen. Uklękałam przy najwyższym szczeblu, nie zwracając na niego uwagi, i zawołałam w ciemność:

— Jilly! Jilly... jesteś tam?

Nie było żadnej odpowiedzi, ale z dołu usłyszałam delikatny szelest. Może jakieś małe zwierzątko tam się zadomowiło?

— Coś tam jest — oznajmiłam. — Może to Jilly. Nie obawiaj się... zejść na dół po drabinie.

— Jeśli spadniesz, nie będę mógł ci pomóc. Ani sobie. A tutaj nikt prędko nas nie znajdzie.

— To tutaj chciałeś przyjechać. Jesteśmy na miejscu, więc muszę spróbować. Będę ostrożna. Gdybyś mógł, sam byś tak postąpił, prawda?

Nie odpowiedział. Klęczałam przy drabinie, czując, że Stephen mi się przygląda, wściekły na swoją bezradność. Zsunęłam jedną nogę do tyłu, próbując trafić na pierwszy stopień. Był dosyć mocny, a drewno chyba nie leżało tu aż tak długo, by mogło zbutwieć. Stałam na szczebelku i ruszyłam na dół. Posuwałam się wolno,

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

166

badając dokładnie każdy stopień, zanim powierzyłam mu swój ciężar.

Otoczał mnie zapach drewna, ziemi i dzikich roślin, a po jasnym świetle słonecznym ciemność okryła mnie szczelnie jak koc. Nic już nie widząc, schodziłam ciągle w dół. Pod rękoma miałam szczeble pokryte piaskiem zmytym z góry, ale przynajmniej nie były śliskie. Przy każdym ruchu cała drabina huśtała się, przyprawiając mnie o zawroty głowy. Z pomieszczeń w dole, gdzie żadne okno nie miało szyb, wiał wiatr. Widziałam już światło pod sobą i tumany kurzu unoszone przez wiatr. Kiedy ciemność ustąpiła miejsca słabemu blaskowi odeszłam od dziury wiodącej jeszcze niżej i stanęłam na drewnianej podłodze.

— Jilly! — zawołałam ponownie. — Proszę, pomóż nam, Jilly. Twój tata mnie tu przywiózł... szukamy cię!

Z żadnego pokoju na tym piętrze nie dobiegał nawet szelest. Podłogę pokrywały liście, gałązki i ziemia. Ptasie gniazdo, uwite wiosną, ciągle jeszcze wisiało pod sufitem. Stałam niedaleko szerokiego otworu i przez okno spoglądałam na panoramę doliny Rockfish, otoczonej ze wszystkich stron górami. Ciągnęły się po niej kręte drogi, a od czasu do czasu pojawiały się także niewielkie skupiska maleńkich domków. Od patrzenia w dół, na skały, kręciło mi się w głowie, wróciłam więc do otworu i znalazłam kolejną drabinę, prowadzącą na niższe piętro.

Zanim ruszyłam na dół, krzyknęłam do Stephena:

— Wszystko w porządku. Drabiny są bezpieczne, schodzę jeszcze niżej.

Nie odpowiedział, ale miałam nadzieję, że z nim wszystko w porządku. Tym razem opuszczałam się dużo szybciej i pewniej. Tu także znajdowały się niemal wykończone pokoje i okna z widokiem na skały. Na

Phyllis A. Whitney

obu piętrach deszcz poczynił spore szkody, niedługo cały budynek ulegnie zniszczeniu. Pewnie z wyjątkiem policji od śmierci Luthera Kerstena nie było tu nikogo... realizacja projektu została wstrzymana przez sąd, może już porzucono ją na dobre, dopóki nie pojawi się nowy kupiec. „Biały Księżyc”, tak Stephen nazwał to miejsce. Czyżby beztroski refleks przeszłości? To była atrakcyjna nazwa, więc dlaczego jej nie użyć, choć oczywiście po ślubie nie można było dać takiego imienia domowi. Na górze miały się zapewne mieścić salony i pokoje gościnne, a piętro niżej — sypialnie. Tu z kolei zamierzano chyba urządzić pomieszczenia gospodarcze i pokoje do zabawy dla dzieci.

Znowu stałam cicho nasłuchując, starając się coś wyczuć... i wiedziałam, że Jilly jest tutaj, ukrywa się, wstrzymuje oddech i może ma nadzieję, że odejdę. Skierowałam się do pokoju na tyłach, wbudowanego w ścianę skalną. Kiedy moje oczy przyzwyczyły się do ciemności, dostrzegłam ją, skuloną w kącie, w którym miała się zapewne znaleźć szafa. Ubrana była w dżinsy, sweter i wełnianą kamizelkę. Włosy miała splecione w długie warkocze, głowę oparła na kolanach, wokół których zaciskała ramiona. Musiała mnie usłyszeć, ale się nie poruszyła, nawet gdy stanęłam tuż obok niej. Na podłodze leżał ogryzek i resztki kanapki zawinięte w papier.

— Witaj, Jilly — powiedziałam łagodnie. — Jak ci się udało tu dostać?

Nie uniosła głowy.

— Jakaś kobieta mnie podwiozła, a potem wspięłam się na tę górę.

— Jak długo chcesz tu siedzieć? — ciągnęłam, jak byśmy prowadziły grzecznościową rozmowę.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

173

Aż się skurczyła.

— Odejdź stąd! Zostaw mnie!

Zatrzymałam się tuż za drzwiami, usiadłam po turecku na podłodze i przez kilka minut trwałam w milczeniu. Pamiętałam zasadę, jaką przyjął w pracy z dziećmi jeszcze wiele lat temu. „Dawaj tylko miłość”. Chciałam, by moje uczucie do Jilly mnie rozgrzało, a także, by to ciepło dotarło do niej bez użycia słów.

Chyba ciekawość zwyciężyła, bo w chwilę później podniosła głowę i spojrzała na mnie.

— Mogę poczekać — zapewniłam ją. — Nie śpieszy mi się. A twój tata poczeka na nas na górze. Jeśli musisz coś tu zrobić, Jilly, to może mogłabym ci w tym pomóc.

— Nikt mi nie może pomóc! — Podbródek jej zadrżał, a potem zaczęła się wpatrywać w przestrzeń.

— Przypomniałaś coś sobie? — zapytałam. — Chciałabyś mi o tym opowiedzieć?

Znowu ukryła głowę w kolanach i wszystko, co mogłam dostrzec, to wełniana czapka z czarnym reniferem biegnącym po czerwono-zielonym tle.

Spróbowałam jeszcze raz.

— Czasami rozmowa o tym, co nas przeraża, może pomóc, Jilly. Kiedy mamy z kim porozmawiać, nie czujemy się tak osamotnieni.

— Ja się nie boję. — Jej słowa były stłumione.

— To dobrze. Zazdroszczę ci. Bo ja się strasznie boję. Właśnie teraz.

Spojrzała na mnie podejrzliwie.

— Czego?

— W tym właśnie problem... nie wiem. Czasem mam uczucie, że obserwuje mnie coś, czego nie mogę zobaczyć. Przerażająca sprawa.



Phyllis A. Whitney

Wpatrywała się teraz we mnie, jakby coś było nie tak, a jej następne słowa mnie zaskoczyły.

— Czasami widzę wokół ciebie, Lynn, błyszczące czerwone światło. Jeżeli jest jasne i czyste, to dobrze. Oznacza wtedy odwagę i nadzieję. Ale czasem nabiera ciemniejszego koloru z powodu jakiegoś zła... uczuć, które mogą ci zagrozić.

— Julian mi powiedział, że dostrzegasz aury.

— Dał mi o nich książkę, więc wiem, co oznaczają.

— To bardzo ciekawe. Jilly, czy znasz kogoś, kto miałby wokół siebie złą aurę?

— Czasami Carla, ale staram się na nią nie patrzeć zbyt często. Lynn, jeżeli coś cię niepokoi, porozmawiaj z wujkiem Julianem. Może będzie mógł coś na to poradzić.

— Ale nie jest w stanie nic poradzić na to, co ciebie przeraża, prawda?

— Nikt nie może nic na to poradzić. Podskoczyła nagle i zbliżyła się do miejsca, gdzie przez puste okno w ścianie skalnej wiał wiatr. Ruszyłam za dziewczynką, gotowa odciągnąć ją do tyłu, gdyby podeszła za blisko.

— To stąd spadł Luther — powiedziała patrząc w przestrzeń nad parapetem. — Spadł ze szczytu aż do połowy góry, dokładnie na wprost tego okna.

— Widziałaś, jak spadał, Jilly? Cofnęła się, marszcząc czoło.

— Chyba nie. Chyba naprawdę nie widziałam jego upadku... chociaż cały czas mam to przed oczami. Spada jak szmaciana lalka, spada i spada! Ale to tylko w mojej wyobraźni. Możliwe, że uderzył mnie, zanim zleciał, więc nic nie widziałam.

— Dlaczego Luther miałby to zrobić?

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

170

— Bo widziałam, jak próbował uderzyć mojego tatę, i musiałam go powstrzymać.

Ostrożnie zadałam następane pytanie:

— Gdzie był twój tata, gdy to się wydarzyło?

— Nie jestem pewna, wszystko mi się miesza. Niby widzę wypadek Luthera, ale wiem, że to nie tak. Bardzo długo nic nie mogłam sobie przypomnieć. Tak, jakbym była zbyt przerażona, aby zapamiętać cokolwiek.

— To dlatego tu dzisiaj przyszłaś, Jilly? Żeby sprawdzić, czy czegoś sobie nie przypomnisz?

— To nic nie dało. To naprawdę nic nie dało!

Chciałam ją objąć, utulić, ale nie śmiałam. Schowałam zimne dłonie do kieszeni płaszcza i wyczułam turkus, który dał mi Julian. Wyciągnęłam go pod światło. Już nie był błękitny.

Jilly dostrzegła tę zmianę i szybko złapała oddech.

— Spójrz! Zrobił się zielony. Lepiej bądź ostrożna, Lynn. Kiedy niebieski turkus zmienia kolor na zielony, znaczy, że dzieje się coś złego. Z tobą lub wokół ciebie.

Wiele złego działo się ze mną i wokół mnie... niebieskozielony kamień nie musiał mi tego mówić.

— Strasznie tu zimno — powiedziałam, wrzucając turkus z powrotem do kieszeni. — Chodźmy do samochodu, ogrzejemy się. Chyba że jeszcze chcesz coś tutaj sobie przypomnieć.

— Chcę sobie przypomnieć, ale nie mogę. To nie ma sensu. Jeszcze jedno... — przerwała, jakby dokonując jakiegoś odkrycia. Potem jednak zmieniła zdanie. — Chcę tylko pomóc mojemu tacie... chcę, żeby znów był zdrowy.

Łzy napłynęły jej do oczu i szybko zamrugła powiekami. Podeszłam bliżej, objęłam ją ramieniem. Przytuliła się do mnie na chwilę, szybko jednak wyzwoliła

Phyllis A. Whitney

się z objęć, odrzucając moje wszelkie próby zbliżenia się do niej. Odtrącała je, bo bała się pokochać kogoś, kto znowu mógłby ją zranić?

— Wrócę z tobą — powiedziała, a w jej głosie wyczułam bardziej rezygnację niż zgodę.

Staralam się udać, że cieszę się z tego.

— Fajnie. Ale, Jilly, powiedziałaś, że jest coś jeszcze... Możesz mi zdradzić, co miałaś na myśli?

— Jeśli ci powiem, obiecasz, że nikomu tego nie powtórzysz?

— Tego ci nie mogę obiecać, Jilly. Czy pozwolisz mi postąpić tak, jak to uznam za stosowne?

— Nie wiem. Kiedyś byłaś żoną mojego taty, prawda?

Więc jednak na to wpadła, jak tego się spodziewałam.

— To prawda. Wyszłam za niego, gdy miałam dziewiętnaście lat.

— A potem uciekłaś i zostawiłaś go!

— Wcale tego nie chciałam. Proszę, uwierz mi, Jilly... bardzo kochałam twojego tatę. Ale to było dawno temu.

Szłyśmy w stronę drabiny, lecz dziewczynka zatrzymała się, zastanawiając się nad czymś.

— Jeśli go kochałaś, to dlaczego uciekłaś? Moja mama mówi...

— Może teraz ja coś powiem. Nie wyjechałam z własnego wyboru. Nie chciałam wyjeżdżać.

— Ale przecież nikt cię do tego nie zmuszał, prawda?

Dostrzegła coś o wiele wyraźniej, niż kiedykolwiek pozwoliła mi na to urażona duma i nienawiść, która mną zawładnęła. Wtedy nie było we mnie ani miłości, ani chęci wybaczenia. Nie wiedziałam, co mam odpo-

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

177

wiedzieć. Byłam taka pewna, że Stephen chciał, abym wyjechała. Wydawał się taki zaślepiony Orianą. Nie chciałam kochać i przebaczać — wtedy nie. Stephen dostał to, czego chciał, to wszystko. Kiedy doszliśmy do drabiny, Jilly położyła mi rękę na ramieniu.

— Tata mówi, że moja mama żyje w wyimaginowanym świecie. To dlatego, że przede wszystkim jest tancerką. Może dlatego on nie chce, żebym ja też została tancerką... bo pragnie, żebym żyła w świecie rzeczywistym. Tylko że teraz już nic go nie obchodzi.

To mogła być prawda. Świat rzeczywisty wydawał się Stephenowi tak wstrętny, że starał się od niego uciekać. Aż do dzisiaj.

— Twój tata mnie tu przywiózł — przypominałam jej. — Martwił się o ciebie i wiedział, gdzie cię może znaleźć.

— No dobrze... powiem ci — zdecydowała nagle. — Tego dnia był jeszcze ktoś na Białym Księżycu. Luther, mój tata i ja. I ktoś jeszcze.

— Kto taki? — spytałam zaskoczona.

Zaczęła się wspinać po drabinie, jakby nagle przerażona własnymi słowami.

— Nie... nie pamiętam. — Weszła szybko na kolejne piętro i czekała tam na mnie. — Nie mów tego mojemu tacie, Lynn. Obiecuj!

Tyle przynajmniej mogłam przyrzec.

— Nie powiem mu. W każdym bądź razie nie teraz. Komuś trzeba będzie o tym powiedzieć, ale nie Stephenowi. Jednak kiedy weszłam na górę za Jilly, zrozumiałam, jak bardzo niebezpieczne mogło być podzielenie się tą wiadomością z kimkolwiek. Musiałabym zdobyć całkowitą pewność, że nie jest to akurat ta osoba, której imienia Jilly nie chciała wyjawiać, a która była

178

Phyllis A. Whitney

odpowiedzialna za to, co wydarzyło się tego dnia. Albo przynajmniej, która widziała, co się wydarzyło. Znałam tylko jedną osobę, której mogłam zaufać... Julian. Wprawdzie nie zawsze można było na niego liczyć podejmując jakieś decyzje, ale mógł mi doradzić, a może i pomóc wydobyć od Jilly to, co musieliśmy wiedzieć.

Możliwe, że wiedział, dlaczego ukrywa ona tożsamość czwartej osoby, która tego fatalnego dnia była na Białym Księżycu.

Kiedy wdrapałyśmy się na górę, oślepiło mnie słońce pięknego letniego dnia. Przez chwilę stałyśmy obie, mrużąc oczy. Stephen wrócił do samochodu i siedział bokiem na przednim siedzeniu, opierając stopy na ziemi. Kule stały obok niego.

Twarz miał bladą i wykrzywioną. Wiedziałaam, że to miejsce przypomina mu wszystko, co utracił. Czekaając na nas miał wystarczająco dużo czasu, by na nowo przeżyć tamte sprawy. Rozchmurzył się jednak trochę, gdy zobaczył Jilly.

— Jak dobrze, że cię znaleźliśmy — powiedział łagodnie, wyciągając rękę w stronę córki.

Obyło się bez wymówek, ale i bez ciepłego powitania. Jilly podeszła do ojca z typową dla siebie spokojną godnością i spojrzała na niego poważnie.

Nie był w stanie odgadnąć, o co pytała. Opuścił rękę, której zdawała się nie dostrzegać, i powiedział do mnie krótko:

— Jedźmy już.

Obiema rękoma uniósł prawą nogę i wciągnął ją do samochodu. Jilly bez słowa wzięła kule, ułożyła je na tylnym siedzeniu i usiadła obok.

Siedząc za kierownicą poczułam ogromną niechęć

Phyllis A. Whitney

do natychmiastowego powrotu do domu Stephena, gdzie oczekiwały nas najprzeróżniejsze nieprzyjemności.

— Już prawie pora lunchu — powiedziałam. — Może jest tu jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy coś zjeść, zanim wrócimy?

Jilly ożyła.

— Moglibyśmy, tatusiu? Wzięłam ze sobą kanapkę, ale nie byłam zbyt głodna. Teraz jestem.

— W porządku — zgodził się niechętnie. — Skrećimy w dolinę. Pokażę ci, gdzie, Lynn.

Zjechaliśmy na dół. Wzdłuż drogi płynęła rzeka Rockfish, szemrzając na skałach pobłyskujących w słońcu. Woda sięgała trochę za wysoko do brzegów. Po drugiej stronie widać było złote pola, na których zaczęły się żniwa, i poustawiane już stogi siana na paszę. Aż do gór ziemia była zielona, ani śladu nadchodzącej zimy. Stephen wskazał mi boczną drogę, a drogowskazy doprowadziły nas do „Gospody pod Jaskółczym Gniazdem”.

Kiedyś ten duży dom był zamieszkany. Zbudowano go bez jednolitego planu, a jego najstarsza część powstała jakieś sto lat temu. Weranda z czworokątnymi, białymi kolumnami, charakterystycznymi dla Południa, i półkolistym oknem nad drzwiami. Na szczęście było tylko kilka schodków i Stephen poradził sobie bez niczyjej pomocy, chociaż Jilly cały czas szła u boku ojca, obserwując go uważnie. Wystrój wewnętrzny też się niewiele zmienił, więc kilka małych jadalni zachowało kameralny charakter. Kelnerka zaprowadziła nas do pokoiku, w którym były tylko cztery stoły, wszystkie wolne z powodu wczesnej pory. Usiadłam tak, by móc widzieć w oddali góry, których kolory z każdym dniem stawały się coraz intensywniejsze.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

176

Na ścianach oklejonych niebieską tapetą w malutkie gałązki wisiały bukiety suszonych polnych kwiatów. Wysoko na półce stały porcelanowe chińskie talerze i błękitna ceramika holenderska, jakieś prywatne zbiory. W kominku leżały szczapy drewna, gotowe do podpalenia, gdyby się ochłodziło. Otoczenie było pogodne, przytulne i miłe. Wszystko sprzyjało radosnemu, odprężającemu posiłkowi... z wyjątkiem nas trojga. Sztywni i zażenowani, rzadko spoglądaliśmy na siebie. Ojciec i córka odnosili się do mnie podejrzliwie i nie wiedziałam, jak powinnam się zachować.

Kiedy już zamówiliśmy prosty lunch, poszłam zadzwonić do Juliana, by mu powiedzieć, że odnaleźliśmy Jilly i że przyjedziemy do domu trochę później. Chciał jeszcze o coś zapytać, ale odłożyłam słuchawkę i wróciłam do stołu.

Stephen i Jilly nie rozmawiali ze sobą; oboje mieli tak poważne miny, że zrozumiałam, iż ten wspólny lunch to nie był dobry pomysł. Gdy kelnerka przyniosła gorące bułeczki i wiejskie masło w małych pojemnicz-kach, Jilly natychmiast zajęła się jedzeniem, lecz ani Stephen, ani ja nie czuliśmy głodu. Nie było o czym rozmawiać, więc zaczęłam skubać swoją sałatkę, nie bardzo mając na nią ochotę. Dopiero Jilly, zaspokoiwszy pierwszy głód, przerwała tę grobową ciszę.

— Myślisz pewnie, że powinieneś mnie zbesztać — odezwała się do ojca — ale nie musisz, bo tak naprawdę wcale nie jestem twoją córką.

To momentalnie przykuło jego uwagę.

— Czy możesz wyrażać się jaśniej?

— Och, nie chodzi mi wcale o to, że nie jesteście z mamą moimi rodzicami. — Sprawiała wrażenie zadowolonej z wyrazu zaskoczenia na jego twarzy. — Po



Phyllis A. Whitney

prostu przede wszystkim należę do wujka Juliana. Wiesz, że właściwie jestem jego dzieckiem. Amber umarła, ale odrodziła się we mnie. On mi to powiedział.

Stephen spojrział na mnie obojętnym wzrokiem.

— Reinkarnacja — wyjaśniłam mu poważnie. — Ale nie przejmuj się tym. Jeśli Amber wróciła, to pewnie cieszy się, że w tym życiu może być twoją córeczką. Zgadzasz się ze mną, Jilly?

Stephen podjął ten temat.

— Mam nadzieję, że to prawda. Co o tym sądzisz, Jilly?

Może po prostu odgrywała się — odgrywała się na ojcu za brak zainteresowania swoją osobą. Odważymnia jego spojrzenie, a ja dostrzegłam pewne podobieństwo między nimi, choć bródka Jilly bardziej zaokrągliła się od uporu.

— Wcale nie czuję się jak Amber, tatusiu. Czuję się jak ja.

— Więc wszystko w porządku — powiedział. — Wujek Julian będzie musiał po prostu poczekać na swoją kolej w przyszłym życiu.

Dziewczynka poczuła się odprężona.

— Kiedy mama wraca?

— Nie jestem pewien. Dzwoniła kilka dni temu, ale Paul z nią rozmawiał, bo ja byłem na tarasie. Ma dużo pracy przy swoim filmie, robią dokrętki kilku ostatnich scen. Przecież dostałaś od niej list.

— Nie było w nim wiele. Ma nadzieję, że to będzie dobry film, ale chwilami reżyseria jest kiepska.

Ludzie w Kalifornii nie potrafią zrozumieć jej tańca.

— Mogę sobie wyobrazić — stwierdził Stephen. Cała moja złość na Oriane gotowa była wybuchnąć, czułam się jak w pułapce, zmuszona do przysłuchiwania

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

183

się tej rozmowie. W jaki sposób mam puścić w niepamięć stare żale?

Kelnerka przyniosła omlet, a ja spojrzałam na niego z niechęcią. Stephen i Jilly zdecydowali się na rybę. Dobrze, że chociaż Jilly była głodna.

Zaczęłam jeść, zastanawiając się, co będę robić po powrocie do domu. Opowiem Julianowi o wszystkim, co się wydarzyło i co potem? Czy będzie próbował dowiedzieć się czegoś więcej na temat prawdziwego przebiegu zdarzeń na Białym Księżycu? Byłam pewna, że dopóki cała prawda nie wyjdzie na jaw, Jilly i Stephen nie zazną spokoju.

Ulżyło nam, gdy wreszcie mogliśmy zakończyć tę niezręczną sytuację, do której doprowadziłam i z którą nie umiałam sobie poradzić. Ruszyliśmy do domu nie rozmawiając ze sobą. Jilly drzemała na tylnym siedzeniu.

A jednak musiałam przesunąć trochę zaplanowaną rozmowę z Julianem. Kiedy dotarliśmy na miejsce, ani Paula, ani Emory nie było, więc wysłałam Jilly, aby poszukała kogoś, kto mógłby zająć się Stephenem. Ten wcale nie zamierzał czekać na wózek. Gdy podałam mu kule, natychmiast wysiadł z samochodu i zaczął wchodzić<sup>1</sup> górę. Poszłam za nim starając się nie narzucać ze swoją pomocą. Gdy zbliżaliśmy się do pokoju Stephena, Paul wyszedł z wózkiem.

— Znowu będziesz chory — powiedział do swego podopiecznego. — Jesteś wykończony.

Spojrzał na mnie z dezaprobatą, a ponieważ nie podobało mi się jego zachowanie, podążyłam za nimi do salonu.

— Chcę go teraz położyć do łóżka — zdecydował Paul.

Byłam wściekła i uparta, ale nie zamierzałam pójść

Phyllis A. Whitney

po linii najmniejszego oporu i rozmawiać z Paulem tak, jakby Stephena tu wcale nie było. Nie chciałam okazywać złości.

— Chcesz iść do łóżka, Stephenie? — zapytałam. Ten spojrzał na mnie zdziwiony.

— Posiedzę trochę na powietrzu — powiedział do Paula. — Poradzę sobie, nie potrzebuję opieki.

Pielęgniarz obrzucił nas ironicznym wzrokiem.

— Niech i tak będzie. Właśnie powiedziałem Julianowi, że za dwa tygodnie wyjeżdżam. On może to przekazać Everettowi.

Nie wiedziałam, czy ta wiadomość zmartwiła Stephena czy nie. Odezwał się dosyć spokojnie:

— Dlaczego robisz to teraz, Paul?

— Nie ma ze mnie wielkiego pożytku, jeśli nikt mnie nie słucha. — Paul spojrzał na mnie krytycznie.

— Od kiedy ona przyjechała, wszystko się zmieniło.

Stephen znowu zaczął spokojnie mówić:

— Wiele ci zawdzięczam, Paul, i doceniam twoją opiekę nade mną po wypadku. Ale teraz już mogę sam więcej zrobić, więc może udałoby się ułożyć to jakoś prościej. Na razie Emory da sobie doskonale radę.

— Jasne — przytaknął Paul.

Był odprężony i jednocześnie zaskoczony tym, że tak łatwo pogodzono się z jego odejściem.

Zastanawiałam się, ile wspólnego miała jego decyzja z tym, co Vivian i ja odkryłyśmy na

Oleandrowej Farmie. Paul zapewne woli zniknąć stąd, zanim jakieś plotki dotrą do Everetta Asche.

Stephen skierował wózek w stronę tarasu, a ja poszłam na górę poszukać Juliana. Czułam się fatalnie.

Mając do czynienia z moimi małymi pacjentami, wiedziałam doskonale, że niezależnie od tego, jak bardzo się o nich troszczę i współczuję im, nie mogę się za bar-

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

185

dzo angażować w to wszystko emocjonalnie, bo doprowadziłabym do samozniszczenia.

W tym przypadku rozpaczliwie zajmowałam się Jilly i Stephenem. Ale nie będę w stanie nikomu pomóc, jeżeli najpierw nie pomogę samej sobie. Wyjazd Paula mógł przynieść Stephenowi wiele pożytku i przypuszczałam, że lepiej da sobie radę bez niego. Jednak dopóki nie rozwiążemy problemów męczących Stephena i Jilly, żadne z nich nie zazna spokoju. Ja także nie... Czułam się jak w pułapce.

Znalazłam Juliana w gabinecie. Na stole miał rozłożony rękopis, kartka włożona do maszyny była do połowy zapisana. Gdy weszłam, Jilly siedziała na rogu stołu i mówiła do niego:

— Nie czuję się jak Amber — wyjaśniała z nieszczęśliwą miną. — Skąd mogę wiedzieć, że jestem właśnie nią?

— Po prostu bądź sobą — uspokoił ją Julian. — Nie zawsze pamiętamy, kim byliśmy w poprzednim życiu. Ja pewnie też bym tego nie wiedział, gdyby mi nie powiedziano.

Jilly nie zaprotestowała, nie spytała też, kto mu to powiedział. Na mój widok zsunęła się ze stołu i ruszyła w stronę drzwi. Spojrzała na mnie przelotnie, a w jej wzroku czała się zarazem nadzieja i nieufność. Najwyraźniej nie miała ochoty słuchać tego, o czym zamierzam rozmawiać z Julianem.

— Poszukam Carli — oznajmiła i wybiegła z pokoju.

— Usiądź, Lynn — poprosił Julian. — Jilly opowiedziała mi, jak ją znalazłaś, ale wydaje mi się, że ona coś ukrywa. Vivian pojechała na farmę zobaczyć się z Meryl, powinna wrócić lada moment.

Będzie chciała

Phyllis A. Whitney

usłyszeć o wszystkim. Dzwoniłem do niej zaraz po rozmowie z tobą.

Do tej pory koniecznie chciałam porozmawiać z Julianem i poprosić go o radę. Teraz jednak, gdy wpatrywał się zamyślony w obcą mi przestrzeń, żałowałam, że nie mam jego zdolności odrywania się od kłopotów, i zastanawiałam się, ile powinnam mu powiedzieć.

Jak zwykle wyczuł moje wahanie.

— Proście — powiedział łagodnie — a będzie wam dane. Ale możesz otrzymać wszystko, o co poprosisz, więc dobrze się zastanów nad swoim wyborem.

— Julianie — zaczęłam — o co ty prosisz teraz, gdy Everett ogłosił już swoje ultimatum?

— Mam nadzieję, że jakoś uda nam się zostać tutaj, ale chcę tego, co będzie najlepsze dla wszystkich, a czasem nie da się przewidzieć ostatecznego rozwiązania. Mogę tylko ufać, że dobrem okaże się to, co teraz wydaje się nieszczęściem.

Nie mogłabym pozwolić sobie na taką bierność. Wyjście jest chyba proste... walka? Nie czułam się jeszcze do niej przygotowana.

Sięgnęłam do kieszeni i wyjęłam podarowany przez Juliana turkus. Ciągle jeszcze był bardziej zielony niż niebieski. Podałam kamień Forsterowi.

Obracał go z zaciekawieniem w długich palcach.

— Są problemy, którym będziesz musiała sprostać, Lynn.

— Sama o tym wiem.

— Ciekawe, że kamień to potwierdza. Potrzymam go chwilę, to ci go oczyszczę.

— Jak uważasz — odparłam, a Julian uśmiechnął się do mnie życzliwie.

— Nie martwi mnie to, o czym teraz myślisz, Lynn.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

187

Żałuję, że nie we wszystko wierzysz, ale to się zmieni. Wkrótce doświadczymy wielu zmian.

— Co sądzisz o wyjeździe Paula? — zapytałam.

— Z pewnością to krok we właściwym kierunku.

— Czy Jilly powiedziała ci, że podzieliła się ze Stephenem swoją wiarą w reinkarnację?

— Domyśliłem się tego. Bardzo był zły?

— Chyba nie przejął się tym wszystkim, chciał tylko uspokoić małą.

— To nie ma znaczenia, Lynn. Cały ten otaczający nas miszmasz, nazywany rzeczywistością, nie ma żadnego znaczenia. To tylko czas snu... wewnętrzne głosy, to wszystko.

— W takim razie, dlaczego tak nalegałeś, by mnie tu sprowadzić, jeśli uważasz, że to tylko sen?

Potrząsnął smutno głową.

— Chyba popełniłem błąd, prosząc cię, żebyś przyjechała. Sam dałem się wciągnąć w te głupie wydarzenia.

Zaczynał mnie irytować.

— Nie mogę się zgodzić z taką filozofią! Nie usiądę na szczycie góry i nie będę kontemplować swojego pępka, bo wszystko wokół mnie jest nierzeczywiste. Nasze życie ma jakiś cel. Nie wiem, jaki jest w moim przypadku, ale próbuję to odkryć.

Julian wzdrygnął się, jakby zrzucał coś z siebie i uśmiechnął się ciepło.

— W porządku, Lynn. Zejdę z tej góry, chociaż lubię jej ciszę. Musimy żyć z tym, co uważamy za rzeczywistość. Czy możesz mi powiedzieć, co wyjawiała ci Jilly?

Właściwie przyszłam, żeby mu wszystko powiedzieć, ale teraz już nie byłam taka pewna, czy to mogłoby w czymś pomóc. Uratował mnie odgłos nadjeżdżające-

Phyllis A. Whitney

188

go samochodu, a chwilę później Vivian i Meryl wbiegły korytarzem do gabinetu Juliana.

Vivian podeszła ucałować męża, jakby wróciła z dalekiej podróży, a Meryl osunęła się na krzesło, wyglądając na rozdrażnioną.

— Julian dzwonił, że znalazłaś Jilly — powiedziała do mnie. — Opowiedz nam o tym.

— Znaleźliśmy ją na Białym Księżycu. — Oczekiwałam jakichś niekontrolowanych reakcji, lecz dostrzegłam jedynie zaskoczenie.

Wyjaśniłam im, co się wydarzyło i jak znalazłam Jilly ukrytą w pokoju głęboko pod ziemią. Słuchali mnie uważnie, Meryl i Vivian w napięciu, za to Julian wydawał się odprężony, choć nie byłam tego taka pewna. Znowu obracał w palcach te swoje magiczne kamyki. Dobrzełam do końca, starając się bacznie obserwować całą trójkę. Zwracałam uwagę na wszystko, co mogli mi przekazać, a co pozwoliłoby mi wybrać któreś z nich.

Zdaje się, że był najwyższy czas dorzucić do tej gry własne zabawki. Obiecałam Jilly, że nie powiem jej ojcu o „czwartej osobie”, ale nic więcej. Lecz teraz chyba powinnam się postarać wykurzyć tego kogoś z ukrycia — jeśli ta osoba była w tym pokoju albo jeśli ktoś z tej trójki wiedział, kto był tam tego dnia.

— Zanim weszliśmy na górę po drabinie — zaczęłam cicho — Jilly zdradziła mi pewną tajemnicę. Powiedziała, że w dniu śmierci Luthera i wypadku Stephena na Białym Księżycu był ktoś jeszcze. Ale gdy próbowałam dowiedzieć się, kto, bardzo posmutniała i nie śmiałam jej wypytywać. Może tobie to powie, Julianie.

Meryl i Vivian wpatrywały się we mnie, Julian zamknął oczy.

Pierwsza odezwała się Vivian:

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

189

— Czy to mogła być Carla? To zdjęcie Luthera w jej pokoju musi coś oznaczać. Możliwe, że poszła z nim tego dnia.

Julian przemówił, nie otwierając oczu.

— Czy szukamy kogoś, kto zepchnął Luthera ze skały, powodując jego śmierć? Do tego zmierzasz, Lynn?

— Nie wiem — odparłam bezradnie. — Ktokolwiek tam był, musiał widzieć, co się wydarzyło, ale nigdy nie wyjawiał prawdy. Dlaczego?

Julian otworzył oczy i wrzucił kamienie z powrotem do koszyka.

— Jeśli prawda nie pomoże Stephenowi, to może lepiej jej nie znać. Może jeszcze ktoś, oprócz Jilly, go ochrania. Czy naprawdę musimy to dalej ciągnąć? Dlaczego nie pozwolimy Jilly zachować swojej tajemnicy?

— Może masz rację... — zaczęła Vivian, ale ja pokręciłam przecząco głową.

— Dopóki Jilly nie powie komuś, co ją niepokoi, wszystko będzie się zmieniać jedynie na gorsze.

— Może jest jeszcze jakieś wyjście — odezwała się Meryl. — Musimy wyciągnąć Jilly z atmosfery, która ją przytłacza. Nie jestem pewna, czy ty jej możesz w czymkolwiek pomóc, Julianie, zaśmiecając jej głowę tymi wszystkimi bzdurami, których nie jest w stanie zrozumieć. Rozmawialiśmy o tym z Viv. Zaproponowałam, że zabiorę małą do Charlottesville na jakiś czas.

— Wydaje mi się, że to dobry pomysł — dodała Vivian, oczekując jak zwykle na aprobatę męża. Ja wcale nie byłam tym zachwycona.

— To chyba nie jest właściwy moment, by zabierać stąd Jilly. Nie teraz, gdy znowu zaczyna nawiązywać kontakt z ojcem. Jeżeli Stephen da jakikolwiek znak powrotu do życia, Jilly może być jego najsilniejszą



Phyllis A. Whitney

podporą. A jej uzdrowienie zależy od stanu zdrowia jej ojca.

Wszyscy troje spojrzeli na mnie, jakbym powiedziała jakąś straszną bzdurę. Ale oni przecież nie widzieli wysiłku, jaki Stephen podjął tego ranka, fizycznego i emocjonalnego. Spróbowałam więc trochę inaczej.

— Meryl, co powie twój mąż, jak zabierzesz do siebie Jilly? — zapytałam.

— Och, nie spodoba mu się to — zezłościła się. — Ale mamy duży dom i dziewczynka przez większość czasu będzie poza zasięgiem wzroku Everetta. Wytrzyma z nią przez kilka tygodni. A ja zapewnię jej jakieś rozrywki.

Było tak, jakbyśmy z Vivian nigdy nie widziały Paula na farmie... Meryl zachowywała się zupełnie beztrosko i niewinnie. Czyżby wyjaśniła Vivian, że miała coś na swoje usprawiedliwienie? Obie kobiety były ze sobą znacznie bardziej zaprzyjaźnione niż kiedyś.

Po raz kolejny Carla przestraszyła nas swoim nagłym pojawieniem się w drzwiach. Wygląd miała niemal dziki, w ręce trzymała srebrną ramkę. To było zdjęcie Luthera Kerstena, choć trudno by go rozpoznać z powodu zamaszystych cięć, jakie widniały na twarzy. Ktoś pociął fotografię ostrym narzędziem.

— Wiecie, kto to zrobił! — zawołała Carla. — Jilly, oczywiście. Trzeba ją wreszcie ukarać!

Zaskoczyła mnie nikczemność tego czynu. Jeżeli Jilly posunęła się aż tak daleko, może potrzebować znacznie większej pomocy, niż ktokolwiek z nas mógłby jej zapewnić. Albo że ta wizyta w Charlottesville mogłaby ją uleczyć. To coś więcej niż zwykła psota.

Meryl wyjęła zdjęcie z trzęsących się rąk Carli i obejrzała je dokładnie.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

191

— To nie Jilly — zawyrokowała. — Do tego potrzeba siły większej niż dziecięca. Zobacz, jak głębokie są te cięcia... sięgają aż tyłu ramki.

— Więc kto? — krzyknęła przeraźliwie Carla, wyrywając jej fotografię.

Meryl wzruszyła ramionami, a Vivian i Julian potrzęsnęli przerażeni głowami.

— Porozmawiam z Orianą — obwieściła Carla, odwracając ramkę i przyciskając ją mocno do siebie.

— Będzie tu wkrótce. Wie już, że wszystko wymknęło się spod kontroli i że jest tu potrzebna.

Powiedziałam jej, że Lynn zajmuje się teraz Jilly, i chyba to przesądziło

o jej przyjeździe.

Cała moja energia spadła na sam dół drabiny, której dotychczas kurczowo się trzymałam. Oczywiście, Jilly

Stephen potrzebowali Oriany, a ja powinnam czuć ulgę z powodu jej przyjazdu. Uwolnię się wreszcie od całej odpowiedzialności. Mój zamiar odkrycia czegoś, co nazywałam „prawdą”, był wart tyle, co powietrze w przekłutym baloniku.

Julian przyglądał mi się w zamyśleniu.

— Nie podejmuj pochopnych decyzji, Lynn. Najpierw porozmawiajmy. Carlo, spróbuję się czegoś dowiedzieć na ten temat.

Zniknęła z szelestem szafranowej spódnicy, zabierając ze sobą zdjęcie.

— Żałuję, że Luther w ogóle poznał Larry'ego Asche — westchnął Julian.

Meryl wykrzywiła się przedrzeźniając go.

— Przypuszczam, że w innym wcieleniu był on ojcem Larry'ego.

Potem ziewnęła, przeciągając się i prostując napięte mięśnie. Czasami ta kobieta przypominała mi obłaskawionego kota.

Phyllis A. Whitney

— Nie smuć się, Lynn — powiedziała. — Nie zdziwiłabym się, gdyby to Carla sama pocięła zdjęcie Luthera. Nie darowałabym jej próby obwinienia o to kogokolwiek. Wiedziała, że miał jeszcze inne kobiety. Wszyscy wiedzieli. Była z niego niezła kanalia, ale Stephen odkrył to zbyt późno. Lecz Everetta to oczywiście nie interesowało, bo podpisał wspaniały kontrakt.

Vivian była zszokowana, ale Julian pogładził żonę odruchowo po ręce, ciągle mi się przyglądając.

— Oriana przyfrunie — stwierdził. — Rozejrzy się i dojdzie do wniosku, że jej delikatna natura nie będzie w stanie tego znieść. A potem znowu zniknie. Nie uciekaj, Lynn. Jilly cię potrzebuje.

— Nie jestem pewna, czy tym razem też tak szybko odleci — powiedziała Meryl. — Nie, kiedy Lynn jest tutaj. Może właśnie takie małżeństwo najbardziej odpowiada Orianie: bez żadnych żądań. Nie będzie chciała rozniecać dawnego żaru.

— Nie ma żadnego dawnego żaru, który można by rozniecić — zapewniłam ją ostro.

Uśmiech Meryl wyrażał niedowierzenie.

— Tak czy inaczej, czas zabrać Jilly z tego domu... zanim przyjedzie jej matka.

— Dlaczego tego chcesz? — zapytałam.

— Oriana jest ostatnią osobą, która może pomóc Jilly. Niech najpierw zajmie się wyjazdem Paula i kilkoma innymi sprawami. Everett uważa, że nie można zostawić tego miejsca w obecnym stanie. Jest parę problemów finansowych, o których Stephen nie ma pojęcia. Wszystko się pozmienia. Dlatego zabiorę stąd Jilly. Może to sprowadzi Oriane z powrotem na ziemię.

Vivian, słuchając tego wszystkiego, sprawiała wrażenie, jakby za chwilę miała się znowu rozpłakać.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

193

Mąż objął ją ramieniem. Może to właśnie ma być dla mnie sygnałem do opuszczenia Wirginii, wbrew temu, co twierdził Julian. Ale zanim to nastąpi, chciałam jeszcze raz porozmawiać z Jilly.

Wyszłam z pokoju i zaczęłam jej szukać. Lecz chociaż przetrząsnęłam cały dom, nie znalazłam małej, dopóki nie wróciłam do swojego pokoju. Siedziała na krześle, słuchając jednej z moich kaset. Stałam przez chwilę w drzwiach, przyglądając się dziewczynce.

Miała zamknięte oczy i ramiona złożone na piersiach. Kołysała się w rytm muzyki, zapewne tańcząc w wyobraźni.

— Cześć, Jilly — przemówiłam łagodnie, by jej nie przestraszyć. — Szukałam cię. Powinnam była zacząć tutaj.

Otworzyła oczy i uśmiechnęła się do mnie — radosnym uśmiechem, który rozgrzał mi serce. Taki uśmiech widywałam już wcześniej, kiedy dziecko zaczynało mnie akceptować i ufać mi.

Najwyraźniej przewyciężyła dawne wątpliwości. Na razie nie chciałam jej nic mówić o przyjeździe Oriany. Niech to będzie czas tylko dla Jilly i dla mnie.

— Kupiłam ci prezent, kiedy byliśmy w Charlottesville \_ powiedziałam. — Chciałabym ci go teraz dać.

Była bardzo podekscytowana, kiedy wręczyłam jej książkę o słynnych tancerzach. Odezwała się, trochę spłoszona:

— Dziękuję, Lynn. Bardzo się cieszę! Ale najpierw... zanim ją obejrzę... czekałam na ciebie, bo chciałam ci pokazać pewne miejsce. Chodzę tam czasami. Może tobie też się spodoba.

— Oczywiście, że chcę je zobaczyć — odparłam natychmiast. To było prawdziwe zaufanie.

Phyllis A. Whitney

— Wyjdziemy na dwór — powiedziała. — Może być wiatr, więc zabierz płaszcz.

Kiedy mijałyśmy gabinet Juliana, zajrzała tam. Czuła się w obowiązku poinformować go, że idzie ze mną na spacer. Julian siedział sam i uśmiechnął się do nas z aprobatą. Ale kiedy doszliśmy do mostu wiodącego z tarasu na zbocze góry, czekała tam już na nas Carla, niezadowolona jak zwykle.

— Nie teraz — ostrzegłam ją. — Proszę, nie teraz. Przepuściła nas, nie pokazując dziecku pociętego zdjęcia Luthera.

— Czy słyszałaś o Śpiewających Skałach? — zapytała Jilly, gdy wchodziłyśmy na mostek.

Była coraz bardziej podniecona, a ja poczułam się trochę dziwnie. A jednak miałam spędzić z nią ten czas — może już po raz ostatni? Mogłam jedynie mieć nadzieję.

— Słyszałam, jak śpiewają — odparłam. Spojrzała na mnie, a jej oczy zabłyśły.

— Może i dzisiaj zaśpiewają dla nas, Lynn. Pośpieszmy się!

## 12

Z mostu wspięłyśmy się na ścieżkę, którą za pierwszym razem dotarłam do tego domu. To tutaj zobaczyłam Jilly siedzącą na kamieniu i przyglądającą mi się — stąd tak szybko zniknęła.

Ścieżka wiodła grzbietem góry i zakreślała koło lasu, który momentalnie ukrył ją tamtego dnia.

Popołudniowe słońce zaglądało w konary dębów, a rzadkie liście przepuszczały na naszą dróżkę promienie żółtego światła. Z jednej strony naszego wzgórza rozciągała się dolina Rockfish, sięgająca aż do Blue Ridge. Na otwartej przestrzeni wiał silny wiatr, unosząc wokół nas kolorowe liście.

— Opowiedz mi o Śpiewających Skałach — zaproponowałam, podążając za Jilly do miejsca, gdzie stok obniżał się ku przepaści.

— Sama je zobaczysz.

Była pochłonięta własnymi sprawami. Szła szybko naprzód, aż dotarła do zagajnika, gdzie gałęzie drzew zwisały do samej ziemi. Zatrzymała się i spojrzała na mnie, kładąc palec na ustach, jakby w tym dzikim, pustym miejscu ktoś mógł nas usłyszeć.

— Nigdy byś nie zgadła — odezwała się — bo droga wiję się wokół wzgórz, ale farma jest dokładnie pod nami... Oleandrowa Farma. Oczywiście mój pra-pra-

Phyllis A. Whitney 196

dziadek nigdy o niej tak nie mówił. To ciocia Meryl wymyśliła tę nazwę. Z wyjątkiem wujka Juliana tylko mój tata wie, co jest tu, na górze — szepnęła. — Ale taty to już wcale nie obchodzi. Uważaj na głowę, Lynn.

Uniosła giętkie gałęzie, pochyliła się i podtrzymała je, bym mogła przejść. Kiedy opadły, okazało się, że znajdowałyśmy się na małej, zamkniętej przestrzeni — porośniętej trawą polanie wśród zarośli, otwartej jedynie od strony wysokiego, urwistego klifu za naszymi plecami, równie ciemnego jak ściana drzew. Było to naturalnie doskonale miejsce na kryjówkę, uwielbiane przez dzieci pokroju Jilly i strzeżone jako największy sekret.

— Nie musisz się obawiać węży — uspokoiła mnie. — Zapadają w sen zimowy, więc jeśli nie nadeptniemy na nie, wszystko będzie dobrze.

Unosząc wzrok ku górze, mogłam obserwować obłoki płynące po niebie i wierzchołki rozkołysanych wiatrem drzew. Jedynie skała tkwiła nieruchomo, jak to czyniła od wieków... ten kontrast przyprawiał o zawrót głowy.

— Usiądź, Lynn — poprosiła Jilly, wskazując mi płaski kamień w środku magicznego kręgu. — Uwielbiam tutaj przychodzić, bo jest tak cicho. Śpiewające Skały są na szczycie urwiska, a ich dźwięk słychać czasami w tych drzewach. Tutaj nikt mi nie mówi, co mam robić albo co powinnam myśleć. Nigdy nie pokazałam tego miejsca mamie, bo pewnie by się bała. Czy ty się boisz, Lynn?

— To miejsce wydaje się zaczarowane — powiedziałam cicho.

— Może. Nie zawsze jestem tego pewna. Ciocia Vivian nie lubi Skał, ale wujek Julian twierdzi, że one są święte.

Nie odzywałyśmy się, czując otaczającą nas tajemnicę. Słońce ciągle jeszcze stało wystarczająco wysoko, by

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

192

ogrzewać nas swoimi promieniami, przeświecającymi ponad wierzchołkami drzew, a w złotym świetle unosił się niebiański zapach wiecznie zielonych lasów. Za jakąś godzinę skryje się za drzewami, a wtedy to miejsce stanie się zimne i trochę zbyt tajemnicze. Pomyślałam o Jilly przychodzącej tu bez niczyjej wiedzy.

\_\_Najbardziej podoba mi się tu latem — powiedziała. — Nawet jeśli są tu węże, to chyba mnie już znają. Wujek Julian mówi, że jeśli roztoczę wokół siebie białe światło, nic mi się nie może stać. Tak jak w tej piosence, do której tańczyłam, Lynn.

To była idea, jaką zawsze chciałam przekazać dzieciom, z którymi pracowałam. Czasami, kiedy nauczyły się wierzyć i godzić ze wszystkim, stawały się coraz silniejsze, a ich ciała mogły zwalczyć wewnętrznego wroga. Medycyna dopiero zaczyna rozumieć, że jest to ogromnie potrzebne w procesie leczenia. Między innymi dlatego tak bardzo potrzebowałam wakacji, że moja własna wiara coraz bardziej słabła. Lecz chyba nigdy nie byłam na tyle silna, by nie bać się węży. Przypuszczałam, że Meryl dostałaby szału, gdyby wiedziała, dokąd poszła Jilly.

— Mój tata... przed wypadkiem... powiedział, że nie powinnam tu więcej przychodzić — wyznała mi Jilly. — Zanim nie zrobi czegoś z tym w górze. — Uniosła rękę, a ja popatrzyłam na urwisko, gdzie wielki głaz kołysał się na krawędzi. — Tata twierdzi, że deszcze podmyły ziemię i teraz kamień za bardzo się huśta. Bał się, że głaz mógłby stoczyć się na dół i wylądować dokładnie w tym miejscu.

— I zrobił coś?

Potrząsnęła głową, a ciemne warkocze uderzyły jej o ramiona.



Phyllis A. Whitney

— Nie przychodził tu od dnia wypadku, pewnie zapomniał. Ale nie mogłabym zrezygnować z mojej kryjówki, Lynn.

Z duszą na ramieniu spojrzałam na skałę balansującą na krawędzi urwiska, gotową spaść na nas w każdej chwili.

— Czy można tam się jakoś dostać? — zapytałam. — Może mogłybyśmy podkopać trochę ten gład i zrzucić go na dół?

— Może. — Nie miała co do tego pewności. Powinnam chyba przynajmniej porozmawiać z Julianem o konieczności usunięcia tego zagrożenia.

— Chcę ci pokazać mój wyjątkowy skarb, Lynn. Jilly uklękła obok sterty kamieni na brzegu polany i sięgnęła do nich ręką. Wyciągnęła drewniane pudełko owinięte w plastik. Wyjęła zamszowy woreczek przewiązany żółtym, jedwabnym sznurkiem i usiadła przede mną, trzymając go z czułością w dłoniach.

— Nawet wujek Julian o tym nie wie. Przytuliła woreczek do policzka, oczy jej rozblęły, a ja wiedziałam, że dostąpiłam wielkiego zaszczytu.

Kiedy rozwiązała żółty sznurek i otworzyła woreczek, jego zawartość wysypała się na ziemię. Była to garść oszlifowanych kamieni, takich, jakie widziałam w koszyczku u Juliana, ale te były większe i piękniejsze.

— Kupiłam je sobie — powiedziała. — W Charlottesville jest kilka sklepów z kryształami i kamieniami szlachetnymi, więc mogłam wybrać te, które mi się najbardziej podobały. Są naprawdę ładne.

— To prawda, Jilly. Powiedz mi, co ci mówią.

— Czytałam o tym, co który kamień oznacza, ale niewiele mnie to obchodzi. Wiem, że znają jakąś tajemnicę, którą mogą wyznać tylko mnie.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

199

— Który lubisz najbardziej?

— Nie jestem pewna. Czasem ten, czasem inny. Chcesz któryś?

Zastanawiałam się w skupieniu, a Jilly bacznie mnie obserwowała. W końcu wskazałam blad różowy kamień, trochę większy od pozostałych.

— To różowy kwarc, prawda? Wyglądała na zadowoloną.

— Też go uwielbiam. Cieszy serce... jak walentynka pocztówka. Ludzie będą mnie kochać. Ale to głupie, prawda? Już go nie noszę przy sobie.

— Wcale nie uważam, że to głupie. Kamienie mają chyba swą własną energię i mogą być symbolami. Czasami możemy sprawić, że stanie się to, w co wierzymy.

Słuchałam swoich słów zaskoczona. Kiedy ja sprawiłam, że stało się to, czego najbardziej pragnęłam? Zdaje się, że umiałam pomóc innym, ale nie sobie.

— Zatrzymaj go — powiedziała, podając mi kamień. — Dla ochrony.

— Ochrony?

— Bo są ludzie, którzy cię nie kochają, Lynn. Tak jak nie kochają mnie. Ludzie, których się boję. Chciałam zapytać, jakich to „ludzi” miała na myśli, ale nie wolno mi było zerwać tej nici porozumienia między nami. Wzięłam różowy kwarc i poczułam w ręce promieniowanie jego zimnej energii.

— Dziękuję, Jilly. Ale nie chciałabym uszczuplić twojej kolekcji.

— Mogę sobie kupić nowy. — Wskazała odłamek skały w kolorze turkusowym. — To sztuczny turkus, ale ty go nie potrzebujesz, bo masz prawdziwy. — Potem podniosła długi niebieski kamień z szarymi wzorkami. — Nie bardzo wiem, co to jest. Może agat, a może sodalit. Wujek Julian twierdzi, że Egipcjanie

Phyllis A. Whitney

często używali sodalitu zamiast lazurytu, bo są do siebie podobne. Ten kamień mówi mi, co mogę i co powinnam zrobić.

— A co powinnaś zrobić, Jilly?

Podniosła głowę i spojrzała mi prosto w oczy.

— Muszę sprawić, by tatuś znowu był zdrowy. Chciałam ją objąć; czułam, że łzy napływają mi do oczu. W tej chwili nie byłam już tak pewna mojej uzdrowicielskiej mocy w stosunku do Jilly. Zbyt wiele było we mnie sprzeczności — gdybym jej dotknęła, mogłaby to wyczuć.

— A może twój tata zaczyna już wracać do zdrowia. Może to właśnie ty jesteś w stanie mu teraz pomóc.

— Nie, jeśli wróci moja mama. Carla mówi, że mama przyjedzie, nie mogę się już jej doczekać. Ale tata zawsze czuje się przez nią gorzej... Wiem, że ona tego me chce. Ale kiedy mama przyjeżdża, on się zmienia.

— W jaki sposób się zmienia, Jilly?

Chmura przesłoniła słońce i nagle polanka między drzewami stała się zimnym, mrocznym i złowrogim miejscem. Jilly zasępiła się i wiedziałam, że mi nie odpowie, rozdarta między podziwem dla Oriany i bardziej przyziemną miłością do ojca.

Właśnie schowała kamienie z powrotem do woreczka, gdy dostrzegłam ruch, który nie był ani promieniem słonecznym, ani drżącą gałęzią. Wysoko nad nami przesunął się jakiś cień... w miejscu, gdzie ciemny, granitowy głaz odbijał się na tle nieba. Spojrzałam do góry, nagle wyczuwając, co miało za chwilę nastąpić, lecz nie mogłam się ruszyć.

Ku mojemu przerażeniu skała drgnęła, jakby sama przesunęła się z miejsca, na którym tkwiła. Nagle dostrzegłam wszystkie szczegóły otaczającej nas rzeczywistości... różowy kamień w mojej ręce, rozgrzany,

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

196

jakby chciał nas ostrzec i gałęzie rozkołysane siłą, która nie była wiatrem. Jilly zamarła. Potem świat eksplodował. Z wielkim grzotem i hukiem kamień oderwał się od podstawy i runął w dół. W ostatniej chwili złapałam Jilly i rzuciłyśmy się pod drzewa, uciekając ze ścieżki. Skała olbrzymich rozmiarów staczała się z urwiska, niszcząc wszystko, co napotkała po drodze, by w końcu wylądować w samym środku polanki, na której jeszcze przed chwilą siedziałyśmy. Nawet wtedy nie nastąpiła cisza. W promieniach słonecznych wydawało się, że kamień drży, rozchwiany swoim niszczącym upadkiem, wzbijając ze wszystkich stron strumienie czerwonej ziemi. Odłamki skały, które oderwały się po drodze, toczyły się teraz w ślad za blokiem, rozsypując się wśród drzew i na polanie jak żwir. Jeszcze przez chwilę po obsunięciu się skały czerwony pył unosił się w powietrzu.

Jilly leżała pode mną, czułam jej oddech na policzku. Ręce i twarze miałyśmy podrapane przez gałęzie, ale to wszystko. Jakimś cudem przeżyłyśmy... a tak łatwo mogło już nas nie być. Głaz leżał obok bezwładnie, blokując całkowicie drogę, którą tu dotarłyśmy. Gałęzie zasłaniały puste teraz miejsce w górze, na krawędzi urwiska, gdzie dotychczas znajdowała się skała. Zsunęłam się z Jilly i dziewczynka usiadła.

— Uratowałam moje kamienie! — szepnęła, jakby w pobliżu czaił się ktoś, kto mógłby to usłyszeć. Zastanawiałam się, czy przypadkiem na szczycie urwiska nie znajduje się ten ktoś, chcący sprawdzić, jak ciężkie rany odniosłyśmy... a może nawet, czy zginęłyśmy. To uczucie było tak silne, że nie mogłam się go wyzbyć. Bo przecież nie istniała żadna przyczyna, dla

Phyllis A. Whitney

której ta skała miałaby się stoczyć w tym akurat momencie.

— Wiem, jak stąd wyjść. — Jilly ciągle szeptała, może podejrzewając to samo. — Tak czy inaczej zamierzałam wyprowadzić cię stąd tamtędy.

Schowała do kieszeni kurtki woreczek z kamieniami i zniknęła pod gałęziami. Przeciskałam się za nią przez ciasną skalną szczelinę. Przede mną znajdował się czarny tunel ze słabym światłem na końcu. Czołgałyśmy się po podłożu wznoszącym się łagodnie ku górze.

— Już niedługo, potem będziemy mogli wstać — odezwała się Jilly, gdy wdrapałyśmy się do obszernej pieczary, rozbrzmiewającej echem.

Wokół nas wznosiły się gołe skały i jedynie słabe światło daleko na przodzie pokazywało wyjście z jaskini. Przez chwilę stałyśmy bez słowa w niemal kościelnej ciszy. Nagle usłyszałam dźwięk w pobliżu, niski gwizd dochodzący z szerokiej czarnej szczeliny w ścianie pieczary. Wiatr przepływał między nami i parł ku górze w stronę otwartej przestrzeni.

Jilly słuchała uśmiechnięta.

— Wujek Julian mówi, że to właśnie ten gwizd sprawia, że skały śpiewają. Wiatr wpada w rodzaj komina otwierającego się na urwisku, a potem wieje do góry, do miejsca, gdzie znajdują się skały. Nie jestem pewna, czy on ma rację.

Poszła w stronę szczeliny, unosząc rękę.

— Wiatr tutaj może być bardzo silny. Kiedyś, gdy było całkiem cicho, próbowałam przejść przez góry. Ale po chwili przejście zrobiło się zbyt wąskie, żeby się przeczołgać tamtędy, jednak udało mi się dostrzec światło na klifie. Miałam uczucie, że coś tam na mnie czeka.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

198

Przerażała mnie myśl o Jilly bawiącej się samotnie na tym odludnym miejscu, gdzie wszystko mogło się zdarzyć.

— Chcę ci pokazać Śpiewające Skały, Lynn, jeśli jesteś wystarczająco odważna.

— Co znaczy: wystarczająco odważna?

Stała obok mnie, niepozorna, lecz na swój sposób dzielna, wskazując otwór wysoko nad nami, skąd wpadało światło.

— Jedyne wyjście stąd prowadzi do góry czymś w rodzaju ścieżki wzdłuż skalnej ściany. Wujek Julian powiedział, że powstała w wyniku naturalnej erozji. Myślę jednak, że ktoś stworzył tę drogę specjalnie po to, by mogła tam stanąć ludzka stopa. Kiedy będziemy szły, nie patrz w dół, Lynn... musisz patrzeć tylko przed siebie. Wiem, jak bardzo jesteś odważna.

Sama nie byłam tego aż taka pewna. Ruszyłam za nią po czymś, co wyglądało jak wyrzeźbiona w kamieniu twarz. A jednak w skale rzeczywiście znajdowały się nacięcia, doskonale nadające się do umieszczania na nich stóp, droga była więc prosta i wystarczająco szeroka, by przejść bezpiecznie. Im wyżej się wspinałyśmy, tym bardziej przerażająca robiła się przepaść po mojej prawej stronie, lecz na lewo miałam pęknięcia w skale, których mogłam się trzymać, przywierając do ściany dla odpoczynku. Jilly szła z większą pewnością, bo lepiej знаła tę drogę, a jednak ciągle z przerażeniem myślałam, że mogła przychodzić i bawić się w tej jaskini, nie mówiąc nikomu, że tu jest.

Gwizdy wiatru towarzyszyły naszej wspinaczce; tuż przy otworze nad nami dźwięk zmieniał się i już wyraźniej dawał się słyszeć „śpiew”, jaki docierał do domu Stephena. Dźwięk dziwny, nieziemski — wcale nie brzmiał słodko. Dotarliśmy na górę, a wąskie

Phyllis A. Whitney

przejście zawiodło nas na urwisko. Silny wiatr wiał z jaskini za naszymi plecami.

— Spójrz na staruszków, o tam — wyszeptała znowu Jilly, tak jakby ktoś mógł nas usłyszeć. — To właśnie skały, które śpiewają.

Zrozumiałam, co ma na myśli. Czarne kamienie około metra wysokości otaczały kołem przejście w góry. Wyglądały dziwnie... jak gromadka staruszków w czarnych pelerynach i spiczastych kapeluszach, zebranych razem i pochylonych w jednym kierunku, jak gdyby uciekali przed wiatrem. Powietrze napływało od strony tunelu, szumiąc między stojącymi skałami, i wytwarzało dźwięk, który zmieniał się pod wpływem siły wydobywającej się z ziemi.

Jilly znowu zacytowała swój ulubiony autorytet.

— Wujek Julian mówi, że jakiś kamień tutaj był miększy i podlegał erozji bardziej niż pozostałe. To i tak zajęło miliony lat. Pod wpływem wody, może z lodowca. Ale ja myślę, że skały były kiedyś staruszkami, na których rzucono czary. Więc ich śpiew jest w rzeczywistości wołaniem o pomoc. Sposób pochylenia skał — jakby uciekały przed tajemną siłą wydostającą się z wnętrza ziemi — sprawił, że byłam gotowa uwierzyć w to, co mówiła dziewczynka, iż wieki temu ci ludzie zostali zaklęci w kamień i będą tu stać na zawsze. Wiatr wiejący z jaskini przybierał na sile, sprawiając, że „głosy” stawały się bardziej przenikliwe, jakby przerażone.

Zadrżałam na dźwięk czegoś, co teraz było dla mnie odgłosem cierpienia.

— To straszne, że nie możemy ich uwolnić — powiedziałam do Jilly.

— Może są wolni, gdy wiatr przestaje wiać. A jeśli mogą się poruszać w ciemności? Jeżeli za życia uczynili

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

200

coś złego, to chyba lepiej zostawić ich tak, jak są. Lynn, masz krew na policzku.

Pod ręką wyczułam wilgoć.

— To nic.

Nie mogłabym się teraz martwić zadrapaniem. Chciałam jedynie uciec z tego dziwnego, a nawet przerażającego miejsca. Nagle ogarnął mnie strach, jak gdyby coś we mnie wyczuwało, że zdarzyło się tu coś strasznego.

— Którędy będziemy wracać, Jilly?

— Muszę najpierw coś jeszcze zrobić — odparła. Przyglądałam się, jak podchodzi do najbardziej wysuniętej skały i klęka u jej stóp. Potem wyjęła sodalit i wcisnęła go w ziemię za kamieniem. Skały były pogrupowane w nieregularny krąg, jakby tłoczyły się próbując uciec przed czymś, co je goniło. Najwyraźniej przez przypadek w środku kanciastego koła pozostało trochę wolnego miejsca, ochranianego ze wszystkich stron. Jilly po kolei umieszczała kamienie ze swej kolekcji przy każdej skale.

— Jest dziewięciu staruszków — powiedziała. — Razem z różowym kwarcem, który ci dałam, zebrałam dziesięć kamieni. Doskonale.

Kiedy skończyła, podniosła się zadowolona i spojrzała na skały. Po ostatnim podmuchu, powodującym dziki śpiew, wiatr osłabł, przechodząc w lekki powiew i głosy stały się jedynie ledwo słyszalnym szeptem.

— Dlaczego umieściłaś kamienie właśnie w ten sposób? — zapytałam.

— Bo moje kamienie są dobre i powstrzymają te czarne od uczynienia kolejnego zła. — Schowała pusty woreczek z powrotem do kieszeni i rozejrzała się smutno. — Wiesz, to tutaj zmarł mój dziadek Larry. Może to Śpiewające Skały go zabiły.



Phyllis A. Whitney

Spojrzałam na nią przerażona.

— Larry Asche zmarł tutaj? Myślałam, że miał atak serca.

— Bo miał. Tylko dlaczego to się stało tutaj? A może to ich — obejrzała się do tyłu — się przeraził?

— Był sam?

— Chyba tak. Ale powiedział w domu, dokąd idzie, więc go znaleźli. Jeszcze żył, lecz nie mógł już mówić. Ciocia Meryl opowiadała, że czegoś się panicznie bał. Zmarł kilka dni później.

Jilly przemawiała spokojnie, jakby opowiadała o czymś odległym, co w rzeczywistości nie było częścią jej życia.

— Pamiętasz dziadka?

— Niezupełnie. Gdy zmarł, byłam jeszcze bardzo mała.

— Poznałam go dosyć dobrze przez ten krótki czas, kiedy mieszkałam w Wirginii. Bardzo go lubiłam. Wiedziałam, że miał problemy z sercem, jeszcze zanim wybudowano twój dom, więc przypuszczam, że jeśli dostał się tutaj przez jaskinię tą samą drogą, co my, mogło to być dla niego za wiele.

— Och, nie wspinałby się tą drogą. Z tyłu urwiska jest ścieżka, którą idzie się dużo łatwiej... prowadzi na drugą stronę farmy. Tamtędy możemy wrócić. Nie wszyscy wiedzą o jaskini. Wujek Julian odkrył ją, gdy zamieszkał tu po ślubie z ciocią Vivian. Powiedział mi, że szedł za głosem Śpiewających Skał i dotarł tu tą samą drogą, co my. Żałuję, że nie znałam dziadka, kiedy byłam trochę starsza. Babci też nie znałam. Ale tatuś wiele mi o nich opowiadał.

Otrząsnęłam spodnie z sosnowych igieł i czerwonej ziemi, nie śmiejąc komentować tego, co Jilly opowiedziała mi o śmierci Larry'ego. Powinnam ją uspokoić,

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

207

wyjaśnić, że skały tak naprawdę nie są staruszkami mogącymi kogokolwiek skrzywdzić. Ale na razie nie chciałam podnosić głosu — żeby mnie nie usłyszały!

— Wracajmy, Jilly. Znasz drogę, więc prowadź, a ja będę szła za tobą.

Ujęła delikatnie i uspokajająco moją dłoń.

— Wszystko w porządku, Lynn. Za dnia nie mogą nam nic zrobić. Myślę, że ożywają jedynie w nocy. Ruszyła ścieżką wzdłuż urwiska, ale chociaż miałam ochotę uciec stąd jak najszybciej, zatrzymałam ją.

— Chwileczkę, Jilly. Chciałabym jeszcze coś sprawdzić.

Kawałek stąd, na szczycie klifu, utworzył się w ziemi czerwony krater, miejsce, gdzie spoczywał głaz, zanim się na nas stoczył. Stojąc na krawędzi, spojrzałam w dół na polankę między drzewami, gdzie wylądował. Nad grzbietem górskim, którym dotarliśmy tu z domu, widziałam jeszcze większą płaszczyznę farmy z szarym domem pośrodku. To stamtąd spoglądałam przedtem w górę na to urwisko.

Obeszłam ostrożnie krater, szukając jakichkolwiek śladów. Niemal natychmiast znalazłam wyraźne znaki. Wokół miejsca, gdzie leżał głaz, było kilka świeżych cięć, które mogły powstać tylko od łopaty. Ta skała nie obluzowała się pod wpływem wiatru czy deszczu... ludzka ręka przyczyniła się do jej ostatecznego stoczenia się z urwiska. Ktokolwiek tu jednak był, już dawno odszedł, nie pozostawiając w twardej trawie żadnych śladów, z których mogłabym coś wywnioskować.

Jilly błyskawicznie dostrzegła to, co ja.

— Tego nie zrobił żaden ze staruszków — powiedziała.

Nie chciałam się zastanawiać, czyja ręka mogła trzymać tę łopate, ale wiedziałam, że będę musiała

Phyllis A. Whitney

powiedzieć o wszystkim Julianowi... a może i Stephenowi.

— Twój turkus zrobił się zielony — przypomniała mi ponuro Jilly.

Nie chciałam już więcej czarów. To była rzeczywistość i kwestią, czy ktoś chciał śmierci mojej lub Jilly — czy też nas obu — musi zająć się ktoś inny. Może policja.

Jilly powstrzymała mnie, jeszcze zanim ruszyłam w dalszą drogę.

— Spójrz, Lynn! Tam!

Podniosła rękę ku niebu i zobaczyłam magiczną kulę w kolorach tęczy płynącą po błękitnym tle.

Czerwono-żółto-niebiesko-zielone pasy przesuwwały się nad naszą górą, wznosząc się łagodnie coraz wyżej. Wiklinowy kosz zawieszony pod nią wydawał się malutki w porównaniu z ogromnym kolorowym balonem. Ktoś z kosza pomachał nam, Jilly zrobiła to samo.

— „Powietrzna Tancerka” — zawołała. — Czyż nie jest piękna? Nigdy nie leciałam balonem, a mama i tata tak. Tatuś miał mnie kiedyś zabrać na przejażdżkę... ale potem wszystko poszło nie tak.

Odwróciła się, jakby nie była w stanie znieść myśli o tym, co mogłoby się wydarzyć, gdyby nie doszło do tej wyprawy na Biały Księżyc.

— Może teraz będzie mógł cię zabrać, Jilly. Może poprosimy go razem?

Przez chwilę nadzieja zagościła na jej twarzy. A potem spojrzała nie na niebo, lecz na ślady łopaty na ziemi.

— Już za późno — powiedziała cicho. Nienawidziłam tego głosu pozbawionego wszelkiej nadziei. Zbyt dobrze rozumiała znaczenie staczającego się na nas głazu, nie było sposobu, bym mogła ją uspo-

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

209

koić... albo uspokoić samą siebie. Obie otarłyśmy się o śmierć.

Kiedy schodziłam za nią ścieżką na tyłach urwiska, znowu usłyszałam za sobą śpiew skał... delikatny, niemal słodki... i nagle oczyma wyobraźni ujrzałam złośliwe czarne kamienie śmiejące się szyderczo. Tędy było dalej, do domu dotarliśmy od strony drogi w pół godziny później. Gdy doszliśmy na miejsce, Carla czekała na nas jak zwykle na tarasie. Jilly zatrzymała mnie.

— Nie mów jej, co się stało — szepnęła. — Proszę, Lynn, nie mów o tym nikomu.

— Musimy powiedzieć wujkowi Julianowi — ostrzegłam ją. — Ale nie powiemy nic Carli. Dobrze? Nawet jeśli skały nadal śpiewały, ich głosy były tak słabe, że nie mogły do nas dotrzeć. Nie chciałam słyszeć tego dźwięku już nigdy więcej.

— Szukałam cię wszędzie, Jilly! — zawołała Carla, gdy wchodziłyśmy po schodach. — Twoja matka dowie się o wszystkim, jak tylko przyjedzie.

Jilly znowu zamknęła się w sobie. Umiała to robić doskonale... jak żółw chowający się do swojej skorupy. Nie zostawiała na zewnątrz nic, co można by było poruszyć lub zranić, i przypuszczałam, że Carla nie będzie w stanie do niej dotrzeć. Czułam się nieszczęśliwa z tego powodu, a po tym wszystkim, co nam się przydarzyło, jeszcze bardziej bezradna.

Carla skierowała swoją uwagę na mnie.

— Upadłaś na coś? Masz krew na twarzy. Wyglądasz strasznie... obie tak wyglądacie. Co się stało?

— To moja wina — odparłam szybko. — Chciałam się trochę przejść i Jilly pokazała mi drogę na szczyt.

Phyllis A. Whitney

Nie musiałam wyjaśniać jej naszego „upadku” ani jak dostałyśmy się na szczyt, zresztą Carli to nawet nie obchodziło.

— Chodź, pomogę ci się umyć — powiedziała do Jilly.

Dziewczynka poszła za nią posłusznie, obrzucając mnie konspiracyjnym spojrzeniem. Julian mylił się co do Jilly. Nie była „umierającym” dzieckiem. Całą swoją istotą walczyła o życie. Dosłownie i w przenośni.

Poszłam prosto do gabinetu Juliana. Był sam, pakował książki do wielkiego kartonowego pudła stojącego na stole. Spojrzał na mnie przelotnie. Musiał dostrzec to samo, co wcześniej Carla, ale powstrzymał się od komentarzy.

Weszłam do pokoju i powiedziałam wprost:

— Wydaje mi się, że ktoś próbował zabić Jilly i mnie.

Nadal ściągał książki z półek i wkładał je do pudła.

— W takim razie dobrze, że wracasz do domu, Lynn, i że Jilly będzie w Charlottesville.

— To wszystko, co masz do powiedzenia? — Rozzłościł mnie bardziej niż kiedykolwiek. — Czy ty mnie w ogóle słyszałeś? A może znowu uciekłeś na szczyt swojej góry? To też jest rzeczywistość... to, co się właśnie wydarzyło.

Uśmiechnął się smutno.

— Słyszałem cię, Lynn. Opowiesz mi o tym?

Opadłam na krzesło i strzepnęłam resztkę czerwonego pyłu ze spodni. Musiałam czymś zająć ręce, bo inaczej trzęsłyby się w trakcie mojej opowieści.

Mówiłam, a Julian nie przerywał swojej pracy, chociaż słuchał uważnie. Zakończyłam sprawozdanie opisem śladów po łopacie, które zobaczyłam na ziemi.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

211

— Jilly twierdzi, że nikt nie wie o jej kryjówce, ale przecież ktoś musiał wiedzieć, dokąd idziemy. Julianie, kto mógł zepchnąć na nas ten głaz? Nie stoczył się sam, tego jestem pewna.

Potrząsnął głową.

— Ktoś, kto nie mógł się doczekać i chciał sam pomóc przeznaczeniu?

Wpatrywałam się w niego zaskoczona, a on ciągnął kwaśno:

— Nie możesz być pewna, że skałę zepchnięto na ciebie, Lynn. Jeśli wierzymy w zło, sami zniżamy się do jego poziomu i wtedy ono może nas zniszczyć. To tylko coś, co stwarza twoja wyobraźnia. Skała prawdopodobnie i tak miała spaść pod wpływem własnego ciężaru, ponieważ deszcze bardzo rozmyły teren wokół niej. Znaki, które wzięłaś za ślady po łopacie, równie dobrze mogły być zrobione przez sam głaz.

— Nie wierzę w to, Julianie. Może policja powinna się tym zająć... dopóki ślady ciągle jeszcze tam są. Rozważał to, potrząsając głową.

— Nie, jeśli są to tylko twoje przypuszczenia. Pojawiłoby się jedynie mnóstwo pytań do Jilly i Stephena, a oni oboje mają już tego dość.

— Chyba masz rację — powiedziałam niepewnie.

Oczy Juliana straciły tę nieodpartą moc, którą dostrzegłam pierwszego dnia. Od chwili kiedy Everett ogłosił swoją decyzję, Forster posunął się w latach; zniknął także magnetyzm, stanowiący ogromną część jego psychiki.

— Będzie, co ma być — rzekł, a ja znowu byłam na niego zła za te fatalistycznie brzmiące słowa.

— Nie! Z tym się nie pogodzę! Mamy jakiś wpływ na to, co się wokół nas dzieje.

— Oczywiście. Wierzę w wolną wolę. Ale czasami...

Phyllis A. Whitney

— Julianie! To dzięki tobie ten dom funkcjonuje. Vivian liczy na ciebie i wiesz, że Jilly także. Nie możesz się poddać!

Odwrócił się ode mnie.

— To nie leży w mojej mocy. Ale, Lynn, wszyscy wiedzą o leśnej kryjówce Jilly. Ona tylko udaje, że to sekret. Carla wie, że mała tam czasami chodzi, i tak samo wie o tym cała reszta, łącznie z Paulem i Emory. Uznaliśmy, że Jilly potrzebuje jakiegoś odosobnienia i że nie powinniśmy za bardzo mieszać się do jej spraw. Raczej nigdy nic jej tam nie zagrażało. Czuję się odpowiedzialny za to, że nie upewniłem się, czy skała nie stanowi niebezpieczeństwa. Ale nadal nie wiemy, czy przypadkiem nie spadła sama z siebie.

— A co z jaskinią i niebezpieczną wspinaczką na szczyt? Jilly ma do niej swobodny dostęp.

— Nie wolno jej wchodzić do jaskini i wdrapywać się na szczyt od tej strony, jeśli nie ma z nią kogoś dorosłego. Myślę, że nie wybrałaby tej drogi i dziś, gdyby nie była do tego zmuszona.

— Jilly powiedziała mi, że jej dziadek tam zmarł. Julian odezwał się smutno.

— Tak, to straszne. Larry był dobrym przyjacielem i czułem się fatalnie po jego śmierci. Czy wiesz, że to Luther Kersten go tam znalazł?

Byłam zaskoczona.

— Jak to się stało?

— Nie wiemy dokładnie. Wydaje nam się, że Luther szedł za nim. Powiedział policji, że niepokoiła go myśl o Larrym wspinającym się samotnie na szczyt, ale później nie mówił o tym za dużo. Vivian też nie. Nigdy nie pogodziłem się z tym, co dzieje się po tym życiu, więc trudno mi było zaakceptować jego śmierć. Teraz wierzę, że wszyscy podążymy za nim, a ci, którzy znali i kochali

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

213

Larry'ego, spotkają go znowu... chociaż zmieniają się stosunki między nami.

Chciałam ściągnąć Juliana z powrotem do spraw tego życia.

— Jilly twierdzi, że Larry czegoś się przestraszył. Czy wiesz, co to było? I skąd Jilly o tym wie, jeśli Luther znalazł go nieprzytomnego?

— Luther rozmawiał z Larrym przez chwilę, zanim ten stracił przytomność. Nigdy już jej nie odzyskał, więc nie było możliwości, by dowiedzieć się prawdy.

Opowiedziałam Julianowi, co Jilly twierdziła o nik-czemności Śpiewających Skał, i jak umieściła po jednym kamieniu szlachetnym ze swojej kolekcji u podstawy każdego z dziewięciu staruszków.

Julian westchnął.

— Śpiewające Skały mają pewien niesamowity urok, ale nie wierzę, żeby były złem. Mam wręcz powody, aby być im wdzięcznym, bo pewnego razu, w zamierzchłej przeszłości, uratowały mi życie.

— O czym ty mówisz?

— To było w innym życiu, dawno temu. Podałam się. Julian uważał, że wszyscy i wszystko samo w sobie jest dobre, i nagle zaczęłam się zastanawiać, czy to nie czyni go niebezpiecznym. Ktoś ślepy na zło mógł nigdy nie dostrzec tego, co go naprawdę otacza. Julian Forster wierzył nawet w to, że Everett sam w sobie jest dobry, tylko źle nim kierowano. Czy to samo sądził o Lutherze?

— Mogę wejść? — W otwartych drzwiach stała Vivian.

Podniosłam się do wyjścia, nie chcąc znowu opowiadać tego samego, ale zagroziła mi przejście, spoglądając to na mnie, to na Juliana.

— Rozmawialiście o Larrym, prawda?



Phyllis A. Whitney

— Lynn właśnie dowiedziała się, gdzie zmarł — odparł Julian. — Poszły tam z Jilly.

Vivian była zaszokowana.

— Poszłyście do Śpiewających Skał? Ale dlaczego?

— Julian ci powie.

Zauważyła moje zadrapania i zmierzwione włosy.

— Lynn, co ci się stało?

— Julian ci powie — powtórzyłam. — Chciałabym się teraz umyć i opatrzyć zadrapania.

— Mam pójść z tobą? Jesteś chyba trochę zszokowana.

— Dziękuję, nic mi nie jest.

Kiedy ruszyłam do drzwi, wyciągnęła dużą brązową kopertę.

— Przyniosłam ci coś, co może zechcesz zatrzymać, Lynn. To było w pudełku z rzeczami Stephena, które Jilly zabrała z biura. Musiał oddzielić te zdjęcia od tych późniejszych z Orianą i Jilly.

Przyniosłam je Stephenowi, a on kazał mi je wyrzucić. Sądzę, że powinnam ci to oddać.

Wzięłam kopertę i uciekłam tak szybko, jak tylko mogłam. Wcale nie chciałam oglądać swoich starych zdjęć, podobnie zresztą jak Stephen. Kiedy jednak dotarłam do swojego saloniku, usiadłam, nie mogąc sobie ze sobą poradzić, i w zamyśleniu zaczęłam przeglądać po kolei fotografie.

Stephen musiał zbierać pamiątki po naszym krótkim małżeństwie utrwalone na fotografiach, a potem schował je do pudełka w biurze. Dziwne, że natychmiast ich wszystkich nie wyrzucił. To byłoby dla mnie lepsze. Nie pojawiłyby się teraz jak wspomnienia tamtych czasów, gdy byłam tak niewinnie szczęśliwa.

Większość stanowiły zdjęcia migawkowe, które robiliśmy w Charlottesville. Lecz było wśród nich też jedno,

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

215

gdzie byliśmy oboje, z wyprawy w okolice Monticello. Ciągle pamiętałam ten jasny, wietrzny dzień. Staliśmy w grupie niedzielnych turystów i zwiedzaliśmy piękny, nakryty kopułą budynek, który kiedyś był domem Thomasa Jeffersona. Monticello było przeznaczone do zamieszkania, ciekawe wewnątrz ze wszystkimi szczegółami wypracowanymi przez Jeffersona. Stephen, jako architekt, był tam wiele razy, a jednak ciągle fascynowała go każda innowacja. Zgadzałam się wtedy z każdym jego słowem... zawsze to robiłam. Ja sama tak niewiele mogłam wnieść do naszego związku, z wyjątkiem przysłuchiwania się.

Poprosił kogoś o zrobienie nam zdjęcia na frontowych schodach rezydencji, z białymi kolumnami wznoszącymi się w tle. Stephen był na zdjęciu poważny... silny, zdrowy, niemal arogancki. Był wtedy tak pewny siebie, pewny swojej przyszłości, wszystkiego, czego zamierzał w życiu dokonać. Przy nim wyglądałam strasznie młodo. Nie patrzyłam w stronę aparatu, lecz na mojego męża. Wtedy myślałam... wierzyłam całym sercem, że tak będzie już zawsze.

Zbyt młoda, zbyt młoda, pomyślałam gorzko. Tak mało mogłam ofiarować Stephenowi... a on nie czekał, aż dorosnę, nie próbował mi pokazać, kim mogłabym się stać.

Zniecierpliwiona na swoje uczucia, włożyłam zdjęcia z powrotem do koperty i chciałam wyrzucić do kosza. Ale nie mogłabym tego zrobić, odłożyłam je więc na stół. Już nie byłam tą młodą dziewczyną, która poślubiła Stephena Asche, tak jak on nie był już tym butnym, pewnym siebie młodym mężczyzną. Te zdjęcia mogły opowiedzieć historię... mogły opowiedzieć historię, której nigdy nie chciałabym wysłuchać. Dotyczyły wad młodej kobiety i mężczyzny, którzy nigdy nie

Phyllis A. Whitney

zostali poddani żadnej próbie, którzy nawet nie zaczęli dorastać. Należały do czasów, co dawno minęły, a tych dwoje było dla mnie obcymi ludźmi i prawie ich nie znałam.

Nie miało teraz sensu zrzucanie winy na moją młodość albo niedoświadczenie Stephena. Nie o niego się teraz martwiłam, lecz o jego córkę, i nie robiło mi różnicy, że było to dziecko Oriany. Gdyby wypadki potoczyły się inaczej, Jilly mogłoby nie być na świecie, a inne dziecko, które się nigdy nie urodziło, zajmowałoby jej miejsce.

„Będzie, co ma być”, powiedział Julian. Ale ja nie umiałam zrezygnować ze wszystkiego i zaakceptować tej filozofii tak, jak on najwyraźniej zamierzał to zrobić. Jutro Meryl przyjedzie zabrać Jilly do Charlottesville, zabierając ją spod wpływu Oriany. Nie byłam pewna, czy to właściwe posunięcie, lecz nie mogłam zmienić planów Meryl. Wiedziałam jedynie, że muszę zostać trochę dłużej. A jednak nie chciałam się spotkać z Orianą i istniała pewna możliwość, by tego uniknąć. Znalazłam numer w książce telefonicznej i zadzwoniłam do Meryl na farmę, gdzie zamierzała zostać do jutra. Kiedy odebrała telefon, wyjaśniłam szybko:

— Oriana przyjeżdża do domu, a ja nie chcę siedzieć tutaj, więc jadę do Charlottesville. Mogę zamieszkać w hotelu aż do jej wyjazdu. Dam ci znać, gdzie się zatrzymam.

— Nie bądź głupia — powiedziała Meryl. — Oczywiście, że zatrzymasz się u nas. Dobry pomysł. Kiedy jutro rano zabiorę Jilly, pojedziesz za nami swoim samochodem, prosto do naszego domu. Dzięki temu nie będę musiała cały czas zajmować się małą. Ale, Lynn, dlaczego w ogóle zostajesz? Co jeszcze możesz tu zdziałać?

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

217

Teraz, gdy wiedziałam o jej spotkaniach z Paulem, mogła chcieć się mnie jak najszybciej pozbyć, ale musiałam ją rozczarować.

— Może uda mi się utrzymać Jilly przy życiu — odparłam wprost.

Po drugiej stronie linii na chwilę zaległa cisza.

— O czym ty mówisz?

— Powiem ci jutro. Do zobaczenia, Meryl. Zatrzymała mnie, zanim się rozłączyłam.

— Poczekaj! Wszystko w porządku, Lynn? Masz dosyć dziwny głos.

— Czuję się dosyć dziwnie — powiedziałam i odłożyłam słuchawkę, zanim zdążyła zadać kolejne pytanie.

Gdy weszłam do łazienki i spojrzałam w lustro, zobaczyłam zaschniętą krew na policzku i zadrapanie, dobrze, że tylko powierzchowne. Włosy miałam w nieładzie, a płaszcz był wysmarowany czerwoną ziemią. To wszystko da się łatwo usunąć. Nie byłam jednak pewna, czy tak samo będzie z wyrazem moich oczu, pełnych nie wypłakanych łez. Nie dlatego, że omal nie straciłam życia, lecz z powodu zdjęć należących do dwojga ludzi żyjących w zupełnie innych czasach. To były łzy, których nie śmiałam uronić.

## 13

Jest tu ktoś? — krzyknął Paul z drugiego pokoju.

— Chwileczkę! — zawołałam.

Zdjęłam płaszcz i szybko umyłam twarz. Wygładziwszy włosy, wyszłam zobaczyć, czego chciał. Dzisiaj miał na sobie niebieski dres i żółty szalik. Właśnie przeglądał kopertę ze zdjęciami, którą zostawiłam na stole. Odwrócił się, uśmiechając się łagodnie, co mnie zawsze irytowało.

— Ciekawe — powiedział, wyciągając naszą wspólną fotografię z Monticello.

Trudno było nie zachować się dokładnie tak, jak by to zrobiła tamta młoda kobieta ze zdjęć, która natychmiast wyrwałaby mu kopertę z ręki. Okazanie złości Paulowi nic by mi jednak nie dało. On się nie liczył. Zwłaszcza że i tak niedługo miał wyjechać.

Kołysał się na piętach, ręce miał złożone na piersiach.

— Panno McLeod, wiem, że mnie pani nie lubi i nie pochwała mojej obecności tutaj, ale Stephen jest moim przyjacielem, a pani od chwili przyjazdu nie robi nic innego, tylko doprowadza go do coraz większego przygnębienia.

Tak samo jak Stephen przygnębiał mnie.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

219

— Czy wydarzyło się coś nowego?

— Ta wyprawa na Biały Księżyc nie przyniosła nic dobrego. Teraz Stephen jest niemal chory, bo Jilly o mały włos a zostałyby zabita przez skałę. Powinna ją pani była trzymać z dala od tego miejsca.

— Kto panu o tym powiedział? Ironiczny uśmiech Paula nigdy nie zniknął.

— Jilly. To cud, że ten głaz obu was nie zmiażdżył!

— To prawda — powiedziałam. — To było straszne dla nas obu. Problem jednak w tym, jak to się w ogóle stało, że ten kamień stoczył się w dół.

— Ktoś mógł go popchnąć. — Uwielbiał się ze mną drażnić.

— Czy wie pan może, kto mógłby chcieć zranić albo nawet zabić Jilly?

— Może to pani była celem zamachu. Może będzie lepiej dla wszystkich, gdy wróci pani tam, skąd pani przyjechała.

— Czy przyszedł pan po to, żeby mi to powiedzieć? Wzruszył ramionami.

— Niezupełnie. Stephen chce się z panią widzieć. Ale przecież pani nie musi do niego iść. Może pani po prostu wyjechać i nigdy więcej się z nim nie zobaczyć. Zanim przyjedzie jego żona. To byłoby dla niego lepsze... i dla pani również.

— Proszę mu powiedzieć, że zaraz do niego przyjdę — powiedziałam i odwróciłam się do Paula plecami.

Zaśmiał się, jakby coś go bardzo rozbawiło, i wyszedł nie mówiąc już nic więcej. Wróciłam do łazienki, stanęłam przed lustrem i pewną ręką umalowałam usta, potem jeszcze raz uczesałam włosy i związałam je. Nie mogłam tylko nic zrobić ze szramą na policzku. Właściwie nie wiem, po co to wszystko robiłam. Stephena

Phyllis A. Whitney

nie interesuje, jak wyglądam, zresztą tak samo jak i mnie.

Wróciłam do salonu. Koperta ze zdjęciami nadal leżała na stole, podniosłam ją i zabrałam ze sobą na dół, chociaż nie bardzo wiedziałam, dlaczego to robię.

Stephen siedział w pokoju, ale jego wózek był przysunięty do szklanych drzwi, skąd mógł patrzeć na zmieniające się kolory gór. Kiedy weszłam, Paul szybko przekręcił wózek. Ponieważ to ja zostałam wezwana, stanęłam przed Stephenem wyczekująco. Nie czułam już tej swobody, jaką udało nam się osiągnąć rano.

Skinął ręką na Paula, a ten wyszedł z pokoju. Stephen widocznie nie chciał jego obecności podczas naszej rozmowy.

— Jilly opowiedziała mi, co się stało. — Jego głos był równie ponury jak mój nastrój. — Dziękuję za uratowanie życia mojej córki.

— Swoje też uratowałam.

— Jilly powiedziała, że usłyszałaś spadający głaz, popchnęłaś ją w krzaki, a potem nakryłaś swoim ciałem.

— Co nie na wiele by się zdało, gdyby kamień wylądował na nas. Nie musisz mi dziękować. Ale naprawdę uważam, że ktoś powinien sprawdzić, dlaczego ten głaz się stoczył.

Stephen na chwilę pochylił głowę, a ja uświadomiłam sobie, że to już nie ten silny, niezależny mężczyzna, jakiego pamiętałam. Spadały na niego ciężary, jakich chyba nie był w stanie dźwigać.

— Oczywiście, Julian będzie musiał się tym zająć — odparł szybko.

Ja jednak nie byłam pewna, czy Julian, którego widziałam przed chwilą, będzie w stanie zdziałać cokolwiek.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

216

— Czy wierzysz w fatalizm? — zapytałam Stephensa powodowana nagłym impulsem. — Chodzi mi o to, czy wierzysz, że wszystko, co się dzieje, ma swoją przyczynę i próby zmiany przyszłości nie mają sensu?

Spojrzał na mnie zaskoczony.

— Nie zastanawiałem się nad tym.

— Ja też nie, zanim nie zaczęłam słuchać Juliana. Ale nie zamierzam zmieniać mojego sposobu myślenia. Zawsze będę wierzyć...

— W wolność wyboru? A co dobrego przynosi wolność wyboru tam, gdzie tego wyboru nie ma? Wolność wyboru niewiele dobrego dała Stephenowi, gdy stanął na desce, a ta złamała się pod jego ciężarem, i spadł dwa piętra w dół. Całe jego życie zmieniło się w jednej sekundzie. A może prawdziwego wyboru możemy dokonać dopiero po nieszczęśliwym wypadku. Możemy powiedzieć tak — zgadzam się, albo nie — chcę walczyć. Stephen wybrał poddanie się bez walki.

Mówił dalej:

— Chciałem ci powiedzieć, że przyjeżdża Oriana. Dzwoniła, że już jest w Charlottesville. Zatrzyma się na noc w „Boar's Head Inn” i przyjedzie tu jutro rano.

— Nie obawiaj się... mnie tu nie będzie — zapewniłam go szybko. — Meryl wpadnie tu jutro, żeby zabrać Jilly, a ja zatrzymam się na kilka dni u nich w Charlottesville. Lecz teraz chyba nie zechcesz puścić Jilly do ciotki. Tak czy inaczej, wyjadę, zanim Oriana przyjedzie, i nie zamierzam pokazywać jej się na oczy.

— Oriana zniesie wszystko, cokolwiek by to nie było. Myślałem tylko, że to może być nieprzyjemne dla ciebie. Bardzo dobrze jednak, że Meryl zabierze Jilly. Może się zobaczyć z matką później. Mamy z Orianą parę spraw do omówienia... decyzji do podjęcia. Nie widziałem się jeszcze z Everettem, ale z tego, co wiem,



Phyllis A. Whitney

zamierza zamknąć ten dom na jakiś czas. Chyba także wyśle Jilly do szkoły.

Miałam dość rezygnacji w jego głosie.

— A co z tobą?

— Są różne miejsca... Everett coś znajdzie.

— Czy ty i Oriana nie macie żadnego wyboru? Odwrócił wzrok i wyczułam, że nic nie robi...

a może nie jest w stanie nic zrobić. Ziemia usunęła mi się spod nóg... Miałam coraz mniej czasu, lecz nie wiedziałam, na czym powinnam się oprzeć. Stephen ciągnął dalej:

— Paul wyjeżdża, Carla też. Trzeba szybko podjąć jakąś decyzję. — Był apatyczny, jakby nic go to wszystko nie obchodziło. — Czy Oriana nie może tym się zająć? — zapytałam stanowczym tonem.

Dostrzegłam błysk rozdrażnienia w jego oczach.

— Chciałem ci tylko powiedzieć, że ona przyjeżdża.

— Dzięki.

— Nie zatrzyma się na długo. Nigdy tego -nie robi.

Jego głos stał się na powrót rzeczowy, a nie obrażony. To ja byłam zła na Oriane. Stephen rzucił wzrokiem na kopertę w mojej ręce, rozpoznał ją.

— Powiedziałem Vivian, żeby to wyrzuciła.

— Ona pomyślała, że może wcześniej chciałabym je obejrzeć. Chyba dobrze mi to zrobiło. Mam na myśli moją przyszłość.

Otworzyłam kopertę i sięgnęłam do środka, wyjmując zdjęcie z samej góry... powiększenie naszej wspólnej fotografii zrobionej na schodach Monticello. Podałam mu to zdjęcie, a on wziął je niechętnie.

— Da się z niego wiele wyczytać — powiedziałam. — Ani ty nie jesteś sobą na tym zdjęciu, ani ja. Nie tacy, jacy jesteśmy teraz. Dwoje ludzi, którzy nic nie

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

223

mogli poradzić na to, że byli, jacy byli. Ten mężczyzna sądził, że wszystko przyjdzie mu równie łatwo, jak dotychczas, i że zawsze będzie mógł robić to, na co będzie miał ochotę. Dziewczyna... wtedy jeszcze nie była kobietą... niewiele wiedziała. Dopóki nie opuściła Wirginii, nawet nie zaczęła dorastać. Więc może właśnie temu mężczyźnie powinna podziękować za swoją dojrzałość. Nie każdy dojrzewa z wiekiem.

— Do czego zmierzasz? — W jego głosie pojawiła się nutka złości, ale nie przerażało mnie to.

— Nie widzisz? Oto dwoje innych ludzi. Dwoje ludzi, którzy muszą wybaczyć sobie nawzajem i wybaczyć samym sobie. Z tego mężczyzny był kawał cholery, a dziewczyna miała za słaby charakter, by go powstrzymać. Była jedynie pewnym potencjałem. Dusił w sobie wszystkie żale i złości, zamiast to z siebie wyrzucić i spróbować zrozumieć, co się działo.

— Szybko od tego uciekła — przytaknął Stephen. Uśmiechnął się łagodnie. — Ale chyba masz rację co do tej cholery.

— Nie uważała, że był wiele wart jako mąż. — Wsunęłam zdjęcie z powrotem do koperty. — To już nie ma znaczenia — dodałam szybko, nie chcąc mu okazać, jak wielkie znaczenie miało to dla mnie.

— Tych dwoje zniknęło w przeszłości, a my nie mamy prawa ich winić czy krytykować tego, co zrobili. Co w danym momencie uznali za stosowne zrobić. Jeżeli pozbedziemy się tych wszystkich żalów i złości, może będziemy mogli jakoś dalej żyć.

Zaczął coś mówić. Przypuszczam, że chciał powiedzieć, iż jego życie nie ma już żadnego sensu, ale natychmiast się powstrzymał. Odezwał się po chwili, nie zamierzając rozczulać się nad sobą.

Phyllis A. Whitney

— Chyba jest wiele spraw, które powinienem kontynuować, chociaż niezbyt mnie one pociągają.

— Oriana pewnie ci pomoże — odrzekłam, zdając sobie sprawę, że wypowiadam zadawnione złośliwości i robię dokładnie to, czego chciałam uniknąć.

Nie zwrócił na to uwagi.

— Jeżeli Oriana mi pomoże, przyjmę to z radością. Oboje jej potrzebujemy, Jilly i ja.

Dziewczyna, której się wyrzekłam, a która nadal była częścią mnie, skrzywiła się, a ja natychmiast zaczęłam mówić, by nie dać po sobie poznać, jak bardzo nas to dotknęło.

— Jilly zabrała mnie dzisiaj do Śpiewających Skał. Musiałyśmy dostać się do nich przez jaskinię. Powiedziała, że twój ojciec tam zginął.

Stephen nic nie odpowiedział; czułam, że nie chce o tym mówić.

— Jilly wierzy, że przestraszyły go Śpiewające Skały i przyprawiły o atak serca.

— Jilly miewa dziwaczne pomysły.

— Też bym tak powiedziała. Ale od kiedy sama tam byłam, nie jestem już tego taka pewna. Jest tam jakaś... jakaś moc.

Nie chciał się z tym zgodzić. Wyciągnęłam do niego rękę.

— Zegnaj, Stephenie, w razie, gdybyśmy już się mieli nie zobaczyć. Życzę ci szczęścia... i chęci powrotu do zdrowia.

Zanim zdążył ująć moją dłoń — jeśli w ogóle miał taki zamiar — Paul wpadł do pokoju.

— Oriana jest tutaj! — obwieścił zadowolony i podekscytowany tą dramatyczną sytuacją.

— Wyjeżdżam — powiedziałam do Stephena i podbiegłam do drzwi na taras.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

225

— Zaczekaj! — krzyknął. — Nie uciekaj jak zając! — Potem odezwał się do Paula: — Odejdź. Zawołam cię, jak będziesz mi potrzebny.

Paul, z wyrazem rozczarowania na twarzy, wyszedł z pokoju dokładnie w chwili, gdy weszła Oriana. Na słowa Stephena odwróciłam się, serce waliło mi jak oszalałe. Nie byłam już taka pewna tych odważnych słów dotyczących dwojga obcych ludzi na zdjęciu z Monticello. Przebywając w tym samym pokoju z Oriana, mogłam momentalnie wskoczyć w skórę tamtej dziewczyny. Naprawdę mogłam się zamienić w zająca.

Nawet jeśli mnie zobaczyła, nie zwróciła na mnie żadnej uwagi. Podeszła prosto do Stephena i z gracją uklękła przy jego wózku. Wszystko to wykonała jednym płynnym ruchem, jakie widziałam na scenie, w sposób, w jaki się zawsze poruszała. Zrzuciła z siebie płaszcz wcześniej — teraz miała na sobie cienki sweter w kolorze przyrumienionej grzanki, wyszywany na przodzie złotymi cekinami w jaskrawe arabeski. Obcisłe, brązowe spodnie opinały nogi charakterystyczne dla tancerki. Miała na sobie buty na płaskim obcasie, podobne do baletek, ze skóry w tym samym, brązowożółtym kolorze. Wyglądała jeszcze bardziej oszalamiająco, niż ją zapamiętałam. Na scenie czarne włosy miała rozpuszczone, sięgały jej poniżej pasa. Teraz upięła je w ciężki kok tuż nad szyją za pomocą wspaniałej brązowej orchidei z jedwabiu. Niektóre kobiety, posuwając się w latach, tracą urodę. Nie Oriana. Miała już ponad czterdzieści lat, a piękniała coraz bardziej. Była wielką osobowością i wiedziała o tym... obnosząc triumfalnie swoją urodę.

— Kochanie! — wykrzyknęła do męża, objęła go i pocałowała w usta.

Phyllis A. Whitney

Odsunęła się, a Stephen podążył za nią wzrokiem. Widziałam, jak bardzo rozpałała go swoim ciepłem i przemieniła w mężczyznę, który jest kochany. Czułam się fatalnie, wiedząc, że moja miłość nigdy tak na niego nie wpływała.

— Wyglądasz cudownie! — mówiła. — Właśnie rozmawiałam z Paulem, opowiedział mi, jak szybkie robisz postępy, i że ma nadzieję, iż już niedługo będziesz chodzić o własnych siłach.

— Paul to kłamczuch — odparł Stephen. — Nie licz na to.

Może te słowa ostudziły trochę jej zapał, ale ja nie mogłam tam stać i się przyglądać. Położyłam rękę na drzwiach za sobą i zaczęłam je cichutko otwierać. Oriana to usłyszała i odwróciła się do mnie. Nie przestała się uśmiechać, czym pobiła mnie zupełnie.

— Witaj, Lynn. Cieszę się, że mam okazję podziękować ci za wszystko, co zrobiłaś dla Jilly.

Powiedziała mi przez telefon, że się zaprzyjaźniłyście.

Głos pełen akceptacji wskazywał na kobietę w pełni świadomą swojej pozycji u boku męża.

Przypuszczałam, że nawet jeśli między mną a Jilly zawiązała się nić przyjaźni, nie przetrwa ona długo, jeżeli Oriana tu pozostanie.

Skinęłam jej głową w zamyśleniu i wyszłam na taras, zamykając za sobą drzwi. Owiąło mnie chłodne górskie powietrze.

Przeszłam kawałek i stanęłam przy barierce w takim miejscu, gdzie już mnie nie mogli dostrzec. Wiał zimny wiatr, słońce zachodziło, oświetlały mnie jego ostre promienie. Współczułam Stephenowi.

Jakże upokarzające musiało być jego kalectwo przy Orianie!

Jeszcze przez chwilę stałam, próbując się uspokoić. Potem dotarły do mnie głosy z niższego tarasu.

Prze-

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

227

chyliłam się przez poręcz i zobaczyłam dwoje ludzi stojących pod filarem w rogu tarasu na drugim końcu domu: Carlę Raines i Paula Woolfa. Oboje byli wściekli, chyba się kłócili. Stałam cicho, próbując usłyszeć, o czym rozmawiają. Wiatr zagłuszał ich słowa, ale w postawie Paula widziałam niechęć. Podparł się pod boki rękami, a Carla obronnym gestem zacisnęła dłonie na piersiach, mówiąc coś z oburzeniem. Jeśli ich kłótnia dotyczyła Jilly, to chciałam wiedzieć, o co chodzi. Ruszyłam więc ostrożnie w ich stronę.

Posadzka zaskrzypiała pod moimi stopami; Paul podniósł wzrok i zobaczył mnie. Pozdrowił mnie ironicznie i zniknął za drzwiami pomieszczeń gospodarczych. Carla podeszła na skraj tarasu, skąd mogła się do mnie odezwać.

— Zejdź na dół, Lynn, proszę. Muszę z tobą porozmawiać.

Ciekawiło mnie, dlaczego nie jest z Orianą, dlaczego nie zaprowadziła Jilly do matki. Przecież musiała dowiedzieć się od Paula o przyjeździe Oriany.

Jeszcze nigdy nie byłam na najniższym piętrze domu, szłam więc prosto przed siebie, aż trafiłam na schody wiodące w dół. Z tej strony wzgórze opadało gwałtownie, więc taras zwisał już nad wolną przestrzenią. Podo mną, za belką wspornikową, znajdowała się piwnica i pomieszczenia gospodarcze. Trochę zapamiętałam z planów robionych przez Stephena.

Na końcu schodów były drzwi, przez które weszłam do środka, chroniąc się przed wiatrem. Carla czekała na mnie siedząc na stołku obok pralki. Miała na sobie cytrynową sukienkę; korale jak zwykle grzechotały przy każdym ruchu. Pomieszczenie było ciemne, więc zapaliła światło i wskazała mi ręką krzesło.

Phyllis A. Whitney

— Widziałaś się z Orianą?

— Tak, widziałam się. Dlaczego nie jesteś z nią teraz? Wiedziałaś, że zmieniła plany i przyjeżdża wcześniej, niż tego oczekiwał Stephen?

— To ja powiedziałam, żeby przyjechała, jak dzwoniła z lotniska. Poprosiła koleżankę o podwiezienie.

— Mogłaś mi dać trochę czasu, żebym zdążyła usunąć się stąd przed jej przyjazdem. Meryl przyjedzie jutro zabrać Jilly, a ja zatrzymam się u nich w Charlottesville.

— Wiem. Właśnie do tego nie chciałam dopuścić... Ona czuje się tam fatalnie.

Carla jakoś dotychczas nie interesowała się samopoczuciem Jilly. Ciekawe, dlaczego teraz udawała, że ją to obchodzi.

— Dziewczynka będzie tam z Meryl — powiedziałam. — A Everett chyba nie sprzeciwi się za bardzo temu, czego chce jego żona.

— Nie znasz Everetta! Tak długo, jak on tu rządzi, Stephen nigdy nie będzie miał swojej szansy. Stephen mu ufa i wierzy w niego. To bezradny głupiec!

— Daleko mu do tego. — Widziałam, jak Carla skręca się ze złości. Na ręce miała bransoletkę z jakichś egzotycznych indyjskich nasion, którą przesuwiała w górę i w dół. — Może nikt z nas nie docenia Stephena — dodałam.

Potrząsnęła głową.

— To kaleka, naprawdę, chociaż ty nie chcesz tego dostrzec. Oriana to widzi.

Kłótnia z nią nie miałyby sensu.

— Jak myślisz, co zamierza Everett?

— Zatrudnić ludzi, którzy będą dokładnie wykonywali jego polecenia. W grę wchodzi duże pieniądze, a Everett chce na nich położyć łapę. Wiele się nau-

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

229

czyłam, od kiedy tu przyjechałam. Czy chcesz wciągnąć Jilly w to wszystko?

— Ktoś nastawał dzisiaj na nasze życie, Carlo. Ten głaz nie spadł sam z siebie. Nie wiem, czy to ja byłam celem... czy Jilly. Ale obie mogłyśmy zginąć.

Carla zsunęła się ze stołka i podeszła do mnie.

— Jilly zawsze była celem. Od dawna to czułam. Ona wie, kto jej zagraża, jestem tego pewna. Ale nic nie powie, bo kogoś osłania.

— Czwartą osobę — powiedziałam.

— Co?

— Czwartą osobę, która była na Białym Księżycu w dniu śmierci Luthera Kerstena i wypadku Stephena. Carla przyglądała mi się przez chwilę. Palce mocno zacisnęła na koralikach, że te zerwały się i rozsypały po cementowej podłodze. Była jakby nieobecna, a brązowe kuleczki spadały obok jej stóp. — Czwarta osoba? Ktoś, kogo Jilly musiała widzieć?

— Tak mi się wydaje, ale ona nie chce powiedzieć, kto to był.

— Więc śmierć Luthera to był splot okoliczności!

— Co masz na myśli?

Reszta koralików przeleciała jej między palcami.

— Dlaczego ta czwórka ludzi zebrała się tam razem tego dnia? Dlaczego zostali poddani testowi?

— O czym ty mówisz... jakiemu testowi?

— Przeznaczenie, Lynn... jakaś *karma* skazała Luthera na śmierć.

Miałam już dosyć takiego gadania.

— Carlo, dlaczego kłóciliście się z Paulem? Czy on coś zamierza?

— Nie więcej niż zazwyczaj. On zawsze coś zamierza. Myślę, że się trochę boi i ucieka z tonącego statku.



Phyllis A. Whitney

Tak czy inaczej, to nas do niczego nie zaprowadzi. Idę na górę.

— Czy ty wiesz, kto był tą czwartą osobą, którą widziała Jilly? — zapytałam.

— Oczywiście, że nie! — wybuchnęła, chcąc się jak najszybciej ode mnie uwolnić.

Wyszła przez drzwi prowadzące do pozostałych pomieszczeń gospodarczych, a ja jej w tym nie przeszkodziłam. Jednak nie chciałam siedzieć tu sama. Miejsce to było aż za ciche i puste, a tych obok nie znałam. Nie pamiętałam dokładnie planów Stephena, bo ta część domu niezbyt mnie interesowała.

Wyszłam powoli za Carlą, wyłączając za sobą światła i odnajdując przełączniki, dzięki którym mogłam oświetlić drogę przed sobą. Korytarz ciągnął się przede mną, a jego koniec skrywała ciemność. Kiedy otworzyłam podwójne drzwi po swojej prawej stronie i włączyłam światło, stwierdziłam, że znajduję się w „maszynowni” tego statku. Tak kiedyś określił to Stephen.

Tutaj znajdował się cały sprzęt elektryczny, potrzebny do podgrzewania wody za pomocą promieni słonecznych i urządzenia centralnego ogrzewania. Wielki, owalny zbiornik, wysoki prawie do sufitu, zawierał wodę do kaloryferów umieszczonych w podłogach. Na ścianach wisiały tablice rozdzielcze.

W drugim końcu pokoju mieściła się piwnica, w której przechowywano żywność.

Stephen zaplanował każdy szczegół, ale teraz znajdowałam się na nieznanym terenie i chciałam się jakoś stąd wydostać. Nie bardzo byłam pewna, którądy tu weszłam. Jakieś urządzenie zaczęło brzęczeć, zadrżałam z przerażenia. Moje nerwy były napięte aż do granic wytrzymałości, lecz miałam do tego pełne prawo.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

231

Ktoś mnie zawołał, odkrzyknęłam natychmiast i pobiegłam za głosem. Włączyły się kolejne światła i zobaczyłam Vivian, która zeszła tu w poszukiwaniu mnie.

— Carla powiedziała, że pewnie jesteś tutaj. Zgubiłaś się? Chodź na górę, Lynn. Meryl właśnie wyjechała z farmy, bo zadzwoniłam do niej z wiadomością, że Oriana już tu jest. Chce, żebyście z Jilly natychmiast udały się do Charlottesville.

Moje plany... jeżeli w ogóle takie miałam... zostały pokrzyżowane. Nie wiedziałam już, w którą stronę powinnam się skierować ani jak mam zapewnić Jilly bezpieczeństwo.

— Czy jesteś pewna, że postępujemy słusznie? — zapytałam. — To znaczy, czy ktokolwiek zapytał Jilly, czego ona chce?

— Ona wie, że jej matka jest tutaj. Chodź, Lynn. Julian chce się jeszcze z tobą zobaczyć, zanim wyjedziesz.

Łatwo było odnaleźć drogę na górę, mając Vivian za przewodniczkę. Może Julian pomoże mi znaleźć odpowiedzi na dręczące mnie pytania? Jednak kiedy weszłam do gabinetu, nie dane nam było długo rozmawiać. Przede wszystkim Julian chciał mi oddać mój turkusik.

— Został oczyszczony i odświeżony — powiedział. — Przeszedł kąpiel w słonej morskiej wodzie, a potem wysechł na słońcu. Odzyskał swój prawdziwy kolor. Schowaj go, Lynn.

Wzięłam do ręki kamień, zauważając, że jest na powrót błękitny.

— Szkoda, że nie mamy czasu na rozmowę, Julianie. Dręczy mnie wiele, wiele wątpliwości. Tyle się wydarzyło. Nie tylko gład... Pokój Carli, pocięte zdjęcie. Jilly nie mogła zniszczyć fotografii Luthera.

Phyllis A. Whitney

Julian posmutniał.

— To stare, prymitywne przekonanie... że można kogoś zranić, niszcząc jego zdjęcie.

— Ale Luther już i tak nie żyje.

— Lecz nie ktoś, komu na nim zależało.

— Masz na myśli Carlę? Wzruszył ramionami.

— Pośpiesz się, Meryl czeka na ciebie. Najlepiej będzie, jeśli wyjedziesz stąd na jakiś czas.

Torbę miałam już spakowaną na jutro, a kiedy chciałam ją zabrać, natknęłam się na Meryl czekającą w moim saloniku.

— Gdzie byłaś? — krzyknęła. — Pośpiesz się, wyjeżdżamy.

To „wyjeżdżamy” zabrzmiało tak konspiracyjnie, że poczułam się jeszcze gorzej.

Nie zostawiła mi czasu na niepewność.

— Vivian zabrała Jilly na dół, do samochodu. Julian uważa, że w tym domu mała nie jest teraz bezpieczna. Ale Oriana nigdy w to nie uwierzy. Zostawmy Stephena samego ze swoją tancerką, powie się jej, że już od dawna planowaliśmy ten wyjazd... Ale jej to pewnie i tak nie będzie obchodzić.

Jilly siedziała samotnie w samochodzie Meryl. Miałam jechać własnym autem, więc w Charlottesville nie będę się czuła uwiązana.

Przynajmniej opuszczałam Stephena i Orianą i nie musiałam być świadkiem tego, co dzieje się między nimi.

## 14

Dojechałam do domu Everetta tuż za Meryl. Imponujący budynek z cegły stał na zakręcie drogi w jednej z dzielnic mieszkalnych Charlottesville.

Do holu wiódł piękny, szeroki, biały portyk. Kończył się szklanymi drzwiami, przez które dostrzegłam taras. Na ścianie wisiała kolekcja broni różnego typu, należąca oczywiście do Everetta.

Meryl dostrzegła moje spojrzenie i ponuro skinęła głową.

— Wielki biały myśliwy! Myślistwo to w tych okolicach ulubiony sport. Przynoszenie dziczyzny do domu ma naturalnie swoje zalety, ale przypuszczam, że Everetta bawi samo zabijanie.

Zaskoczył mnie jej ton. Nie można przestawać z kimś, kto wyzwala tak wiele gorzkich emocji.

Po naszej lewej stronie białe schody, wyłożone dywanem w kolorze ciemnokasztanowym, zakreślały do góry. Jilly wbiegła na nie natychmiast. Od czasu, kiedy się do nich przyłączyłam, niewiele mówiła, lecz w połowie drogi zatrzymała się i spojrzała na Meryl.

— Który pokój chcesz przeznaczyć dla Lynn?

— Dlaczego sama jakiegoś dla niej nie wybierzesz, Jilly?

Twarzyczka dziewczynki rozjaśniła się.

Phyllis A. Whitney

— W takim razie wybieram ten obok mojego. Chodź, Lynn, pokażę ci.

Chciałam porozmawiać z Meryl, ale to mogło poczekać. Skinęła głową.

— Idź na górę, Lynn. Poproszę, żeby wniesiono twoją torbę. Zadzwońię do Everetta i powiem mu, że mamy w domu gości. Kolacja będzie około wpół do siódmej.

Jak zwykle poinformuje Everetta o wszystkim już po fakcie.

Na drugim piętrze przestronny hol znowu dzielił budynek na dwie części. Pokój Jilly, w którym najwyraźniej często się zatrzymywała, mieścił się na końcu. Był duży, jasny, z oknami po obu stronach, ukazującymi panoramę miasta.

— To naprawdę mój pokój — powiedziała Jilly. — Ciocia Meryl pozwoliła mi samej wszystko wybrać. Jest więc taki trochę leśny.

Podobała mi się tapeta w paprocie i kołdra w zielone gałązki. Obicia mebli w pierwiosnki, miękkie żółte narzuty — ten pokój miał o wiele bardziej osobisty charakter niż jakiegokolwiek pomieszczenie w domu Stephena. Małe, rzeźbione w drewnie zwierzątka maszerowały po obramowaniu kominka, wyłożonego zielonymi kafelkami.

I znowu kolorowe zdjęcie Oriany wisiało na ścianie, chociaż tym razem była na nim również kilkuletnia Jilly.

— Moja mama poleciła uszyć dla mnie taką samą sukienkę jak jej — powiedziała Jilly. — To są indyjskie stroje... a właściwie hinduskie. Zrobiła to zdjęcie w tym samym czasie, co to do pokoju taty. Przez chwilę przyglądała się fotografii, jak gdyby chciała powiedzieć jeszcze coś... ale nie zrobiła tego.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

230

— Jeśli chcesz, Lynn, możesz zająć sąsiedni pokój. Pokoje wujka Everetta i cioci Meryl są we frontowej części domu, więc tutaj nikomu nie będę przeszkadzać. — Mówiła teraz z jakąś dziwną apatią w głosie, jakby własne słowa już jej nie interesowały.

— Wcale nie uważam, że komukolwiek przeszkadzasz — powiedziałam. — Cieszę się, że zamieszkam w sąsiednim pokoju.

Znowu byłam wściekła na wszystkich, którzy wyrządzili temu dziecku tak wiele zła. Muszę jakoś dotrzeć do tej głęboko skrywanej rany i odnaleźć jej przyczynę. Miałam nadzieję, że pobyt z dala od domu ojca przyniesie Jilly trochę spokoju.

Pokój, który dla mnie wybrała, był atrakcyjny i znowu miał o wiele bardziej osobisty charakter niż te w domu Stephena. Ściany pokrywała szaroniebieska tapeta, przeplatana białymi nitkami, a na podłodze leżał puszysty dywan. Meble i narzuty były w odcieniach biało-niebieskich.

— Cudowny pokój — powiedziałam do Jilly. — Lecz nie bardzo wiem, dlaczego jestem tutaj. Wszystko stało się tak nagle.

Jilly spojrzała na mnie śmiertelnie poważnie.

— Powiedziałam cioci Meryl, że nie przyjadę bez ciebie.

To było zaskakujące i wzruszające.

— Dziękuję, Jilly. Chciałabym, żebyśmy się zaprzyjaźniły.

— Powiedziałam jej o głazie — ciągnęła dalej. — Czy na noc możemy zostawić moje drzwi otwarte, Lynn?

— Oczywiście. Jeśli chcesz. Skinęła głową uspokojona.

Phyllis A. Whitney

— Więc nic złego nie może mi się stać, prawda? A jak będę miała zły sen, to przyjdiesz i porozmawiasz ze mną?

— Oczywiście, Jilly. Miewasz złe sny?

— Czasami — odparła i odeszła do swojego pokoju, cicho zamykając drzwi.

Zastanawiałam się nad obrazem dziecka, jaki sobą przedstawiała — przerażonego i prześladowanego.

Od pierwszej chwili wyczuwałam jej strach... ale przed czym? Przed kim? Nowy niepokój ogarnął mnie na myśl o Meryl i Everecie. Meryl mogła lekceważyć męża, ale równie dobrze mogła być zmuszona do ścisłego wykonywania jego poleceń ze względu na swoją niepewną sytuację.

Trzeba się było przebrać do kolacji, więc wzięłam prysznic w łazience po drugiej stronie holu — łazience, którą miałam dzielić z Jilly — i założyłam sukienkę z kremowej wełny, przymarszczoną z przodu, z zamszowym paskiem. Prosta i raczej elegancka, coś, w czym czułam się swobodnie.

Założyłam klipsy z brązowymi agatami w złotej oprawie. Pomyślałam o Julianie

i o tym, jaki wpływ mogą mieć agaty na moje dobre samopoczucie. Dzisiaj ubierałam się dla siebie... może dla dodania sobie odwagi przed stawieniem czoła temu, co mógł przynieść wieczór z Everettem i Meryl. Nie umiałabym wyobrazić sobie dwóch braci, którzy różniliby się jeszcze bardziej niż Stephen i Everett, chociaż Stephen zawsze czuł respekt wobec starszego brata.

Kiedy byłam już gotowa, Jilly zapukała do drzwi. Jej wzrok wyrażał pochwałę dla mojego wyglądu.

— Chyba musimy zejść na dół, Lynn. — Jej „przebranie się” polegało na założeniu czystych dżinsów i sweterka. — Wujek Everett nie lubi, jak zakładam

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

237

spodnie do kolacji — zakomunikowała. — Ale chyba nie wyśle mnie na górę, kiedy ty tu jesteś. Starannie przemyślana prowokacja, lecz jak mogłam ją za to winić, gdy miałam tyle dowodów tyranii Everetta.

Razem zeszliśmy na dół pięknymi białymi schodami. W salonie płonął ogień w kominku, a Meryl i Everett kończyli właśnie drinki. Chciałam mieć jasny umysł, więc zdecydowałam się poprzestać jedynie na winie do posiłku. Zaczęliśmy kolację, lecz czułam, że coś wisi w powietrzu.

Przypuszczałam, że Everett wcale nie cieszy się z naszej wizyty. I chociaż zawsze siły tych dwojga ścierały się w bardzo wybuchowy sposób, teraz żadne z nich nie chciało wchodzić drugiemu w paradę. Everett przynajmniej starał się uczynić jakiś gest w moim kierunku, sadzając mnie przy owalnym stole w przepięknej jadalni. Zwieńczone łukiem okna ukazywały rozświetloną panoramę Charlottesville. Ciemne teraz góry, znajdujące się dalej niż te wokół nas w Nelson County, wbijały się w miejscami jeszcze różowe niebo.

W domu było sporo służby, w przeciwieństwie do ograniczonej pomocy, z jakiej korzystali Julian i Vivian. Everett hołdował winom z Wirginii i, jak powiedział, wino w moim kieliszku pochodziło z winnic w Shenandoah. Niestety, nie bardzo wiedziałam, co jem lub piję tego wieczora.

Napięcie, które wyczułam, nie zmalało ani trochę. Meryl była drażliwa i zdenerwowana, a Everett ciągle miał się na baczności. Może przewidywał jakąś znowę między nami. Nagle zdałam sobie sprawę z tego, że czekam na wybuch, który może nastąpić w każdej chwili. Jilly tylko zagęszczała atmosferę, w niezbyt subtelny sposób rozdrażniając wujka.



Phyllis A. Whitney

Gdy wreszcie przewróciła szklanekę z wodą, która pociekła w stronę Everetta, odłożył widelec zirytowany i odezwał się do żony:

— Nie rozumiem, po co ściągnęłaś tu Jilly, kiedy jej matka właśnie przyjechała do domu.

To nie był odpowiedni sposób rozmawiania przy małej, spojrzałam więc na nią niespokojnie przez stół. Jeżeli nawet wszystko słyszała, nie dała tego po sobie poznać, wpatrywała się w talerz i jadła niewzruszona, a usługująca nam kobieta wycierała rozlaną wodę.

Meryl odpowiedziała mu dosyć spokojnie.

— Julian uważał, że Oriana i Stephen powinni jakiś czas pobyć sami. Mają kilka spraw do przedyskutowania... Julian i Vivian zamierzają się wyprowadzić, a Paul i Carla też wyjeżdżają.

— O czym tu dyskutować? — zapytał Everett. — Dom się oczywiście zamknie.

Jilly nadal nie przejawiała żadnego zainteresowania tym, co właśnie zostało powiedziane.

— Jak sobie radzi Stephen? — spytał Everett. Meryl spojrzała na mnie chytrze.

— Może Lynn ci powie. Zdaje się, że urządzili sobie ze Stephenem wycieczkę. Na Biały Księżyc.

Everett popatrzył na mnie.

— Czy to rozsądne? Zabierać go tam?

— Szukaliśmy Jilly — odparłam. — I znaleźliśmy ją. Myślę, że Stephen też musiał dla odmiany gdzieś pojechać. Wydaje mi się, że właśnie przeszedł punkt zwrotny i od tej pory będzie robił dużo szybsze postępy.

— Oriana się ucieszy — powiedziała Meryl. Poczułam ogromną ulgę, gdy posiłek wreszcie się skończył. Dobrze, że nie będę musiała spędzić całego wieczoru z gospodarzami, bo Meryl załatwiła bilety na

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

239

festiwal filmowy trwający cały tydzień w kinie uniwersyteckim. Wyszli z Everettem zaraz po kolacji. Usiadłyśmy sobie z Jilly wygodnie przy kominku i, o dziwo, poczułam się w tym domu dużo swobodniej, mimo ciągłego napięcia, niż w domu Stephena, gdzie każdy zdawał się tkwić zamknięty w swoim prywatnym, pełnym problemów świecie. Tutaj przynajmniej główny problem został wyrażony w sposób otwarty. Jilly siedziała na poduszce na wprost ognia, wpatrując się w płomienie, przyniosła też z góry miniaturową kwarcową „góre”. Trzymała ją tuż/przy ogniu, a skałka błyskała kolorowo. Dziewczynka odezwała się, nie odwracając głowy:

— Wiedziałam, że mama przyjechała. Nie musieliście być tak tajemniczy i porywać mnie stamtąd. Gdyby ktoś powiedział mi wszystko wprost, i tak chciałabym tu przyjechać na jakiś czas.

— Dlaczego, Jilly?

— Nie chcę się z nią teraz widzieć. Carla naopowiada jej o mnie... o tym, że chcę tańczyć w zły sposób. A ona będzie smutna i rozczarowana. Przecież nie mogę być zawsze taka jak ona chce. Naprawdę nie mogę!

— Jak ci się wydaje, jaka masz być, zdaniem twojej mamy?

— Jak ona. Jak to zdjęcie na górze w moim pokoju, na którym jesteśmy tak samo ubrane i tańczymy w ten sam sposób. Ona chce, żebym nosiła te staromodne sukienki, które specjalnie dla mnie uszyła. Ale nie da się chodzić w nich po górach, a ciocia Meryl mówi, że mogę nosić dzinsy, kiedy tylko mi się podoba. Lynn, nie mogę być kopia mojej matki. Muszę być taka, jaka jestem... a to ją przygnębia. Czuję się fatalnie, kiedy ona jest smutna. Jest piękna i cudowna, i bardzo ją kocham, tak samo jak tatuś. Ale ona bar-

Phyllis A. Whitney

dzień przypomina dobrą wróżkę z bajek niż prawdziwą mamę.

Nie miałam pojęcia, co powinnam z tym zrobić — oprócz zezłoszczenia się na Oriane i Stephena za ich zaślepienie. Ale to nie pomoże Jilly. Wiedziałam już, że gniew nie rozwiąże żadnego problemu, chociaż czasami bywał przydatny do wzbudzenia w ludziach jakichś emocji.

Jilly mówiła dalej:

— Jak chodziłam do szkoły z różnymi dziećmi, ich mamy były inne. To oczywiście fascynujące mieć taką mamę jak Oriana Devi, ale czasami chciałabym... — Przerwała, a potem zaczęła szybko mówić dalej: — Jeśli to, co twierdzi wujek Julian, jest prawdą, że to Amber wróciła w moim ciele, to ktoś, kogo nigdy nie znałam, jest moją prawdziwą matką!

— Och, Jilly!

Dziewczynka załapała się łzami. Bardziej od słów potrzebne jej było znaleźć się w objęciach kogoś, kogo kochała. Siedziała jednak koło mnie jak mały jeżozwierz i nie zachęcała do niczego... nie mnie. Sięgnęłam do kieszeni sukienki i wyciągnęłam dwa kamienie, które tam wcześniej włożyłam.

— Spójrz, Jilly. Julian oddał mi turkus, który znowu jest niebieski, więc wszystko będzie dobrze.

Zatrzymałam różowy kwarc, który dostałam od ciebie. Lubię trzymać go w dłoni i czuć jego ciepło.

Pomaga mi bardziej niż turkus. Czasami wszyscy potrzebujemy jakiejś pociechy, Jilly.

Odprężyła się trochę, uradowana z powodu kamienia.

— Cieszę się, że ci pomaga, Lynn.

Potem już nie rozmawiałyśmy wiele. Siedziałyśmy razem przy kominku nie dotykając się, a jednak będąc

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

241

bliżej siebie niż kiedykolwiek. Jej uwaga znowu skupiła się na „górze” z nie szlifowanego kwarcu, po której mogła się wspinać. W świetle ognia wszystko wydawało się szczytami i głębokimi dolinami. Wiedziałam, że bawi się w małego narciarza.

— Ojej! Właśnie wpadłam w zaspę! Śmiałyśmy się obie i przez chwilę byłyśmy przyjaciółkami. Zanim poszłyśmy na górę do łóżek, przygotowałyśmy sobie w kuchni po szklance gorącego mleka. W nocy służby nie było, lecz Jilly wiedziała, gdzie są schowane ciasteczka z mąki owsianej. Jedząc rozmawiałyśmy jeszcze przez chwilę.

— Mam nadzieję, że dziś nie będę miała złych snów — powiedziała. — Czasem, gdy zamykam oczy, słyszę spadającą z urwiska skałę. Wujek Julian powiedział, że ten głaz nie miał nas skrzywdzić... ale ciągle boję się na samą myśl o nim.

Przez moment, po stoczeniu się bloku, mogłam ją trzymać mocno w ramionach, chciałabym móc to zrobić i teraz. Ale wiedziałam doskonale, jak bardzo dziecko może się zamknąć w swojej prywatności, i kiedy możliwa jest pomoc w sensie psychicznym. Jilly za bardzo zajęta była ochronieniem jakiejś dawnej rany, by się wobec mnie otworzyć.

— Dlaczego uciekłaś od mojego taty? — zapytała nagle.

Trudno było udzielić szczerzej odpowiedzi na to pytanie... jeśli w ogóle taką odpowiedź znałam.

— Do tej pory nie jestem tego pewna, Jilly. Chyba byłam wściekła i zazdrosna o twoją mamę. Miałam taki uparty charakter, że nie zostałamby, jeśli on chciał kogoś innego. Może mój wyjazd był dla nas wszystkich najlepszym rozwiązaniem. Znalazłam pracę, którą

Phyllis A. Whitney

chciałam wykonywać, a Oriana wyszła za twojego tatę. Gdybym nie uciekła, pewnie nie byłoby cię tu teraz. Potrząsnęła poważnie głową.

— Wujek Julian mówi, że gdybym nie urodziła się jako córka moich rodziców, to wybrałabym dwoje innych. Tak czy inaczej przyszedłabym na świat. Och, zapomniałam ci powiedzieć: wujek Julian przyjeżdża jutro do Charlottesville i chce się z nami spotkać. Będę musiała załatwić to z ciocią Meryl. Pójdiesz ze mną, prawda?

— Oczywiście — powiedziałam.

Ciągle czułam się dziwnie z powodu mistycznych idei Juliana Forstera. Chciałabym, żeby był jeszcze ktoś, z kim mogłabym o tym porozmawiać. Ale kto to mógł być, oprócz samego Juliana?

Po wypiciu mleka Jilly zrobiła się śpiąca, poszłyśmy więc razem na górę. Gdy już się ułożyła do snu, opatulłam ją kołdrą, a nawet pocałowałam w policzek. Nie stawiała oporu.

— Otworzę drzwi do siebie, zanim się położę — obiecałam. — Zamknę je tylko na chwilę, żeby światło nie przeszkadzało ci zasnąć.

Chyba była zadowolona z takiego obrotu sprawy, a ja z kolei cieszyłam się, że przed pójściem spać będę mogła pobyć trochę sama. W pokoju odkryłam mały balkon, założyłam szlafrok i wyszłam na zimne, orzeźwiające powietrze. Jak każde miasto, Charlottesville miało swój własny styl, lecz ten nigdy nie dotarł do nowojorskiego zgiełku. Z powodu miejskich świateł gwiazdy nie świeciły tu tak jasno, jak nad domem Stephena. Miasto było pełne drzew, patrzyłam więc ze wzgórza na ciemne przestrzenie, zakłócanie światłami ulic i samochodów.

Nie chciałam o niczym myśleć. Chciałam oczyścić

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

243

umysł, poczuć spokój, senność, zapomnieć o Stephenie i o wszystkim, co wydarzyło się od mojego przyjazdu do Wirginii. W pracy przyswoiłam sobie wiele psychologicznych... może nawet metafizycznych zasad postępowania. Smutne myśli zawsze można zamienić w radośniejsze, jeśli tylko się nad nimi zastanowić. Ale ciągła negacja była zjawiskiem jak najbardziej ludzkim, a i ja nie zawsze umiałam postępować zgodnie z własnymi wskazówkami.

Teraz jednak wiedziałam, że nie przyjechałam do Wirginii ze względu na Jilly, lecz dlatego, że znowu chciałam zobaczyć Stephena. Musiałam uwolnić się od starych pytań i pragnień, do których nie przyznawałam się nawet przed sobą... i nie byłam w stanie spełnić.

Lepiej było myśleć o Jilly i o tym, jak mogłam jej pomóc uciec od strachu, jaki ją gnębił i powstrzymywał od bycia sobą.

W porównaniu z chłodnym balkonem mój pokój wydawał się ciepły i przytulny. Byłam gotowa do snu. Zgasłam nocną lampkę i otworzyłam drzwi do pokoju Jilly. Przez chwilę stałam, wsłuchując się w jej spokojny oddech, a potem wskoczyłam pod kołdrę w niebieskie gałazki i szybko zasnęłam. Obudziłam się, gdy na podjazd wjechał samochód Meryl i Everetta. Słyszałam, jak wchodzi po schodach i udają się do swoich pokoiów we frontowej części domu. Potem jednak szybko zasnęłam i nawet jeśli tamci rozmawiali, nie przeszkadzało mi to. Nic nie zakłócało mojego snu aż do jakiejś drugiej nad ranem, kiedy to usłyszałam zdławione odgłosy przerażenia, dochodzące z pokoju Jilly. Rozbudziłam się natychmiast. Włączyłam lampkę i podbiegłam do drzwi. W pokoju zobaczyłam jedynie puste łóżko. Znalazłam szybko przełącznik światła i do

Phyllis A. Whitney

strzegłam zmarzniętą dziewczynkę skuloną na dywaniku przed wygasłym kominkiem. Kołysała się w przód i w tył, jęcząc cicho, przerażona.

Usiadłam obok i przytuliłam ją delikatnie. Przez chwilę patrzyła na mnie dzikim wzrokiem, a potem objęła mnie mocno.

— Znowu mi się to śniło! — krzyknęła. — Straszny sen!

Trzymałam ją w objęciach szepcząc:

— Możesz mi o tym opowiedzieć?

Jeszcze głębiej ukryła się w moich ramionach.

— To to... to coś! Małe, czarne, włochate, bez twarzy. Spada prosto na mnie i przysysa się do mojej szyi. Czuję, jak wbija we mnie ostre zęby i nie mogę się obudzić. Wiem, że to tylko sen, ale nie mogę się obudzić!

— Już się obudziłaś, wszystko minęło — uspokoiłam ją.

Doskonale znałam te przerażające dziecinne sny. Czasami przychodziły do dzieci bardzo chorych, które nie umiały radzić sobie z realiami życia, a co dopiero ze światem snów. Właśnie zaczynałam rozumieć, co Julian miał na myśli, mówiąc, że Jilly jest „umierająca”. Jeżeli wszystkie jej problemy jeszcze nie zostały wyjaśnione, wewnętrzna walka mogła przyprawić ją o poważną chorobę.

Tuliłam ją w ramionach; przywarła do mnie zadowolona z bycia przez moment z kimś blisko.

Dokładnie tak samo było po stoczeniu się głazu.

— Powiedziałaś o tym śnie Julianowi? — zapytałam.

— Tak. On twierdzi, że złe duchy czasami dla zabawy wchodzą w człowieka. Powiedział, że zawsze przed pójściem spać muszę odmówić modlitwę, która ma mnie chronić podczas snu. Moi strażnicy będą się mną wtedy opiekować.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

245

— I modlisz się?

— Czasem zapominam.

— Czy to wtedy ten włochaty stwór się do ciebie dobiera?

Poruszyła się i wyrwała z moich objęć.

— Nie wiem! Może przychodzi niezależnie od tego... Nie pamiętam!

— Musisz jednak pamiętać, że to nie dzieje się naprawdę. Obudzisz się i wszystko minie jak zły sen. Odmów modlitwę dla ochrony, czy jak chcesz to nazwać, i powiedz sobie, żeby całe zło trzymało się od ciebie z daleka. Ty jesteś silniejsza od niego!

Drzwi do holu otworzyły się cicho, obejrzałam się — to była Meryl. Znowu przyszło mi na myśl, jak dziwnie zwyczajna czasami mi się wydawała i jak to zupełnie nie miało znaczenia. Meryl miała swą charakterystyczną osobowość. W różowym, wełnianym szlafroku, który miała na sobie, nie było jej do twarzy, ale to nie było ważne. Czułam jej siłę, wigor i pewność siebie we wszystkim, co robi.

Gdybym jeszcze ja była równie pewna, że to, co ona robi, jest dobre i słuszne.

— Co się dzieje? — zapytała. — Znowu zły sen, Jilly?

Dziewczynka odsunęła się ode mnie — fizycznie i emocjonalnie — jak gdyby obawiała się, że ciotka będzie się z niej naśmiewać.

— Położymy cię z powrotem do łóżka — powiedziała Meryl.

Podniosła nie stawiającą oporu Jilly i zaprowadziła ją do łóżka. Mała weszła pod kołdrę i zamknęła oczy, Meryl zgasła światło i przywołała mnie do sąsiedniego pokoju. Zamknęła drzwi i usiadła na krześle, ziewając przeraźliwie.



Phyllis A. Whitney

— Boże! Jak ja nie cierpię budzić się w środku nocy. Z drugiego końca holu słyszałam, jak z nią rozmawiasz. Dobrze, że Everett śpi jak zabity.

— Nie słyszałaś, jak Jilly jęczała przez sen?

— Tym nie muszę się przejmować. Robi to niemal co noc, zanim nie obudzi się i nie uwolni od tego co ia dręczy.

— Nie uważasz, że powinniśmy się dowiedzieć co ją niepokoi?

— Masz rację... jesteś w końcu ekspertem od dzieci! Cóż, może tobie się uda ją wypytać. Ze mną nie będzie chciała rozmawiać; myślę, że nawet Julianowi tego nie zdradziła.

Meryl była wręcz gruboskórna i nawet nie współczuła dziewczynce. Teraz zaczęła mówić na zupełnie inny temat, który tak naprawdę wcale mnie nie interesował.

— Lynn, myślałam o tym, co wydarzyło się na farmie. Proszę, nie myśl, że między mną i Paulem Woolfem jest coś poważnego. Tamto już się skończyło. To dosyć głupi facet i nudzi mnie. Po prostu nie umiem się oprzeć żadnemu przystojnemu mężczyźnie.

— Ja cię nie osądzam — powiedziałam łagodnie. Jej szczerłość sprawiła, że poczułam się nieswojo. Nie miała powodu, żeby mi się zwierzać.

— Próbowалаś przekonać Everetta, by zmienił decyzję co do wyjazdu Forsterów?

— Pracuję nad tym, ale nie liczę na nic.

Meryl oczywiście blefowała. Nie odważy się nic powiedzieć Everettowi... on by ją zniszczył. Zresztą wcale nie jest dobrą szantażystką.

Było jeszcze pytanie, które musiałam zadać — niezależnie od tego, czy otrzymam na nie jasną odpowiedź czy nie.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

247

— Tego dnia na Białym Księżycu — zaczęłam — kiedy Stephen miał wypadek... byłaś tam, Meryl? Popatrzyła na mnie ostrożnie, próbując zrozumieć moje słowa. To spojrzenie mogło świadczyć o jej niewinności, ale niekoniecznie.

— Oczywiście, że mnie tam nie było. Skąd ci to przyszło do głowy?

— Jest pewne podejrzenie, że przy śmierci Luthera Kerstena i wypadku Stephena był obecny jeszcze ktoś czwarty. — Nie zamierzałam jej mówić, skąd ono się wzięło.

Natychmiast podjęła temat.

— Kto tak podejrzewa?

— To nie ma znaczenia. Już odpowiedziałas na moje pytanie.

Pominała to milczeniem i ziewnęła przeciągając się. Podniosła się i ruszyła w stronę drzwi.

— Muszę się trochę przespać. Dziękuję, że zajęłaś się Jilly, Lynn.

Wychodziła powoli, dając mi do zrozumienia, że nie dotknęły jej moje słowa. A może żałowała tego, co powiedziała o Paulu.

Jakoś nie rozmawiałyśmy o tym, co przydarzyło się dzisiaj mnie i Jilly. Wprawdzie dziewczynka wszystko jej opowiedziała o głazie i o Śpiewających Skałach, ale my obie nie poruszałyśmy tego tematu.

## 15

Rano wszystko przebiegało dużo szybciej, niż się spodziewałam. Kiedy siedziałyśmy z Jilly przy śniadaniu, starannie unikając rozmowy na temat wydarzeń ostatniej nocy, Meryl, która zjadła z Everettem, zanim ten wyszedł do biura, weszła powiedzieć nam, że dzwonił Julian. Chciał przyjechać z Vivian prosto do księgarni „Quest”, w której ja i Jilly miałyśmy się z nim spotkać.

— To trochę dziwne — zauważyła Meryl. — Nie rozumiem, dlaczego nie przyjechał najpierw tutaj, żeby was zabrać. Coś wisi w powietrzu. Zresztą to nie ma znaczenia, masz samochód, więc możecie pojechać wcześniej, jeśli będziecie wołały tam na nich poczekać. Jak będziesz miała okazję, dowiedz się, co się dzieje z Orianą.

Niewiele mnie to wszystko obchodziło.

— Jak myślisz, o co tu chodzi? — zapytałam. Meryl spojrzała na Jilly i pominęła milczeniem moje pytanie.

— Jak się czujesz, kochanie?

Dziewczynka wzruszyła ramionami, patrząc gdzieś daleko przed siebie. Najwyraźniej nie chciała rozmawiać o tym, jak się czuje, ani co się wydarzyło zeszłej nocy. Uczucie bliskości, jaka przez chwilę nas łączyła,

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

249

już dawno minęło, a Jilly znowu schroniła się w swojej skorupce.

Wyjechałyśmy w porze otwierania sklepów; Jilly chyba cieszyła się, że zobaczy się z Julianem. Znała drogę i mówiła mi, jak mam jechać. Okna księgarni wychodziły na szeroką Main Street i starszą część miasta. Znalazłam miejsce do zaparkowania przed samym sklepem i razem weszłyśmy do środka.

Duże kwadratowe, jasne pomieszczenie, zachęcało do wstąpienia do środka, a półki i gabloty z książkami były wygodnie rozmieszczone. Książki na wystawie przyciągały uwagę, zapraszały, aby usiąść przy małych stolikach i przeglądać je, popijając kawę. Przytulny sklep, w którym goście czuli się jak w domu.

Przeszłam między półkami, czytając niektóre tytuły. Były tu dzieła z każdej możliwej dziedziny zaczynającej się od „psy-”. Sklep zaspokajał rosnące zainteresowanie tą tematyką, mającą zapewne oderwać nas od szarej rzeczywistości poprzez przypomnienie cudów, jakie zagubiliśmy w naszym stuleciu wiedzy i pragmatyki.

Jilly trafiła na wykaz kryształów, kamieni i wisiorków, który przyciągnął jej uwagę. Spojrzałam na motto: *Wszystko jest we właściwym miejscu i wszystko jest we właściwym czasie*. Chciałabym wierzyć, że odnosiło się także do mojego życia.

Przechadzając się między półkami, poczułam, że przenika mnie „aura” tego sklepu. Może miliony słów dotyczących myślenia Nowego Wieku — który tak naprawdę był bardzo stary — dawały znać o sobie. Zastanawiałam się, czy i przede mną otworzą się jakieś nowe drogi, jakieś ścieżki nadziei. Albo światła? Na razie nie czułam się specjalnie oświecona ani pełna nadziei. Jak mogłam podejmować nowe decyzje, jeżeli jeszcze nie uporałam się ze wszystkimi następstwami starych?

Phyllis A. Whitney

Wzięłam sobie gorącą owocową herbatę, usiadłam i zagłębiłam się w książce o „innych życiach”.

Herbata smakowała wybornie — jabłkami i goździkami.

Miły, czytany młody człowiek za ladą znał Jilly i właśnie rozmawiali oboje o jakichś interesujących kamieniach. Teraz mogła na nowo stworzyć swoją kolekcję, której się pozbyła wczoraj, zostawiając ją u stóp „staruszków”.

Autor książki, jaką wybrałam, był znanym psychiatrą, który wysyłał swoich pacjentów w przeszłość, by dowiedzieć się czegoś o niepokojach dręczących ich w obecnym życiu. Jeden z opisanych przypadków dotyczył kobiety, cierpiącej na straszne bóle karku. Gdy lekarz cofnął ją w czasie, okazało się, że została zgilotynowana podczas Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Życzyłam pacjentom doktora jak najlepiej, ale przerwałam czytanie. Nie każdy był kiedyś królową Egiptu, a w przeszłości czaiło się wiele niebezpieczeństw. Niezależnie od tego, jakie życie wiedliśmy przed obecnym, i tak musieliśmy jakoś umrzeć... choć me zawsze była to śmierć przyjemna. Nie chciałabym cofać się do poprzednich wcieleń. Nie chciałam ich znać.

Ciągle starałam się ochłonać z wrażenia, jakie wywarły na mnie losy tej kobiety, kiedy weszli Julian i Vivian. Natychmiast zorientowałam się, dlaczego chcieli przyjechać prosto do sklepu. Vivian trzymała otwarte drzwi, a Julian pchał wózek Stephena. Jego nagłe pojawienie się sprawiło, że poczułam się bezradna, jakby złapana w pułapkę... i równie podatna na cierpienie jak Jilly. Dobrze, że chociaż Oriany z nimi nie było.

Vivian poklepała Stephena delikatnie w ramię, podeszła do mnie i usiadła obok.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

246

— Cześć, Lynn. Wierz mi, to nie był pomysł Juliana ani mój. Nie pozwoliliby Paulowi lub Emory przyjechać tutaj, mnie też to się nie podoba. Stephen coś zamierza, ale nie wiem, co. Przykro mi, Lynn.

Ja też nie byłam najszcześniejsza z tego powodu. Patrzyłam, jak Stephen podjeżdża do Jilly.

— Gdzie jest mama? — zapytała dziewczynka.

— Jest parę spraw, które chciała przemyśleć, a najlepiej jej się myśli, kiedy tańczy, więc teraz to robi. Julian powiedział, że tu będziesz, toteż zdecydowałem się przyjechać.

Jilly patrzyła na ojca z powątpiewaniem. Chyba zbyt wiele razy w ciągu ostatniego roku ją zawiódł, by teraz mogła mu całkowicie zaufać.

Stephen mówił dalej, dużo delikatniejszym tonem, niż zdarzyło mu się to kiedykolwiek od mojego powrotu do Wirginii.

— Jest takie miejsce, które zawsze chciałem ci pokazać, Jilly, ale jakoś nigdy mi się to nie udało. Możemy to zrobić dzisiaj... jeżeli masz ochotę pojechać.

— Pojechać, dokąd?

— Niech to będzie niespodzianka. Przecież zawsze lubiłaś niespodzianki.

Chyba ostatnio zbyt wiele było niemiłych, bo nadal patrzyła na niego z powątpiewaniem.

— Czy Lynn też pojedzie?

— Ona nas tam zawiezie — powiedział uspokajająco.

Zachowywał się tak, jakby mnie nie dostrzegał, ale wiedziałam, że jestem częścią jego planu, jakkolwiek by nie był. Nie chciałam nigdzie jechać ze Stephenem, spojrzałam więc błagalnie na Juliana.

Ale ten mnie zdradził — nawet nie odwrócił się w moją stronę.

Phyllis A. Whitney

— Jestem pewien, że Lynn ucieszy się, mogąc was tam zawieźć, Stephenie. Jej samochód stoi przy wejściu.

Nikt nie czekał na moją zgodę i wyglądało na to, że nie ma możliwości przerwania sieci niepokojów, jaką zaczynał snuć Stephen. Jego wózek trzeba było zostawić na miejscu, w czasie wyprawy będzie musiał poruszać się o kulach. Trochę poniewczasie Julian odezwał się do mnie, kiedy Vivian otworzyła drzwi, by Stephen mógł wyjść ze sklepu.

— Nie martw się, Lynn. Wszystko będzie dobrze, takie mam przeczucie, a Stephenowi także dobrze zrobi spędzenie trochę czasu z Jilly.

Ciekawa byłam, ile dobrego przyniesie to mnie. Zdaje się, że straciłam całą siłę woli. Może dlatego, że tak właściwie, wcale nie miałam zamiaru sprzeciwić się temu, co miało się wydarzyć... Byłam gotowa zgodzić się na wszystko.

Stephen usiadł na przednim siedzeniu mojego samochodu, a Jilly, uśmiechnięta, z tyłu. I znowu Stephen wskazywał mi drogę. Szybko zorientowałam się, dokąd jedziemy i przeraziłam tego, co mogło się wydarzyć.

Stephen, odwracając głowę, odezwał się do swojej córeczki:

— Byłaś w Monticello, Jilly, ale nigdy nie pokazałem ci uniwersytetu zaprojektowanego przez Thomasa Jeffersona. Kiedy poznałem Lynn, na długo przed tym, jak poznałem twoją mamę, miała tam wykłady, a ja uczęszczałem na specjalny kurs architektury. Spotkaliśmy się na jakichś zajęciach. Pokażę ci, dokąd wtedy chodziliśmy.

Nie miałam nic do powiedzenia w czasie ich rozmowy. Nie chciałam słuchać o jego planach. Po prostu jechałam, skręcając we właściwe ulice, a później znalazłam miejsce na parkingu przystosowanym dla osób

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

253

niepełnosprawnych. Potem siedziałam i czekałam, nie patrząc na Stephena usiłującego wysiąść z samochodu — nigdy przecież nie chciał pomocy. Jilly z niepokojem na twarzy podała mu kule. Nie było sposobu zapobieżenia temu, co miało się wydarzyć. Wiedziałam, jak wiele bólu będzie mnie kosztowało to doświadczenie.

Rotunda wydawała się jeszcze piękniejsza, niż ją zapamiętałam: wspaniała biała kopuła, białe kolumny i szerokie białe schody przykuwały uwagę wszystkich zwiedzających. Budynek, trochę mniejszy od rzymskiego Panteonu, na którym był wzorowany, wznosił się na tle niebieskiego, listopadowego nieba. Dzień był niemal wiosenny, podobny do tych, z jakimi kojarzyło mi się to miejsce. Wszędzie rosły drzewa i wiedziałam, jak pięknie wyglądają wiosną, pokryte kwiatami. Podeszliśmy z boku, żeby Stephen nie musiał wchodzić po zbyt wielu schodach. Zatrzymaliśmy się w środku, przyglądając się sklepieniu rotundy. W budynku mieściła się biblioteka, a w salach pod nami — czytelnie. Z głównego pomieszczenia biegły piękne, kręcone schody, tworząc coś w rodzaju skrzydeł nad wejściem. Jakaś wycieczka zebrała się przed marmurowym pomnikiem Jeffersona dłuta Alexandra Galta, stanęliśmy więc trochę z boku. Przysłuchiwałam się Stephenowi rozmawiającemu z córką. Nic nie może przerwać uczucia, jakie znowu zaczynało ich łączyć, lecz jedyną rzeczą, której pragnęłam dla siebie, to nie czuć niczego.

Stephen opowiadał łagodnym i cichym głosem:

— Uniwersytet, którego każdy gmach Jefferson tak wspaniale zaprojektował, otworzył swoje bramy w 1825 roku, Jilly. Zaledwie rok przed śmiercią Jeffersona. Uważał go za swoje najwspanialsze osiągnięcie. Na kamieniu, jaki kazał postawić na swoim grobie w Monticello, wspomina, że zaprojektował budynki



Phyllis A. Whitney

uniwersyteckie, ale nie że był prezydentem Stanów Zjednoczonych.

— Był jakiś pożar w rotundzie, prawda? — zapytała Jilly. — Wujek Julian powiedział, że cała spłonęła. — Tak... to była niepowetowana strata. Miało to miejsce w 1885 roku i oprócz zwęglonych okrągłych ścian nic z niej nie pozostało.

— Ale przecież ją odbudowali?

— Niestety, sprowadzono Stanforda White'a, jednego z najsłynniejszych architektów tamtych czasów, i to on odbudował rotundę po pożarze. Ale nie według projektów Jeffersona. Wielu ludzi bardzo to martwiło, lecz dopiero w ostatnich latach uzbierano wystarczająco dużo pieniędzy, by odrestaurować wnętrze zgodnie z oryginalnymi planami... i tak właśnie teraz wszystko wygląda. Jilly słuchała uważnie słów ojca, rozglądając się dokoła. Wspaniale było widzieć ich razem; Stephen poruszał się o kulach, udając, że nie jest to dla niego żaden wysiłek, a ja szłam za nimi, usiłując nie dopuszczać do siebie żadnych wspomnień.

Podeszliśmy do miejsca, skąd mogliśmy spojrzeć na budynki połączone z rotundą od południa. Jefferson nazwał je Miasteczkiem Akademickim. Na każdym brzegu prostokąta, nazywanego Zieleńcem, stały pawilony.

Nie mogłam już dłużej opierać się wspomnieniom.

Tyle razy spacerowałam ze Stephenem po tym wielkim trawniku! Czułam niemal zapach kwitnących drzew.

Kiedy byłam tu ostatnio, jeszcze zanim się pobraliśmy, były obsypane kwiatami.

Stephen, podpierając się na kulach, wyjaśniał Jilly: — Pięć pawilonów na każdym z boków prostokąta,

każdy wybudowany według innego projektu klasycznej

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

255

amerykańskiej architektury, a połączone są arkadowym chodnikiem. Kiedyś na górze mieszkali profesorowie uniwersytetu, na dole zaś mieściły się klasy i biura. Każdy budynek ma z drugiej strony ogród, ciągnący się aż do burs, w których znajdowały się pokoje studentów. Sześć budynków na najdalszym krańcu znanych było jako „hotele”, a studenci wykorzystywali je jako stołówki. Teraz jednak również urządzono w nich pokoje studenckie, gdyż tamte pomieszczenia nie były wystarczająco obszerne dla obecnej liczby uczących się.

Małe ogródki pełne były drzew — wierzb płaczących, czerwonych dębów, magnolii, drzew mahoniowych, a także tulipanów, mirtów i wielu innych roślin. Nad nimi wznosił się cis angielski i świerk norweski. Ogrody były oddzielone od siebie, według wspaniałego projektu Thomasa Jeffersona, „serpentynowatymi”, symetrycznie zakręcającymi murkami z czerwonej cegły. Teraz, z wyjątkiem tych wiecznie zielonych, drzewa zrzucały liście, a ja chciałam wreszcie zapomnieć o wiośnie.

Szliśmy osłoniętym arkadami chodnikiem. Stephen odezwał się do Jilly:

— Na wprost nas znajduje się pokój Edgara Allana Poe. Czytałaś jakieś jego opowiadania, Jilly? Oczywiście. Jilly uwielbiała czytać i pochłaniała każdą książkę, jaka wpadła jej w ręce.

— Czy jego pokój jest równie przerażający jak on sam? — zapytała ojca.

— Nie wiem, na ile on był przerażający... nie biorąc pod uwagę jego wyobraźni — odparł Stephen. — Nie studiował zbyt długo na tym uniwersytecie. Szczerze mówiąc, przypuszczam, że nie miał z czego spłacić długów i musiał wyjechać. Teraz jednak każdy jest oczywiście dumny, że Poe w ogóle uczęszczał tu na zajęcia.

Phyllis A. Whitney

Napisał nawet kilka opowiadań o miesiącach, jakie spędził w Wirginii. Jak pójdziesz naprzód i znajdziesz strzałkę, to będziesz mogła zajrzeć przez próg do jego pokoju. Urządzono go tak, jak mógł wyglądać w czasach Poego, a tylko raz w roku otwarty jest dla zwiedzających.

Chodnik wiodący obok pawilonów po tej stronie był bardzo długi. Kiedy Jilly pobiegła przodem, Stephen zatrzymał się i oparł plecami o ścianę. Niewiele się do mnie odzywał od wyjazdu z księgarni — teraz stał przyglądając mi się.

— Pamiętasz, Lynn?

— Nie chcę pamiętać — odparłam chłodno. — To już dawno minęło i nie ma nic wspólnego ze mną. Zachowywał się tak, jakby myślał na głos.

— Od lat tu nie byłem. Ciekawe, jak bym się czuł, gdybym tu wrócił.

Nie obchodzi mnie to, jak on by się czuł, pomyślałam. Tak dużo wysiłku kosztowało mnie trzymanie na wodzy własnych uczuć. To okrutne z jego strony, ściągnąć mnie tutaj. Nie mogłam znieść myśli o tej naiwnej młodej kobiecie, którą byłam... Tak głupio pełnej nadziei i gotowej uwierzyć w to „już na zawsze”.

— Nie przypuszczałem, że tak się będę czuł — powiedział cicho. — To były dobre czasy, Lynn.

Ostatnio zacząłem się nad nimi zastanawiać. I nad tym, jak młodzi wtedy byliśmy.

— To nie ma sensu — stwierdziłam.

— Chyba masz rację. A jednak musiałem tu dziś przyjechać i czegoś się dowiedzieć.

Znowu nie miałam pojęcia, o co mu chodzi.

— Co ci się przypomina, Lynn, kiedy rozglądasz się dokoła?

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

257

Przypominało mi się wszystko. Wspomnienia dławily mnie, zmuszały do milczenia.

— Wiesz, co ja pamiętam? — zapytał. — Pamiętam nas... biegających po Zieleńcu.

Nic nie mogłam na to odpowiedzieć. A już na pewno nie mogło to być jakieś kłamstwo w stylu: „Ależ oczywiście, znowu będziesz biegał”.

— Lekarze sądzili, że nie będę mógł chodzić nawet o kulach — powiedział. — Chyba pracowałem nad sobą dużo bardziej od twojego przyjazdu. Wczoraj przyszło mi zmusić się do zrobienia czegoś, co oni uznali za niemożliwe.

— Co mógł zmienić mój przyjazd?

— Tobie nie jest mnie żal. Zazwyczaj się wściekasz

i oskarżasz mnie o zaniedbywanie Jilly. Więc może musiałem to zrobić. Zachowujesz się tak, jak gdyby to, że jeżdżę na wózku, nie miało żadnego znaczenia.

— Oczywiście, że ma znaczenie. Przepraszam, jeśli zachowałam się nierozważnie. Myślałam jedynie o Jilly. Stephenie, nie winię cię już za to, co się stało. Byłam zbyt młoda, by wiedzieć, jak utrzymać małżeństwo. I za bardzo pochłaniały mnie moje własne zranione uczucia.

— Masz rację.

Na końcu chodnika Jilly znalazła pokój Poego i stała tam, zaglądając do środka przez szklane drzwi. Jej wyobraźnia będzie teraz pracować na pełnych obrotach — to dobrze.

— Oriana odchodzi ode mnie — oznajmił Stephen. Byłam zaskoczona. Słyszałam ogromny smutek w jego głosie i nagle opadły mnie wszystkie moje niepewne uczucia. Usiadłam na schodach wiodących do pawilonu i objęłam kolana rękoma.

— Nie obawiaj się — powiedział. — Nie chcę cię zmuszać do opieki nad sobą. Pomyślałem po prostu, że

Phyllis A. Whitney

powinnaś o tym wiedzieć. Zanosiło się na to już od dłuższego czasu. Nie mogę jej za to winić. Nie jestem już człowiekiem, którego poślubiła... a ona też się nie spodziewała takiego obrotu spraw. Opowiedziałem jej o planach Everetta i o zmianach, które mają nastąpić... To za dużo jak na jej siły. Dopóki wszystko szło zgodnie z umową, a Oriana mogła przylatywać z wizytą jedynie od czasu do czasu, nie przeszkadzał jej mój obecny stan. Ale kiedy dom zostanie zamknięty, wszystko się zmieni. Żadne miejsce już nas nie będzie łączyć.

Teraz z kolei byłam zła na Oriane równie mocno jak na Stephena czy na siebie.

— A co z Jilly?

— Nie bardzo wiem. Oriana nie może jej zabierać ze sobą na tournée. Pewnie będzie musiała pomieszkać trochę u Meryl i Everetta, dopóki nie znajdziemy jej odpowiedniej szkoły.

Nie mogłam znieść myśli o Jilly śpiącej w pokoju w najdalszym końcu domu Everetta, jęczącej przez sen, gdy w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby ją utulić.

— Dlaczego nie możesz zostać razem z nią w „Tarasach”?

— Everett uważa, że nie da się utrzymać domu w obecnej sytuacji.

— Czy to naprawdę zależy od Everetta? Nie możesz wrócić do pracy w firmie? Przecież nie projektujesz domów nogami, a z dnia na dzień jesteś coraz silniejszy. Z twoim umysłem i wyobraźnią jest wszystko w porządku, mógłbyś zmusić je z powrotem do pracy.

Zdawałam sobie sprawę, że zabrzmiało to bardzo prowokująco i że nie miałam prawa tak do niego mówić. Już nie.

Uśmiechnął się, niemal tak jak za dawnych czasów.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

259

— Nie myśl, że tego nie rozważałem. Ale to chyba trochę za wiele, jak na moje siły. Zresztą nie jestem pewien, czy Everett chce, żebym wrócił.

— Jeśli on ciebie nie chce, przecież mógłbyś założyć własną firmę. Zająłbyś się tylko takimi klientami, z którymi praca sprawiałaby ci przyjemność. Ludźmi, dla których chciałbyś budować domy. Jeśli zwolnisz Paula i Carlę, a Jilly wyślesz do szkoły, to założę się, że Julian i Vivian mogliby sami poprowadzić dom.

— Do rozpalenia wyobraźni potrzeba ognia, Lynn. A mój ogień już wygasł. Nie mam pojęcia, jak go na nowo rozniecić.

To mnie już zniecierpliwilo.

— Zabierasz się do tego ze złej strony. Najpierw powinienes zdobyć jakieś paliwo. Wykrzesać z siebie iskrę. Nieważne, co zrobisz, ważne, żeby ci na tym naprawdę zależało. Ogień zapłonie później.

Przyglądał mi się znowu, ale jakoś inaczej.

— Bardzo się zmieniłaś, Lynn.

Oczywiście, że się zmieniłam! Co mogłam na to powiedzieć?

Odepchnął się od ściany i, podpierając się kulami, ruszył za Jilly.

Byłam zadowolona z siebie, że udało mi się go trochę rozzłościć, ale jednocześnie czułam się winna z tego samego powodu. To nie było fair ze względu na dawnego Stephena Asche, którego kochałam.

Atakowanie obecnego człowieka było nieuczciwie, niezależnie od tego, czy akceptowałam jego zachowanie czy nie. Nadal interesowało mnie to, co się z nim stanie, i to chyba najbardziej bolało.

Równocześnie dotarliśmy do Jilly. Stephen szorstkim tonem poinformował ją, że wracamy do księgarni. Jilly spojrzała na niego rozczarowana, lecz szybko po-

Phyllis A. Whitney

260

godziła się z faktem, że nie spełni się wszystko to, czego oczekiwała.

— Nie możemy pozwolić, by Vivian i Julian tak długo na nas czekali — powiedziałam, próbując złagodzić słowa jej ojca.

Niewiele to jednak pomogło i wszyscy troje z ponurymi minami poszliśmy do samochodu.

Droga powrotna była wystarczająco długa, by jeszcze bardziej pogorszyć nasze nastroje. Po przyjeździe do księgarni, Stephen podjął decyzję. Powiedział Julianowi, że pojedzie do domu furgonetką z nim i Vivian. Ja miałam zawieźć Jilly do domu Everetta, zabrać nasze rzeczy, a stamtąd wrócić do „Tarasów”.

Julian nie sprzeciwiał się, a Vivian oczywiście przystała na to, co zdecydował mąż. Nikt nie pytał ani mnie, ani Jilly o zdanie, zgodziłam się więc na to, co postanowili, czując się równocześnie bezradna i zaniepokojona. Jak bezpieczna będzie Jilly w tamtym domu? Chciała jednak wracać i pobyc trochę z matką, nieświadoma zmian, jakie miały zajść w jej życiu.

Meryl była w domu, kiedy dojechałyśmy tam z Jilly, i nie spodobała jej się zmiana planów. Jednak, ponieważ Everett nie był zadowolony z naszej obecności, nie sprzeciwiała się. Ani Jilly, ani ja nie wspomniłyśmy słowem o wyprawie na uniwersytet ze Stephenem.

W drodze powrotnej do Nelson County byłyśmy z Jilly same, ta jednak zamknęła się w swej żółwiej skorupie. Siedziała obok mnie na przednim siedzeniu, myślami błędząc gdzieś daleko, dokąd nikt nie mógł za nią podążyć.

Próbowałam zacząć rozmowę. — Przykro mi, że twój tatuś tak szybko się zmęczył, ale nie powinien jeszcze za bardzo się wysilać. Jeśli chcesz, możemy tam kiedyś wrócić, tylko ty i ja.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

261

— Jest mi to obojętne — powiedziała. — To nie ma znaczenia.

Nie powracałam już do tego tematu, zadałam zupełnie inne pytanie:

— Czy w domu, Jilly, też miewasz takie złe sny, czy tylko u cioci Meryl?

— Carla nie chce, żebym miała nocne koszmary. Czasami daje mi pigułkę nasenną.

To było przerażające; nawet nie samo postępowanie Carli, lecz fakt, że najwyraźniej nikt nie zdawał sobie sprawy z problemu albo nikogo to nie obchodziło. Może faktycznie byłoby lepiej i bezpieczniej, gdyby Jilly poszła do dobrej szkoły, gdzie mogłaby się z kimś zaprzyjaźnić i gdzie przynajmniej nie zagrażałaby jej obojętność i bezpośrednie niebezpieczeństwo.

Nie rozmawiałyśmy już dłużej; po raz setny pomyślałam o głazie, który stoczył się z urwiska, i o śladach łopaty, jakie widziałam na ziemi. Nie umiałam jednak wyobrazić sobie ręki, która mogła trzymać tę łopatę. Nawet jeśli Jilly miała co do tego jakieś podejrzenia, nie wiedziałam, jak przedrzeć się przez mur, który wzniosła między nami.

Po raz pierwszy zaczęłam myśleć o Orianie. Nie jak o żonie Stephena, lecz jak o matce Jilly. Tak naprawdę wcale jej nie znałam, oczywiście poza tym, że widziałam jej uduchowioną, nierealną sylwetkę tańczącą na scenie... piękna, fascynująca kobieta, która przyciągała do siebie mężczyzn. Łącznie z młodym mężem Lynn Mc-Leod Asche. Ale nie wiedziałam, jak wyglądał jej głębszy związek z Jilly. Ani jaką była kobietą.

Kiedy dojechałyśmy do domu, zobaczyłam furgonetkę Juliana zaparkowaną w pobliżu podwójnego garażu. Przyjechali tu dużo wcześniej. Z najwyższego piętra dobiegła mnie muzyka

Rimsky'ego-Korsakova



Phyllis A. Whitney

i od razu wiedziałam, gdzie znaleźć Oriane. Twarz Jilly rozjaśniła się; dziewczynka natychmiast wbiegła na schody. Carla nie wyszła jej na spotkanie, jak to miała w zwyczaju — prawdopodobnie siedziała na górze, przyglądając się tańcom przyjaciółki.

Sam wniósł nasze bagaże do środka, a gdy ruszyłam w stronę swojego pokoju, Paul schodził właśnie na dół.

Zatrzymał się koło mnie.

— Tak wcześnie w domu, Lynn? Myślałam, że zamierzałyście pobyc u Asche'ow dużo dłużej. Ty i Jilly.

Nie wierzyłam, że w ogóle o tym myślał.

— Widzę, że nadal tu jesteś — zauważyłam. Skrzywił się.

— Everett sądzi, że najlepiej zrobię, zostając tu do wyjazdu Oriany. Żeby już nie burzyć *status quo* i tego typu rzeczy.

— Bo Oriana mogłaby się sprzeciwić temu, czego chce Everett?

— Raczej nie — odparł Paul i znowu zaczął schodzić po schodach. Potem odwrócił się. — Jak zobaczysz Carłę, powiedz jej, że Stephen chce się z nią widzieć.

— Nie ma jej na górze z Orianą? — zapytałam. Paul potrząsnął głową.

— Na górze trwa próba, więc o nic Oriany nie pytałam. Nikt nie przeszkadza Madame w czasie tańca. Tak czy inaczej, ja zamierzałam jej przeszkodzić, niezależnie od tego, czy to jej się spodoba czy nie. Wbiegłam po schodach i stanęłam w miejscu, z którego kiedyś obserwowałam tańczącą Jilly.

Minorowe dźwięki wypełniały cały pokój. Przez chwilę Oriana, ubrana w czarny trykot bez rękawów, podkreślający jej szczupłą, umięśnioną sylwetkę tancerki, stała słuchając, a ciemna głowa, odrzucona do tyłu, odsłaniała piękny kształt szyi. Włosy miała związane, a nie

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

263

rozpuszczone, jak zazwyczaj podczas występów. Jilly nigdzie nie dostrzegłam, więc prawdopodobnie ją stąd odesłano.

Oriana była skoncentrowana — może właśnie obmyślała kolejne kroki, zanim je uczyni. Odwróciła się do mnie plecami, mogłam więc przez chwilę stać w cieniu i patrzeć, zastanawiając się, czy w ogóle powinnam jej przerywać. Proces tworzenia nowego układu tanecznego był bardzo skomplikowany, wymagał uwagi i ogromnej koncentracji. Stephen nauczył mnie, że do swej pracy potrzebował tego samego.

Obserwowałam, jak tancerka powoli zaczyna się poruszać i błagalnym gestem unosi ręce ku górze. Oriana nigdy nie uczyła się baletu; właściwie, jeśli chodzi o taniec, niewiele się go uczyła.

Obserwowała, próbowała i trenowała sama, na swój własny sposób — chociaż nie należała do największych indywidualności. W jej tańcu można było dostrzec wpływ Isadory Duncan, Ruth St.Denis, Marthy Graham, Katherine Dunham, wszystko podporządkowane pseudoorientalnym dźwiękom, tak aby w końcu stała się sobą — Orianą Devi.

Już miałam się cofnąć i poczekać na dogodniejszą chwilę, gdy wykonała nagły obrót i zauważyła mnie. Przez chwilę stała zupełnie nieruchomo, wpatrując się przed siebie. Ręce trzymała rozłożone wysoko nad głową, z dłońmi zwróconymi ku górze. Potem wróciła do rzeczywistości i odezwała się do mnie:

— Witaj, Lynn. Musimy porozmawiać. Podpłynęła do magnetofonu stojącego na fortepianie i wyłączyła go w środku melodii. Wzięła dwa plecy i rozłożyła je na kamieniach przy kominku. Nie płonął w nim teraz ogień, choć drewno było przygotowane. To tutaj siedziałam tak niedawno, rozmawiając ze Stephenem. Usiadłam, a ona odsunęła trochę

Phyllis A. Whitney

swój pled, żebyśmy nie znajdowały się zbyt blisko siebie.

— Odchodzę od Stephena — odezwała się. Więc od razu przeszliśmy do sedna.

— Tak, wiem. Powiedział mi.

— Ty oczywiście do niego wrócisz. — Mówiła spokojnie i pewnie.

Złość, o której naiwnie myślałam, że udało mi się ją przewyciężyć, wezbrała we mnie znowu. Jej słowa zabrzmiały obraźliwie, wręcz szyderczo. Przez wzgląd na Stephena nie podobało mi się to, a jednak maleńka iskierka nadziei, o której myślałam, że już nigdy jej nie poczuję, rozgrzała mi serce. Nadzieja, w którą nie śmiałam wierzyć ani o niej myśleć.

Po prostu wpatrywałam się w Oriane.

Była smutna i pełna zwątpienia.

— Tak będzie najlepiej. On cię nadal kocha, musisz o tym wiedzieć, Lynn. Byłam dla niego tylko... delirium, z którego się otrząsnął. Tak jak i ja.

Nie mogłam uwierzyć w jej słowa. Nie mogła mówić tego o Stephenie.

— Wpadłaś jak burza i zabrałaś go. Rozmyślnie. Tak po prostu!

— Bo jego można było zabrać. Tak bywa w życiu; czasem niewiele możemy zrobić, by cokolwiek zmienić.' Tak było zapisane, mieliśmy zejść się ze Stephenem na jakiś czas. I ten czas był naprawdę cudowny!

— A co z Jilly? Ją też odtrącisz?

Piękne ręce Oriany, o długich palcach, uniosły się w geście bezradności.

— A co mam zrobić? Jeśli Stephen nie może jej tu zatrzymać, co najprawdopodobniej nie będzie możliwe, najlepiej umieścić ją w jakiejś dobrej szkole. Everett się tym zajmie.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

260

— Umieścić... jakby była magnetofonem, który możesz umieścić na fortepianie!

Potrząsnęła smutno głową.

— Gniew nas tylko niszczy, Lynn. Jilly zawsze będzie moją córką i tego kontaktu nic nie może zmienić.

Nienawidziłam słowa, jakiego użyła... „kontakt”. Ale miała rację co do tego, że jak zwykle nic dobrego nie przyjdzie mi z gniewu. Staralam się mówić spokojnie i rozsądnie.

— To, czego potrzebuje Jilly, to miłość, zrozumienie i dom. Everett jest równie kochający i wyrozumiały jak rekin. Nie można mu ufać, że wie, co jest dla niej najlepsze.

— Gdybyś posłuchała, Lynn, nauczyłabym cię kilku ćwiczeń rytmicznych, które wyciszyłyby niepokoje, jakie mogą cię zniszczyć.

Rozum nakazywał mi zachować spokój. Jednak rządząca się emocjami część mojej psychiki chciała się złościć. A Oriana bardzo mi w tym pomagała!

— Czy ktoś ci powiedział, że wczoraj Jilly i ja omal nie zginęłyśmy?

— Masz na myśli ten staczający się głaz?

— Ktoś go podkopał łopata i zepchnął na dół, gdzie byliśmy. Ten sam ktoś nas obserwował i wiedział, dokąd poszła Jilly. Omal nie zostałyśmy zmiażdżone.

— Bogowie nad wami czuwali — stwierdziła pogodnie.

Miałam ochotę wstać i potrząsnąć nią.

— Jak byś się czuła, gdyby Jilly zginęła? Co wtedy myślałabyś o bogach?

Łzy napłynęły jej do oczu i pociekły po policzkach wielkimi, świecącymi kroplami. Byłam zaskoczona.

Phyllis A. Whitney

— Martwiłabym się, oczywiście. Jest mi bardzo droga... moja mała córeczka. Ale tak się nie miało stać. Obie byłyście dobrze chronione.

Łzy zniknęły równie szybko, jak się pojawiły. Błyskawicznie wyschły, nie zostawiając żadnych śladów na jej policzkach, bo na swą piękną, czystą twarz nie nakładała makijażu.

Nie zmieniałam tematu.

— Jak mogłaś zatrudnić kobietę pokroju Carli Raines do opieki nad Jilly?

— Carla jest moją przyjaciółką i moją protegowaną.

— Wiedziałaś o jej związku z Lutherem Kerstenem?

— Pamiętam Luthera... Dziwny człowiek, nigdy go nie lubiłam. Ale nie próbuję wybierać przyjaciół innym ludziom. Carla wiedziała, jaki on był, ale i tak go kochała. Tak to czasami jest, kiedy wybierzemy niewłaściwego mężczyznę.

Tak jak ona wybrała Stephena?

— Carla wierzy, że Luther został zamordowany — powiedziałam. — To dlatego chciała przyjechać tu do pracy... Chciała poznać prawdę, jeśli to tylko możliwe. Wiedziałaś o tym?

— Obawiam się, że nie, Lynn. Prawda to takie dziwne słowo. Znaczący tyle różnych rzeczy dla różnych ludzi. Byłam tu, gdy zginął Luther, kiedy Stephen miał wypadek... i Jilly. *Karma* była wtedy bardzo zła, a ja nic nie mogłam zrobić. To wszystko...

— Wiem, wszystko w rękach bogów. Wtedy oczywiście wszystkich opuścili. Więc uciekłaś?

— Znalazłam pocieszenie w tańcu... On mnie uzdrawia i uwalnia od wszystkich złych wpływów.

Taniec, według mnie, wymaga spokoju i wielkiego ducha.

— Byłaś tutaj, gdy zginął Larry Asche?

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

267

— Na Śpiewających Skałach? Tak, byłam wtedy w domu. To piękne, święte miejsce. Musiał wnieść tam coś złego i został za to ukarany.

— Czy myślisz, że to możliwe — zastanawiałam się na głos — tak głęboko wbić sobie do głowy przekonanie, że wszystko może się jeszcze odwrócić i nawet złe czyny czasami są usprawiedliwione? Spojrzała na mnie, otwierając szeroko oczy i odpowiedziała z zakłopotaniem:

— Myślałam o tym, Lynn. Muszę to jeszcze skonsultować z moim hinduskim nauczycielem. Rozmowa z Orianą była jak rozmowa z puchem ostu. Miałam już tego dosyć, podniosłam się z miejsca.

— Miałam nadzieję, że będziesz mogła pomóc Jilly. Jesteś żoną Stephena i mogłabyś przeciwstawić się Everettowi. Musisz mieć coś do powiedzenia w sprawie tego domu.

— Everett twierdzi, że nie ma pieniędzy na utrzymanie „Tarasów”. Trzeba je sprzedać. Ale zapłaci za szkołę Jilly, jeśli mnie nie będzie na to stać. Mój taniec pochłania ogromne pieniądze: muzycy, zespół, podróże. Dosyć dobrze zarabiam, ale niewiele z tego pozostaje. Film, w którym występuję, jest kręcony przez małą, niezależną firmę. Podpisałam skromny kontrakt, według którego należą mi się procenty od przyszłych dochodów.

— A co się stanie ze Stephenem?

— Oczywiście Everett i Meryl wezmą go do siebie. Zawsze znajdzie u nich dom. Którego, co doskonale wiedziałam, nienawidził. Gdybym została z Orianą choć chwilę dłużej, mogłabym eksplodować. Nie chciałam być spokojna, zrezygnowana i pogodzona ze wszystkim. Miałam ochotę się wściekać, coś niszczyć!

Phyllis A. Whitney

— Może Stephen cię zaskoczy — powiedziałam. — Może wybierze inną drogę.

Wyraz jej twarzy nie zmienił się, a kiedy pośpieszyłam w drugi koniec pokoju, znowu usłyszałam muzykę wypełniającą całe pomieszczenie egzotycznym brzmieniem. Spojrzałam za siebie: Oriana ponownie poruszała się z gracją i pewnością, jak gdyby moje słowa w ogóle do niej nie dotarły. Jakie to wspaniałe — strząsnąć z siebie wszystkie nieprzyjemności i powrócić do spokojnego świata, w którym liczył się tylko ruch ciała.

Czy to naprawdę takie wspaniałe? Nie dla mnie. Raczej miotałabym się na oślepa, powodując straszny bałagan, nawet gdybym miała odpokutować za wszystkie błędy, jakie popełniłam i jakie popełnię. Przynajmniej bym żyła, a to byłyby moje błędy, a nie coś, co wydarzyło się dlatego, że usiadłam i czekałam, aż się wypełni moje przeznaczenie. Jest nawet możliwe, że czegoś mogłabym się nauczyć z tych wszystkich błędów... Ale w tej chwili nie bardzo wiedziałam, czego.

## 16

Teraz musiałam zobaczyć się z Julianem. I chociaż ten najwyraźniej pogodził się z decyzją Everetta, nie był jeszcze gotowy do opuszczenia domu. Od samego początku Julian Forster stanowił dla mnie oparcie i tylko do niego mogłam się zwrócić.

Zbliżywszy się do jego gabinetu usłyszałam maszynę do pisania. Drzwi były otwarte, więc zajrzałam do środka. Na pierwszy rzut oka widać było, jak bardzo pochłonięty jest pracą... tak jak Oriana tańcem. Vivian siedziała obok, czytając książkę. Kiedy mnie dostrzegła, podniosła wzrok, położyła palec na ustach i podeszła do drzwi.

— Nie przeszkadzaj mu teraz — szepnęła. — Płyną z niego słowa, a on musi iść za nimi tam, dokąd go zaprowadzą. Chodźmy na dwór, Lynn. Jaki piękny dzień!

Zaprowadziła mnie przez rozsuwane drzwi na oświetlony słońcem taras i usiadłyśmy na ławeczce przy poręczy.

— Opowiedz mi o wycieczce na uniwersytet ze Stephenem — poprosiła.

— Nie bardzo jest co opowiadać. Jilly cieszyła się, kiedy ojciec pokazywał jej rotundę, Zieleniec i pawilony. Ale Stephen szybko się zmęczył, więc wróciliśmy do księgarni.



Phyllis A. Whitney

— W drodze powrotnej wcale się nie odzywał — powiedziała Vivian. — Coś musiało się wydarzyć.

— Może to wina nasuwających się wspomnień. — Nie chciałam z nikim rozmawiać o Stephenie. — Vivian, właśnie widziałam się z Orianą. Po raz pierwszy ze sobą rozmawialiśmy.

— Żyje w zupełnie innym świecie, prawda? Chciałabym móc uciec od rzeczywistości tak łatwo, jak ona.

— Najwyraźniej pozostawia wszystko losowi.

— Chyba wszyscy powinniśmy tak postępować. Julian też w to wierzy. Przypuszczam, że Orianie wygodnie jest w ten sposób wymigać się od odpowiedzialności. Ale nie przejmuj się, Lynn, wszystko się jakoś ułoży. Fascynuje mnie za to książka Juliana. Znalazł w księgarni coś, co skierowało go we właściwą stronę i teraz naprawdę posuwa się do przodu.

Cieszyła mnie zmiana tematu.

— Nigdy nie rozumiałam, o czym właściwie Julian pisze. Podał mi tytuł: *Piasek, Skała, Ogień i Lód*. Ale nie wiem, co on oznacza.

— Chyba zrozumiałam trochę z tego, co mi mówił. Piasek to ziarenka piasku w klepsydrze odmierzającej nasz czas. Skała trwa wiecznie. Może to stąd, że Śpiewające Skały tak wiele znaczą dla Juliana. Ogień, czyli nieunikniony pożar czekający ziemię. Lód może się rozpuścić, a Julian odbiera go w kategoriach zła drzemiącego w człowieku, które też można unicestwić. Ale, Lynn, cała książka jest właściwie o reinkarnacji. Wierzysz w nią, prawda?

— Niewiele się nad tym zastanawiałam — przyznałam. — Za bardzo pochłaniały mnie sprawy tego życia.

— To takie fascynujące, kiedy już zaczniesz o tym rozmyślać. Gdy widzisz pewne wzorce powtarzające się przez wieki, tak wiele się wyjaśnia. Julianowi udało się

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

266

cofnąć w czasie kilka osób i pomóc im rozwiązać problemy współczesnego życia. Wyjaśnił, że wszystko ma związek z ich poprzednimi wcieleniami.

— Z tobą też to robił?

— O, tak! Julian i ja spotkaliśmy się w kilku poprzednich wcieleniach. W starożytnej Grecji byłam niewolnicą w jego domu, a on był sławnym filozofem. Kiedy mnie pokochał, darował mi wolność. Bardzo romantyczne, pomyślałam. Vivian mogło się to podobać.

— A Larry? Czy w poprzednich wcieleniach też go znałaś?

— Oczywiście! Kiedyś pracowałam jako chłopiec okrętowy na statku, na którym Larry był pierwszym oficerem. Raz nawet byłam matką Juliana. Ty także możesz tego doświadczyć, Lynn. To takie interesujące, móc wrócić do przeszłości.

Pomyślałam o książce, której fragmenty czytałam dziś w księgarni, o kobiecie cierpiącej na bóle karku!

— To nie zawsze jest fascynujące. Wszyscy ci ludzie, którymi mogłam kiedyś być, jeśli oni naprawdę istnieli, umarli. A co będzie, jeśli okaże się, że umierałam jakąś okrutną, przerażającą śmiercią? Nie, dziękuję!

— To, oczywiście, możliwe. Ale Julian wie, jak temu zapobiec. Najpierw cię zahipnotyzuje i upewni się, że nie poczujesz żadnego bólu i że po przebudzeniu nie będzie cię to ciągle dręczyć. Niezależnie od tego, co się kiedyś wydarzyło, ty nic nie poczujesz. To, czego się dowiesz, może być dla ciebie oświeceniem. Może pomóc w naszym obecnym życiu.

Właściwie ani w to nie wierzyłam, ani nie odnosiłam się do tego zbyt sceptycznie. Uważałam siebie za osobę poszukującą, gotową burzyć mury i odkrywać ciągle

Phyllis A. Whitney

coś nowego. Z wyjątkiem jednego: nie zamierzałam ufać jakimś fatalistycznym przekonaniom, które miały mi pomóc w wydostaniu się z kłopotów, w jakie wpakowałam się w obecnym życiu. Miałam teraz poważny orzech do zgryzienia i nie mogłam sobie jeszcze zaprzętać głowy przeszłością.

Zmysły Vivian nie były aż tak czułe jak Juliana, ale i jej udało się mnie trochę przejrzeć.

— Naprawdę powinnaś jednak porozmawiać z Julianem. On też by tego chciał. Jesteś ważniejsza od jego książki i musisz porozmawiać z nim natychmiast.

Z ociąganiem, mając większe niż Vivian wątpliwości niż tylko dotyczące przeszkadzania mu w pracy, weszłam za nią do gabinetu. Tym razem Julian natychmiast mnie zauważył. Chyba wszystko zrozumiał, jeszcze zanim Vivian zdążyła się odezwać.

— Usiądź, Lynn — poprosił — i powiedz mi, co cię niepokoi.

Właściwie wszystko mnie niepokoiło. Wskazał mi rozkładany fotel, a ja usiadłam posłusznie, lecz nie rozłożyłam oparcia. Vivian ponownie zajęła poprzednie miejsce pod oknem, starając się nie narzucać ze swoją obecnością.

— Nie czas na spowiedź — powiedziałam Julianowi. — Nie chcę rozmawiać o problemach i niepokojach... chcę po prostu się uspokoić. Chciałabym przestać się złościć, ale nie utracić przy tym zdolności do działania.

— Czasami na spokojnie możemy więcej zdziałać, Lynn. Rozłóż fotel i odpręż się.

Nie posłuchałam od razu.

— Chyba nie jestem jeszcze gotowa zaakceptować tego wszystkiego, w co wierzysz, Julianie. Nie umiem rozpoznać, co jest, a co nie jest rzeczywiste.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

273

— A kto umie? Może sami sobie szkodzimy, budując ochronę, którą nazywamy faktem. Czasem nawet nazywamy ją faktem naukowym. Zapominamy, jak takie fakty zmieniają się z upływem lat. Ostatnio zmiany następują coraz szybciej. Zachodzą w ciągu wieku... albo dnia. Od przekonania, że Ziemia jest płaska, do rzeczy niemożliwych, z którymi mamy do czynienia na co dzień.

Przerwałam mu:

— Czasami to, co się dzieje, wydaje się mniej rzeczywiste. Jest jakby bardziej...

— Może: duchowe? I tak jest lepiej. Odpreż się, Lynn. Oprzyj się i pozbądź się swojej złości.

Oparłam się wygodnie, ale nie mogłam się odpreżyć.

— Jeśli przestanę się złościć, jak będę mogła działać? Może to właśnie złość zmusza nas do wykonania czegoś, co ma być zrobione?

— Są na to inne, spokojniejsze sposoby, pożyteczniejsze dla dobrej energii. Poszukajmy ich. Zamknij oczy, Lynn, oddychaj głęboko i powoli.

Nawet sposób, w jaki wymówił moje imię, był pełen miłości i spokoju. Zaczęłam się odpreżać, mimo wewnętrznego sprzeciwu. Stopniowo, gdy słuchałam cichego głosu Juliana, opadało ze mnie napięcie. Ale zanim będę mogła pozwolić sobie na zupełne zatracenie się, otworzyłam oczy i spojrzałam na niego.

— Tylko żadnych poprzednich wcieleń, Julianie! Uśmiechnął się łagodnie.

— Nie będę cię hipnotyzował. Obiecuję. Chcę ci tylko pomóc odnaleźć twoje własne miejsce spokoju. Miejsce, do którego będziesz mogła się udać, kiedy zechcesz... i odzyskać siły. Pomyśl o czymś takim, Lynn. Może o jakimś rzeczywistym miejscu, gdzie otaczałoby cię piękno i spokój, i gdzie mogłabyś się odpreżyć.

Phyllis A. Whitney

Albo, jeśli wolisz, o miejscu stworzonym przez twoją wyobraźnię. Możesz nawet połączyć jedno z drugim.

Mniej więcej to robiłam z moimi chorymi dziećmi: pomagałam im znaleźć spokój dzięki przypominaniu i wyobrażaniu sobie pewnych miejsc, gdzie mogły być szczęśliwe i beztrudne.

— Znam ten numer, ale jakoś nigdy nie działa to równie dobrze na mnie jak na dzieci, z którymi mam do czynienia.

— Bo tak naprawdę nigdy nie uwalniasz się od wszystkiego. Trzymasz się kurczowo tego, co uważasz za prawdziwe i bezpieczne, nawet jeśli wcale takie nie jest. Gdzie byś się znalazła, gdybyś miała poszukać takiego miejsca dla siebie?

Spróbowałam, bo tego chciał Julian.

— Pamiętam taką górę, na północny zachód od New Jersey, nad rzeką Delaware. Uwielbiam jej nazwę: Jenny Jump. Pamiętam, jak jeździłam tam z rodzicami, gdy miałam jakieś dwanaście lat. Teren był zupełnie dziki, ale przez las wiodła wycięta ścieżka. Pamiętam, jakim spokojem napawały mnie spacer, w czasie których słyszałam jedynie śpiew ptaków. A jak usiadłam cichutko, podbiegł do mnie jeleni i zaczął mi się przyglądać. Mogłam spacerować całkiem sama, było cudownie.

— Możesz tam się udać i teraz. Niech ławka stoi na słońcu, tak by dosięgły Cię jego promienie. Zwróć uwagę na każdy otaczający cię szczegół. Policz liście na najbliższej gałęzi... albo igły na sośnie. Przyjrzyj się budowie szyszki. Rozkoszuj się słońcem. Wdychaj zapach sosny i rozgrzanego słońcem powietrza. Co jeszcze tam jest, Lynn? Powiedz mi.

Więc zaczęłam mu opowiadać rozmarzonym głosem. Ławka była marmurowa... bo tak sobie wymyśli-

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

275

łam. W prawdziwym lesie, jaki zapamiętałam, nie było żadnej ławki. Ale teraz znalazła się tam i czułam chłód kamienia pod rękami, mimo letniego słońca. Ścieżkę pod moimi stopami zaścielały brązowe igły sosen... ziemia nie była czerwona, jak w Nelson County...

Nie powinnam myśleć o czerwonej ziemi. Natychmiast znalazłam się z powrotem na fotelu w gabinecie Juliana. Na zewnątrz zerwał się lekki wiatr i usłyszałam cichą muzykę Śpiewających Skał. — Nic z tego — oznajmiłam. — Nie mogę tam pozostać i zapomnieć o wszystkim. Pomyślałam o czerwonej ziemi i wróciłam tutaj.

— Powiedz mi, jak się czujesz.

To dziwne, ale czułam się lepiej. Spokojniej. Jak przedtem, istniały niemożliwe do rozwiązania problemy, ale nie czułam się już tak zirytowana i bezradna jak wcześniej.

— Zahipnotyzowałeś mnie — stwierdziłam z wyrzutem.

— Coś w tym stylu. W ten sam sposób sama możesz się zahipnotyzować. Dzięki ćwiczeniom możesz się nauczyć, jak pozostać tam trochę dłużej. Właściwie tak długo, jak tylko zechcesz. To nie jest rodzaj hipnozy, która pochłania cię bez reszty. Jesteś cały czas świadoma otaczającej cię rzeczywistości, do której możesz wrócić w każdej chwili.

Vivian poruszyła się w kącie i uśmiechnęła się.

— Julian czasami robi to samo ze mną, to jest wspaniałe. Czuję się potem taka spokojna... Jakby nic złego nie mogło mnie spotkać.

Forster spojrział na żonę z miłością. Zastanawiałam się, czy był w stanie zrobić dla siebie to samo, co robił dla innych.

Phyllis A. Whitney

— Dziękuję, Julianie — powiedziałam, czując wobec niego ogromną wdzięczność.

Dziwne, ostatnio to ja zmuszałam go do działania, czyniąc mu wymówki o to, że się poddaje. Teraz nasze role się odwróciły, to on mną kierował.

Nagle wszyscy usłyszeliśmy kroki w korytarzu. Spojrzałam z obawą na Juliana. Po jego twarzy poznałam, że on też to wyczuł. Czasami odnosiło się wrażenie, że umiał przewidzieć przyszłość.

Nagle zdałam sobie sprawę, że wiadomość, jaką za chwilę mieliśmy usłyszeć, nie będzie dobra.

Paul wpadł do środka z dramatycznym wyrazem twarzy, jaki najwyraźniej uwielbiał przybierać.

— Stephen chce się natychmiast z panem widzieć, panie Forster. Był jakiś wypadek i szeryf rozmawia z nim na dole. Carla Raines rozbiła samochód. Zginęła na miejscu.

Zrobiło mi się niedobrze, byłam w szoku. Vivian wstała momentalnie, krzycząc z przerażenia. Jedyne Julian nie wydawał się zbyt zaskoczony.

— Przeczuwałam coś złego — powiedział, wstał zza biurka i bez chwili zwłoki poszedł za Paulem.

Vivian ruszyła za nimi z przerażeniem w oczach, a ja podążyłam z nią.

Na schodach dotknęła mojego ramienia.

— On wiedział! Julian zawsze wyczuwa, gdy ktoś ma umrzeć.

Z góry słyszałyśmy muzykę, znak, że Oriana ciągle tańczy. Nigdzie w pobliżu nie widziałam Jilly; ciekawa byłam, czy jest z matką. To będzie straszna wiadomość dla nich obydwu.

Kiedy doszliśmy do pokoju Stephena, ten przedstawił nas szeryfowi Williamsowi.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

277

— John i ja chodziliśmy razem do szkoły w Nelson County. Powiesz im, Johnie?

Szeryf odezwał się do Juliana:

— Kobieta nie żyła już od jakiegoś czasu. Pewien myśliwy znalazł ją kilka godzin temu. Nadal siedziała za kierownicą samochodu... a właściwie tego, co z niego zostało. Podejrzewamy, że to samobójstwo.

— Jeśli Jilly wyjedzie, to przypuszczam, że nikomu z nas nie będzie brakować Carli — wtrącił się Paul.

Jego słowa wzięłam za smutne epitafium.

Szeryf mówił dalej, zwracając się teraz do Stephena:

— Są pewne okoliczności, które powinieneś poznać, jeżeli tylko możesz ze mną pojechać, Steve.

Wiem, że panna Raines zajmowała się twoją córką, dlatego przyjechałem prosto tutaj. Pojedzie pan z nami, panie Forster?

— Oczywiście — odparł Julian.

Stephen wyglądał tak, jakby za chwilę miał stracić panowanie nad sobą.

— To się wydarzyło na Białym Księżycu — powiedział Forsterowi.

Ten spokojnie odezwał się do Vivian:

— Proszę, odzyskaj Oriane i Jilly, i powiedz im, co się stało. Dobrze, kochanie?

Vivian była tak wstrząśnięta, że wątpiłam, czy będzie w stanie przekazać im tę wiadomość, lecz Julian przez chwilę potrzymał jej dłonie i ten dotyk chyba dodał jej sił.

— Powiem im, Julianie. Daj nam znać, jak wrócicie.

Paul wcale nie chciał zostać na miejscu.

— Będiesz mnie potrzebował, Stephenie, więc... Ten jednak przerwał mu:



Phyllis A. Whitney

— Nie, Paul. Zostaniesz tutaj. Nie potrzebuję twojej pomocy.

Nie pytałam, czy mogę jechać, nie chciałam ryzykować odmowy.

Przeraził mnie stan Stephena. Nie mogłam tylko stać z boku i zamartwiać się. Usiedliśmy z Julianem na tylnym siedzeniu i w drodze na Biały Księżyc odezwał się do mnie smutno:

— To jest rocznica, Lynn. Dziś mija dokładnie rok od tragedii, jaka się tam wydarzyła. Tragedii dla wszystkich, którzy tam się znaleźli wtedy.

Więc to było jedno ze zmartwień Stephena. Musiał czuć, że on także na swój sposób zginął tego dnia, tak jak Luther Kersten. A teraz kolejna śmierć.

Czułam wyrzuty sumienia z powodu Carli... Nigdy jej nie lubiłam i nie zwróciłam szczególnej uwagi na to, co mogło popchnąć ją do tak tragicznego kroku. A jednak, mimo wszystko, nie bardzo mogłam pogodzić się z myślą o jej samobójstwie.

— Zastanawia mnie, czy ona naprawdę popełniła samobójstwo — powiedziałam Julianowi. — Czy czujesz coś jeszcze?

— Nie, nic — odrzekł szybko. — Nie prosiłem o odpowiedzi. Wiesz, to nie ma żadnego znaczenia. Carla odeszła do czegoś lepszego.

— A może czegoś gorszego? To jednak ma znaczenie dla tych, którzy pozostali.

Nie znalazł na to żadnej odpowiedzi. Kiedy dojechaliśmy na teren budowy, wysiadł z samochodu i poszedł ze Stephenem i szeryfem kawałek dalej, do krawędzi urwiska. Nikt nie zwracał uwagi na moją obecność, prawdopodobnie niepożądaną, więc chociaż ruszyłam za nimi, zatrzymałam się z boku.

Czekał na nas zastępca szeryfa. Stephen, podpiera

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

279

jący się kulami, był blady i wstrząśnięty. Spoglądał na ślady opon odcisnięte w czerwonej glinie tuż przy krawędzi.

— Doszliśmy do wniosku, że zatrzymała się tu na chwilę — powiedział szeryf Williams. — Na to wskazują odciski opon. Potem musiała ruszyć prosto w przepaść.

Pochylili się ze Stephenem nad innymi śladami, zrobionymi tuż przed stoczeniem się samochodu z urwiska. Stałam obok nich i spoglądałam w dół. Zrobiło mi się niedobrze. Samochód musiał odbić się od skalnych ścian i dopiero potem rozbił się w dolinie pod nami. Jakimś cudem nie zapalił się, ale był zupełnie roztrzaskany, a jego poodrywane części leżały dookoła. Obok wraku stali ludzie, a jeden z mężczyzn próbował za pomocą palnika dostać się do środka i wyciągnąć ciało Carli.

Julian pierwszy nie wytrzymał: odszedł kawałek, zatrzymał się i zamknął oczy. Modli się, pomyślałam. Ktoś musiał pomodlić się za Carle.

— To musiało być samobójstwo — odezwał się szeryf do Stephena. — Silnik był wyłączony, musiała jedynie zwolnić hamulec i samochód sam potoczył się w stronę urwiska. Chciałem, żebyś to zobaczył. Może siedziała tu przez chwilę, rozmyślając o śmierci Luthera Kerstena.

— To moja wina — powiedział Stephen. Williams spojrzał pytająco, a on mówił dalej:

— Przedwczoraj przyszła do mnie. Może, gdybym jej wysłuchał... ale miałem dosyć ciągłego rozwodzenia się nad tym, co tu się wydarzyło, i nie chciałem z nią rozmawiać. A może właśnie tego potrzebowała...

— Nie obwiniaj siebie, Stephenie — odparł szeryf. — Do mnie też przyszła kilka miesięcy temu. Chciała,

Phyllis A. Whitney

żebym rozważył możliwość, iż Kersten został zamordowany. Ale nie miała nic, poza podejrzeniami, a ani twoje zeznania, ani Jilly ich nie potwierdzały. Podeszłam do Stephen.

— Co masz na myśli? Co powiedziała Carla?

— Twierdziła, że śmierć Luthera to nie był wypadek, że ktoś zepchnął go z urwiska — wyjaśniał. — Kiedyś nawet myślała, że to byłem ja, bo tam się pobiliśmy. Ale potem doszła do innego wniosku, choć nie mogła niczego udowodnić. Była pewna, że Luther szantażował jakąś tajemniczą osobę, która go zabiła. Uważałem, że za dużo o tym myślała i stworzyła sobie historyjkę, w którą chciała wierzyć. Teraz nie jestem tego taki pewien — zakończył ponuro.

— A co, jeśli śmierć Carli jest dowodem na to, że miała rację? — zapytałam.

Stephen i szeryf popatrzyli na mnie. Julian nadal stał z boku z zamkniętymi oczami. Ciągnęłam dalej: — Trudno uwierzyć w to, że właśnie teraz się zabiła. Za bardzo chciała się zemścić na osobie, którą obwiniała za śmierć Luthera. Co gorsza, wydaje mi się, że Jilly wie, kim jest ta osoba, i to nie daje jej spokoju.

Julian powrócił na ziemię z jakiegoś odległego miejsca, do którego się udał, lecz najwyraźniej przysłuchiwał się nam uważnie.

— Szantaż to bardzo brzydkie słowo, Stephenie. Chyba czas porozmawiać z Paulem Woolfem. Wydaje mi się, że on coś wie na ten temat.

Stephen nic nie odpowiedział. Ciekawiło mnie, czy wie o Meryl i Paulu. Nie miałam jednak pojęcia, co tych dwoje mogło mieć wspólnego ze śmiercią Carli. Stephen odwrócił się i ruszył w stronę samochodu. Poszłam z nim, nie za blisko, ale cały czas obserwując go

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

281

bacznie. Aż do chwili, kiedy się odezwałam, chyba nie zdawał sobie sprawy z mojej obecności.

— Ze mną Carla też próbowała rozmawiać — oznajmiłam — i ja też jej nie wysłuchałam. Nie należała do osób wzbudzających zaufanie.

Stephen usiadł na przednim siedzeniu radiowozu i wciągnął nogi do środka. W drodze powrotnej do domu niewiele rozmawialiśmy. Szeryf powiedział Stephenowi, że da mu znać o wszystkim, co ujawni sekcja.

Vivian czekała na nas na najniższym tarasie. Natychmiast podeszła do Juliana.

— Nie mogłam powiedzieć Orianie! Po prostu nie mogłam! Tak bardzo lubiła Carłę, to będzie dla niej szok. Ale zadzwoniłam do Meryl, ma tu przyjechać. Meryl się wszystkim zajmie.

— W porządku — uspokoił ją Julian. — Dobrze zrobiłaś.

Stephen jednak nie był tego zdania.

— Powiesz Orianie i Jilly, Lynn? Zrobisz to delikatniej niż Meryl, a ja na razie nie jestem w stanie sam ich o tym poinformować.

Był wykończony, zapewniłam go więc pośpiesznie:

— Naturalnie, że to zrobię.

Wcale nie miałam na to ochoty, ale uczynię, co w mojej mocy. Poszłam więc na górę.

Nie było już słyhać muzyki, a kiedy dotarłam na najwyższe piętro, Oriana właśnie wyszła spod prysznicą, owinięta w biały aksamitny szlafrok. Miała bose stopy tancerki, z wysokim podbiciem, a paznokcie u nóg wspaniale i delikatnie pomalowane. Dziewczynki jednak z nią nie było.

— Gdzie jest Jilly? — spytałam. — Mam wam coś do powiedzenia. Niezbyt radosne nowiny.

Phyllis A. Whitney

Oriana nagle spojrzała na mnie uważnie, jakby wyczuwała, co chcę jej oznajmić.

— Jest w altance. — Oriana wskazała ją ręką. — Widać ją przez okno.

Wyjrzałam przez okno, żeby się upewnić, a potem mówiłam dalej:

— Carla Raines zginęła w wypadku. Wiem, że była twoją przyjaciółką i bardzo mi przykro. Szeryf przypuszcza, że to samobójstwo. Jej samochód stoczył się z urwiska na Białym Księżycu.

Nie było sposobu zawiadomienia jej o tym delikatniej, choć starałam się mówić i zachowywać łagodnie.

Oriana opadła na krzesło w garderobie; cały jej spokój zniknął.

— To straszne! Od przyjazdu do domu wiedziałam, że coś ją gnębi. Ale nie przypuszczałam, że zrobi coś takiego.

— Wiedziałaś, po co tu przyjechała? Chyba mnie nie usłyszała.

— Bardzo się zmieniła od czasu, kiedy dostała obsesji na punkcie tego wstrętnego człowieka. Była obiecującą tancerką, ale potem zaczęły się jej kłopoty z kolanem, lecz nadal mogła uczyć, więc miałam nadzieję, że będzie mogła zająć się Jilly. Potrzebowała pracy i błagała, żebym pozwoliła jej przyjechać tutaj.

— Czy naprawdę po to przyjechała?

— O co ci chodzi?

— Powiedziałam ci, że Carla wierzyła, iż Luther został zamordowany. Chciała dowiedzieć się prawdy o jego śmierci. Może się dowiedziała.

Oriana zasłoniła twarz rękoma i zaczęła cicho łkać.

— Nigdy nie ściągnęłabym jej tutaj, gdybym o tym wiedziała. Nie przypuszczałam, iż aż tak nią to wstrząsnęło, że postanowiła się zabić.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

283

— A jeśli się nie zabiła? Jeśli to nie ona stoczyła samochód z urwiska?

Oriana sięgnęła po ubranie, które przedtem zdjęła, aby założyć trykot i podniosła je bezmyślnie, nie patrząc na mnie.

— Muszę uciec z tego straszego miejsca!

Jej głos drżał. Patrzyła na mnie, jakby o coś błagała. Może o odrobinę zrozumienia? Ale ja nie rozumiałam Oriany i nawet nie zamierzałam.

— Proszę, Lynn, spróbuj to zrozumieć. Mam do ofiarowania tylko jeden talent, aby usprawiedliwić moje życie. Muszę chronić ten dar. Kiedy tańczę, muszę czuć ciszę, która jest niemal jak modlitwa. Każde zło i brzydota może zniszczyć spokój, a ja go tak potrzebuję.

Zaczęłam się niecierpliwie.

— Czasami życie wydaje się złe i brzydkie, a jednak musimy je przeżyć.

— Mogę tańczyć jedynie wtedy, gdy uda mi się od tego wszystkiego oderwać. — Westchnęła skruszona. — Stephen był taki piękny... fizycznie. Taki silny i pewny siebie. Miłość do niego pomogła mi nadać moim tańcom nowy wymiar.

— Czy nigdy nie zakłócało twojego spokoju to, że on już miał żonę?

— Los zetknął nas ze sobą. Od samego początku wszystko było w porządku. — Jej oczy wypełniły się łzami. — Nadal go kocham... na swój własny sposób. Ale teraz, kiedy jestem z nim, czuję, że tracę najważniejszy składnik mojego talentu.

Kiedy tak siedziała owinięta w biały szlafrok, a włosy spływały jej do tyłu, ciągle jeszcze wilgotne od prysznic, było w niej coś niezziemskiego... Jak gdyby żyła na innej planecie niż zwykli śmiertelnicy. I oczekiwała, że nigdy nie będzie oceniana jak zwykły śmiertelnik!

Phyllis A. Whitney

Ale ja byłam przyziemna... i zniecierpliwiona.

— A co z Jilly?

— Biedna, kochana Jilly. Zabrałabym ją ze sobą, gdybym mogła. Lecz wierze, że ona rozumie, czego potrzebuję, bardziej niż inni.

Za jaką cenę? pomyślałam. Miałam już dosyć eterycznych, nieziemskich tancerek, ale zanim ją zostawiłam, odezwała się raz jeszcze:

— Carla wyjawiała mi, że Luther kogoś szantażował. Nie wiedziała, kogo ani dlaczego, ale uważała, że to dlatego został zamordowany. To wszystko, co mogę ci powiedzieć. Dzieje się tu wiele strasznych rzeczy. Czuję je wokół siebie. Najlepiej będzie dla Stephena, jeżeli wyjadę natychmiast.

— I najlepiej dla Jilly, która tak bardzo potrzebuje matki?

— Ona już wie, że nie mogę zostać. To bardzo mądra dziewczynka i rozumie, że przede wszystkim muszę tańczyć.

Za duże brzemie spoczywa na ramionach tego dziecka. Muszę jakoś spróbować jej ulżyć. Może to właśnie dzięki niej objawi się mój talent, a Julian zdał sobie z tego sprawę i dlatego mnie tu sprowadził.

— Pójdę poszukać Jilly — powiedziałam i zostawiłam Orianę siedzącą cicho i wsłuchującą się w coś, co mogło być jej wewnętrzną, kojącą muzyką.

Jilly stała oparta o poręcz altanki, spoglądając na cudowne grzbiety Blue Ridge, znajdujące się wcale nie tak daleko od nas. Usłyszała, jak nadchodzę od strony domu i wyczułam, że zeszywniała, gotowa stawić mi opór.

— Mogę się przyłączyć? — zapytałam. — Muszę ci coś powiedzieć.

Odwróciła się natychmiast zaniepokojona.

— Czy z moim tatą wszystko w porządku? Coś się stało?

Usiadłam na ławce i posadziłam dziewczynkę obok siebie, uspokajając ją szybko. Wprawdzie nigdy nie darzyła Carli miłością, jednak to, co się wydarzyło, samo w sobie było szokujące.

— Z twoim tatą wszystko w porządku. Chodzi o Carlę. Zginęła w wypadku. Zawiadomiłam twoją mamę, co się stało, a ona poprosiła, żebym powiedziała również tobie.

— Carla była przekonana, że ktoś chce ją zabić — oznajmiła Jilly.

— Nie wiemy, czy właśnie to miało miejsce. Szeryf uważa, że sama mogła zjechać samochodem z klifu.

Twarz Jilly nagle zubożała.

— Moja mama wkrótce wyjedzie, prawda?

Tak więc skończyłyśmy rozmowę na temat Carli.



Phyllis A. Whitney

— Tak sędę.

— Lynn, czy myślisz, że mogłabym wrócić teraz do szkoły? Pozwolą mi? Nie chcę, żeby znowu ktoś się mną zajmował, a jak pojedę do szkoły, to nie będę musiała mieszkać w Charlottesville z wujkiem Everettem i ciocią Meryl.

— Porozmawiamy o tym z wujkiem Julianem i twoim tatą. Uważam, że to dobry pomysł, znajdziesz się znowu wśród dzieci.

— Ten dom jest częścią moich kłopotów — oznajmiła Jilly, odwracając się, by spojrzeć na wystające piętra i kilkupoziomowe dachy, zaprojektowane przez jej ojca. — To nie jest dom, w którym może mieszkać normalna rodzina. Każdy jest odizolowany, wcale nie jesteśmy sobie bliscy... Inaczej niż w prawdziwym domu.

Po raz pierwszy jej słowa uświadomiły mi, że piękne plany, jakie stworzyliśmy Stephen i ja, przekształciły się w efekcie w coś egzotycznego, cudowny obraz domu. Ale nie, jak zauważyła Jilly, w miejsce, w którym mogła mieszkać kochająca się rodzina.

— Masz rację, Jilly — przyznałam. — Ale tak naprawdę, przed przyjazdem tutaj nigdy nie zdawałam sobie z tego sprawy. Może twój tata będzie w stanie przeprowadzić się do mniejszego domu, w mniej odosobnionym miejscu. Myślę, że on jest silniejszy, niż nam się wydaje, Jilly, więc jeszcze wszystko może się zmienić.

Skinęła poważnie głową, niezupełnie uspokojona.

— Jilly, kochanie — spróbowałam — nie sądzisz, że tym razem mogłabyś mi odrobinę zaufać?

Odsunęła się w drugi koniec ławki — nie była jeszcze do tego gotowa. Ale musiałam przeć ostro do przodu, jeśli nadarzyła mi się taka okazja.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

282

— Wiem, że coś cię trapi. I myślę, że mogłoby ci pomóc zwierzenie się komuś z tego. Może mnie. Albo wujkowi Julianowi. A najlepiej twojemu tacie.

Dzisiaj jej oczy wydawały się bardziej szare niż zielone i dostrzegłam w nich strach, który chciałam usunąć za wszelką cenę.

— Gdybyś mogła powiedzieć, co cię niepokoi, Jilly, poczułabyś się lepiej. Gdybyś...  
Zupełnie niespodziewanie zdecydowała się mi zaufać.

— Mój tata zabił Luthera Kerstena. — Przerwała na chwilę, jakby ważąc swoje słowa. — Już! Powiedziałam ci, ale wcale nie czuję się lepiej. Czuję się gorzej. Powtórzysz to komuś?

— Nie chcę mówić nikomu czegoś, w co nie wierzę. To nieprawda. Jak to się stało?

— Pobili się i wtedy chyba Luther odwrócił się plecami do taty, a tatuś zepchnął go z urwiska. Luther był bardzo złym człowiekiem i może dobrze, że tak się stało. — Jej głos zabrzmiał trochę prowokująco.

— Dlaczego nie rozmawiałaś z tatą o tym, co widziałaś?

— Nie widziałam, wcale tego nie mówiłam.

— Więc jak...?

— Ktoś inny widział, co się stało. Ktoś, kto mi to powiedział.

— Ta czwarta osoba, o której wspominałaś?

— Tak! Ale jeśli powiem o tym komuś, policja dowie się wszystkiego, a wtedy zamkną tatę w więzieniu za morderstwo. Nie rozumiesz, Lynn? Nie mogę z nikim o tym rozmawiać. Ale powiedziałaś, że tobie mogę zaufać.

— Chcę, żebyś mi ufała. Lecz dlaczego osoba, która widziała, co się wydarzyło, nie powiedziała ani słowa?

Phyllis A. Whitney

— Bo ucierpiałby na tym mój tata, a ta osoba nienawidziła Luthera.

— Nadszedł czas, abyś wyjawiała mi, kto to był, Jil-ly. Nie musisz męczyć się z tym sama. Powinien tym się zająć ktoś jeszcze.

— Nie! Jak się dowiesz, będziesz musiała powiedzieć... a wtedy mój tata znajdzie się w strasznym niebezpieczeństwie.

— Och, Jilly, kochana, uważam, że się mylisz. Odsunęła się ode mnie jeszcze dalej.

— Ty nic nie wiesz!

— Więc dlaczego mi nie powiesz?

— Odejdź. Nie chcę z tobą rozmawiać. Daj mi spokój!

Sprawiłam jedynie, że jeszcze bardziej zamknęła się w swojej skorupie i odcięła ode mnie. To tyle, jeśli chodzi o moje zdolności!

Podniosłam się.

— Obiecuj mi jedno, Jilly, i pójdę. Obiecuj, że przez jakiś czas nie będziesz sama chodzić do lasu. Czy dokądkolwiek, gdzie byłabyś całkiem sama.

— A co to za różnica? Bez Carli cały czas jestem sama. Szczególnie w nocy.

— Nie, dopóki twoja mama jest tutaj. A kiedy odjedzie, może wprowadzę się na jakiś czas do pokoju Carli. Aż wszystko się wyjaśni.

Jej wzrok, wyrażający ulgę, powiedział mi, jak bardzo się boi.

— Zrobisz to, Lynn?

— Oczywiście. Przeniecę się tam natychmiast po wyjeździe twojej mamy. Chyba już zacznę się pakować.

Jej uśmiech był dla mnie nagrodą... A więc nie straciłam Jilly tak zupełnie! Kiedy zbliżyłam się do domu, na drodze pojawiła się Meryl.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

289

— Zaczekaj chwilę, Lynn! — zawołała.

Poczekalam na nią koło pokoju Stephena. Nie miałam podstaw, aby podejrzewać Meryl, niezależnie od tego, czy pochwalałam jej zachowanie czy nie, ale teraz powinnam strzec się każdego.

Zaczęła mówić, jeszcze zanim znalazła się obok mnie.

— Vivian dzwoniła i powiedziała mi, co się przydarzyło Carli. To straszne, oczywiście, ale wcale mnie to nie dziwi. Ona była zupełnie niezrównoważona! Naturalnie przyjechałam, jak tylko usłyszałam tę wiadomość, żeby zobaczyć, czy mogę w czymś pomóc.

— Nie bardzo wiem, co mogłabyś zrobić. Czy ktokolwiek z nas może coś zrobić.

— Mogę się przynajmniej zająć Jilly. Na to nie mogłam się zgodzić.

— Nadal tu jestem, Meryl. Ale uważam, że nie powinniśmy podejmować żadnych działań bez porozumienia się ze Stephenem.

— Właśnie to zamierzam zrobić... natychmiast. Zobaczymy się później.

Odsunęła drzwi do saloniku Stephena i zniknęła w środku. Chciałam wejść za nią i sprzeciwić się każdej próbie zabrania stąd Jilly, jaką mogła wymyślić, ale moja obecność w niczym by teraz nie pomogła, poza tym potrzebowałam trochę czasu na zastanowienie, na obmyślenie jakiegoś planu. Chyba jednak najbardziej potrzebowałam kogoś, kto by mnie wysłuchał.

Zatrzymałam się przed drzwiami gabinetu Juliana. Siedział sam, szybko uderzając palcami w klawisze maszyny do pisania.

— Wejdz, Lynn — powiedział spoglądając na mnie. Usiadłam obok jego biurka i opowiedziałam

wszystko, co usłyszałam od Jilly, a on przysłuchiwał mi

Phyllis A. Whitney

się bez słowa. Powiedziałam mu też to, co Carla Raines wyjawiała Orianie o szantażach Luthera.

— Nie wiem, co robić — zakończyłam. — Może ten, kto wmówił Jilly, że jej ojciec zabił Luthera Ker-stena, tak naprawdę sam ponosi za to winę. Na razie Jilly nic nie powie. Ale jak długo ten ktoś będzie wierzył, że mała się nie wygada?

Julian chyba mnie rozumiał. Był bardzo skupiony. Ale miał własny, czasami dziwny dla mnie, sposób rozwiązywania problemów.

— Jest pewien sposób uzyskania odpowiedzi, Lynn, jeśli chcesz spróbować. I jeśli możesz mi na tyle zaufać.

Nie miałam zielonego pojęcia, o czym on mówi, czekałam więc na dalszy ciąg.

— Pozwolisz mi zabrać się do przeszłości, cofnąć się w czasie? To znaczy, czy mogę ci pomóc wrócić do poprzedniego wcielenia?

To naprawdę mnie zaniepokoiło. Nie miałam ochoty wtrącać się do spraw psychiki, to nie były towarzyskie gry salonowe.

Julian odezwał się uspokajającym tonem:

— Opowiem ci, jak to robię. Naprawdę, nie ma się czego bać. Znajdziesz się w stanie delikatnej hipnozy, lecz będziesz całkowicie świadoma tego, co się dzieje. A równocześnie dotrzesz do najgłębszych wspomnień, których nigdy jeszcze sobie nie uświadomiłaś. To echa dawnych wydarzeń, one zaś mogą wyjaśnić teraźniejsze.

— Jak to możliwe?

— Wielu wierzących w to ludzi prowadziło badania w tej dziedzinie i doszło do przekonania, że w naszej wędrówce przez wieki spotykamy ciągle te same dusze. W innych ciałach, oczywiście, może nawet w ciałach innej płci. Możemy stale rozwijać związki między nami

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

286

i wyciągać z nich naukę. To, co wydarzyło się w naszych wcześniejszych życiach, może mieć wpływ na terażniejszość. Gdybym mógł cofnąć cię do poprzedniego wcielenia, możliwe, że znalazłabyś odpowiedzi na najbardziej nurtujące cię pytania.

Wszystko się we mnie skręcało na myśl o takim eksperymencie. Nie chciałam się poddawać hipnozie i wierzyć, w cokolwiek Julian chciał, bym uwierzyła. Na początku czułam, że ma dobre intencje i chciałam mu zaufać, ale wiedziałam, że wycieczka w przeszłość, jaką proponuje, to nie dla mnie. To może być niebezpieczne, mimo jego zapewnień.

— Dlaczego ja, Julianie? Dlaczego uważasz, że powinnam to zrobić? Dlaczego nie Stephen albo ktoś, kto jest z Jilly znacznie bliżej niż ja?

— Jesteś z nią bliżej, niż ci się wydaje. Zawsze byłaś. A równocześnie jesteś kimś, kto umie stanąć trochę z boku i spojrzeć na nas bardziej obiektywnie.

Nie mogłam uwierzyć, że jakieś parapsychologiczne mrzonki mogą pomóc mnie albo komukolwiek innemu.

— Nieważne — powiedział. — Jeszcze nie jesteś gotowa. Musimy dojść do tego w najodpowiedniejszym czasie, nie będę na ciebie naciskać. Po prostu pomyśl o tym jako o jednej z możliwości. Coś ważnego z twojej przeszłości... coś, co możesz sobie przypomnieć z poprzedniego wcielenia, mogłoby dać ci odpowiedź dotyczącą terażniejszości. Naprawdę w to wierzę, Lynn.

— Czy ty już powracałeś do poprzednich wcieleń? — zapytałam.

Zaśmiał się skruszony.

— Próbowałem. To nie zawsze się udaje, a ja najwidoczniej nie jestem dobrym medium. Zawsze zasypiam. Muszę więc zaufać intuicji i przewodnikom, którzy mną kierują. Daj mi znać, Lynn, gdybyś zdecy-

Phyllis A. Whitney

dowała się spróbować. To może być dla ciebie nawet kojące i uzdrawiające doświadczenie.

Daleka byłam od przyznania mu racji. Podniosłam się do wyjścia, kiedy wszedł Paul.

— Stephen chciałby się z wami zobaczyć. Coś się wydarzyło.

Był podekscytowany i przypuszczam, że umierał z chęci powiedzenia nam, o co chodzi, ale miał przykazane, aby zostawić to Stephenowi.

Gdy tak podążaliśmy do pokoju Stephena, znowu poczułam ogarniające mnie przerażenie. Była tu już Meryl, minę miała ponurą.

Stephen opowiedział nam szybko, co zaszło. Dzwonił właśnie John Williams, szeryf okręgowy. Carłę Raines wyciągnięto z rozbitego samochodu i okazało się, że zmarła, zanim samochód stoczył się z urwiska — w wyniku silnych ciosów w głowę. Była przypięta pasem bezpieczeństwa, więc nie wypadła z pojazdu w czasie wypadku. To uderzenie i tak by ją zabiło, ale miała jeszcze innego typu obrażenia. Może zabójca spodziewał się, że samochód się zapali i ogień zniszczy wszystkie ślady. Williams przypuszcza, że Carla musiała przez jakiś czas siedzieć w samochodzie, rozmawiając ze swoim mordercą — jak na to wskazują ślady opon. Mogła zostać zabita właśnie wtedy, potem wystarczyło zwolnić hamulec i samochód potoczył się w kierunku przepaści, a następnie spadł z urwiska.

To było znacznie gorsze niż jej rzekome samobójstwo; Meryl patrzyła na mnie, prawdopodobnie myśląc dokładnie to samo, co ja. Że osoba, która zabiła Luthera Kerstena, mogła zabić także Carłę. Czyżby ktoś, kto lubi duże wysokości?

Oczy Juliana nabrały nieobecnego wyrazu, gdy odezwał się miękko:

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

288

— Kiedy następuje gwałtowna śmierć, dusza przez jakiś czas może czuć się zagubiona i zdezorientowana. Nie wie, gdzie jest, ani dokąd ma iść. Muszę pomóc Carli z tym się uporać.

Wyszedł zamyślony, a Meryl popatrzyła za nim.

— Co za dziwak! Czasem zastanawiam się, co Vivian w nim widzi!

— Może doświadczenia życiowe Juliana nie rzutują aż tak bardzo na jego obecne życie, jak to jest w naszym przypadku — powiedział Stephen.

Paul przysłuchiwał się temu uważnie, a teraz odezwał się po raz pierwszy:

— Carla mówiła mi coś niedawno. Oświadczyła, że chce pojechać na Biały Księżyc, aby spróbować zrekonstruować wydarzenia, które doprowadziły Luthera do śmierci. Uważała, że koniecznie musi coś sprawdzić. Zapytałem, czy zamierza jechać tam sama, a ona spojrzała na mnie chytrze i odparła, że po powrocie będzie o wiele mądrzejsza. Tylko że, oczywiście, nigdy nie wróciła.

To, co usłyszeliśmy, w niczym nam nie pomogło, jednak Stephen uznał, że Paul powinien opowiedzieć wszystko szeryfowi.

Potem odezwała się Meryl:

— To pech! — Lecz nie miała na myśli Carli. — Policja będzie prowadzić intensywniejsze śledztwo, a to się nie spodoba Everettowi.

— To, czy coś się spodoba Everettowi, czy nie, nie ma teraz znaczenia — odparł Stephen. — Kobieta, która mieszkała w tym domu, została prawdopodobnie zamordowana, więc lepiej pomóżmy policji, na ile tylko możemy.

Pomyślałam o Jilly i o tym, jak te wydarzenia mogą na nią wpłynąć.



Phyllis A. Whitney

— Stephenie, ponieważ Oriana wyjeżdża, czy będziesz miał coś przeciwko temu, że wprowadzę się do pokoju Carli? Żeby być blisko Jilly. Do czasu, kiedy nie znajdziesz kogoś innego.

Meryl odpowiedziała, zanim zdążył się odezwać.

— Nie martw się, Lynn. Zabieram Jilly do Charlottesville, jak tylko będzie to możliwe. Będzie jej tam dobrze.

Wcale tak nie uważałam i ucieszyłam się, gdy Stephen potrząsnął głową.

— Nie tak szybko, Meryl. Dziękuję, Lynn. Twoja przeprowadzka do pokoju Carli po wyjeździe Oriany to dobry pomysł. To chyba nastąpi wkrótce. A zanim to nastąpi, czy mogłabyś mieć ją stale na oku?

— Oczywiście — zapewniłam go, lecz zanim wyszłam jej poszukać, Jilly weszła do pokoju. Wyczuła ciężką atmosferę i spojrzała na nas zaniepokojona.

Meryl wyciągnęła do niej rękę.

— Cześć, Jilly. Chodźmy gdzieś porozmawiać. Powinnaś usłyszeć, co się stało.

W łagodny sposób stanęła na drodze wszystkim moim ewentualnym zamierzeniom. Tak czy inaczej, teraz chciałam porozmawiać ze Stephenem.

— Mogę zostać jeszcze kilka minut? — spytałam. Stephen odezwał się do Paula:

— Zacząłeś już się pakować, prawda? To chyba dobry moment, by dokończyć.

Widoczna ciekawość Paula znowu nie została zaspokojona, wyszedł więc z pokoju ociągając się.

— Biedna Carla — powiedział Stephen. — Obawiam się, że nigdy nie poświęcałem jej zbyt wiele uwagi. Czulem, że Oriana popełniła błąd sprowadzając ją tutaj, ale nie sprzeciwiłem się temu. Teraz wszyscy zastanawiamy się, czy można było uniknąć tragedii.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

290

Nie wszyscy, pomyślałam, a Stephen mówił dalej:

— Przykro mi, że zostałam w to wszystko wplątana, Lynn. Lecz ty przynajmniej nie składasz się z muzyki i kadzideł.

Te słowa zabrzmiały gorzko, a ja byłam coraz bardziej zła na Orianę.

— Będę wdzięczny, jeśli zostaniesz jeszcze trochę i pomożesz zająć się Jilly — poprosił. — Wiem, że ona cię uwielbia. Coś ją dręczy, ale straciłem jej zaufanie, dlatego nie zechce ze mną rozmawiać.

Nadszedł czas, by usłyszał prawdę.

— Ktoś wmówił małej, że jeśli zdradzi, co wie, pójdiesz do więzienia za morderstwo. Za zamordowanie Luthera.

Chociaż niczego nie owijałam w bawełnę, moje słowa raczej go nie zaskoczyły.

— Może tak i było — powiedział. — Nadal nie wiem, co naprawdę się stało. Ale muszę wytłumaczyć Jilly, że nie chcę, żeby mnie chroniła.

— W takim razie porozmawiaj z nią. Niech prawda wreszcie wyjdzie na jaw, Stephenie.

— Gdybym tylko mógł sobie przypomnieć! Ale nie mogę niczego uporządkować, wszystko mi się miesza.

— Może jedynym sposobem na to, aby Jilly zaczęła wreszcie mówić — zastanawiałam się głośno — będzie zabranie jej w jakieś przyjemne miejsce, danie jakichś miłych przeżyć, dzięki którym uda jej się odprężyć. Coś w rodzaju miłej zabawy. Wtedy może zaczniesz ci trochę bardziej ufać, a ty zrozumiesz, jak ważne jest dla ciebie rozróżnienie tego, co rzeczywiste, a co nie. Wspomniała, że obiecałaś jej kiedyś wyprawę balonem. Teraz mógłbyś zrealizować tę obietnicę.

— W porządku... Chcę spróbować. Pomyślę o tym.

Phyllis A. Whitney

Przed wyjściem musiałam mu zadać jeszcze jedno pytanie.

— Stephenie, co myślisz o Julianie cofającym ludzi do ich poprzednich wcieleń?

Był zaskoczony.

— Czy pytasz o to dla jakiegoś szczególnego powodu?

— Zaproponował mi taką wycieczkę w przeszłość. Uważa, że mam jakiś związek z tym, co się tu dzieje, a poza tym nadal patrzę na wszystko jakby z zewnątrz. On twierdzi, że wydarzenia powtarzają się co jakiś czas w różnych wariantach i że niektóre... dusze?... co jakiś czas się spotykają. Uważa, że mogłabym w ten sposób pomóc nam wszystkim.

— Wiem. Czytałem kilka książek Juliana.

— Wierzysz w to wszystko?

— Wiara to mocne słowo. Tak jak niewiara. Zacząłem to trochę poznawać, jako że niewiele miałem do roboty. Jedną z rzeczy, do których doszedłem, jest to, że każde negatywne działanie pociąga za sobą kolejne. Nie jestem zbyt dumny z tego, kim się stałem.

Nie użalał się nad sobą, mówił to trochę prowokująco... czyżbym miała z nim się nie zgodzić?

— Potrzebowałeś czasu, Stephenie.

— Miałem dosyć czasu. Cieszę się, że tu jesteś, Lynn.

— To, że tu jestem, to kwestia dziwnego przypadku... tylko dlatego, że Julian zobaczył mnie kiedyś w telewizji.

— On nie wierzy w przypadki. — Stephen się uśmiechnął. — Więc może właśnie nadszedł czas, żebyś przyjechała. Wszyscy cię potrzebujemy.

To było znacznie więcej, niż mogłam wytrzymać, odezwałam się więc szybko:

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

297

— A co z tym cofaniem się w czasie? Uważasz, że powinnam spróbować?

— To ty musisz podjąć decyzję. To nie zabawa, którą można zlekceważyć. Nigdy nie wiesz, co z tego wyniknie. Porozmawiaj o tym z Vivian. Julian zabierał ją w przeszłość kilka razy i...

— Oczywiście, że to robił! — odezwała się wesoło Vivian, wchodząc do pokoju. Niosła tacę z talerzem kanapek. — Nie było was na lunchu, więc poprosiłam Meryl i Jilly, żeby coś przygotowały. Jedzą właśnie w kuchni, a ja postanowiłam się do was przyłączyć.

Radość Vivian, której nauczyła się od Juliana, była tym, czego wszyscy teraz potrzebowaliśmy.

Pomogłam jej ustawić talerze i nalać kawę.

— Julian powiedział mi, co się stało — ciągnęła. — Poszedł do Śpiewających Skał, aby pomóc Carli. Wiem, że mu się uda. Choć dla nas jest to bardziej przerażające niż dla Carli... umożliwienie jej przejścia na inny poziom.

Przypuszczałam, że może nadejść czas, gdy tego typu stwierdzenia uznam za coś naturalnego, teraz jednak w krainie duchów byłam nadal kimś obcym.

— Julian uważa, że najlepiej, jeśli wszyscy roztoczmy teraz wokół siebie białe ochronne światło.

Wtedy żadne zło nie będzie miało do nas dostępu — mówiła spokojnie Vivian.

— Szkoda, że Carla o tym nie wiedziała — zauważyłam.

— Och, wiedziała. Powiedziałam jej o tym już dawno. Ale jej dusza nie była gotowa do zaakceptowania tego. Lynn, czy pozwolisz, by Julian zabrał cię do poprzednich wcieleń?

Wzięłam kanapkę, zwlekając z odpowiedzią.

Phyllis A. Whitney

— Nie jestem pewna. Chyba szukamy odpowiedzi trochę za daleko. Kto wie, do czego mogę wrócić? To może się okazać straszne.

— Sposób, w jaki Julian to robi, zapobiega złu — uspokoiła mnie. — Mówiłam ci, że on nie wierzy w powracanie do cierpień i przeżywanie ich na nowo.

— Więc sądzisz, że powinnam spróbować?

— Wszystko zależy od ciebie. — To już powiedział Stephen.

Ale Vivian ciągnęła dalej:

— Naprawdę możesz zaufać Julianowi. Kiedy przez chwilę znowu byłam chłopcem okrętowym, wiedziałam, że będę strasznie bita przez okrutnego pierwszego oficera. Może nawet zmarłam na skutek tego. Jednak nie czułam bólu, jakiego musiał doznawać ten chłopiec, chociaż zdawałam sobie sprawę, że to właśnie nim kiedyś byłam. Julian nie dopuścił do mnie żadnego cierpienia.

— Jeśli się zdecyduję, czy ktoś jeszcze może być przy tym obecny? — zapytałam.

— Jeżeli chcesz. To nie ma żadnego znaczenia, dopóki ten ktoś zachowuje się cicho i nie przerywa.

— Będziesz tam, jeśli się zdecyduję? — spytałam Stephena. — Gdyby coś źle poszło, przewiesz wszystko.

— Nic nie pójdzie źle — zapewniała słodko Vivian. — Też bym chciała popatrzeć, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

Wiedziałam, że muszę podjąć decyzję w sprawie, o której jeszcze kilka dni temu w ogóle nie myślałam.

— Jeśli się zdecyduję, oczywiście, że nie będę miała nic przeciwko temu — odparłam. — Ale jeszcze nie jestem pewna, czy się zdecyduję.

— Właściwie, jak się zgodzisz, będziesz to miała już za sobą — powiedział Stephen. — Co masz do strace-

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

299

nia? A tymczasem chcę zabrać ciebie i Jilly na wycieczkę balonem. Przypomniałaś mi, że Jilly zawsze miała na to ochotę, więc zadzwonię do Roscoe'ow i dowiem się, czy mogą nam zorganizować w najbliższym czasie taką wyprawę, póki jeszcze mamy piękną pogodę.

— Wspaniały pomysł! — zawołała Vivian. — O tej porze roku Blue Ridges widziane z góry będą piękne.

Nie mogłam oddychać, jakbym straciła siły. Wspaniale było widzieć, jak Stephen znowu bierze się w garść, ale wyglądało na to, że zostałam zapisana na dwie podróże, sama niewiele mając do powiedzenia. Nawet kiedy słyszałam, iż wszystko zależy ode mnie, czułam, że wcale tak nie jest i zaczął mnie dręczyć nowy niepokój — uczucie, że wszystkie wydarzenia osiągną niebawem jakiś nie dający się przewidzieć punkt kulminacyjny.

## 18

Czekałyśmy z Vivian na Juliana na tarasie przed gabinetem. Stephena przyprowadzimy na górę, jak już wszyscy będziemy gotowi. Paula, oczywiście, nie można wpuścić. Meryl zajmowała się teraz Jilly i obie też do nas nie przyjdą. W pokoju nie powinno być żadnej osoby, która mogłaby oddziaływać negatywnie, jak powiedziała Vivian — nic, co mogłoby przeszkodzić w koncentracji mnie albo Julianowi.

Popołudnie było ciepłe jak wiosną, żadnego wiatru i chociaż nasłuchiwałam, nie usłyszałam śpiewu skał.

— Dlaczego Julian takim uczuciem darzy Śpiewające Skały? — zapytałam Vivian.

Chętnie udzieliła mi wyjaśnień:

— Rozumiem go, bo gdy kiedyś zabrał mnie do poprzedniego wcielenia, znaleźliśmy się na szczycie urwiska. Julian nie potrafił sam się cofnąć do tych czasów, ale ponieważ ja tam byłam, mogłam opowiedzieć, co się wydarzyło. Aż do momentu, kiedy... zginęłam.

Nic już nie było w stanie mnie zadziwić. Może zaczynałam akceptować ten dziwny świat, który Julian i Vivian traktowali jak coś normalnego.

— Nie znam dokładnego czasu — mówiła Vivian rozmarzonym głosem, jakby na nowo przeżywała coś, co wyraźnie utkwilo jej w pamięci. — Kiedyś na tych

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

301

terenach żyli Indianie. Julian był młodym Indianinem. Nie byli to koczownicy ani wojownicy... uprawiali ziemię. Ja byłam indiańską dziewczyną i kochałam tego chłopaka. Czasami, kiedy po takim seansie wracam do teraźniejszości, widzę związek między moim życiem obecnym a przeszłym. Larry też pojawił się w tej scenie, ale nie od razu. Wizje nie zawsze są uporządkowane w czasie — po prostu jedno widzisz, a drugiego nie. Byliśmy razem w górach, niedaleko Śpiewających Skał, choć wtedy oczywiście wcale ich tak nie nazywaliśmy. Zaatakowało nas jakieś dzikie zwierzę, chyba pantera. Pamiętam żółte oczy i przeraźliwe, ostre kły. Chłopak czasami składał ofiary skałom i modlił się przy nich, dlatego mu pomogły. Otoczyły go kołem i nie dopuściły do niego pantery, tak więc ocalał. Mówiła tak, jakby przeżywała wszystko na nowo, choć teraz nie odczuwała strachu.

— A co się stało z tobą? — zapytałam. — Wiesz? Zamknęła oczy, lecz głos jej nawet nie drgnął.

— Pantera mnie rozszarpała. To musiała być okropna i bolesna śmierć, ale Julian, przenosząc mnie w przeszłość, nie pozwolił, abym czuła, co się dzieje.

— Powiedziałaś, że Larry też tam był.

— Tak. Był na polowaniu. On także się we mnie kochał, więc podążał za nami w pewnej odległości. Pantera zaatakowała najpierw mnie, a Larry zabił ją, zanim zmarłam. Poprosiłam go, by zaopiekował się moim narzeczoną, który był od niego młodszy, i obiecał, że to zrobi. Więc chociaż wszystko było inaczej, nawet w tamtym życiu zostali przyjaciółmi. Oczywiście nie wiem, co się stało potem, bo już mnie tam nie było.

Wzruszająca była ta niczym nie zachwiana ufność Vivian ale ja nie miałam pewności, czy kiedykolwiek będę w stanie zaakceptować to tak jak ona. Zdaje się,



Phyllis A. Whitney

że podczas zbliżającego się eksperymentu to moja obecność może wpływać negatywnie na innych. Zobaczyliśmy Juliana przechodzącego przez most, więc Vivian pobiegła po Stephena.

— Pomogłem Carli odzyskać wolność — powiedział Julian, podchodząc do mnie. — Będzie teraz szczęśliwsza... i bezpieczniejsza niż w tym życiu. Chociaż, kto wie, co jeszcze przed nią. Może nie chce od razu ponownie się urodzić. Wiesz, że wszyscy wybieramy rodziny, w których chcemy przyjść na świat.

Nie wiedziałam... nic nie wiedziałam! Ale nie mogłam podawać w wątpliwość pewności i wiary Juliana w to, czego dokonał. Przyjrzał mi się uważnie i chyba natychmiast wyczuł, po co tu jestem.

— Podjęłaś decyzję, Lynn, prawda?

Nie czekał na moją odpowiedź, lecz zaprowadził mnie do gabinetu i wskazał mi leżankę przy ścianie. Na jego polecenie położyłam się na plecach, a on podsunął mi poduszkę pod głowę. Zdałam sobie sprawę z tego, co za chwilę nastąpi i zadrżałam. Jak to powiedział Stephen, to nie zabawa, a ja nie byłam jeszcze gotowa podporządkować swojej woli Julianowi.

'Przystawił krzesło do leżanki i ujął rękoma moją dłoń, a wtedy wbrew sobie zaczęłam się uspokajać. Wróciła Vivian, pchając wózek Stephena, choć nie bardzo już docierało do mnie to, co działo się za plecami Juliana. Byłam całkowicie skoncentrowana na nim. Uścisk jego rąk przeniósł mnie w jakieś miejsce, którego spokoju nic nie mogło zakłócić.

Ktoś wyłączył wszystkie światła z wyjątkiem lampy w rogu. W pokoju było cicho, Julian siedział bez słowa, trzymając mnie za rękę i dając mi jakąś wewnętrzną siłę, która oddalała ode mnie wszelkie ewentualne wątpliwości. Na chwilę zamknął oczy — pomyśla-

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

298

łam, że może się modli... Może prosił o ochronę i światło...

Poczułam się odprężona i nie obawiałam się niczego, ale on wprowadzał mnie w coraz głębszy stan spokoju. Przykrył mnie kocem, a kiedy schował pod nim również moją rękę, ponownie zrobiło mi się ciepło. Byłam zaskoczona, że jego słowa, wypowiedane tak łagodnie, docierały do mnie bardzo wyraźnie, wprowadzając mnie w stan niemal mistycznego odprężenia... od głowy, przez ramiona i nogi, aż do koniuszków palców. Nie ostało się żadne napięcie ani niepokój.

Julian trzymał metalowy długopis przed moimi oczami i kazał mi go śledzić wzrokiem. Najpierw z prawa na lewo, potem do góry, aż do momentu, kiedy oczy zaczęły mnie boleć, a w końcu je zamknęłam. Moje powieki zrobiły się zbyt ciężkie, by mogły pozostać otwarte.

— Nie jesteś w stanie otworzyć oczu — powiedział delikatnie.

Jakaś racjonalnie myśląca część mojej świadomości powiedziała, że oczywiście byłabym w stanie je otworzyć, ale kiedy spróbowałam zmusić do ruchu mięśnie powiek, nic się nie zdarzyło. Trochę mnie to zaskoczyło, ale zaniechałam dalszych prób.

Julian mówił dalej tym samym, niskim głosem:

— Będiesz całkowicie świadoma podczas całej podróży w przeszłość. Gdyby coś cię zaniepokoiło, podnieś palec wskazujący prawej ręki, a natychmiast sprowadzę cię z powrotem. Jesteś bezpieczna. Nic nie może cię przestraszyć, ani sprawić, że poczujesz ból. Będziesz jedynie obserwatorem, niezdolnym odczuwać cierpienia, jakie mogło stać się twoim udziałem w poprzednich wcieleniach. Zadam ci pytania, jeśli będziesz w stanie na nie odpowiedzieć, to doskonale. Jeżeli nie,

Phyllis A. Whitney

przejdziemy dalej. To nie będzie miało żadnego znaczenia.

Nigdy nie czułam się tak spokojnie, tak ufnie. Oddychałam miarowo, a moje piersi unosiły się i opadały rytmicznie.

— Schodzisz teraz bardzo głęboko. Coraz głębiej i głębiej. Nie musisz o niczym decydować, twoi przewodnicy zaprowadzą cię tam, dokąd masz iść. Czy możesz mi powiedzieć, gdzie jesteś, co widzisz?

Usłyszałam swój własny, przytłumiony głos, opowiadający Julianowi, co widziałam, mimo przymkniętych powiek.

— Stoję przed domem. Drewnianym. Widzę rozpadający się szary ganek i kilka wiodących do niego schodków. Na ganku stoi stary fotel na biegunach.

— Kiedy to się dzieje i jaka jest pora roku?

Nie zwlekałam z odpowiedzią — słowa zdawały się wypływać bez żadnego udziału świadomości.

— Jest późna jesień, rok 1899.

— Gdzie jesteś? Opowiedz mi, co widzisz.

— Jestem w górach. Dokoła szarego domku wznoszą się góry.

— W jakim jesteś kraju?

— Jestem tu, w Ameryce. W Kolorado. Jakaś kobieta podjeżdża do ganku. Ja jestem tą kobietą, ale tylko jej się przyglądam.

— To dobrze. Tak właśnie powinno być. Na czym jedzie ta kobieta?

— Na mule — odpowiedziałam i stało się coś dziwnego. Jakaś część mojej świadomości, obserwująca to wszystko ze mną, nagle się sprzeciwiła. — Na mule! — powtórzyłam kategorycznie, a mój głos zabrzmiał silniej i głośniej.

— Zejdź głęboko, Lynn... bardzo głęboko.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

305

Julian mówił spokojnie, a ta część mojej psychiki, która chciała mu się sprzeciwić, ucichła. Przed oczami miałam pustą, okrągłą, brązową plamę — ciemny wir, który biegł bez końca w próżnię. To było jak wirująca nicość.

— Czy jesteś w mieście? Czy znasz nazwę tego miasta?

W środku tego wiru znowu pojawiły się przede mną obrazy, z moich ust popłynęły słowa:

— Jestem w górach. Niedaleko Genessee.

I znowu jakaś część mojej świadomości zaczęła protestować:

— Nigdy nie słyszałam o Genessee w Kolorado!

— To nie ma żadnego znaczenia. Zejdź głębiej, głębiej. Bardzo głęboko. Gdzie teraz jesteś?

Powróciła brązowa próżnia i obrazy. Kobieta, którą obserwowałam — która była mną — znajdowała się w domu.

— Stoję przed dużym paleniskiem, pali się w nim ogień. Mam na sobie niebieską sukienkę i biały fartuch, przykrywający cały przód mojej spódnicy i zawiązany z tyłu na wielką kokardę. W pokoju znajduje się stół. Nie jest przygotowany do posiłku. Na stole stoi wazon z niebieskimi kwiatami... pasują do mojej sukienki. Dał mi je mój mąż.

— Niebieskie kwiaty? — odezwał się mój drugi głos.

Julian zlekceważył go.

— Czy ktoś jeszcze jest w pokoju?

— Mały chłopiec klęczy przy palenisku... mój syn. A piętnastoletnia dziewczyna stoi przy stole... moja córka.

— Jak się nazywasz?

Odpowiedź nadeszła bez zastanowienia.

Phyllis A. Whitney

— Alice Lampton.

Wszystko było w porządku, nie zastanawiałam się ani chwili, zanim zaczęłam mówić.

— Kto jest twoim mężem?

— Jim Lampton.

— Gdzie go poznałaś?

— W domu, w Ohio.

Julian pokazał mi prędko moje pierwsze spotkanie z Jimem Lamptonem, nasz ślub... Nie w kościele, ponieważ mój ojciec — ojciec Alice — był niewierzący. Wzięliśmy ślub w domu, w saloniku wypełnionym kwiatami, bo działo się to wiosną. Szybko okazało się, że Jim niezbyt sobie radził w Ohio i że marzył o Zachodzie. Był doskonałym cieślą, ale dużo pił — za dużo — więc w żadnej pracy nie zagrzał długo miejsca.

— Jak cię traktował? — spytał Julian.

— Był dla mnie dobry. Kochał mnie. Ale musiałam być silna za nas oboje.

Jakaś część mnie, której zdolność myślenia nie została uśpiona, wiedziała, że Jim w obecnym moim życiu stał się Stephenem i że nadal wypełnialiśmy naszą *karmę*.

— Miałam jeszcze bliźniaki — ciągnęłam. — Urodziły się, gdy byłam już dużo starsza i wkrótce zmarły. Nie czułam żalu po ich stracie, ale, to dziwne, prawdziwe łzy spłynęły mi po policzkach.

— Opowiedz mi jeszcze o czymś, co wydarzyło się w twoim życiu. O czymś trudnym, przez co musiałaś przejść.

I znowu w brązowej przestrzeni pojawiły się obrazy.

— Jesteśmy na wozie, wracamy z miasta do domu. Jim cieszy się, jest szczęśliwy. W zeszłym tygodniu znalazł na naszej ziemi złoto, odkrył je w miejscu, gdzie strumień spływa z gór. Byliśmy właśnie w mieście, żeby

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

307

wymienić to złoto, i mamy więcej pieniędzy niż kiedykolwiek. Jim ostatnio przestał pić, a teraz śpiewa z radości.

Moje słowa urwały się nagle.

— Co się stało potem? — ponaglił Julian. Kiedy znowu się odezwałam, mój głos drżał, choć nadal niewiele czułam... jakbym czytała historię dotyczącą kogoś innego.

— Jadą za nami jacyś ludzie... za Alice i Jimem. Źli ludzie. Ich przywódca nazywa się Scotty... niski, przystojny mężczyzna. Wydaje mi się, że jest szalony... Miał dziki wyraz oczu, chociaż cały czas uśmiechał się, obrabowując nas ze swoimi ludźmi. To on strzelił do Jima, a ten osunął się z ławki. Potem Scotty zrzucił ciało Jima do parowu, wgramolił się na wóz, usiadł obok mnie i zdjął kapelusz. Powiedział, że mu przykro z powodu tego, co zrobił, ale było to konieczne. Trzepnął naszą klacz kapeluszem, a ta pogalopowała przed siebie. Ciało Jima nigdy nie odnaleziono.

I znowu łzy spływały mi po twarzy, choć wcale nie czułam żalu... Byłam jedynie bezstronnym obserwatorem, który współczuł Alice Lampton.

— Czy znałaś któregoś z mężczyzn, którzy was obrabowali? Zejdź głębiej, Lynn... głęboko, głęboko. W pojawiających się przede mną obrazach nie mogłam go nigdzie rozpoznać. Ale jakaś część mnie wiedziała coś, czego ta kobieta, Alice Lampton, nie mogła wiedzieć. Spotkałam ponownie tego niskiego, okrutnego człowieka w moim obecnym życiu. Było w nim coś... coś ważnego... co rozpoznałam, ale czego nie potrafiłam określić. Wiedziałam, że Jim to Stephen... może dlatego, że obu ich tak dobrze znałam. Nie mogłam jednak odkryć obecnego wcielenia Scotty'ego.

Phyllis A. Whitney

Milczałam; nie byłam w stanie powiedzieć Julianowi nic więcej.

— W porządku — uspokoił mnie. — Wszystko w porządku, już opuszczasz ten czas. To nieszczęście wydarzyło się dawno temu. Przenieśmy się do chwili twojej śmierci. Powiedz mi, gdzie jesteś.

Ciągle byłam w szarym domku w górach. Leżałam na łóżku koło okna, skąd mogłam patrzeć na szczyty, które tak kochałam. Obok mnie stała moja dorosła córka i wnuki. Moja córka płakała.

Opisałam Julianowi tę scenę bardzo dokładnie. Wiedziałam, że umieram, i wiedziałam, że znowu zobaczę się z Jimem, więc nie byłam nieszczęśliwa.

— Na co umierasz? Odpowiedziałam spokojnie:

— Na raka.

Nie czułam bólu. Już nie płakałam... po moich policzkach nie płynęły łzy. Po prostu zamknęłam oczy i przeniosłam się w inne miejsce.

— Chowają Alice w drewnianej trumnie na cmentarzu obok wiejskiego kościoła. Ale jej tam nie ma.

— Co masz na myśli?

— Opuściła ją. Prawdziwa istota Alice opuściła trumnę.

— Chodzi ci o jej duszę, tak?

— Tak. Dostała chyba jakieś zadanie do wykonania, zanim będzie mogła powrócić do nowego życia.

— Wspaniale, Lynn. Doskonale sobie poradziłaś. Teraz sprowadzę cię z powrotem do teraźniejszości. Będę odliczał powoli od dziesięciu. Kiedy dojdę do zera, będziesz zupełnie rozbudzona, poczujesz się świeża i spokojna. Będziesz wszystko pamiętać, ale to ci w niczym nie przeszkodzi ani nie sprawi bólu.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

309

Zaczął liczyć, a kiedy kazał mi otworzyć oczy, rozejrzałam się dokoła i zobaczyłam Stephena w drugim końcu pokoju, przyglądającego mi się z dziwnym wyrazem twarzy. Vivian była wesoła i zadowolona.

— To wspaniałe, Lynn! — zawołała. — Naprawdę dotarłaś do swojego poprzedniego wcielenia! Jej słowa zabrzmiały bardzo błaho w porównaniu z głębią mojego doświadczenia.

Usiadłam, a gdy Julian zdjął ze mnie koc, poruszyłam się swobodnie. Kiedy podniosłam rękę do twarzy, poczułam wilgotne ślady łez, które naprawdę ciekły mi po policzkach.

— Jak myślisz, ile czasu nam to zajęło? — zapytał. Przypuszczałam, że jakieś trzydzieści minut, ale okazało się, że spędziłam w poprzednim życiu półtorej godziny. Właśnie zaczynało się zmierzchać. Stephen przysunął do mnie swój wózek.

— Czy dowiedziałaś się czegoś pożytecznego, Lynn? Czy zgodnie z tym, czego oczekiwał Julian, znalazłaś jakąś odpowiedź na swoje pytania?

— Wiem tylko tyle, że już kiedyś byłam twoją żoną, Stephenie. Byłeś Jimem Lamptonem i w tamtym życiu też cię straciłam.

Było tak, jakbym się wyzbyła ograniczeń i zakazów; zaczęłam mówić otwarcie, okazując uczucia. Uczucia, które należały do tego życia.

Stephen wzdrygnął się, jak gdyby to, co powiedziałam, nie bardzo mu się podobało. Obraz Jima, który nakreśliłam, nie był zbyt pochlebny, więc może nie chciał porównywać go z teraźniejszością.

— Coś jeszcze? — spytał.

— Tylko tyle, że ten mężczyzna, Scotty, który zamordował Jima, to ktoś, kogo chyba znam. Ale nie potrafię go zidentyfikować. Gdybym umiała, mogłoby



Phyllis A. Whitney

nam to wskazać kierunek poszukiwań. Odpowiedź jest poza zasięgiem moich możliwości i nie umiem tam dotrzeć.

Zaczynałam się czuć coraz bardziej przygnębiona, więc Julian, Vivian i Stephen szybko wyszli z pokoju. Przedtem Julian dał mi do potrzymania diament Herkimerów. Emanowała z tego kryształu uzdrawiająca moc, która powstrzymała moje rozpaczliwe poszukiwania w pamięci.

— Niech to wszystko od ciebie odejdzie, Lynn — powiedział na odchodnym. — Niech opanuje cię jedynie uczucie spokoju. Odpowiedź, której potrzebujesz, jest w tobie, a kiedy nadejdzie odpowiedni czas, przypomnisz sobie wszystko.

Musiałam się z tym pogodzić. Czułam się tak, jakbym dryfowała w przestrzeni między przeszłością a terażniejszością. Teraz chciałam zostać sama. Z kolacji zabrałam talerz zupy do swojego pokoju. Nikt mi w niczym nie przeszkadzał... może dlatego, że Julian powiedział im, żeby tego nie robili.

Kiedy zaczęłam się zastanawiać nad dziwnym doświadczeniem, przez które przeprowadził mnie Julian, poczułam się niepewnie. Nie wiedziałam, ile z tego naprawdę pochodziło z mojego poprzedniego wcielenia. Sceptycznie nastawiona część mojej świadomości sugerowała, że po prostu wymyślałam odpowiedzi na pytania Forstera. Kiedy tylko pojawiła się brązowa próżnia, wyrzucałam z siebie potoki słów. Słów, z którymi nie miałam nic wspólnego. Zdawały się wypływać z głębszych pokładów mojego ja, dokąd nigdy jeszcze nie dotarłam.

Leżałam na łóżku pod ciepłym kocem, a przez otwarte okno wpadało chłodne powietrze. Ponieważ nie umiałam sobie poradzić z samą sobą, przeanalizowałam

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

306

jeszcze raz te wydarzenia, jakie stały się moim udziałem w gabinecie Juliana. Niczego nie szukałam, z niczym nie walczyłam, po prostu starałam się przemyśleć to wszystko na spokojnie. Alice Lampton nie wiodła nieszczęśliwego życia, z wyjątkiem tej ostatniej tragedii. Wiedziałam, że miała dwoje dzieci i wnuczkę.

Po raz pierwszy mogłam skupić całą uwagę na dziewczynce, która stała obok swojej matki przy łóżku umierającej Alice. I chociaż tamta mała wcale nie wyglądała jak Jilly, wiedziałam, że w moim obecnym życiu Jilly zajęła jej miejsce.

Kiedy dziewczynka stanęła w drzwiach — jedyna, która zakłóciła mój spokój tego wieczoru — zaprosiłam ją do środka. Usiadła cichutko, nie zadając żadnych pytań, wyczuwając moją potrzebę spokoju.

Narastało we mnie ogromne uczucie miłości do tego dziecka, większe, niż czułam do jakiegokolwiek dziecka w życiu, i wiedziałam, że muszę znaleźć sposób, aby jej pomóc i zapewnić bezpieczeństwo. Byłam to winna Stephenowi, sobie także. I tej dalekiej Alice Lampton, która mogła istnieć, choć wcale nie musiała.

Gdyby tylko udało mi się zidentyfikować Scot-ty'ego, tego łotra, którego należało zdemaskować, jeśli on — a może to ona? — miał swój odpowiednik w moim obecnym życiu. Jutro, gdy wrócą mi siły i energia, będę musiała postarać się go rozpoznać. Jak powiedział Julian, to przyjdzie samo.

Czy kiedykolwiek istniało Genessee w Kolorado? Warto by się tego dowiedzieć. Może to jedna z tych zapadłych osad górniczych, które już dawno zniknęły z powierzchni ziemi.

Próbowałam zmusić myśli do zainteresowania się teraźniejszością.

— Czy ciocia Meryl pojechała do domu, Jilly?

Phyllis A. Whitney

— Tylko na farmę. Chce mnie zabrać ze sobą, ale me chcę jechać. W każdym razie, jutro rano, jeżeli pogoda się utrzyma, wybierzemy się z tatą na wycieczkę „Powietrzną Tancerką”. Ty też polecisz z nami. Czyż to nie cudowne? Prosiłaś tatę o to, Lynn?

— Poddałam mu ten pomysł. Cieszę się, że na niego przystał.

Jej oczy lśniły jak nigdy dotąd.

— Jeśli wyruszymy wcześniej rano, pierwsze promienie słońca sprawią, że wszystko będzie wyglądało niezwykle i uroczo.

— Na górze będzie pewnie zimno. Jak powinniśmy się ubrać?

— Tatuś twierdzi, że ciepły gaz, napełniający balon, ogrzewa powietrze.

Ciągle czułam się dziwnie apatyczna, jakbym dryfowała w stronę czegoś nieuchronnego, czego nie umiałam przewidzieć, a co miało niedługo nadejść. Chociaż może teraz byłam już znacznie bliżej.

Zbyt blisko. To było coś, czego nie mogłam powstrzymać ani siłą woli, ani przez czynny opór.

Musiałam działać w rzeczywistym świecie... a jeszcze nie czułam się do tego przygotowana.

Naprawdę nie wierzyłam w zwiastuny wydarzeń, a jednak byłam przekonana, że Jilly na pewno nie weźmie udziału w naszej wyprawie, i to było przerażające.

— Opowiesz mi kiedyś, jak to było, kiedy wujek Julian cofnął cię w czasie? — zapytała Jilly.

— Oczywiście. Kiedy tylko wszystko sobie poukładałam. Na razie mam wrażenie, że doświadczyłam czegoś dziwnego, co jeszcze nie do końca rozumiem.

Chyba na to przystała i po chwili cichutko wyszła z pokoju. Chociaż było jeszcze dosyć wcześnie, położyłam się do łóżka i okryłam dokładnie kołdrą. Byłam

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

313

dziwnie zmęczona, fizycznie i psychicznie. Jak by nie było, przeżyłam dzisiaj całe moje poprzednie życie! Na zewnątrz znowu zerwał się wiatr — nocny wiatr, który tak często wiał na szczytach gór — a wraz z nim doszedł do mnie tajemniczy śpiew skał.

Równie wyraźnie, jak wcześniej widziałam całe życie Alice Lampton, zobaczyłam teraz siebie stojącą na szczycie, a postacie w czarnych pelerynach pochylały się ku mnie. Może chciały powiedzieć, że pomogą mi, tak jak kiedyś pomogły Julianowi — nie wiem. Miałam dziwne przekonanie, że stanie się tak w przyszłości, ale nie umiałam powiedzieć, czy podobnie jak Vivian kiedyś, teraz ja zostanę złożona w ofierze. Nie podobały mi się moje przeczucia dotyczące Jilly i odepchnęłam od siebie wszelkie wizje. Przyszłość można zmienić. Nie miałam się czego obawiać, bo już nigdy nie wejdem na tę górę. Ani Jilly, jeśli tylko uda mi się jej pomóc. Już nigdy nie będzie trzeba się wspinać na szczyt. Doprowadziwszy w pewnej mierze myśli do porządku, wreszcie spokojnie zasnęłam. Nawet jeśli coś mi się śniło, nie było to nic złego. Musiało być już po północy, kiedy otworzyłam oczy i zobaczyłam światło księżyca wlewające się przez okno do mojej sypialni. Stephen siedział cicho w drugim końcu pokoju. Kule położył obok krzesła.

Gdy dostrzegł, że nie śpię, odezwał się:

— Nie podobało mi się to, co zaszło w gabinecie Juliana. Bałem się, że obudzisz się przerażona.

— Dziękuję. Wszystko w porządku. Tak naprawdę wcale nie czułam, że coś się dzieje. I do tej pory nie bardzo to wszystko rozumiem.

Mój oddech nagle stał się nieregularny, serce zaczęło mi walić jak oszalałe. Historia Alice Lampton osłabiła mnie, ale wcale nie miała sprawić, że zacznę się bronić

Phyllis A. Whitney

przed Stephenem. Cała miłość, jaką do niego czułam, umocniła się we mnie, tak jak w stosunku do Jilly. Ale po raz pierwszy od tylu lat moim uczuciom przestała towarzyszyć złość. Nie liczyło się też przebaczenie. Nie potrzebowaliśmy już przebaczenia — ani on, ani ja. Teraz z pewnością postępowalibyśmy i zachowywalibyśmy się inaczej niż w przeszłości. Młodość jest taka pewna siebie... tak przekonana o własnej słuszności. Cieszyłam się, że osiągnęłam inny, trochę mądrzejszy wiek.

— Oriana wyjeżdża rano — wspomniał mimochodem Stephen, a jego głos nie zdradzał żadnych uczuć.

Oriana już się dla mnie nie liczyła... Moje myśli sięgały jeszcze innego wymiaru — nie mogłam znieść utraty Stephena po raz trzeci jedynie z powodu martwej ciszy, która panowała między nami.

— Chyba zawsze cię kochałam — powiedziałam. — Nawet wtedy, gdy cię nienawidziłam. To nie jest kolejny ciężar, jaki składam na twoje barki. Po prostu chcę, żebyś wiedział, że już nie jestem tak przeraźliwie młoda i wściekła na wszystko i wszystkich. Wydaje mi się, że wtedy zachowaliśmy się najlepiej, jak potrafiliśmy.

Niemal poczułam, jak nagle zeszywniał. Wiedziałam, że nie jest gotów znowu kochać ani być kochanym. Może już nigdy nie będzie. W poprzednim życiu Jim Lampton kochał mnie aż do chwili śmierci. Ale Stephen tego nie pamiętał, a może wypełniał *karmę* inną niż moja. Może to nie jest jeszcze to życie, w którym uda nam się wszystko wyprostować.

Mimo natłoku tych myśli, byłam trochę zdumiona. To, co wydarzyło się w gabinecie Juliana, zmieniło mnie — a może sprawiło, że łatwiej akceptowałam sprawy na pozór nie do zaakceptowania?

Stephen wstał, opierając się na kulach.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

315

— Cieszę się, że dobrze się czujesz — powiedział i wyszedł przez otwarte drzwi. Słyszałam go na tarasie, którego balustrada ułatwiała mu chodzenie.

Jego przyjście tutaj było już czymś. Czymś, co należało docenić. Siedział przy moim łóżku, strzegąc mnie podczas snu. Po raz kolejny łzy popłynęły mi po policzkach, ale tym razem wszelkie uczucia dotyczyły mnie i nie była to jedynie miłość odległej Alice Lampton do Jima.

Zasnęłam ponownie i obudziłam się dopiero gdy słabe światło dnia przebijało przez szyby.

Podniosłam się i zobaczyłam wschodzące słońce, które oświetlało szczyty gór, pozostawiając zbocza i doliny w głębokim cieniu. Wspaniały poranek na lot balonem! Tam w górze nie może nas spotkać nic złego. Będę z dwojgiem ludzi, na których zależało mi najbardziej na świecie, bo oczywiście Jilly, Stephen i ja polecimy razem.

Ubrałam się błyskawicznie i zbiegłam na dół, aby przygotować sobie tosty i kawę.

## 19

Vivian i Julian jeszcze nie wstali, więc kiedy zjadłam śniadanie, zeszłam do pokoju Stephena, oczekując, że zastanę tam również Jilly. Stephen czekał już na mnie. Miał na sobie sweter, gładko wykończony pod szyją i płaszcz, jaki zazwyczaj noszą drwale. Paul najwyraźniej jeszcze spał, a Stephen doskonale radził sobie sam.

— Mam zawołać Jilly? — zapytałam. Stephen był zirytowany.

— Meryl zabrała ją wczoraj wieczorem, nie mówiąc mi ani słowa. Oriana namówiła Jilly, żeby pojechała z ciotką na farmę, i obiecała, że zabiorę ją innym razem. Widocznie Meryl przekonała Oriane, że Jilly zagraża niebezpieczeństwo i że nie wolno dopuścić do jej lotu balonem. Oriana też wyjechała, bo chciała złapać wcześniejszy samolot z Charlottesville. Pożyczyła jeden z naszych samochodów.

Głos miał pozbawiony wszelkich uczuć, jak zeszłej nocy — jakby był sparaliżowany pod względem emocjonalnym.

Zastanawiałam się, czy powinnam się cieszyć z powodu Jilly czy nie. Może to właśnie tego dotyczyły moje przeczucia.

— Może lepiej zrezygnujmy z tego lotu — zaproponowałam. — Nie powinniśmy lecieć bez Jilly. Jestem

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

317

przekonana, że nie chciała jechać z Meryl. Stephenie, jesteś pewny Meryl?

— Wierzę w jej troskę o Jilly — odparł. — Może brak jej czasami ogłady, ale nie wydaje mi się, żeby chciała skrzywdzić małą.

Miałam co do tego pewne wątpliwości. Przypomniało mi się jej zachowanie tamtej nocy w Charlottesville.

— Tak czy inaczej — mówił Stephen trochę ponuro — wszystko jest już załatwione, a furgonetka z przyczepą, przewożąca sprzęt, powinna być już w drodze, więc nawet gdybym chciał, nie mogę już nic odwołać. Możemy pojechać twoim samochodem, Lynn? Do miejsca, skąd nas zabiorą, nie jest daleko.

— Oczywiście — powiedziałam, niezupełnie pewna, czy naprawdę chciałam to zrobić.

Stephen wykonywał wszystkie czynności niemal automatycznie i wcale mi się to nie podobało.

Zeszliśmy jednak do samochodu, który zostawiłam przy podjeździe, i wsiedliśmy do niego.

Wiedziałam doskonale, że nawet nie powinnam próbować pomóc w tym Stephenowi.

Przejechaliśmy obok domu, a potem krętą drogą aż na pole, otoczone drzewami. Furgonetka

„Powietrznej Tancerki” już tam była, z boku miała znak „Lotów Fantazji”. Pracownicy wyjmowali kosz z przyczepy i rozwijali na ziemi kolorowy jak tęcza materiał. Wjechałam na trawę i wysiedliśmy z samochodu.

Bill i Tony Roscoe przywitali się ze Stephenem jak ze starym przyjacielem, a potem Stephen ich mi przedstawił. Tony miał lecieć z nami balonem, a Bill — kierować ludźmi na ziemi.

Ci rozłożyli już na ziemi kolorowy materiał — Stephen twierdził, że to najlepszy gatunek nylonu.

Powierzchnia całego balonu wynosiła dwadzieścia trzy



Phyllis A. Whitney

metry kwadratowe. Do wnętrza wpompowywano właśnie zimne powietrze ze sprężarki benzynowej: fałdy materiału prostowały się delikatnie, a całość zaczynała się nadymać. Szerokie, kolorowe pasy przechodziły od jasnoniebieskiego, przez zielony, żółty, pomarańczowy do czerwonego, lawendowego i wreszcie do granatu. Pole wypełniło się ludźmi, schodzącymi się ze wzgórz — o których myślałam, że są nie zamieszkane — żeby przyjrzeć się przygotowaniom i startowi balonu. Wielka, kolorowa kula pęczniała coraz bardziej w miarę napełniania jej powietrzem z przenośnej sprężarki i nagle, kiedy balon przybrał właściwy kształt, wszyscy, którzy stali dokoła przyglądając się, wyglądali przy nim jak karzełki. Z jednej strony, gdzie jeszcze stykał się z ziemią, był płaski. Kiedy już wpompowano odpowiednią ilość powietrza, uruchomiono strzelający płomieniem palnik. Po napełnieniu gorącym powietrzem, całość uniosła się łagodnie nad gondolą. Przyglądałam się małemu trzciniowemu koszowi, który w porównaniu z ogromną, kolorową kulą wydawał się niepokojąco mały.

Mężczyźni podbiegli do kosza i trzymali go ze wszystkich stron, żeby nie oderwał się od ziemi. Wszystko było już przygotowane, więc Stephen i ja podeszliśmy do balonu, czekającego na nas niecierpliwie, gotowego w każdej chwili wzbić się w niebo.

Zastanawiałam się, jak Stephen dostanie się do środka, ale Bill i Tony Roscoe po prostu podnieśli go do góry i przełożyli przez brzeg kosza. W gondoli ustawiono specjalny stołek, na którym mógł usiąść, ale na razie wolał stać, trzymając się jednej z podpórek od palnika. Nie miałam żadnych problemów z dostaniem się do środka, a Tony zajął miejsce tam, skąd mógł sięgnąć ręką do zapadki palnika nad naszymi głowami.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

314

Bill i reszta grupy zostaną na ziemi i będą jechać za nami furgonetką ciągnącą pustą przyczepę. Kiedy Tony odkręcił zawór palnika, płomień, wysoki na sześć metrów, strzelił w górę, wydając ogłuszający huk. Zawsze wyobrażałam sobie lot balonem jako coś spokojnego, cichego, lecz na szczęście ten hałas nie trwał ciągle.

Ktoś na ziemi odwiązał linę i wznieśliśmy się łagodnie w powietrze. Strugi płomienia sterowały naszymi ruchami w górę i w dół, a wiatr, bardzo delikatny na tej wysokości, wyznaczał kierunek lotu. Ludzie na dole machali do nas, kiedy przepływaliśmy nad pobliskimi wierzchołkami drzew, płomień wzmógł się, a gorące powietrze uniosło nas jeszcze wyżej. Stałam prosto, starając się nie przemieszczać za często, bo wtedy kosz robił się mniej stabilny. Jego brzeg sięgał mi do pasa, więc swobodnie mogłam spoglądać na dół. Nie miałam lęku wysokości ani zawrotów głowy. To cudowne, kiedy nie trzeba przemierzać większych odległości w takim tempie, że wszystko zamazuje się przed oczami. Byliśmy równie blisko gór, jak ptaki.

Na drodze pod nami widziałam niebiesko-białą furgonetkę z przyczepą. Tony miał łączność radiową z samochodem, więc mogliśmy przekazywać informacje o kierunku naszego lotu na dół. Niezależnie od tego, kiedy i gdzie wylądujemy, będziemy potrzebowali natychmiastowej pomocy tamtych ludzi. Dotarliśmy do szczytu góry. Teraz mogłam podziwiać pięknie wyrzeźbione zbocza w jesiennych kolorach rozprzestrzeniających się na wszystkie strony. Drzewa, jakby delikatnie wymodelowane, nabrały ognistego koloru. Na brązie, karminie i rubinie odbijały się liczne plamki jasnych ogników. Żółte topole pobłyskiwały jak

Phyllis A. Whitney

złote monety w świetle wschodzącego słońca. Wiecznie zielone lasy zachęcały do odpoczynku, niemal zbyt piękne, by mogły być prawdziwe. To wszystko z ziemi wydawało się urocze, ale widok z góry zapierał dech w piersiach.

Ponieważ słońce nie dotarło jeszcze do najgłębszych części dolin, nadal pozostawały pogrążone w mroku, co dodawało im jeszcze większego powabu.

W każdej chwili byłam świadoma obecności Stephena u mojego boku w maleńkim koszu. Od przyjazdu do Wirginii nie widziałam go równie spokojnego. Ucieczka od wszystkiego przydała się nam obojgu, szkoda tylko, że Jilly nie mogła się cieszyć wycieczką razem z nami.

Kiedy tak lecieliśmy w niesamowitej ciszy, wychyliłam się i zerwałam gałązkę sosny z wierzchołka wysokiego drzewa. Zgodnie z tym, co powiedział Tony, jeśli wiatr się nasili, będziemy musieli trzymać się dalej od drzew. Ten delikatny powiew był całkowicie bezpieczny, lecz na różnych wysokościach wiatry wieją z różną prędkością. Góry sprawiały wrażenie tak miękkich i zaokrąglonych, że lądowanie na nich powinno być podobne do lądowania na puchowej pierzynie.

Zwodniczej, oczywiście, bo pod tą pokrywą leżały kolczaste gałęzie.

Cały czas widać było szosę i furgonetkę z pustą przyczepą, a jej obecność wpływała jeszcze bardziej uspokajająco. Czasami głos przez radio informował, że jesteśmy doskonale widoczni. Ale zdarzały się też chwile, kiedy nie można nas było dostrzec z ziemi, i wtedy kontakt radiowy nabierał ogromnego znaczenia.

Kiedy nie działał palnik, wszystko wydawało się ciche i spokojne. Raz tylko, gdy był włączony, spojrzałam na ogłuszający płomień buchający do wewnątrz balonowej powłoki, który jednak niczego nie dotykał.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

321

Sprawiło to przerażające wrażenie i już więcej nie patrzyłam w górę. Dobrze chociaż, że zgodnie z tym, co powiedziała Jilly, gorące powietrze nie pozwalało nam zmarznąć.

Strumienie przepływające między wzgórzami nadal przesłaniała poranna mgła, dodając im jeszcze większego uroku. Chwilami lecieliśmy kawałek wzdłuż jakiegoś strumienia, kiedy indziej, gdy wznosiliśmy się nad pasmem gór, dostrzegałam pojedyncze domostwa. Z ziemi musiały być niewidoczne... małe domki, o których nie miałam pojęcia, że istnieją.

W pewnym momencie spojrzałam na Stephena, a on uśmiechnął się do mnie. Zwykły, naturalny uśmiech, który powiedział mi, że przeżywalismy „przygodę”, jak to określaliśmy w czasie naszego małżeństwa. Odprężyłam się na chwilę, a to niemal mistyczne przeżycie, jakim było dryfowanie nad ziemią, tak dalekie od wstrętnej rzeczywistości, nappełniało mnie siłą, której będę potrzebowała po powrocie na dół.

— Spójrz, gdzie jesteśmy — powiedział Stephen. Przepływaliśmy łagodnie nad pasmem gór, a kiedy Tony dotknął zapadki zapalnika, żeby wznieść nas trochę wyżej, popatrzyłam w dół i stwierdziłam, że przelatywaliśmy dokładnie nad Śpiewającymi Skałami. Oglądane z tej wysokości były dziwne, ale o wiele mniej groźne. Staruszkowie w czarnych pelerynach tłoczyli się wokoło, lecz z tej wysokości wcale nie wydawali się tacy wysocy. Zaskoczył mnie jakiś nagły ruch.

— Tam na dole ktoś jest! — zawołałam do Stephena.

Płomień strzelił do góry z ogłuszającym hukiem, więc nie mógł mnie usłyszeć, ale spojrzał za moim palcem. Widzieliśmy doskonale, jak na otwartą przestrzeń na szczycie wybiegła Jilly.

Popatrzyła na nasz balon

Phyllis A. Whitney

przepływający nad jej głową i zamachała rękoma. To nie był gest powitania, lecz jakby pełne rozpaczyny błaganie o pomoc.

Nie istniał powód, dla którego miałyby znaleźć się w tym miejscu i obecność Jilly wśród skał przeraziła mnie. Nie było sposobu, żeby dotrzeć do dziewczynki stojącej na cienkim granitowym grzbiecie, mogłam jedynie patrzeć na nią bezradnie.

Pobiegła w stronę starszków, lecz nie dotarł do nas żaden odgłos śpiewu. Dostrzegłam ruch między skałami i spomiędzy nich wyszedł Julian, blokując Jilly drogę. Podmuch wiatru oddalił balon od szczytu, postacie ludzi robiły się coraz mniejsze, nie pomagało nawet, że wychylałam się z kosza w ich stronę.

Kiedy palnik ucichł, krzyknęłam do Stephena:

— Musimy zejść na dół! Musimy się jakoś do niej dostać!

Stephen odezwał się do Tony'ego:

— Czy możemy wylądować na Oleandrowej Farmie? Jesteśmy już prawie nad nią.

Tony natychmiast połączył się z kolegami na ziemi i wysłał ich na miejsce. Farma leżała dokładnie przed nami, na kursie naszego lotu, ale nie mogliśmy polegać jedynie na podmuchach wiatru.

Tony podprowadził nas bliżej i niżej — teraz musieliśmy jedynie dryfować w stronę pól, na których mogliśmy wylądować. Prąd powietrza z gór przenosił nas w odpowiednim kierunku, a balon coraz bardziej zniżał lot.

Kiedy spojrzałam w dół na przestrzeń pomiędzy wiecznie zielonymi drzewami, zobaczyłam szary dom, który kiedyś należał do dziadka Stephena, a który niedawno odwiedziłam z Vivian. Byliśmy już bardzo blisko, ale nawet jeśli znajdziemy pole, na którym

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

323

możemy wylądować, nie mamy sposobu, aby dostać się szybko do Śpiewających Skał... i tego, co się tam działo. Fatalnie, jeśli Jilly i Julian byli tam oboje. Mój samochód został na miejscu startu, dokąd miała na odwieźć furgonetka, żebyśmy nawet w przypadku koniecznego lądowania nie potrzebowali transportu.

Najpierw jednak musimy znaleźć się na ziemi.

Pod nami otwierały się pola: jedne ogrodzone kamiennym murem, inne drutem. Widziałam konie na wybiegach, a z kolei gdzie indziej przechadzały się krowy. Nie mogliśmy wylądować gdzieś, gdzie istniało prawdopodobieństwo, że przestraszymy zwierzęta albo zostaniemy przez nie zaatakowani.

Tony szukał najbezpieczniejszego miejsca do lądowania, a dzięki strumieniom gorącego powietrza przesuwiał balon nad ogrodzeniami, w stronę terenów, na których nie pasły się zwierzęta. Musieliśmy osiąść natychmiast, bo inaczej znajdziemy się za daleko. W pobliżu była droga, po której już nadjeżdżała furgonetka.

Na szczęście wiatr nam sprzyjał; przelecieliśmy nad ostatnim murkiem i osiedliśmy łagodnie na polu. Ludzie wygramolili się z samochodu i pobiegli w stronę kosza odbijającego się już od ziemi. Tony pociągnął za linę, która otworzyła na czubku balonu otwór służący do wypuszczania gorącego powietrza; kula zaczęła tracić kształty. Ktoś ciągnąc za główną linę, oddalał się biegiem od kosza, żeby balon nie spadł na nas. Jego powłoka ułożyła się łagodnie, opadając na bok na trawiastym podłożu. Przyzwyczajona już do hałasu palnika, poczułam się nagle tak, jakby ktoś wyłączył wszystkie dźwięki świata, bo każda czynność odbywała się w niemal absolutnej ciszy.

Ludzie z załogi podtrzymywali kosz, żeby się nie

Phyllis A. Whitney

przewrócił. Ktoś pomógł mi wysiąść, mężczyźni wynieśli Stephena i podali mu kule.

Zanim zdążyliśmy się zastanowić, jakie powinno być nasze następne posunięcie, nie opodal ukazał się samochód Meryl, a ona sama wysiadła i podbiegła do nas szybko.

— Dzięki Bogu, widziałam, jak lądujecie! — zawołała. — Musimy coś natychmiast zrobić, Jilly znowu uciekła. Był do niej telefon, ale nie chciała mi powiedzieć, kto dzwonił. Stwierdziła tylko, że musi wrócić do domu. Powiedziałam, że to niemożliwe, i wydawało mi się, że się z tym pogodziła.

Ale potem wymknęła się i przypuszczam, że to właśnie tam stara się dotrzeć.

— Widzieliśmy ją przy Śpiewających Skałach — odezwał się Stephen. — Jest z nią Julian, ale to mnie wcale nie uspokaja. Możesz nas zawieźć na miejsce, skąd moglibyśmy się tam dostać? Za domem jest ścieżka wiodąca na szczyt góry. Pamiętam ją jeszcze z dzieciństwa.

Meryl szybko doszła do siebie i pobiegła do samochodu. Stephen podziękował Tony'emu, Billowi i całej załodze „Powietrznej Tancerki”, którzy zajęli się nudną i wymagającą ogromnej skrupulatności pracą przy zwijaniu balonu przed zapakowaniem go na przyczepę. Potem ruszył wolno o kulach za Meryl — lecz szło mu to już coraz lepiej — a ja udałam się za nimi.

Meryl odezwała się dopiero w drodze do domu.

— Lynn i ja możemy wdrapać się na górę — powiedziała. — Ale ty, Stephenie, będziesz musiał na nas poczekać. Nie ma szans, żeby udało ci się wspiąć po tej stromej ścieżce.

Kiedy dotarliśmy do miejsca, skąd zaczynała się ta dróżka, zrozumiałam, że moja szwagierka ma rację. Nie chciałam zostawiać Stephena... był wściekły i sfrustro-

## ŚPIEWAJACE SKAŁY

325

wany... ale nie widziałam innego wyjścia, jeśli mieliśmy dostać się do Jilly. Już i tak mogło być za późno.

Ścieżka była nie tylko stroma, ale i kamienista. Przeciskałyśmy się z Meryl między gałęziami, starając się unikać piargów, po których mogłybyśmy osunąć się w dół. Dwadzieścia minut, albo nawet więcej, zajęło nam wdrapanie się na miejsce, gdzie opadł głaz z urwiska, blokując drogę do jaskini. Kiedy się stoczył, znajdowałyśmy się po drugiej stronie, odcięte od tej ścieżki.

Byłam podrapana, nogi się pode mną ugiwały, ale musiałam jakoś obejść tę skałę. Meryl usiadła na ziemi, musiała zrobić sobie chwilę przerwy, gdyż nie była w stanie się ruszyć, ale ja nie miałam czasu na odpoczynek. Głaz osiadł na dobre na swoim miejscu, a ponieważ nie dałoby się go ruszyć, mogłam jedynie przedrzeć się dokoła niego przez gałęzie. Niektóre z nich połamał staczający się blok.

Jakimś cudem udało mi się dotrzeć do wejścia do jaskini, chociaż ubranie miałam porwane, a moje ręce krwawiły. Ale liczyło się jedynie to, że idę naprzód. Każda sekunda była na wagę złota... jeśli w ogóle można jeszcze zapobiec temu, co się działo przy skałach.

Meryl zawołała na mnie, gdy zniknęłam w jaskini, ale wiedziałam, że nie pójdzie w moje ślady.

Przeciskałam się na czworakach szczeliną, którą wiodła mnie kiedyś Jilly, i która kończyła się dużą grota. Droga na szczyt wydawała się bardziej ryzykowna niż kiedykolwiek, lecz choć wiedziałam, że jest niebezpieczna, musiałam ją przebyć.

Pamiętam, jak Jilly napominała mnie, aby nie patrzeć w dół, spoglądałam więc w górę na otwór, przez który przeświecało słońce. Otaczający mnie mrok jaskini ukazywał ciemne wnętrza ziemi, która jeszcze nie



Phyllis A. Whitney

dawno wydawała mi się taka jasna, gdy spoglądałam na nią z balonu. W powietrzu czuło się zgniliznę, kurz i śmierć.

Znalazłam dla rąk oparcia, z których już kiedyś korzystałam i przyciśnięta do ściany, wchodziłam na szczyt wąską ścieżką. Tak jak wtedy, kamienie staczały się pod moimi stopami i słyszałam, jak spadają w przepaść. Staralam się nie myśleć o tym, co by się stało, gdybym się potknęła i spadła jak jeden z nich. Jilly była na górze i musiałam się do niej dostać. Dostanę się do niej!

Wreszcie dotarłam do otworu i stanęłam na zalanym słońcem twardym gruncie. Przez chwilę nie wychodziłam z ukrycia, rozglądając się dokoła. W pobliżu tkwiły stłoczone skały, a stok za nimi wydawał się pusty. Nagle Jilly przyczołgała się do mnie zza jednego ze staruszków.

— Szybko! — szepnęła. — Chodź tutaj, tu będziesz bezpieczna. Wiedziałam, że przyjdiesz.

Poprzednim razem nie weszłam między kamienie — teraz dopiero zauważyłam, że otaczały kręgiem pusty plac, oddzielając go od pozostałej części wzgórza. To zapewne tutaj skrył się Julian w życiu, w którym Vivian jako indiańska dziewczyna została rozszarpana przez panterę. Był tam i teraz... ale takiego nie widziałam go jeszcze nigdy. Siedział na ziemi, zasłonięty przez jedną ze skał. Podkulił kolana i oparł na nich głowę; wyglądał jak człowiek w stanie absolutnej rozpacz i przygnębienia.

— Jest tam — wyszeptała Jilly. — Uciekłam jej, ale czeka na mnie.

Przykucnęłam obok niej i wyrzałam zza pochylonego kamienia. Kobieta stała pod drzewem, daleko od nas. Miała na sobie ciemnozielone spodnie i zielony

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

327

sweter w kolorze zlewającym się z wiecznie zielonymi drzewami. Vivian Forster obserwowała skały wiedząc doskonale, gdzie się ukrywamy, choć nie byłam pewna, czy widziała, jak przyłączyłam się do jej męża i Jilly.

— Ona się boi skał — szepnęła Jilly — ale me pozwoli nam stąd wyjść. Wujek Julian też nie wyjdzie. Kiedy wymówiła jego imię, Julian spojrział na mnie. W spojrzeniu tym wyczytałam całe jego cierpienie i bezradność.

— Dlaczego tu przyszłaś? — zapytałam Jilly.

— Ciocia Vivian zadzwoniła do mnie. Powiedziała, że wujek Julian miał wypadek i jest tutaj. We dwie zdołamy mu pomóc, więc miałam przyjść tu jak najprędzej. Nie mogłam jednak powiedzieć nikomu, dokąd idę. Nie rozumiałam, dlaczego, ale ponieważ bałam się o wujka, uciekłam i chciałam dostać się tu najszybciej, jak to możliwe. Siedział tutaj... tak po prostu. Ale wcale nie był ranny, a po jej twarzy poznałam, co zamierza zrobić. Tak samo wyglądała, kiedy zobaczyłam ją na Białym Księżycu.

Kobieta ruszyła w naszą stronę i zaskoczyło mnie to, jak dziwnie szczęśliwa się wydawała... Jakby szła naprzeciw swojemu przeznaczeniu i wiedziała, że to ona zatriumfuje.

— Chodź tutaj i porozmawiajmy, Julianie — zawołała.

— Nie idź — błagałam.

Lecz on podniósł się już i wyszedł z bezpiecznej kryjówki, jaką wyczarowały dla nas kamienie. Vivian z uśmiechem wyciągnęła do niego rękę.

— Zabierz ze sobą Jilly, kochanie. Weźmiemy się za ręce i razem wejdziemy w nowe życie.

Ręką wskazała urwisko za sobą.

Phyllis A. Whitney

Podszedł do niej przerażony i smutny, lecz nie wziął ze sobą dziewczynki.

To przyszło nagle... nie rozpoznanie twarzy czy głosu, bo nawet płęć była inna, ale wiedziałam. Dostrzegłam to coś, co zauważyłam w Scottym, gdy obserwowałam rozgrywające się przed moimi oczami dzieje Alice Lampton.

Vivian nie zobaczyła mnie od razu, gdyż Julian zatrzymał się kawałek przed nią. Całą jej uwagę pochłaniał mąż.

— Od samego początku wiedziałam, że musimy być razem — powiedziała. — Nie rozumiałam tego aż do chwili, gdy zabrałeś mnie do moich poprzednich wcieleń. Larry już się dla mnie nie liczył, chciałam być tylko z tobą. Więc kiedy przyszliśmy tu na spacer tego dnia, wiedziałam, że muszę go wyzwolić, pomóc mu przenieść się do szczęśliwszego życia. Omal nie spadł ze stoku, kiedy go niespodziewanie popchnęłam, ale udało mu się odsunąć od krawędzi. Jednak wyzwolenie i tak nadeszło, bo był tak przerażony, że po prostu jego serce nie wytrzymało. Dzięki temu mogliśmy być razem, Julianie.

Po spojrzeniu Juliana poznałam, że nie miał o niczym pojęcia, i że jej słowa wstrząsnęły nim do głębi. Vivian rozłożyła ramiona.

— Nie stój tak daleko, chodź do mnie, kochanie. I zabierz ze sobą Jilly. Ona musi pójść z nami, wiesz o tym. Należy do nas. Dzięki tobie zdałam sobie z tego sprawę.

Julian odezwał się drżącym głosem:

— Jilly musi pozostać tam, gdzie jest.

— Byłoby nam tak dobrze razem — mówiła Vivian łagodnym, wręcz niewinnym głosem. — Gdyby nie Luther Kersten, moglibyśmy kontynuować to życie. Ale

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

329

on wszystko zmienił. Przyszedł tu wtedy za Larrym. To był bardzo podejrzliwy młody człowiek, a w dodatku Larry mu pomagał, więc Luther uważał, że ma wobec niego dług wdzięczności. Widział, co się stało, ale powiedział mi, że pobiegnie po pomoc. Zeszłam z góry, bo wiedziałam, że nie mogą mnie tam znaleźć. Luther sprowadził pomoc, lecz nigdy nikomu nie powiedział, że widział mnie z Larrym. W miarę słuchania Julian kamieniał na podobieństwo skał ochraniających wciąż Jilly.

— Ty zabiłaś Luthera, Vivian?

— To było konieczne. Długo mnie szantażował. Larry zostawił mi trochę pieniędzy, więc mogłam płacić, ale wiedziałam, że to się musi skończyć. Zaproponowałam mu, abyśmy się spotkali na Białym Księżycu tamtej niedzieli, że zapłacę kolejną ratę. Wszystko się zmieniło, gdy spotkałam tam Stephena i Jilly. Wywiązała się walka, Luther przewrócił Stephena, a Jilly skoczyła na niego jak oszalała, ale odepchnął ją na bok. Nie widział, że się zbliżam, ale ja dostrzegłam swoją szansę. Stał odwrócony do mnie tyłem. Popchnęłam go i stracił równowagę; tym razem mi się udało. Jilly jeszcze przez chwilę leżała nieprzytomna, Stephen się podniósł, ale stanął na nie umocowanej desce i spadł dwa piętra w dół. W ten sposób zakończyła się nikczemność Luthera w obecnym życiu. W następnym będzie miał wiele do odpokutowania. Tylko Jilly mnie tam widziała, ale doskonale rozumiała, że jeśli się przed kimś zdradzi, będę musiała powiedzieć wszystkim, że to jej ojciec zabił Luthera Kerstena. Najgorsze w całej historii Vivian było to, że ta kobieta mówiła to wszystko tak słodko i spokojnie. Jakby postąpiła w najlepszy i najlogiczniejszy sposób. Może to właśnie na tym polegało niebezpieczeństwo

Phyllis A. Whitney

związane z ingerowaniem w sprawy ludzkiej psychiki, gdy czyjeś „ja” balansowało na granicy zdrowego rozsądku, stając się zbyt podatne na działanie — ale czego? Może właśnie zła, jeśli coś takiego w ogóle istniało. Ten człowiek, Scotty, nie zdawał sobie sprawy z własnej nikczemności, tak jak i Vivian. Kiedy wreszcie ją dostrzegą i odpokutują za swoje winy?

Julian zachwiał się, jakby miał zemdleć. Podeszłam bliżej i ujęłam go za ramię. Vivian spojrzała na mnie — w jej oczach dostrzegłam groźbę własnej śmierci. Ale jeszcze nie wszystko zostało powiedziane.

— Carla była następna, prawda? — spytałam łagodnie.

Vivian wybrała na swoją broń szczyt urwiska.

— Chodzi ci o przeniesienie do lepszego życia, Lynn? Tak... to naturalnie musiało się stać. Carla wiedziała, że Luther mnie szantażował, udało jej się zmusić Jilly, aby wyznała jej, że widziała mnie na Białym Księżycu w dniu jego śmierci. Wiesz, że to Carla zostawiła ten list na wózku Stephena.

Chciała go nastraszyć, a wtedy jeszcze nie wiedziała, kto był wszystkiemu winien.

— Jak udało ci się namówić Carłę, żeby przyjechała z tobą na Biały Księżyc?

Uśmiechnęła się łagodnie, niemal anielsko.

— Carla właściwie sama chciała mnie jakoś ukarać. Próbowałam ją trochę przestraszyć, niszcząc zdjęcie Luthera, ale to jej nie powstrzymało. Jilly zaś na swój sposób mi pomogła, robiąc bałagan w jej pokoju. — Vivian przyglądała się swoim rękóm, jakby coś ją w nich zaskoczyło. — Nigdy nie myślałam, że jestem aż tak silna. Wzięłam z samochodu żelazną obręcz; Carla nawet nie zauważyła grożącego jej ciosu. Potem musiałam jedynie zwolnić hamulec i samochód sam potoczył

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

331

się naprzód. Wszystko nastąpiło bardzo szybko. Byłam pewna, że pojazd się zapali i niewiele z niego zostanie. Tylko że tak się nie stało. Jilly oczywiście wiedziała za dużo. Nie pozwalałam jej mówić, jak długo się dało, ale to też musiało się kiedyś skończyć, więc wymyśliłam historyjkę, dzięki której przyszła tu dzisiaj. Wiedziałam, że Julian będzie szedł za mną. I dobrze. Wystarczająco długo już żyliśmy w obecnym wcieleniu. Przez jakiś czas byłam szczęśliwa, lecz teraz jestem gotowa do czegoś innego. Jilly jest dzieckiem moim i Juliana, dlatego musi pójść z nami. Już kiedyś próbowałam ją wyzwolić, spychając na was głaz. Ale *karma* was ocaliła.

Była zbyt spokojna... i kompletnie szalona. Jeszcze nigdy tak się nie bałam i nie czułam się aż tak bezradna. Przysłuchując się uważnie naszej rozmowie, Jilly wyszła spomiędzy chroniących ją skał, których bała się Vivian, i stanęła obok mnie. Vivian zauważyła dziewczynkę, skoczyła, złapała ją za ramię i zaciągnęła na brzeg urwiska. W każdej chwili mogła zrobić krok do tyłu, a wtedy Jilly spadłaby razem z nią.

— Vivian, posłuchaj mnie — błagał Julian. — Zawsze mnie słuchałaś, więc teraz też musisz to zrobić. Potrząsnęła słodko głową.

— Chodź z nami, kochanie. Nie możesz pozwolić, byśmy kolejną przygodę zaczynały bez ciebie. Julian wyprostował się. Nie sprawiał już wrażenia kogoś przytłoczonego tą sytuacją. Wzniósł ręce do nieba... Magiczna prośba o czary, które mogłyby nas uratować? Czy jedynie człowiek całym swym jestestwem błagający o pomoc, siłę, wskazówkę? A może o cud?

Wiatr wzmógł się znowu, powiał nad zboczem góry, przeleciał przez jaskinię i skały zaczęły śpiewać. Ten dźwięk przyprawiał mnie o dreszcze. Był niemal ludzki... Wysokie, przenikliwe jęki, nabierające siły i uno-

Phyllis A. Whitney

szone daleko w przestrzeń, po chwili powtarzały się dzięki kolejnemu podmuchowi wiatru z pieczary. Staruszkowie zawodzili pełnym głosem, a ich płacz zdawał się przerażać Vivian. Puściła ramię Jilly i zatkała sobie uszy rękoma. Kołysała się w przód i w tył, jakby ten dźwięk przeszywał ją na wskroś. Złapałam Jilly za rękę i zaciągnęłam ją szybko między skały, wśród których była bezpieczna; Vivian się do nich nie zbliży. Jilly przytuliła się do mnie i spojrzaliśmy na tych dwoje na zewnątrz. Otaczające nas zawodzenie stanowiło coś w rodzaju ściany ochronnej, słyhać je było w całych górach.

Julian przestał się modlić i opuścił ręce. Przez chwilę skały trwały w milczeniu, jakby staruszkowie nabierali tchu. Potem znowu dał się słyszeć jęk; Vivian gwałtownym ruchem podniosła ręce, jakby chciała odeprzeć czyjś atak. W nagłym strachu odwróciła się tyłem do urwiska i, okrążając skały, ruszyła w stronę jaskini.

Na sekundę zatrzymała się u wejścia.

— Żegnaj, kochanie — powiedziała do Juliana i zniknęła w kamiennym przejściu.

Te słowa powróciły mu zdolność ruchu; poszedł za żoną.

— Proszę, Lynn... — szepnęła Jilly. — Chcę do tatusia!

Weszliśmy do jaskini za nimi dwojgiem i ruszyliśmy ścieżką wzdłuż ściany. Gdy moje oczy przyzwyczyły się do ciemności, zobaczyłam, że Vivian udało się już przebyć całą niebezpieczną drogę. Stała teraz na dole, spoglądając na Juliana, ciągle przyczepionego do skały w górze. Wiatr ucichł niemal zupełnie, słyhać było jedynie jego cichy świst. Vivian odwróciła głowę nasłuchując.

## ŚPIEWAJĄCE SKAŁY

333

Patrzyłyśmy, jak rusza w stronę wąskiego otworu, z którego wydobywał się dźwięk, i po raz ostatni odzywa się do Juliana:

— Będę czekała na ciebie — powiedziała łagodnie i zniknęła w ciemnej rozpadlinie górskiej.

Zastanawiałam się, czy czuje to samo, co kiedyś Jilly \_ że coś się tam czai — i czy także zawróci z tej drogi.

Ale teraz jedynym moim pragnieniem było zaprowadzić Jilly do ojca.

Zostawiłyśmy Juliana wpatrującego się w miejsce, gdzie zniknęła Vivian, i przedostałyśmy się przez krzewy gęsto porastające teren wokół głazu, który niedawno omal nas nie zmiażdżył. Meryl czekała na nas i — niemożliwe! — Stephen był razem z nią.

Jilly rzuciła się ojcu na szyję, a ten objął ją wciąż drżąc z przerażenia. Doskonale wyczuwałam całą ogromną udrękę Stephena, gdy starałam się wytłumaczyć mu, co się stało. Uwaga Meryl skupiała się tylko na nim.

— Zejdę na dół i zadzwonię po pomoc — odezwała się w końcu. — Musimy zabrać go do domu. To był cud, że udało mu się wejść aż tutaj. Widziałam jego porwane spodnie, krew na kolanach i rękach, i doskonale zdawałam sobie sprawę, z jak żelazną wolą i determinacją musiał pięć się pod górę.

Przytulał Jilly z miłością, a ponad jej głową spoglądał na mnie. Znałam to spojrzenie... ale tym razem nie należało ono do młodego, lekkomyślnego mężczyzny, którym kiedyś był. Usiadłam obok nich na ziemi, a Stephen objął nas obie ramieniem.

W jakiś dziwny i niewytłumaczalny sposób już nigdy więcej nikt nie spotkał Vivian. Przez kilka kolejnych



Phyllis A. Whitney

dni ludzie wyposażeni w liny i latarnie wchodzili do wnętrza góry tylko po to, by przekonać się, że przejście jest puste. Julian twierdził, że nie wyszła tamtędy i ja mu wierzę. Jeszcze długo niepokoiły mnie myśli o tajemniczym zniknięciu tej kobiety... niezależnie od tego, co zrobiła.

Ale moja uwaga koncentrowała się głównie na Julianie. Wydawało się, że teraz znajdował się w miejscu dużo głębszego spokoju niż kiedykolwiek dotychczas.

Pewnego razu, widząc moje zakłopotanie, przemówił do mnie łagodnie:

— Vivian ma wiele do odpokutowania. Sama wybrała sobie więzienie, a kiedy spotkamy się następnym razem, nasza *karma* będzie lepsza.

Jest zadowolony, mieszkając teraz w Charlottesville i pracując nad książką, która stała się całym jego życiem.

Stephen, Jilly i ja przenieśliśmy się do innego domu — mniejszego, rodzinnego, który Stephen dla nas zaprojektował, pracując w nowej firmie, założonej na swoje nazwisko.

Ostatniego wieczoru spędzonego w „Tarasach” staliśmy ze Stephenem na najwyższym piętrze, spoglądając na gwiazdy i zamglony biały księżyc. Po raz ostatni słuchaliśmy śpiewu skał... Może nuciły nam na pożegnanie? Lecz teraz ich dźwięk nabrał trochę innego brzmienia — jakby do tej niesamowitej muzyki doszedł jeszcze wysoki, przejmujący ton... podobny do kobiecego głosu.

Nigdy więcej o tym nie rozmawialiśmy. Chyba tak jest lepiej. Nasz świat znowu otacza mur rzeczywistości, lecz czasami wspominam to, czego doświadczyłam i co mnie zmieniło i wiem, że już nigdy więcej nie powiem: „Nie wierzę.”

## **NOTA O AUTORCE**

Phyllis Ayame Whitney jest Amerykanką, urodzoną 9 września 1903 r. w Jokohamie w Japonii. Podróżując z rodzicami po świecie uczęszczała do szkół w Japonii, w Chinach, na Filipinach i w Stanach Zjednoczonych. Dyplom wyższej uczelni uzyskała w Chicago w 1924 r.

Całe swoje życie poświęciła książce — jako księgarka, bibliotekarka, recenzentka, nauczycielka sztuki pisania, ale przede wszystkim autorka ponad 30 powieści — bestsellerów.

Pisarstwo Phyllis Whitney porównuje się do twórczości autorek tej miary co Victoria Holt, Mary Stewart czy Daphne du Maurier. W swych utworach nawiązuje ona do romansu gotyckiego (samotna dziewczyna, często sierota, pełne grozy wydarzenia rozgrywające się w niezwykłej scenerii), jednak znakomicie przetwarza angielski pierwowzór. Przenosi akcję ze „starego domu gdzieś w Anglii dawno temu” w różne miejsca na świecie „tu i teraz”. Oprócz miejscowości bliskich amerykańskim czytelnikom, jak Los Angeles czy Nowy Jork, są to np.: Karaiby w *Columbelli* (1966), Turcja w *Black Amber* (1964), Afryka Południowa w *Blue Fire* (1961).

Wykreowany przez Whitney romans sensacyjny określony bywa mianem „gotyku egzotycznego”.

Bohaterki powieści to przeważnie kobiety sukcesu, samodzielne, pracujące zawodowo, które podczas trwania akcji wykonują — czasowo — funkcje guwernantki, osoby do towarzystwa lub hostessy.

Zmiana charakteru pracy wiąże się zwykle z wyjazdem do ekscytującego, odległego miejsca (tajemniczy wielkopański dwór, dziwny hotel, stare domostwo pośród dzikiej przyrody).